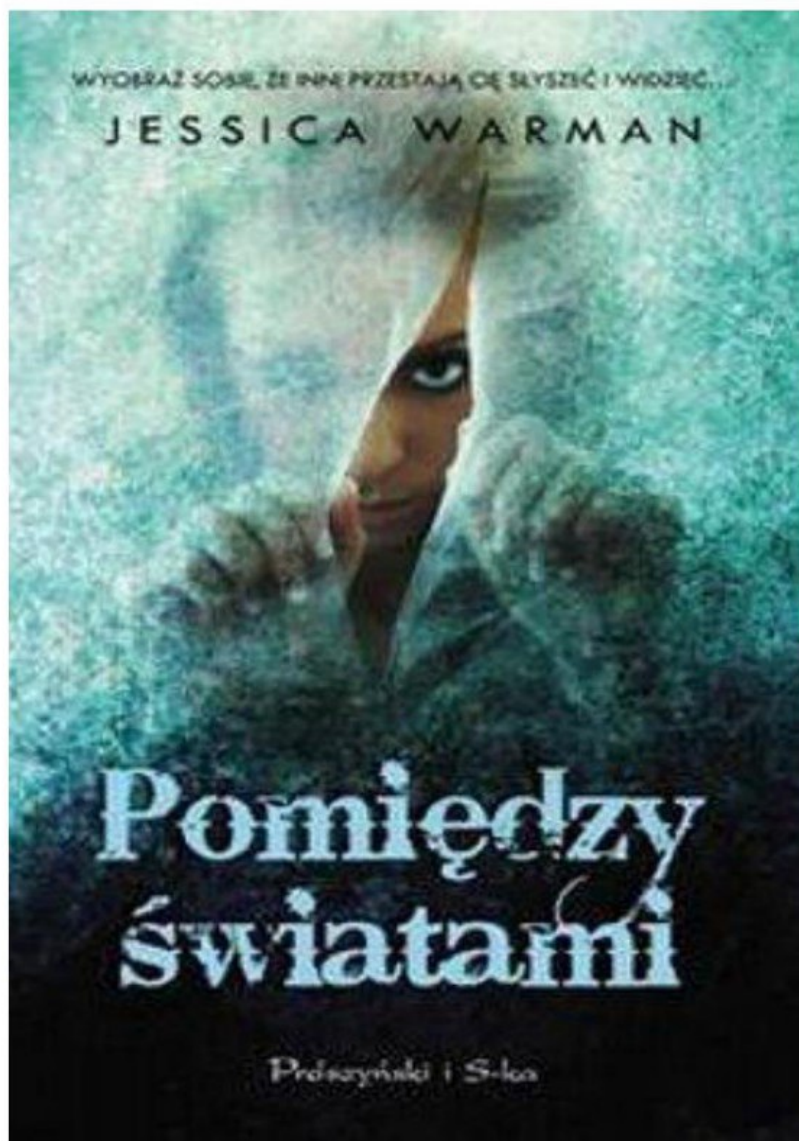


**Warman Jessica**  
**Pomiędzy światami**



WYDRAŻ SOBIE, ZE INNE PRZESTAJĄ CIĘ SLYSZEĆ I WIDZIEĆ...

JESSICA WARMAN

# Pomiędzy światami

Przełożył i Siles

**Warman Jessica**

**Pomiędzy światami**

Ta żywa ręka, gorąca i skłonna

Do uściśnienia - gdyby była martwa

I lodowata w milczeniu mogiły -

Byłaby zmorą twoich dni i nocy,

A ty, by zgłuszyć wyrzuty sumienia,

Serce byś własnej pozbawiła krwi,

Byle w mych żyłach znów mogła popłynąć

Czerwoną strugą... patrz, oto ma dłoń,

Którą wyciągam ku tobie...

*John Keats*

przełożył Włodzimierz Lewik

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Kilka minut temu wybiła druga w nocy. Na zewnątrz „Elizabeth” panuje wględna cisza. Łódki, a właściwie jachty, kołyszą się przywiązane do pomostów, czyste, białe boje chronią włókno szklane i porcelanę przed kontaktem z drewnem. Chłupot wody w zatoce Long Island Sound, fale uderzające w łódki i brzeg stanowią stały podkład muzyczny. Na większości łodzi - o nazwach takich jak „Zasłużona”, „Zacisze”, „Udane Życie” - panuje spokój.

Jednak nie na pokładzie „Elizabeth”. Łódź jest dwudziestometrowym jachtem, ma w pełni wyposażoną kuchnię, dwie łazienki, dwie sypialnie i dość wolnej przestrzeni, by mogło w niej spać dwadzieścia osób. Jednak dziś wieczór nocuje tylko sześć. Wszyscy chyba śpią, oprócz mnie.

Od dwudziestu minut wpatruję się w budzik i słucham irytującego *bang, bang, bang* o kadłub. Powietrze na zewnątrz jest już chłodne, a woda niewątpliwie lodowata. To typowe dla Connecticut, woda ogrzewa się w lipcu na miesiąc z okładem, ale pod koniec lata znowu staje się zimna. Czasami wydaje się, że mamy tutaj tylko dwie pory roku: zimę i prawie zimę. pomostem a łodzią, wali w szklane włókno, próbując się uwolnić. Wydaje mi się, że hałas trwa od wieków. Obudził mnie dokładnie o pierwszej pięćdziesiąt siedem i zaczyna doprowadzać mnie do szaleństwa.

W końcu nie mogę już dłużej tego znieść. *Bang. Bang, bang*. Jeżeli to ryba, to głupia ryba.

- Hej? Słyszysz to? - mówię do mojej najlepszej przyjaciółki i przyszywanej siostry, Josie, która śpi obok mnie na rozkładanym łóżku na dziobie, z rozjaśnionymi, brudny blond włosami przyklejonymi do policzka. Nie odpowiada, tylko dalej cicho chrapie, nieprzytomna od północy, kiedy to po mieszance alkoholu i marihuany wszyscy padliśmy na posłania. To ostatnie, co pamiętam, zanim zasnęłam: próbuję nie za-

mykać oczu, mamrocząc do Josie, że musimy doczekać do pierwszej trzydziści siemdem, czyli dokładnie do godziny, o której się urodziłam. Nikt nie doczekał. W każdym razie wiem, że ja nie.

Wstaję w prawie zupełnej ciemności. Jedyne światło na łodzi daje telewizor, w którym leci reklama supermopa z wyłączonym dźwiękiem.

- Czy ktoś nie śpi? - pytam przyciszonym głosem. Łódź kołysze się na falach napływających z zatoki. *Bang, bang, bang.* Znowu.

Patrzę na budzik. Druga osiemnaście. Uśmiecham się do siebie: od ponad pół godziny mam oficjalnie osiemnaście lat.

Gdyby nie hałas, czułabym się na łodzi jak niemowlę w kołysce. To moje ulubione miejsce na świecie, a z przyjaciółmi na pokładzie jest jeszcze lepsze, o ile to w ogóle możliwe. Wszystko wydaje się spokojne i ciche. Bezruch wieczoru sprawia dziś niemal magiczne wrażenie.

*Bang.*

- Idę na zewnątrz, żeby uwolnić rybę - ogłaszam. - Proszę, niech ktoś pójdzie ze mną.

Niestety, nikt, absolutnie nikt, nawet nie drgnie.

- Banda samolubnych pijaków - mruczę. Ale tylko żartuję. Zresztą mogę wyjść na zewnątrz sama. Jestem dużą dziewczynką. Nie ma się czego bać.

Wiem, że to brzmi jak hipokryzja, skoro piliśmy i paliliśmy, ale prawda jest taka, że dobre z nas dzieciaki. To bezpieczne miasteczko. Wszyscy dorastaliśmy razem w Noank, w Connecticut. Nasze rodziny się przyjaźnią. Kochamy się. Kiedy patrzę na nich wszystkich - Josie na dziobie, Merę, Caroline, Tophera i Richiego - scena na „Elizabeth” przypomina mi zamglony sen.

Elizabeth Valchar. To ja. Rodzice nazwali łódź na moją cześć, kiedy miałam sześć lat. Ale to było całe wieki temu. Kilka lat przedtem, zanim straciliśmy moją matkę, zanim mój tata ożenił się z mamą Josie. Tata pozbył się wielu rzeczy mamy po jej śmierci, ale zatrzymał łódź. Wiąże się z nią tak wiele szczęśliwych wspomnień. Zawsze czułam się tu bezpieczna. Moja mama cieszyłaby się z tego.

Mimo to w środku nocy potrafi tu być strasznie, zwłaszcza na zewnętrznym pokładzie. Poza pluskiem fal i głuchym waleniem o kadłub noc jest cicha i ciemna. Bli-  
sko brzegu zapach słonej wody i alg schnących na skałach jest tak przytłaczający, że kiedy wiatr zawieje w tę stronę, można poczuć mdłości.

Nie zachwyca mnie szczególnie perspektywa samotnego sprawdzania źródła tajemniczego hałasu, pomimo że jestem prawie pewna, że to tylko ryba. Dlatego jeszcze raz próbuję obudzić Josie.

- Hej - mówię głośniej - obudź się. Potrzebuję twojej pomocy. - Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, ale coś mnie powstrzymuje. To przedziwne uczucie, jakbym nie powinna jej przeszkadzać. Przez chwilę myślę, że wciąż jestem pijana, wszystko wydaje się trochę niewyraźne.

Jej powieki trzepoczą.

- Liz? - mruczy. Jest zdezorientowana, najwyraźniej dalej śpi. Na sekundę w jej oczach pojawia się jakiś błysk - strach? Boi się mnie? Ale zaraz znowu zapada w sen, a ja stoję sama, jedyna, która nie śpi. *Bang. bang. hang.*

Pomosty przypominają drewnianą układankę. Fale nadpływają z oceanu i zwykle łagodnieją, kiedy docierają do zatoki, ale dziś wydają się silniejsze, kołysząc nas wszystkich do snu jak niemowlęta. Staram się być odważna, ale czuję się mała i przerażona, kiedy wychodzę na palcach przez przesuwane szklane drzwi: moje buty stuka-

ją lekko po pokładzie. Każdy pomost oświetlają tylko dwie lampy, jedna na środku, a druga na samym końcu. Nie widać księżyca. Powietrze jest tak zimne, że drzę na myśl, jaka musi być woda. Gęsia skórka pokrywa każdą odsłoniętą część mojego ciała.

Stoję na pokładzie, bez ruchu, słucham. Może hałas ustał.

*Bang.* Nie.

Dochodzi od strony rufy, spomiędzy pomostu i łodzi, jakby utknęło tam coś ciężkiego i żywego, upartego. Jesteśmy ostatnią łodzią przy pomoście, co oznacza, że tył „Elizabeth” jest niemal całkowicie oświetlony. Nie wiem, dlaczego czuję potrzebę zachowania zupełnej ciszy. Stukot moich butów na pokładzie mnie irytuje, kulę się przy każdym kroku, mimo że bardzo ostrożnie stawiam stopy. Idę wzdłuż łodzi, trzymając się mocno relingu. Kiedy hałas dobiega z miejsca dokładnie pode mną. patrzę w dół.

*Mokra.* To pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, zanim zaczynam krzy-  
czeć.

*Przemoczona. Nasiąknięta wodą. Twarzą do dołu. Och, cholera.*

To nie ryba, to człowiek. Dziewczyna. Ma długie włosy, tak jasne, że prawie białe, śliczny, naturalny kolor mieni się pod powierzchnią wody. Falujące pasma, kołyszące się w przód i w tył jak algi, sięgają jej niemal do pasa. Jest ubrana w dżinsy i różowy sweter z krótkimi rękawami.

Ale to nie ona hałasuje. To jej stopy, a właściwie buty. Ma na sobie białe kowbojki, ozdobione kolorowymi kamieniami, dekadencję o stalowych noskach.

Buty były prezentem urodzinowym od jej rodziców. Nosiła je dumnie przez cały wieczór, a teraz stalowy nosek lewego zaklinował się między łodzią a pomostem i z każdą nadpływającą falą kopie w burtę, zupełnie jakby dziewczyna chciała wszystkich

obudzić.

Skąd to wszystko wiem? Bo te buty należą do mnie. Tak jak ubranie. Dziewczyna w wodzie to ja.

Znowu krzyczę, na tyle głośno, żeby obudzić każdego w promieniu kilometra. Ale mam wrażenie, że nikt mnie nie słyszy.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Nie wiem, jak długo siedziałam na pomoście - godziny? Minuty? Trudno powiedzieć. Wpatrywałam się w siebie, zaklinowaną w wodzie, w moje ciało czekające, aż ktoś żywy obudzi się i mnie znajdzie. Nadal jest ciemno.

Płakałam. Dygotałam. Starłam się znaleźć jakiegokolwiek sensowne wytłumaczenie tego, co stało się dziś wieczorem. Przez chwilę próbowałam się obudzić przekonana, że śni mi się koszmar. Kiedy to nie podziałało, wróciłam na łódź - tym razem nawet nie starając się być cicho - i próbowałam obudzić wszystkich innych. Przysuwałam usta do ich twarzy i krzyczałam. Próbowałam nimi potrząsać, uderzać, tupałam i wołałam, żeby ktoś, ktokolwiek, otworzył oczy i mnie zobaczył. Nic. Kiedy ich dotykałam, czułam, jakby moją dłoń i ich ciała dzieliła cienka warstwa niewidzialnej izolacji. Jakbym po prostu nie mogła ich dosięgnąć.

Teraz znowu jestem na zewnątrz, patrzę na moje ciało. Naprawdę zaczynam wariować.

- Elizabeth Valchar - mówię najbardziej surowym tonem, na jaki mnie stać - nie możesz być martwa. Siedzisz na pomoście. Jesteś tu. Wszystko będzie w porządku. Jednak w moim drżącym głosie słychać zwątpienie. Czuję się taka młoda i samotna, tak niewiarygodnie bezbronna. To coś gorszego niż koszmar. To piekło. Chcę do rodziców. Chcę do przyjaciół. Do kogokolwiek.

- Właściwie nic już nie będzie w porządku.

Zaskoczona podnoszę wzrok. Obok mnie stoi chłopak. Nie może mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat.

Podnoszę dłoń do ust, zrywam się na równe nogi i klaszczę w ręce.

- Widzisz mnie! Och tak! I mnie słyszysz!

- Najwidoczniej - mówi. - Skoro stoisz przede mną. - Mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Zawsze byłaś seksowna - stwierdza, po czym patrzy na moje ciało w wodzie. - Ale już nigdy więcej - dodaje takim tonem, jakby to sprawiało mu przyjemność.

- Słucham? Poczekaj... ty też ją widzisz? - Oboje wpatrujemy się w moje ciało.

Nagle czuję się wyczerpana i jest mi bardzo zimno. W świetle latarni mogę na tyle dojrzeć twarz chłopca, żeby zdać sobie sprawę, że go znam. Jednak z jakiegoś powodu nie pamiętam jego imienia. Myśli mi się płaczą. Jestem taka zmęczona.

- Najwidoczniej - powtarza.

Przygryzam wargę. To nie boli. Biorę głęboki oddech i mrugam, żeby nie płakać.

Robiąc to, czuję się idiotycznie, przecież wylałam już tyle łez. Dzieje się coś okropnego, więc dlaczego wstydzę się płakać przy nim? Jeżeli kiedykolwiek był odpowiedni moment na łzy, to właśnie teraz.

- No dobrze. Najwidoczniej dzieje się coś dziwnego. Tak?

Wzrusza ramionami.

- Nie tak bardzo. Ludzie codziennie umierają.

- Więc mówisz... że ja jestem - to słowo ledwo przechodzi mi przez usta - martwa.

- Najwi...

- Okej! W porządku. O Jezu. To jakiś koszmar. To musi być koszmar. Nie dzieje



się naprawdę. - Tupię z frustracji podszytej paniką. Mam przyciasne buty i ból prze-  
szywa mi łydkę, rozchodzi się aż do uda. Ból! Boli mnie noga! Muszę być żywa, sko-  
ro to czuję, prawda?

Nie mogę być martwa. - Kładę chłopakowi dłonie na ramionach. - Boli mnie noga.

Czuję to. I dotykam ciebie. Ich nie mogłam tak naprawdę poczuć. - Mam na myśli  
przyjaciół na łodzi. - Czujesz mój dotyk?

- Najwidoczniej. - Wzdraga się i cofa przede mną. - Wolałbym, żebyś mnie nie do-  
tykała, jeśli to nie sprawi ci różnicy.

- Nie chcesz, żebym cię dotykała?

- Najwi...

- Powiedz „najwidoczniej” jeszcze raz. No dalej, zrób to. - Próbuję posłać mu  
groźne spojrzenie, ale nie mam do tego serca. Jest jedyną osobą, która mnie widzi.

Czuję się zdezorientowana: dlaczego chcę być dla niego podła? Przecież on próbuje  
mi pomóc. Ale nie chce, żebym go dotykała. O co mu chodzi?

On tylko wpatruje się we mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Ma potargane  
brązowe włosy, młodzieńczą i gładką twarz, oczy w odcieniu przenikliwej szarości.

Dlaczego nie pamiętam jego imienia?

- Jesteś Elizabeth Valchar - mówi.

Kiwam głową.

- Właściwie Liz. Wszyscy nazywają mnie Liz. - Kiedy mówię, doznaję przedziw-  
nego uczucia, jakbym niczego nie była do końca pewna, nawet swojego imienia. Zdaję  
sobie sprawę, że prawie nic nie pamiętam z poprzedniej nocy. Jestem przekonana, że  
była impreza, wyraźnie na to wskazują puste butelki po piwie, porozrzucane na łodzi, i  
na wpół zjedzony tort urodzinowy. Ale nie pamiętam szczegółów. Czy naprawdę tak

dużo wypiałam?

Zanim zdążę zadać chłopcu jakiegokolwiek pytanie, on mówi:

- A tam, w wodzie, to ty. W bardzo zimnej wodzie.

Wpatruję się w topielicę. To ja. Jestem martwa. Jak?

Kiedy? Przez całą noc byłam na łodzi, prawda? Jestem strasznie sfrustrowana z powodu tego, że nie pamiętam dokładnie, co się stało. Moje wspomnienia z wczorajszego wieczoru stanowią zbiór kawałeczków i fragmentów, tak małych i ulotnych, że nie potrafię ich złożyć w żadną sensowną całość. Pamiętam, jak zdmuchiwałam świece na torcie. Pamiętam, jak pozowałam do zdjęcia z Caroline. Merą i Josie. Pamiętam, że stałam sama w łazience, próbując utrzymać równowagę na rozkołysanej łodzi, oddychałam głęboko, jakbym próbowała się uspokoić. Ale nie pamiętam, dlaczego byłam zdenerwowana ani czy w ogóle coś mnie zdenerwowało. Może byłam po prostu pijana.

Kiedy się odzywam, mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. Czuję, że znowu zaczynam płakać.

- Na to wygląda. Tak, to ja.

- I się nie ruszasz. Nie oddychasz. - Pochyliła się, żeby dokładniej obejrzeć moje ciało. - Jesteś blada. Blada jak trup.

Patrzę na moje nagie ramiona. TU, na pomoście, nie wyglądam nawet w połowie tak upiornie, jak dziewczyna w wodzie. Wciąż jestem cała, wciąż piękna.

- Zawsze byłam tak cudownie opalona.

Ta myśl nie ma dla mnie sensu. Dlaczego pamiętam swoją opaleniznę? I kto w takiej chwili potrzebuje opalenizny?

Chłopak kiwa głową.

- Pamiętam. I masz zabójcze buty. - Milknie. - Że tak powiem.

- W porządku, tylko że one są... takie *śliczne*. - I nagle mam pewność, że były bardzo drogie. - Wiesz, uczyłam się na historii, że Egipcjanie zakopywali zmarłych razem z ich osobistymi przedmiotami, żeby mogli je zabrać do następnego życia. Czy mogę wziąć je ze sobą? - pytam. - Czy jest jakieś życie po życiu? - Spoglądam na swoje kosztowne buty. - Już mam je na nogach - szepczę. Są takie śliczne? A kogo to obchodzi? To tylko buty, na litość boską. I strasznie uwierają mnie w palce. Nie chcę ich zatrzymać, chcę je zdjąć. Ale tak dobrze wyglądają. Czuję się zdezorientowana, przytłoczona, zupełnie jakbym miała zemdleć. Zanim zdążę skoncentrować się na czymkolwiek innym, myśl mknie dalej. Doskonale uzupełniają ten strój.

Czuję się niepewnie, jakby to wszystko tak naprawdę nie miało miejsca. To nie może się dziać. Jakbym ledwo wiedziała, kim jestem. Czuję świeży przyływ nadziei, że pewnie to tylko zły sen, za chwilę się obudzę, leżąc w łóżku, ruszę palcami u bosych stóp, a później pójdę na kawę z przyjaciółmi i wszyscy będziemy się śmiali z szalonego koszmaru, który mi się przyśnił.

- Tyle że chyba tak nie będzie. Chłopiec kręci głową.

- Zwolnij. Wyprzedzasz samą siebie. - Bierze głęboki oddech. - Nie chcę rozmawiać o butach. Przede wszystkim nie jesteś ciekawa, dlaczego cię widzę? Nie zastanawiasz się, dlaczego mogę z tobą rozmawiać?

Kiwam głową.

- Zgadnij - mówi.

Chowam twarz w dłonie. Moje ręce są chłodne i lepkie.

- Ponieważ nie umarłam. Ponieważ to się nie dzieje. - Zerkam na niego spomiędzy palców. - Zrobię wszystko. Proszę, tylko powiedz mi, że to nie jest prawda.

Kręci głową.

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Przykro mi.

- W takim razie co się stało? Nie umarłam. Rozumiesz? - Zbliżam się do niego o krok. Wrzeszczę tak głośno, jak tylko mogę, wystarczająco, żeby obudzić wszystkich na łodzi, wszystkich, którzy śpią na sąsiednich jachtach. - Nie umarłam! - Nagle coś przychodzi mi do głowy. - Mieliśmy narkotyki. Chyba braliśmy narkotyki. Tak, pamiętam, paliliśmy trawkę. Może wzięłam coś halucynogennego. Może odpłynęłam, i to tylko skutek uboczny.

Chłopak unosi brwi. Najwyraźniej nie kupuje tego wytłumaczenia.

- Brałaś wczoraj jakieś halucynogeny? Naprawdę?

Kręcę z rozczarowaniem głową.

- Nie. Teraz żałuję. I żałuję, że nie zjadłam więcej tortu. - Marszczę brwi. - Nie wiem, dlaczego to pamiętam. Przecież nie pamiętam prawie nic. Dlaczego?

- Widzisz mnie - kontynuuje chłopak, ignorując moje pytanie - ponieważ jestem martwy. - Po czym dodaje, jakby chciał, żeby jego słowa lepiej do mnie dotarły: Tak jak ty.

Ogarnia mnie senność. Na chwilę dojmujący chłód opuszcza moje ciało i jest mi ciepło. Potem, równie niespodziewanie, przyjemne uczucie znika. I nagle rozpoznaję go.

- Wiem, kim jesteś - mówię. Ta świadomość mnie ożywia. Chcę się jej mocno trzymać, z każdą nową myślą czuję się coraz pewniej, jakbym odzyskiwała kontrolę. To zabawne, oczywiście, że wiem, kim on jest. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie przypomniałam sobie jego imienia. Od zerówki chodził ze mną do szkoły. - Nazywasz się Alex Berg.

On zamyka na chwilę oczy. Kiedy je otwiera, spojrzenie ma spokojne i czyste.

- Zgadza się.

- Tak. Pamiętam cię. - Nie mogę przestać zerkać na siebie w wodzie, przenoszę wzrok z Aleksa na moje ciało i nie czuję nic poza tępym przerażeniem. Patrzę jak mój prawy but - który był luźny, odkąd tylko siebie zobaczyłam - w końcu zsuwa się z mojej stopy. Powoli napełnia się wodą, po czym tonie z bulgotem, znika, kiedy bez przekonania wyciągam po niego dłoń. W wodzie widać teraz moją bosą stopę: spuchniętą i skurczoną jednocześnie.

Poza tym, że chodziliśmy razem do szkoły, pamiętam o Aleksie coś jeszcze. Przez ostatni rok jego twarz była we wszystkich gazetach. Zeszłego września, zaraz po tym, jak zaczęła się szkoła, jechał po ciemku na rowerze z pracy do domu - pracował w Mystic Market, koło mojego domu - kiedy zabił go samochód. Jego ciało poleciało w piaszczysty gąszcz przy drodze. Pomimo że jego rodzice natychmiast zgłosili zaginięcie syna, zwłoki zostały odrzucone tak daleko, że znaleźli go dopiero po kilku dniach, kiedy jakiś człowiek, przebiegając, poczuł dziwny zapach i postanowił sprawdzić jego źródło.

- To obrzydliwe - szepczę. I znowu ta myśl mnie zaskakuje. Co się ze mną dzieje?

Poza tym, co oczywiste, czuję się, jakby między moimi myślami a ustami nie istniał żaden filtr. Bądź miła, Elizabeth. Biedny chłopak nie żyje. Próbując się poprawić, dodaję: - Cóż, nie wyglądasz, jakby cię przejechał samochód. - I to prawda. Poza potarganymi włosami jego wygląd jest nieskazitelny.

- A ty nie wyglądasz, jakbyś utonęła kilka godzin temu. - Milknie. - Utonęłaś, prawda?

Kręcę głową. Po raz pierwszy nie jestem tego taka pewna.

- Ja... nie wiem, co się stało. Nawet nie pamiętam, jak zasnęłam. Po prostu nagle się obudziłam, bo usłyszałam hałas. - Przerywam na chwilę. - Nie mogłam utonąć, Alex. Musisz to zrozumieć. To niemożliwe. Doskonale pływam. Przecież wiesz, praktycznie wychowaliśmy się na plaży.

- To co się stało? - pyta.

Patrzę na swoje ciało.

- Nie mam pojęcia. Nic nie pamiętam. Jakbym... miała amnezję czy coś. - Spoglądam na niego. - Czy to normalne? Tobie też się to przydarzyło? To znaczy, pamiętasz cokolwiek z tego, co się działo, zanim... umarłeś?

- Teraz pamiętam więcej niż zaraz po tym, kiedy... kiedy to mi się przydarzyło - mówi. - Nie jestem żadnym ekspertem, ale to chyba normalne, że przez pewien czas nie będziesz mogła pozbierać myśli. Spójrz na to w ten sposób - tłumaczy. - Ludzie zwykle dostają amnezji po traumatycznym przeżyciu, prawda?

Wzruszam ramionami.

- Chyba tak.

- Cóż, śmierć to cholernie traumatyczne przeżycie, nie sądzisz?

- Martwa. Cholera. - Przygryzam wargę i patrzę na niego. - Przepraszam, Alex. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To sen... prawda? Śnię, to wszystko. Tak naprawdę ciebie tu nie ma.

On wpatruje się we mnie.

- Jeśli to sen, to dlaczego się nie uszczypniesz?

Odwzajemniam jego spojrzenie. Czuję się mała i tak potwornie smutna, że ledwo mogę mówić. Ale udaje mi się potrząsnąć lekko głową i wypowiedzieć jedno, krótkie słowo.

- Nie.

Nie chcę się szczytać. Boję się, że jeśli to zrobię, to się nie obudzę. W głębi duszy wiem, że się nie obudzę.

Biorę głęboki oddech. Czuję, jak moje płuca wypełniają się powietrzem, czuję się żywa.

- Na pewno jesteś trupem. - Stwierdza to tak beztrósco, tak lekko, że mam ochotę go uderzyć.

- No dobrze. Powiedzmy, na użytek dyskusji, że to prawda. Jeżeli naprawdę jestem martwa, to dlaczego mi tego nie udowodnisz? - Patrzę na niego wyzywająco zmrużonymi oczami. - Mówię poważnie.

Jest rozbawiony.

- Widok twojego ciała dryfującego w wodzie nie jest dla ciebie wystarczającym dowodem?

- Tego nie powiedziałam. Mówię, że jest inne wytłumaczenie. Musi być.

- Połóż mi rękę na ramieniu - nakazuje.

- Myślałam, że nie chcesz, żebym cię dotykała.

- Nie chcę. Ale zrobię wyjątek.

- Dlaczego nie chcesz, żebym cię dotykała?

- Czy mogłabyś po prostu...

- Nie. Chcę wiedzieć, Alex. Dlaczego nie chcesz, żebym cię dotykała? - I już nie potrafię się powstrzymać. Słowa wypływają mi z ust, zanim zdążę się nad nimi zastanowić. - Taki chłopak jak ty? Jesteś nikim. Ja jestem Elizabeth Valchar. Każdy chłopak oddałby mały palec za to, żebym położyła na nim rękę.

Dlaczego traktuję go w ten sposób? Jesteśmy tu razem, na całym świecie nie ma-

my nikogo innego, z kim moglibyśmy porozmawiać, a ja jestem dla niego podła.

Alex wpatruje się we mnie przez długą chwilę, ale nic nie mówi. Wiem, że jestem zarozumiała, ale dociera do mnie, że to, co powiedziałam, jest prawdą. To prawda, jestem ładna. Właściwie piękna. Alex przenosi wzrok na wodę.

- Powiedziałaś, że czujesz się, jakbyś miała amnezję. Ale to interesujące, co pamiętasz. Wiesz, że byłem nikim. Wiesz, że ty byłaś popularna. - Znowu patrzy na mnie.

- Co jeszcze pamiętasz?

Kręcę głową.

- Nie wiem. Wzrusza ramionami.

- Nieważne. W końcu sobie przypomnisz.

- Co masz na myśli? - dopytuję się. Ale on nie odpowiada, tylko mówi:

- Po prostu to zrób, Liz. Połóż rękę na moim ramieniu.

I tak robię. On zamyka oczy, więc ja też opuszczam powieki. Czuję się tak, jakby całe moje ciało wciągał galaretowaty odkurzacz. Już mam oderwać dłoń od jego ramienia, ale nagle uczucie znika i jesteśmy - o Boże - w kafeterii w moim liceum.

Pełno tu uczniów, ale od razu zauważam mój stary stolik: tuż obok lady z ziemniakami i frytkami, na samym końcu pomieszczenia, przy podwójnych drzwiach prowadzących na parking.

- Tam jesteś - mówi Alex, wskazując mnie palcem.

- Ty i ta cała twoja fajna paczka.

Widzę siebie, zupełnie jakbym tam rzeczywiście była. Jestem i tam, i tu jednocześnie. Siedzę z najbliższymi przyjaciółmi: Richiem, Josie, Caroline, Merą i Topherem.

Wczoraj wieczorem wszyscy byli ze mną na łodzi. Wciąż tam są, śpią.



- O Boże - szepczę - spójrz na moje włosy. - Już kiedy wypowiadam te słowa wiem, że są niedorzeczne.

-- Twoje włosy są w porządku. - Alex wzdycha. - Wszystkie takie macie.

To prawda. Moje przyjaciółki i ja, wszystkie mamy długie blond włosy, odgarnięte za uszy, lekko podniesione na czubku - efekt dobrych dwudziestu minut pracowitego tapirowania i lakierowania o poranku. Pamiętam, że ta fryzura nazywała się „wałek” i była popularna kilka lat temu. Inaczej wygląda tylko Caroline, która ma we włosach czerwone i białe wstążki w identycznych odcieniach jak jej kostium cheerleaderki.

- Która to klasa? - pytam. - Nie możemy być starsi niż...

- Szesnaście lat. Wiesz, po czym poznaję?

- Po czym? - Trudno mi się do tego przyznać, ale pomimo że być może jesteśmy duchami i wiem, że nikt nas nie może zobaczyć, czuję się nieswojo, stojąc tu z Alekssem. Jakbym się bała, że moi przyjaciele w każdej chwili mogą spojrzeć w naszą stronę, zobaczyć mnie z nim i natychmiast wykluczyć ze swojego grona. Mój Boże, co by powiedziała Josie?

Dlaczego tak się czuję? I jakim byłam człowiekiem? Wiem, że cieszyłam się popularnością, ale nie pamiętam dokładnie dlaczego ani jak wyglądało moje codzienne życie. I nagle jakaś część mnie naprawdę, naprawdę nie chce tego wiedzieć.

Alex patrzy na nas.

- Wiem, że nie możemy być starsi, ponieważ wciąż żyję. - Trąca mnie łokciem. - Tam idę.

Patrzę, jak sam wchodzi do kafeterii. Niesie lunch w brązowej papierowej torbie.

- Dlaczego po prostu nie kupowałeś lunchu w szkole? - pytam. - W liceum nikt nie przynosi swojego jedzenia.

Spogląda na mnie z rozdrażnieniem.

- Co? - Nie rozumiem. Wydaje mi się, że zadałam w pełni uzasadnione pytanie.

- Lunch w szkole kosztuje cztery dolary - mówi. - Nie mieliśmy na to pieniędzy.

Patrzę na niego z otwartymi ustami.

- Nie mieliście czterech dolarów dziennie?

- Nie. Moi rodzice byli nieugięci. Mieli naprawdę mało pieniędzy. Jeśli chciałem na coś wydawać - nawet na lunch w szkole - to sam musiałem na to zapracować. W Mystic Market zarabiałem minimalną stawkę. - Kiwa głową. Wygląda, jakby mi współczuł. - Nie masz pojęcia, w jak dobrej byłeś sytuacji. Nie każdy dostaje to, czego chce, podane na tacy. Poza tym nie tylko ja przynosiłem z domu lunch. - Wskazuje palcem. - Spójrz.

Idziemy za żywym Alekssem przez kafeterię do pustego stolika niedaleko mnie i moich przyjaciół. Przy innym pobliskim stoliku siedzi, również sam, Frank Waincott. Frank jest o rok starszy od nas, więc musi być w jedenastej klasie. Ma jaskraworude włosy i piegi. Jest ubrany w niebieską koszulkę i źle dopasowane, za krótkie dżinsy. I jest, pamiętam, prawdziwym palantem. Podobnie jak Alex, Frank też przyniósł sobie lunch. Jednak na jego brązowej torbie ktoś - prawdopodobnie matka - napisał czarnym markerem jego imię, a wokół niego namalował serce. Niemal kulę się ze wstydu za niego.

Frank zaczyna rozpakowywać lunch, a Alex i ja podsłuchujemy moich przyjaciół.

Caroline wpatruje się tęsknie w błyszczące, czerwone jabłko, które przekłada z ręki do ręki.

- Zjadłam już dzisiaj sześćset kalorii - mówi. - Ile kalorii ma jabłko?

- Osiemdziesiąt - mówię do siebie. Skąd ja to wiem?

- Osiemdziesiąt - informuje ją moje żyjące ja. - Ale jabłka są zdrowe, Caroline.

Zawierają błonnik i składniki odżywcze. Zjedz je.

Patrzy na moje smukłe ciało. Pomimo że siedzę, widać, jaka jestem chuda. Mam na sobie koszulkę bez rękawów, moje ramiona są szczupłe i muskularne.

- Ty nie musisz się martwić, że utyjesz, Liz. Masz dobre geny.

Josie przechwytuje jabłko z dłoni Caroline.

- Myślałam, że próbujesz nie jeść więcej niż tysiąc dwieście kalorii dziennie. Jeśli je zjesz, dobijesz do prawie siedmiuset kalorii, a wiesz, że po treningu cheerleaderek będziesz umierała z głodu.

Caroline marszczy brwi.

- Zjem lekką kolację.

- Ostatnim razem, kiedy jadłam u ciebie kolację - przypomina jej Josie - twoja mama zrobiła domową pizzę. Na białym cieście. - Robi przerwę dla podkreślenia efektu. - Z pełnotłustym serem. - Sama odgryza wielki kęs jabłka. - Oddaję ci przysługę - mówi z pełnymi ustami do niepokieszonej Caroline. - Uwierz, później mi podziękujesz. - Rozgląda się dookoła. - Myślicie, że mają tu masło orzechowe? Uwielbiam jabłka z masłem orzechowym.

- A ty - mówię do mojej przyszywanej siostry - zrobisz się gruba, jeśli nie zacznieś uważać. Dwie łyżeczki masła orzechowego to dwieście kalorii i sam tłuszcz.

Josie przestaje żuć i patrzy na mnie.

- Słyszałaś, co powiedziała Caroline. Mamy dobre geny.

Nie odpowiadam, tylko patrzę na nią spode łba. Wszyscy przy stoliku natychmiast milkną, atmosfera robi się ciężka.

- Myślałem, że ona jest twoją przyszywaną siostrą - zauważa Alex.

- Bo jest.

- To dlaczego mówi, że macie dobre geny? Nie jesteście spokrewnione.

- Prawda. Ja to wiem. Ale Josie myśli... och, nieważne. To niedorzeczne.

- Chcę wiedzieć - naciska. - Co myśli Josie?

Potrząsam głową.

- Przestań, Alex. Całe życie mieszkałeś w Noank, prawda? Musiałeś słyszeć plotki. - Ale nie mam okazji rozwinąć tematu.

Alex i Frank siedzą przy jedynych pustych stolikach. Alex zaczyna rozpakowywać lunch. Osuwa się na krzesło, zupełnie jakby próbował się stać niewidzialny. Frank robi to samo.

Aleksowi się udaje, ale Frankowi nie. Natychmiast zauważa go Topher.

- Hej, popatrzcie. Nasz ulubiony maminsynek. - Topher uśmiecha się szeroko, jego białe zęby lśnią. - Frankie - wola - co ci mamusia dziś zapakowała?

Frank nie odpowiada.

- Zachowuje się podle - mruczę. - Dlaczego to robi?

- Bo może. Bo lubi się znęcać - odpowiada Alex.

- Ale Frank nie robi nic złego. Nikomu nie przeszkadza.

Alex wpatruje się we mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że moje zdziwienie jest autentyczne.

- Liz, kafeteria przypominała pole bitwy. Ty i twoi przyjaciele siedzieliście przy stoliku, jakbyście byli cholernymi władcami szkoły - przerywa. - Patrz dalej.

Caroline, Josie i ja wymieniamy subtelne uśmiechy, ale nic nie mówimy, chociaż

Topher nie przestaje zaczepiać Franka. Tylko Richie wygląda, jakby czuł się nieswojo.

- Przestań - mówi do Tophera. - Daj już dzieciakowi spokój. To nie jego wina, że...

- O mój Boże. - Topher odchyła się razem z krzesłem, klaszcze w dłonie.

- Chciałbym, żeby wyrznął na ten pusty łeb - mówi cicho Alex.

Jednak Topher się nie przewraca, tylko wstaje i podchodzi do stolika Franka. Odwraca krzesło, siada na nim okrakiem i zaczyna przeglądać zawartość jego torebki na lunch.

Jest mi niedobrze od poczucia winy i wstydu, kiedy patrzę na młodszą siebie i moich przyjaciół, jak chichoczą, podczas gdy Topher torturuje Franka.

- Spójrzcie na to - mówi Topher, podnosząc kanapkę Franka, tak żeby wszyscy ją zobaczyli. - Mamusia wykroila z niej serce. Czy mamusia wyciera ci pupę, kiedy robisz kupkę, chłopczyku?

Twarz Franka robi się ogniście czerwona. Widzę, że stara się nie rozplakać. Przy stoliku obok Alex słucha z niewzruszonym wyrazem twarzy, ale jest wyraźnie poruszony tym, co Topher robi Frankowi. Jednak gdyby zareagował, popełniłby społeczne samobójstwo.

Przykrywam usta dłonią.

- Alex - mówię. - Przepraszam. Wszyscy byliśmy podli, wiem. Ale musisz mi uwierzyć, ja tego w ogóle nie pamiętam.

- Nie ma znaczenia, czy pamiętasz, Liz. To nie zmienia faktu, że rzecz się wydarzyła.

- Ale przecież ja tak naprawdę nic nie zrobiłam... To znaczy, to głównie Topher...

- Masz rację - przerywa mi - nic nie zrobiłaś. Nigdy nie zrobiłaś nic, żeby pomóc Frankowi. Nie ośmieliłabyś się, bo mogłabyś wyjść na mniej fajną.

Patrzę na niego, mrugając.

- Ty też nic nie zrobiłeś.

- A co miałem zrobić? Odezwać się, żeby on skopał mi dupę? - Potrząsa głową. -

Nie, dzięki. Wystarczająco musiałem się nagimnastykować, żeby twoi przyjaciele nie zamienili mojego życia w piekło. Nie miałem zamiaru angażować się w problemy

Franka. Miałem dosyć własnych.

Przez chwilę brakuje mi siów. W końcu jednak pytam:

- Nie lubisz mnie, prawda? Wszyscy mnie lubią.

Wpatruje się we mnie.

- Masz rację. Nie lubię cię, Liz.

Ja również nie spuszczam z niego wzroku. Kiedy się odzywam, zaskakuje mnie ostry ton własnego głosu.

- W takim razie dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

- Zdejmij rękę z mojego ramienia.

Tak robię. I w mgnieniu oka znowu stoimy obok łódki, pomosty delikatnie kołyszą się pod nami, kiedy patrzymy na siebie spode łba.

- Co tu robisz? - pytam. - Jeśli naprawdę nie żyję, to dlaczego tu jesteś?

Kręci głową.

- Naprawdę nie wiem. Chyba dlatego, że ja też nie żyję i czekałem przez rok, aż ktoś się pojawi. Uwierz mi, ja też nie chcę tu być. Wolałbym być z kimkolwiek innym, byle nie z tobą.

Po raz pierwszy, odkąd znalazłam moje ciało w wodzie, ta prawda wydaje mi się rzeczywista. Niepodlegająca dyskusji. Nie śnię. To nie jest koszmar i nie obudzę się z niego. Jestem martwa.

I wtedy coś przychodzi mi do głowy - nie wiem, dlaczego od razu o tym nie pomyślałam. Zaczynam mówić i znowu płaczę. Umarli mogą płakać. Kto by przypuszczał?

- Alex - pytam - czy tam są inni ludzie? Czy możemy widzieć innych?

- Co masz na myśli?

- Inni ludzi, którzy są... no wiesz...

- ...martwi? - Kręci głową. - Nie sądzę.

- Ale ty mnie widzisz.

- Wiem. Ciebie pierwszą. - Przerywa. - Dlaczego chcesz wiedzieć? I dlaczego płaczesz?

- Dlaczego płaczę? - Ocieram oczy, mimo że już nie wstydzę się płakać przy Aleksie. Myślę o moich rodzicach - tacie i macosze - o przyjaciółach śpiących na łodzi, zastanawiam się, kiedy się obudzą i mnie znajdą. Ale przede wszystkim myślę o mojej matce. Prawdziwej matce.

- Moja mama - mówię - umarła, kiedy miałam dziewięć lat. Pomyślałam, że może...

- ...ją zobaczysz? - Wzrusza ramionami. - Nie wiem, Liz. Hej, nie płacz, dobrze? -

W jego tonie nie słychać nawet krzty współczucia. Jest raczej poirytowany moją demonstracją uczuć. - Nie bądź smutna. Nie jestem żadnym autorytetem, ale wydaje mi się, że ta sytuacja - no wiesz, że tak utknęliśmy - jest tylko przejściowa.

Nie przestaję płakać.

- A potem co? - pytam. - Czy ty masz być moim przewodnikiem? Bo jeśli tak, to nie idzie ci najlepiej. Tak naprawdę nie odpowiedziałeś na żadne moje pytanie. Milknę. - Oprócz tego dotyczącego mojej pamięci, a i to też wytłumaczyłeś tylko częściowo.

wo. Poza tym jesteś okropny. - Sama czuję się bliska hysterii, ale nie czuję się martwa.

Czuję się żywa, bezradna i jest mi strasznie zimno. Chcę iść do domu. Chcę do taty i

Nicole. A jeśli nie mogę ich spotkać, chcę do mamy. Gdzie ona jest?

Dlaczego tu jej nie ma? I jak, u diabła, wylądowałam w wodzie?

- To nie może się dziać naprawdę - powtarzam, ale wiem, że dzieje się. - To moje

urodziny. Ludzie nie powinni umierać w swoje urodziny! Zwłaszcza ja. Jestem Liz

Valchar. - Prawie krzyczę. - Jestem bardzo popularna, wiesz! Nikt nie będzie zadowo-

lony.

- Tak, Liz, mam świadomość twojego statusu społecznego - mówi Alex oschłym

tonem.

- To niemożliwe. - Potrząsam głową. - Nie. To nie jest prawda.

- Tak. Jest. - Jego głos jest pozbawiony emocji, znudzony. - Przestań. Weź głęboki

oddech. Może mogę... może powinienem, nie wiem, pomóc ci.

Oddycham. Czuję sól w powietrzu. Czuję, jak pomost kołysze się pod moimi sto-

pami, jak uwierają mnie buty. Wszystko wydawałoby się normalne, gdyby nie moje

ciało w wodzie kilka metrów dalej.

- Nie za bardzo wiem, co tu się dzieje - zaczyna Alex. - Nikt nie dał mi żadnego

przewodnika ani niczego takiego. Spotkało mnie prawie to samo, co ciebie. Pamiętam,

że jechałem na rowerze z pracy do domu. Było kilka minut po dziesiątej wieczorem.

Zaczęło bardzo mocno padać, nic nie widziałem. A potem nagle obudziłem się w pia-

sku obok mojego ciała. - Drży. - To nie był przyjemny widok.

Ocieram oczy.

- Niczego nie pamiętasz? Samochodu, który cię uderzył? Ani tego, co zdarzyło się

przed samym wypadkiem? Nie pamiętasz, czy coś widziałeś lub słyszałeś?



Kręci głową.

- Powiedziałem ci, nic. - Waha się. Po raz pierwszy, odkąd się spotkaliśmy, jego ton odrobinę łagodnieje.

- Byłem sam, Liz. Nie tak jak ty. Nie miałem nikogo, kto mógłby mi pomóc. Przepraszam, jeśli zachowałem się cynicznie, ale musisz zrozumieć, że prawie przez rok byłem sam.

- I co robiłeś? Jesteś tutaj, więc najwidoczniej możesz się przemieszczać. Widziałeś swoją rodzinę? Rodziców?

Potakuje.

- Pewnie. Wpadałem do domu od czasu do czasu. Ale uwierz mi, wolałbym być w każdym innym miejscu na świecie. Mój dom obecnie nie przypomina wesołego miasteczka. Rodzice od miesięcy praktycznie nie wychodzą z kościoła, gdzie modlą się o moją duszę, a kiedy są w domu, mama prawie w ogóle nie wstaje z łóżka - przerywa. - Chyba że chodzi po domu, czekając na mnie i płacząc.

- Tak mi przykro - szepczę.

- W porządku. - Uśmiecha się lekko. - Nie twoja wina, prawda? W każdym razie mogę podróżować, ale samemu to żadna rozrywka. Przez większość czasu kręciłem się w pobliżu drogi, na której zginąłem. I nagle, ni z tego, ni z owego, znalazłem się tutaj. - Potrząsa głową - Nie wiem, co tu robię. Naprawdę, jestem prawie tak samo zdezorientowany jak ty.

Patrzę na niego.

- Ale możemy podróżować. Tak powiedziałaś. Mogę pójść do domu, jeśli chcę.

Kiwa głową.

- Tak. Ale nie będziesz chciała, nie po pierwszych kilku razach. To potworne pa-

trzeć, jak wszyscy płaczą, snują się bez celu, jacy są nieszczęśliwi. A ty wiesz, że nie możesz wyciągnąć ręki i sprawić, żeby poczuli się lepiej, albo chociaż dać im znać, że z tobą wszystko w porządku.

Ale z nami nie jest wszystko w porządku - zaprzeczam. - Nie do końca. Prawda?

Utknęliśmy.

On zastanawia się nad tym przez chwilę.

- Tak - przyznaje. - Chyba masz rację. Utknęliśmy.

- I ty jesteś tak uwięziony od roku?

- Cóż... niezupełnie. Jest coś jeszcze. - Waha się. - Tak jak ci pokazywałem, możesz wracać we wspomnienia. Możesz się cofnąć i zobaczyć siebie. Mówiłaś, że nie pamiętasz wszystkiego ze swojego życia, prawda?

- Tak. Dlaczego tak się dzieje? Wiesz?

Myśli przez chwilę.

- Nie jestem pewien. Ale mam teorię.

Patrzę na niego, ale on nadal milczy.

- A więc? - ponaglę go. - Powiesz mi czy będziemy tak tu stać?

Wzdycha.

- No dobrze. Ale to może ci się wydać dziwne. Jak powiedziałem, to tylko teoria.

- Mów.

- No cóż, jesteśmy tutaj. Na Ziemi. Nie jesteśmy... gdzie indziej.

- Co masz na myśli? Że nie jesteśmy w niebie?

Alex potakuje.

- W niebie, w piekle... za szybko wyciągasz wnioski. Chodzi mi o to, że utknęliśmy tutaj z jakiegoś powodu. Oboje zmarliśmy młodo. I oboje chcemy wiedzieć dla-

czego, prawda?

- Oczywiście.

- Kiedy zacząłem się głębiej zastanawiać, co tak naprawdę pamiętam, zdałem sobie sprawę, że pamiętam tylko prozaiczne fakty. Wiedziałem, kim są dani ludzie, pamiętałem niektóre zdarzenia, ale tak naprawdę nic... istotnego. Nie na początku. - Bierze głęboki oddech. - Myślę, że mamy się czegoś dowiedzieć. Nie tylko o tym, jak umarliśmy, ale że powinniśmy, nie wiem, zyskać jakąś głębszą wiedzę. Zanim będziemy mogli pójść dalej. - Milknie. - Czy to ma jakiś sens?

Obecnie nic nie ma dla mnie sensu, ale nie chcę się do tego przyznać.

- No dobrze - mówię. - Nie żyjesz prawie od roku. Czego się dowiedziałeś przez ten czas?

Odwraca wzrok.

- Kilku rzeczy.

- Zobaczyłeś, co ci się przydarzyło tamtej nocy, kiedy zginąłeś?

- Jeszcze nie.

- Co? - prawie krzyczę. - Po całym roku?

- Z tobą może być inaczej! Nie wiem. Mówię ci tylko co myślę, okej?

Pstrzę na niego ze złością. Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, to utknąć w jakiejś ziemskiej poczekalni na cały następny rok. Przecież musi być coś dalej. Prawda?

- Mogę ci jeszcze coś powiedzieć - proponuje Alex.

Jestem tak sfrustrowana, że znowu mogłabym zacząć płakać.

- Na przykład co?

- Czujesz się zmęczona?

Kiwam głową.

- Bardzo.

- Ja też. Ale odkryjesz, przynajmniej ja tak mam, że nie możesz spać. Zamiast tego dzieje się z tobą coś innego.

- Co? Wracam we wspomnienia? Przypominam sobie? - Słońce zaczyna wschodzić. Czas biegnie szybko. Czuję się, jakbyśmy tu stali nie dłużej niż dziesięć minut, choć musiały minąć długie godziny.

Alex z namysłem drapie się po głowie.

- Mówi się, że kiedy umierasz, życie przelatuje ci przed oczami.

Potakuję.

- To coś w tym stylu, tyle że dużo... wolniej. Czujesz się bardzo zmęczona, jakbyś miała zaraz zasnąć. Zamykasz oczy, ale nie śpisz, tylko widzisz obrazy.

- Jakie obrazy?

- Z twojego życia. Czasami to tylko przypadkowe wspomnienia, a czasem coś ważnego. Jakbyś układała puzzle. I kiedy patrzysz na sytuację z zewnątrz, lepiej ją rozumiesz. Tak jak to, co ci pokazałem w kafeterii.

- Ale ty jeszcze nie wiesz, kto cię zabił?

- Nie. Jeszcze nie.

Wydymam wargi.

- A jesteś chociaż blisko znalezienia odpowiedzi?

- Tak, jestem blisko. - Po czym dodaje: - Ale z tobą może być inaczej. Nie wiem.

- Och, jesteś niezwykle pomocny. Wielkie dzięki.

- Chcesz usłyszeć naprawdę dobrą radę?

- Och, poproszę. Dotychczas twoje rady były bezcenne. - Mój głos aż drży od złości i sarkazmu. Już mnie nie szokuje moje niegrzeczne zachowanie. Alex i ja nie sta-

nowimy dobranej pary. Nie ma po co udawać, że się dogadujemy, prawda?

Alex wskazuje głową na łódź.

- Zaczyna się. Teraz robi się ciekawie.

Odwracam się. Na pokładzie, ubrany tylko w kraciaste bokserki, stoi mój chłopak, Richie Wilson.

- Richie - mówię i znowu zaczynam płakać. Podnoszę głos, krzyczę: - Richie!

- On cię nie słyszy. - Alex wzdycha. - Nie jesteś najbystrzejszą owcą w stadzie, co?

- Nie istnieje takie powiedzenie - warczę wciąż skupiona na Richiem.

- Prawda. - Alex kiwa głową. - Ale ty jesteś owcą. Nie jestem głupi, sam to wymyśliłem, żeby pasowało do twojej osoby...

- Och, zamknij się. Richie! - krzyczę znowu.

Alex potrząsa głową.

- Liz? - woła Richie cicho, rozglądając się dookoła. Obejmuje się ramionami, drży w chłodnym, porannym powietrzu. - Liz, jesteś tu?

Wykrzykuję jego imię, raz za razem, aż jestem tak zmęczona, że chyba za chwilę zemdleję. On mnie najwyraźniej nie słyszy.

Richie rozgląda się jeszcze przez kilka minut. Nie wydaje się zaniepokojony, a dlaczego miałby być? Dom moich rodziców stoi niecałe dwie minuty drogi od łodzi. Pewnie sądzi, że obudziłam się wcześniej i poszłam pobiegać. Ostatnia rzecz, jaka przyszlaby mu na myśl, to że stoję trzy metry od niego. I że jednocześnie leżę w wodzie, pod nim.

Odczekuje jeszcze kilka sekund, po czym wraca do środka, pewnie z powrotem do łóżka, zasuwając za sobą drzwi. Richie i ja znamy się od niemowlęcia. Dorastaliśmy

na tej samej ulicy. Od siódmej klasy jesteśmy parą. Z jakiegoś powodu to wiem, nie wyobrażam sobie, żebym te fakty mogła kiedykolwiek zapomnieć.

- Cholera - szepczę, patrząc, jak wraca do środka, i ocierając łzy.

- Nie martw się - mówi Alex.

- Dlaczego nie?

- Wkrótce się dowie.

- Już nigdy nie będzie taki sam - szepczę. - Nikt z nich nie będzie.

- Pewnie masz rację. Jak ktokolwiek z twoich przyjaciół będzie funkcjonował bez ciebie?

Postanawiam na razie zignorować jego sarkazm, mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Co teraz zrobimy? - pytam. Słońce świeci coraz jaśniej, promienie odbijają się od wody. Za łodzią, za pomostami, widzę Noank, które zaczyna lśnić.

- Czekamy - odpowiada Alex, podążając wzrokiem za moim spojrzeniem. Razem wpatrujemy się w nasze miasteczko, gdzie wszystko wydawało się takie bezpieczne. -

Już niedługo - zapewnia - ktoś znajdzie twoje ciało.

-I co wtedy? - pytam szeptem. Zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

- Wtedy dowiemy się, co ci się przydarzyło.

- Dowiemy się?

- Tak. - Kolejna przerwa, tym razem dłuższa. - Może.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Mija jednak sporo czasu, zanim ktoś mnie znajdzie. A kiedy to w końcu następuje, jest potworne. Alex i ja czekaliśmy, aż słońce w pełni wzejdzie, wtedy dopiero postanowiliśmy wejść na łódź. Nie wiem, dlaczego minęło tyle czasu, zanim wpadliśmy

na ten pomysł. Siedzieliśmy na pomoście i patrzyliśmy na moich przyjaciół kręcących się po jachcie, kiedy powiedziałam:

Chciałabym posłuchać, o czym rozmawiają.

Przecież możemy - odpowiedział. - Możemy tam wejść.

Spojrzałam na niego, po czym bez słowa wstałam i weszłam na łódź.

Jednak zatrzymałam się przed szklanymi, rozsuwanymi drzwiami.

- Są zamknięte, geniuszu. Jak mam tam wejść?

- Nie żyjesz, Einsteinie - odrzekł dowcipnie. - Już nie egzystujesz w fizycznym świecie. Ciebie jego ograniczenie nie obowiązują. Po prostu przez nie przejdź.

Zawahałam się. Wyciągnęłam niepewnie dłoń i aż westchnęłam, kiedy zobaczyłam, że Alex ma rację - poczułam chłód tam, gdzie były drzwi, ale moja ręka przeszła przez nie na wylot.

Moje fizyczne ciało jest wciąż w tym samym miejscu, zaklinowane między łodzią a pomostem, tyle że już dawno zniknęły oba moje buty. Już nie wyglądam tak seksownie. Nie żebym wyglądała, kiedy zobaczyłam się po raz pierwszy, ale kilka godzin w zimnej słonej wodzie nie miało najlepszego wpływu na moją skórę. I na tym poprzestaną.

Alex idzie za mną na pokład.

- No dalej - zachęca. - Wejdź.

I wchodzę. Tak po prostu. Jakby nie było przede mną drzwi ani niczego. Pomimo przerażenia czuję się odrobinę podekscytowana - mam siły nadprzyrodzone.

Kiedy wchodzimy do środka, wszyscy moi przyjaciele siedzą w ciszy na rufie.

- Może powinniśmy pójść do niej do domu i sprawdzić? - sugeruje Mera.

- Dobre wycucie czasu - chwali Alex. - Mówią o tobie.

Siadamy na stopniach i patrzymy. Wpatruję się w Richiego, który siedzi naprzeciwko mnie na kanapie. Na kolanach trzyma moją torebkę, w dłoni mój telefon. A zatem zaszli już tak daleko - wiedzą, że zaginęłam, i teraz Richie wygląda na zdenerwowanego. Zapewne wie, że nie poszłabym do domu bez torebki. I *nie ma opcji*, że bym wyszła bez mojego telefonu. Odkąd w wieku dziesięciu lat dostałam pierwszą komórkę, telefon jest dla mnie jak pępowina, łącząca mnie ze światem. Bez niego jestem kompletnie zagubiona.

Och, Richie. Chcę do niego podejść, wziąć go w ramiona. Zamykam na chwilę oczy, wyobrażając sobie jego dotyk.

I nagle nieprzyjemne uczucie zimna znika, czuję się, jakbym zanurzyła się w ciepłej kąpieli, tyle że mogę oddychać. Jest tak jak wtedy, kiedy położyłam dłoń na ramieniu Aleksa i wróciłam z nim do jego wspomnienia ze szkoły. To, co mnie otacza, znika i znajduję się na skraju miejskiego placu zabaw w Noank. Przede mną stoją dwie kobiety, każda z nich huśta dziecko na huśtawce. Chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka to ja. Nie mogę mieć więcej niż dwa lata.

- Jest prześliczna - mówi matka chłopca, wskazując głową w moją stronę. Uśmiecha się do mojej mamy.

*Moja mama!* Wpatruję się w nią, próbując zapamiętać każdy szczegół. Widzę ją po raz pierwszy ód dziesięciu lat. Chcę się do niej przytulić, zwinąć w kłębek obok niej i słuchać, jak szepcze mi do ucha. Świadomość, że nie mogę tego zrobić, wywołuje ból w każdym zakamarku mojego ciała. Chcę jej powiedzieć, jak bardzo ją Kocham, pomimo że nas zostawiła. Pomimo że zostawiła mnie, swoją córeczkę. Miałam dziesięć lat, a ona zostawiła mnie samą pod opieką ojca, przynajmniej dopóki nie ożenił się z Nicole.



Kiedyś byłam taka wściekła, że pozwoliła sobie umrzeć. Ale pogodziłam się ze stratą i wybaczyłam jej. Teraz najbardziej na świecie chcę być z nią - *naprawdę* z nią być - nawet jeśli to oznacza, że ja też już nie żyję.

Moja matka miała tylko dwadzieścia cztery lata, kiedy mnie urodziła, więc tu musi mieć około dwudziestu sześciu i jest piękna. Długie blond włosy, prawie idealnie w tym samym odcieniu co moje, wzrost prawie metr osiemdziesiąt. Uśmiecha się nie-  
pewnie do drugiej kobiety. Nie pamiętam nawet tego o mamie, ale tata mówił, że była zawsze bardzo nieśmiała przy obcych.

- Mam na imię Lisa - mówi mama - a to Elizabeth. Właśnie przeprowadziliśmy się z mężem z odległej części Mystic do domu jego ojca przy High Street.

- Och! Nowi sąsiedzi! - Druga kobieta nie jest nawet w połowie tak nieśmiała, ani przy obcych, ani w żadnym innym towarzystwie. - Wiedziałam, że skądś cię znam.

Jestem Amy Wilson. A to mój synek, Richie.

Widzę, jak przez sekundę Amy omiata spojrzeniem sylwetkę mojej mamy, która pomimo swojego wzrostu nie może ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilogramów.

Przez jej szorty widać zarys kości biodrowych. I chociaż się uśmiecha, najwidoczniej zadowolona z poznania nowej sąsiadki, w jej spojrzeniu jest jakiś smutek. Wygląda na zmęczoną, ma podkrążone oczy. Wygląda na głodną.

Richie i ja już zostaliśmy przyjaciółmi. Uśmiecham się, patrząc na nas, w kącikach oczu pieką mnie łzy. Trzymamy się za ręce, huśtając na huśtawkach. On ma ciemne, kręcone włosy i pełne, czerwone usta. Kiedyś będą moim pierwszym pocałunkiem, gdy oboje skończymy cztery lata. A kiedy skończymy dwanaście - pierwszym *prawdziwym* pocałunkiem. Nigdy nikogo innego tak nie całowałam. Kiedy stoję tu teraz i patrzę na naszą czwórkę. uświadamiam sobie, że nie pamiętam wszystkiego o sobie i o

Richiem, zwłaszcza nic z tego. co działa się niedawno. Ale pamiętam dość, żeby wiedzieć, że go kochałam. Tego jestem pewna.

- Liz? Hej, jesteś tu? - To głos Aleksa. Znowu mam to uczucie, jakby wciągał mnie odkurzacz, i wspomnienie znika równie szybko, jak się pojawiło.

- Widziałam go - mówię bez tchu. - I widziałam moją mamę i mamę Richiego. Byliśmy mali.

Alex nie wydaje się zaskoczony. Znowu jest zblazowany.

- Naprawdę? Widziałaś to wszystko?

Kiwam głową. Wciąż płaczę. Czuję się, jakbym nigdy nie miała przestać. Oddech mi się rwie, zalewają mnie emocje, które pojawiają się w takim tempie, że ledwo mam czas zdać sobie z nich sprawę. To za dużo jak na jedną dziewczynę w tak uroczy letni poranek.

Patrzyłam na Richiego, myślałam o nim i nagle byłam na placu zabaw, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Och. - Alex mruga. - Jak miło. - Milknij na chwilę. - Nie wszystkie wspomnienia będą przyjemne, Liz. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Krzyżuję ramiona.

- Dlaczego mi to mówisz? Przez sekundę byłam szczęśliwa, a ty musiałeś to zepsuć. - Przyjmuję pozycję obronną, chociaż nawet nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że Alex Berg nie okazał się moją ulubioną osobą w tej rzeczywistości. - Co jest z tobą nie tak? Umarłam. Alex. To już jest całkiem kiepski dzień.

- W porządku, nie wściekaj się. - Mówi to irytująco lekkim tonem, jakby doskonale się bawił. - Chciałem cię uprzedzić, to wszystko.

Wzruszam ramionami. Tak naprawdę to bez znaczenia, przed chwilą znowu wi-

działałam swoją mamę! A ona była taka młoda, taka... żywa. Dotykała mnie, zajmowała się mną. Kochała mnie. Swoją jedyną córeczkę.

- Jak wyglądałam? - pytam Aleksa. - No wiesz, kiedy przed chwilą odleciałam? -

Powróciło uczucie dojmującego zimna. Chyba nigdy się do niego nie przyzwyczaję.

Alex tylko wzrusza ramionami.

- Normalnie. Po prostu się w niego wpatrywałaś. To znaczy w Richiego.

- Och. Jak długo?

- Kilka minut.

Naprawdę? - Nie czułam, że upłynęło aż tyle czasu. - Co straciłam?

Posłali Merę do twojego domu, żeby cię poszukała.

Nie skończył jeszcze nawet mówić, kiedy słyszemy przeraźliwy krzyk.

Wszyscy moi przyjaciele prostują się. Wyglądają na przerażonych. Studiuję uważnie ich twarze, próbując dociec, czy ktoś z nich wygląda inaczej, może na odrobinę winnego. Ale odpycham tę myśl, gdy tylko się pojawia. To moi najlepsi przyjaciele.

Nikt z nich mnie nie zabił.

tylko jak to możliwe, że utonęłam?

Mera nie przestaje krzyczeć, nawet kiedy inni do niej dołączają. I słyszę ich wszystkich, ich reakcje na mój widok.

To czysty horror. Zamykam oczy

- Chcesz tam pójść? - pyta Alex niezobowiązującym tonem. Zna odpowiedź.

Kręcę głową. Kiedy mówię, słowa płyną szybko i niekontrolowanie.

- Chcę iść do domu. Powiedziałaś, że mogę. Jak mam to zrobić?

- Zaraz zadzwonią do twoich rodziców, Liz. To nie jest dobry pomysł.

Patrzę na niego. *Kim* on jest, żeby mówić mi, co mam robić, a czego nie robić w

takiej chwili?

- Nie obchodzi mnie to. Chcę iść do domu.

- Naprawdę chcesz to zobaczyć? Uwierz mi, to ci złamie serce.

- Natychmiast - mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zanim będzie za późno.

Zanim odbiorą telefon.

- W porządku - zgadza się niechętnie. - Zrobimy to tak jak wcześniej, kiedy wróciłaś ze mną we wspomnienia. Po prostu zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś w domu. - Milknie. - Chcesz, żebym poszedł z tobą?

Mój oddech drży. Nie chcę mieć go przy sobie, nawet go nie lubię. Ale jeszcze bardziej nie chcę być sama.

- Tak - przyznaję. - Pójdziesz?

Prawie się wzdraga.

- Znowu będziesz musiała mnie dotknąć.

- Och, to musi być dla ciebie straszne. - Mocno zaciskam dłoń na jego ramieniu. -

Zamknij oczy - rozkazuję. - Idziemy.

Moi rodzice nadal śpią. Nazywam ich „rodzicami”. Mówiłam „mamo” do mojej macochy, Nicole, przez ostatnich osiem lat. czyli od chwili, kiedy wyszła za mojego tatę. Wiem, może wydawać się dziwne, że tak szybko wpasowała się w nową rolę - moja mama nie leżała w grobie nawet roku, kiedy Nicole i tata wzięli ślub - ale ja byłam taka mała. I jak powiedziałam, byłam zła na mamę, że nas opuściła. Nicole zawsze była dla mnie miła. A kiedy została moją macochą, dostałam też Josie. Dostałam siostrę. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Zupełnie jakbyśmy co dzień nocowały u koleżanki.

Staram się nie myśleć o tym, co dzieje się na łodzi. Przez kilka chwil stoję u stóp

łóżka i patrzę: rodzice oddychają, a ja wiem, że to ich ostatnia spokojna noc.

Mój ojciec wygląda jak niedźwiedź. Jest wielkim facetem. ciężkim, który lubi szkocką, cygara i tłuste jedzenie. Mimo że to niedziela, jestem zaskoczona jego obecnością w domu. Pamiętam, że pracował bez przerwy. Radca prawny w korporacji, to bardzo stresujące zajęcie. Czasami myślę, że jest pracoholikiem. Kiedy miałam czternaście lat, przeszedł lekki zawał serca, a niecałe dwa tygodnie później wrócił do pracy.

To ciekawe, po śmierci mojej mamy zawsze martwiłam się o zdrowie ojca. Próbowałam sobie wyobrazić jak wyglądałoby życie bez niego. Chyba po stracie jednego z rodziców w tak młodym wieku zawsze w pewien sposób przygotowywałam się na chwilę, w której spadnie drugi but. Że tak powiem.

Nigdy nie przyszło mi do głowy - nawet na chwilę - że to ja mogę umrzeć pierwsza. Mam tylko osiemnaście 'al! Osiemnastolatki nie powinny umierać.

Jednak Alex zginął, i to kiedy miał tylko siedemnaście lat. A teraz ja. Nie mogę przestać się zastanawiać, dlaczego jesteśmy razem. Prawie go nie znam. Był cichym, nieśmiałym samotnikiem. Jednak pomimo dzielącej nas wyraźnej różnicy charakterów muszę przyznać, że lepiej mieć kogoś, z kim mogę porozmawiać, niż przechodzić przez to wszystko sama, jak Alex przez ostatni rok.

Alex patrzy na mnie, kiedy ostrożnie - jakbym bała się ich obudzić - wpełzam do łóżka między moich rodziców i układam się na kołdrze. Ostatni raz leżałam tak, kiedy byłam bardzo mała i tylko z moimi prawdziwymi rodzicami - nigdy z tatą i Nicole - ale teraz czuję, że właśnie to muszę zrobić.

Leżę między nimi i słucham ich cichych oddechów. Rodziców również nie mogę tak naprawdę dotknąć. Jak gdyby coś mnie odgradzało, nie pozwalało na prawdziwy

kontakt bez względu na to, jak bardzo się staram.

Patrzę na pełną, starzejącą się twarz mojego taty, próbując skupić się na niej mimo łez, które zalewają mi oczy.

- Kocham cię, tato - szepczę.

Dzwoni telefon Nicole. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, kto wybrał numer. Jej budzik wskazuje ósmą czterdzieści dziewięć. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że telefon przed dziewiątą rano w niedzielny poranek oznacza złe wieści.

- Nie odbieraj - proszę. - Nie odbieraj, nie odbieraj, nie odbieraj.

Nicole otwiera oczy.

- Marshall - mruży. To mój tata.

- Hm? Kto dzwoni? - Nie unosi powiek. Ziewa. - Która godzina?

Teraz już szlocham, gotowa zrobić wszystko, żeby tylko się nie dowiedzieli.

- Jestem tutaj, tato - szepczę. Kładę mu rękę na ramieniu, wiedząc, że tego nie czuje. Ale mimo że nie mogę go tak naprawdę dotknąć, prawie go czuję, a to wystarczy, żeby przynieść mi odrobinę pocieszenia. Czuję jego ciepło, czuję krew płynącą w jego żyłach. Och, tato. Wystarczy, że raz złamano ci serce. Straciłeś już moją matkę. A teraz mnie.

Nicole wyciąga rękę, leniwie sięga po telefon. Zmrużonymi oczami patrzy na wyświetlacz.

- To Liz. - Zerka na tatę. - Dlaczego dzwoni tak wcześnie?

On znowu ziewa.

- Nie mam zielonego pojęcia. Odbierz i zobacz, czego chce.

To Liz? Jak to możliwe? Ja jestem tutaj - i tam, w wodzie. Nagle doznaję olśnienia

- ktokolwiek dzwoni, używa mojej komórki.

Jestem zupełnie oszołomiona. To niesprawiedliwe, że wypadki toczą się w ten sposób, niesprawiedliwe, że moim rodzicom zostaje odebrana ta ostatnia chwila spokoju, zanim wszystko zamieni się w chaos.

Nicole odbiera telefon głosem zmęczonym, ale radosnym.

- Liz. kotku, o co chodzi?

Zapada cisza, kiedy słucha. Głos po drugiej stronie należy do mężczyzny. Od razu rozpoznaję Richiego

- Poczekaj... Richie, wolniej. Przerażasz mnie. Dobrze. W porządku, przyjedziemy. Zaraz będziemy.

Zamyka aparat. Patrzy na mojego ojca. Jej twarz ma kolor śmierci. Wiem z własnego doświadczenia.

- Dzwonił Richie - informuje tatę. - Powiedział, że policja jedzie na łódź. Że był jakiś wypadek i że musimy tam natychmiast jechać.

Mój ojciec siada.

- Jaki wypadek?

Nicole potrząsa głową.

- Nie chciał powiedzieć.

Wpatrują się w siebie nawzajem.

- Dlaczego dzwonił Richie? Dlaczego z telefonu Liz? Dlaczego nie dzwoniła Liz ani Josie? - pyta tata.

Nicole nic nie mówi, tylko przykłada dłoń do ust.

- Ubieraj się. Marshall.

Nie mogę już dłużej patrzeć. Wskakuję z łóżka i podchodzę do Aleksa, który stoi w milczeniu po drugiej stronie pokoju i czeka. Nie wydaje się zaskoczony, kiedy kładę

mu rękę na ramieniu i zamykam oczy.

W ułamku sekundy jesteśmy z powrotem na łodzi, a z zewnątrz dochodzi nas lament, pięć głosów zawodzi jednocześnie, rozpacz i horror.

Nie ma miejsca, do którego mogłabym pójść, żeby nie czuć bólu. Nie zostało mi nic, tylko czekać.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Policja wezwała nurków. Kiedy przyjeżdżają, widzę, że to dwie kobiety i dwóch mężczyzn, wszyscy ubrani w piankowe kombinezony. Schodzą po drabinie z tyłu łodzi i próbują wyciągnąć moje ciało, zaklinowane między włóknem szklanym a drewnem. Kiedy pracują, policjanci - a jest ich sporo - odpychają łódź od pomostu, żeby zrobić więcej miejsca. Fale, które to wywołuje, obracają moje ciało z boku na plecy. Potem, w ciszy, powoli, nurkowie podtrzymują mnie i sterują do skalistego brzegu, następnie wynoszą z wody i wkładają - delikatnie, jakby bali się, że się potłukę - do lśniącego, czarnego pokrowca na zwłoki. Do pokrowca na zwłoki. W moje cholerne urodziny.

Moi rodzice to wszystko widzą. Moi przyjaciele także patrzą w otępiałym milczeniu. Nikt nie płacze, już nie. Nic nie wydaje się prawdziwe.

- Liz? - pyta Alex, prawie zupełnie obojętnym tonem. - Jesteś bardzo milcząca.

Czy z tobą... no wiesz... Wszystko w porządku?

Posyłam mu wściekłe spojrzenie Och, fantastycznie. Policja właśnie wyciągnęła moje ciało z oceanu. Wyglądałam jak upiór. Dziś są moje urodziny, a ja jestem mar-twa, no i jakby to nie było wystarczająco straszne, jestem taka wzdęta i obrzydliwa od leżenia w wodzie, że pewnie nawet nie będę mogła mieć otwartej trumny. Jestem brzydka. Czy ze mną wszystko w porządku? Nie, Alex, cholernie nie w porządku.



- Dojdiesz do siebie - mówi cicho, ignorując mój wybuch. - Przyzwyczaisz się. -

Milknie. - Dopiero co umarłaś, Liz. Naprawdę o to najbardziej się w tej chwili martwisz? Jak wygląda twoje ciało?

Przygryzam wargi. Może się tak wydawać, prawda? Czy naprawdę byłam aż tak płytką? Jest tyle ważniejszych rzeczy. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Zauważam, że wzrok Aleksa wędruje przez tłum do kobiet nurków, które zdjęły kombinezony i na jednoczęściowe kostiumy wkładają dresy.

- Popatrz - mówi.

Nurkowie stoją razem, rozmawiają. Jedna z kobiet płacze, mówi coś do drugiej.

- Chcę usłyszeć, o czym rozmawiają - oznajmiam. - Idę tam.

Pierwsza kobieta ma krótkie brązowe włosy i palce pomarszczone od przebywania w wodzie. Stoi z opuszczoną głową, jakby nie chciała, żeby inni widzieli jej łzy.

- Mam córkę w jej wieku - mówi do drugiej, wysokiej blondynki. - Mieszka ze swoim ojcem w Vermoncie.

Blondynka kręci głową.

- Co tu się, u diabła, stało? - Odrobinę ścisza głos.

- Do cholery, jacy rodzice pozwalają dziecku urządzać imprezę na łodzi? Z alkoholem? Mieli też narkotyki. Te dzieciaki były wczoraj wieczorem nieprzytomne.

Wcale nie byliśmy! No dobrze, może odrobinę. Najwidoczniej za bardzo. Ale moi rodzice nie wiedzieli, że będziemy pili. Nigdy by nam na to nie pozwolili. Moi rodzice są rozsądnymi ludźmi. I jak mówiłam, my jesteśmy dobrymi dzieciakami. Przynajmniej tak myślałam, ale zaczynam podejrzewać, że Alex może mieć rację. Znowu przed oczami widzę pytanie, jaskrawe jak neon: jak to się stało?

Blondynka przysłania oczy jedną ręką, drugą ujmuje płaczącą kobietę za ramię.

- Możesz strzec swoich dzieci dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawie nie spuszczać ich z oka, a to i tak bez znaczenia. Wydarzenia mają przyczyny, których nie możemy dociec.

Ciemnowłosa ociera oczy i patrzy surowo na blondynkę.

- Masz na myśli Boga?

Blondynka potakuje.

- Daje i odbiera. Nie mamy nad tym kontroli.

Zapada długa cisza, aż w końcu tamta mówi:

- Wiesz, myślę, że to kompletna bzdura. Jej rodzice mogli temu zapobiec, gdyby mieli odrobinę oleju w głowie.

I nagle, tak po prostu, bez mojej woli, stoję u boku ojca.

Tata i Nicole stoją z moimi przyjaciółmi i z czterema Policjantami. Rozpoznaję tylko jednego - nazywa się Joe Wright i jest szeryfem miasteczka. To zabawne, ale mam wrażenie, że go znam, a nie tylko rozpoznaję jego twarz. Zamykam oczy, próbując wrócić we wspomnienia, i niemal natychmiast mam tę scenę przed oczami. Richie i ja spotkaliśmy go kilka miesięcy temu, po szkolnym balu. Zaparkowaliśmy na plaży w Groton Long Point samochodem taty Richiego, który pożyczył na nasz Wielki Wieczór. Przytulaliśmy się pod kocem na tylnym siedzeniu, kiedy Joe Wright zastukał latarką w zaparowaną szybę.

Wtedy wydal mi się dosyć miły. Spisał nasze nazwiska i kazał wracać do domu.

Było po czwartej rano, dawno minęła godzina policyjna dla dzieciaków poniżej osiemnastego roku życia, ale ze względu na bal nam odpuścił.

Zamiast jednak wrócić do domu, pojechaliśmy kawałek dalej, zaparkowaliśmy na podjeździe przed domem Richiego i poszliśmy na łódź moich rodziców. Resztę nocy

spędziliśmy w swoich objęciach, rozmawiając, do jakiego college'u możemy razem pójść. Żadne z nas nigdy nie miało żadnych wątpliwości, że po liceum będziemy razem. Richie Wilson był miłością mojego życia.

- A więc to jest twoja macocha - mówi Alex, wrywając mnie ze wspomnień.

Wciąż stoi obok mnie.

- Tak - potwierdzam. - Ma na imię Nicole. Jest mamą Josie.

Alex gwizdże cicho.

- Kurczę, gorąca z niej laska.

- Czy możesz się zamknąć? - Popycham go tak mocno, że niemal spada z pomostu. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Co gorszego może go jeszcze spotkać? - Jak możesz to wszystko traktować tak lekko? I\i chodzi o ludzkie życie. Moi rodzice, przyjaciele, ich życie właśnie legło yi gruzach.

Alex posyła mi znaczące spojrzenie.

- Ktoś ma tu o sobie wysokie mniemanie.

- Alex. Właśnie znaleziono w wodzie moje ciało.

Kiwa głową.

- To prawda. Ale w końcu jakoś się z tym uporają.

Patrzę na ojca. Ma spuszczonego wzrok. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie myśli muszą kłębić się w jego głowie.

- Nieprawda - mówię. - Nie wszyscy. Nie mój tata.

- Śmierć jest częścią życia - mruczy Alex. - Każdy umiera.

- Nie w ten sposób. - Patrzę na swoje ciało w zamkniętej torbie na brzegu. Dlaczego po prostu je tam zostawili? Dlaczego od razu go gdzieś nie zabrali? *Małomiastecz-*  
*kowi gliniarze*, mówię do siebie, *są niekompetentni* i. Co oni wiedzą? Przecież w Noank

nikt nie popełnia prawdziwych zbrodni.

Przyjechała ekipa lokalnych wiadomości. Ludzie z innych łodzi obudzili się i pa-  
trzą, zakrywając usta dłońmi. Kiedy spoglądam poza pomosty, widzę moich sąsiadów  
nagankach i w oknach. Przyglądają się. Zafascynowani. Pewnie dla nich to jak film,  
temat do nieskończonych spekulacji przy porannej kawie, makabryczna historia, jaką  
będą mogli opowiedzieć przyjaciom, których ominęło wielkie przedstawienie. Poza  
najnowszymi plotkami ludziom w Noank najbardziej zależy na rzeczach. Pewnie za-  
smuciła ich moja śmierć, ale założę się, że wszyscy zastanawiają się, jak mój zgon  
wpłynie na wartość ich posesji.

Joe Wright wygląda, jakby robił, co w jego mocy, aby nie zapanował totalny cha-  
os. Zwołał moich przyjaciół i rodziców na rufę łodzi i teraz wszyscy wchodzą do  
środka.

Patrzę na Aleksa, który kiwa głową.

- Chodźmy.

W środku „Elizabeth” panuje bałagan, jakby czas się tu zatrzymał: śpiwory wciąż  
leżą na podłodze, ekspres do kawy jest pełen ziaren, choć brakuje w nim wody, na  
blacie kuchennym walają się puste puszkę po piwie. Nad fotelem kapitana wisi foto-  
grafia zrobiona zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią mojej matki. Jak na ironię, to  
moja macocha, Nicole, zrobiła to zdjęcie - byli z mężem blisko z moimi rodzicami, a  
Josie i ja zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nigdy nie zapomnę tego dnia  
na łodzi, obie nasze rodziny w komplecie, szczęśliwe chyba po raz ostatni. A w każ-  
dym razie szczęśliwe o tyle, o ile to było możliwe w zaistniałych okolicznościach. Na  
zdjęciu mam osiem lat, prawie dziewięć i kapitańską czapkę taty na głowie. Stoję  
między rodzicami i wszyscy się uśmiechamy. Moja mama jest tak chuda, że ma za-

padnięte policzki i ramiona jak zapalki. Każdy idiota zauważyłby, że musi być chora.

*Mamusia.* W tej chwili tak bardzo pragnę z nią być. Wszystko bym za to oddała.

Zamykam oczy, próbując ją sobie wyobrazić z lepszych czasów, zanim zachorowała.

I oto, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jesteśmy razem: widzę, jak sto-

imy obok siebie w łazience w mojej podstawówce. Jestem ubrana w baletowy trykot,

różowe rajstopy i różowe baletki. Jasnoblond włosy mam ściągnięte w ciasny kok za-

bezpieczony wsuwkami. To musi być wieczór występów baletowych. Kiedy byłam

mala, brałam udział we wszystkich zajęciach: balet, stepowanie, taniec jazzowy, gim-

nastyka - przez chwilę chodziłam nawet na lekcje aktorstwa w miejskim teatrze.

- Boję się, że się pomylę - mówię do mamy. Jestem wyraźnie zdenerwowana.

Mam może sześć lat. Moja matka już jest straszliwie chuda - nie pamiętam, żeby kie-

dykolwiek było inaczej - ale wygląda na szczęśliwą. Zawsze wydawała się cieszyć z

moich występów. Obok niej, na krawędzi umywalki, stoi kosmetyczka z przyborami

do makijażu. Mama kuca przede mną i, mrużąc oczy, nakłada róż na moje dziecięce

policzki.

- Nie pomylisz się, kochanie. Znasz wszystkie kroki. Widziałam, jak tańczysz. Bę-

dziesz cudowna.

- Czy mogę mieć pomalowane rzęsy?

Uśmiecha się.

- Oczywiście.

- A tata nie będzie zły?

- Bo pozwoliłam ci na makijaż? Nie, nie będzie zły. Wyglądasz jak księżniczka.

Po prostu ślicznie.

- Tata mówi, że nie muszę mieć makijażu, żeby być ładna.

Mama przygryza wargę, mocno. Szpera w kosmetyczce ' wyjmując żółtą tubkę tuszu do rzęs.

- Otwórz szeroko oczy - instruuje. - Popatrz do góry. Pokażę ci, jak to się robi.

Kiedy kończy mój makijaż - róż, tusz do rzęs, nawet szminka i cień do powiek - kładzie mi ręce na ramionach i patrzy na mnie uważnie.

- Jesteś idealna - mówi.

- Naprawdę? - Przebieram stopami w baletkach.

- Tak, naprawdę. - Całuje mnie w czubek nosa. - Moja idealna dziewczynka.

Tak strasznie chcę wejść w młodszą siebie, żeby poczuć dotyk mamy. Ale mogę tylko patrzeć.

fóni Greene mówi, że to bez znaczenia, jak się wygląda na zewnątrz. Mówi, że ważne jest tylko, żeby być pięknym w środku. - Pani Greene była moją nauczycielką tańca. - Ale ja myślę, że to ważne, żeby być ładną też na zewnątrz. Prawda, mamusi? Moja matka się waha.

- To ważne, żeby być ładną wewnątrz - mówi. - Bardzo ważne, Elizabeth. Ale jesteś dziewczynką. U dziewczynek jest inaczej. - I znowu całuje mnie w nos, po czym prostuje się, bierze mnie za rękę i wyprowadza z łazienki.

Idę za nią i widzę mojego tatę czekającego na nas w holu, gdzie stoi tłum innych rodziców ze swoimi małymi balerinami przygotowującymi się do występu. Kiedy mnie spostrzeża, kiedy zauważy mój ciężki makijaż, jego twarz robi się purpurowa.

- Co ty wyprawiasz? - szepcze do mamy, wyraźnie zły.

- Będzie występowała na scenie, Marshall. Chcę, żeby się wyróżniała.

- Już się wyróżnia. Jest o głowę wyższa od wszystkich innych i chuda jak szczapa.

- Tata posyła mi wymuszony uśmiech. - Jak prawdziwa balerina.

- To tylko trochę różu. - Matka marszczy brwi. - Nic takiego. Żeby dodać jej trochę rumieńców.

- Wygląda jak cholerna gejsza - syczy ojciec.

- Kto to jest gejsza? - pytam, podnosząc na nich wzrok. - Czy gejsze są ładne?

Rodzice wpatrują się w siebie. Ojciec patrzy spode łba na matkę, która teraz ma twarz pozbawioną wyrazu, chociaż spojrzenie buntownicze i nieugięte.

- Tak, gejsze są ładne - odpowiada mi - ale nie tak śliczne jak ty. - Znowu kuca, nachyla się i szepcze mi coś do ucha. Zbliżam głowę jeszcze bardziej, żeby ją usłyszeć. - Jesteś tu najśliczniejszą dziewczynką - mówi. - Zawsze będziesz.

Mój ojciec zostawia nas i idzie w kierunku sali widowiskowej.

Dosyć widziałam. Mrugam i mrugam, nakazując sobie powrót do teraźniejszości.

- Gdzie byłaś? - pyta Alex. - Co widziałaś?

- Nie twój cholerny interes.

Uśmiecha się szeroko.

Cóż, dobrze, że wróciłaś. O mało nie przegapiłaś Przedstawienia.

Znowu zaczynam płakać, kiedy moi przyjaciele w ciszy zajmują miejsca na łodzi.

Płaczę, ponieważ wiem, że to się dzieje naprawdę, że naprawdę umarłam, ale też z powodu bólu, jaki wywołało we mnie ostatnie wspomnienie. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że moi rodzice mieli problemy. Wszyscy rodzice czasami się kłócą, ale ja mam wrażenie, że napięcie, które odczulam między nimi - właściwie w całej naszej rodzinie - nie było niczym nowym. Mimo że tak trudno było na to patrzeć, teraz jeszcze bardziej chcę być przy mojej mamie.

*Wszyscy rodzice się kłócą*, myślę znowu. Mój tata i Nicole też. Przecież małżeństwo moich rodziców nie było żadną katastrofą. Oczywiście, pamiętam plotki - cho-

ciaż wolałabym ich nie pamiętać - ale wiem, że nie ma w nich krzty prawdy. Nieważne, co myślą wszyscy inni.

- Mogłabyś wziąć się w garść? - pyta Alex.

- Zamknij się.

Unosi brew, ale nic nie mówi. Zamiast tego skupia uwagę na scenie, która rozgrywa się na łodzi, patrzymy razem.

Dwójka moich przyjaciół - Mera i Topher - otwarcie palą papierosy, palce im drżą, bezgłośnie łzy spływają po policzkach.

Moja macocha Nicole bez słowa podchodzi najpierw do Mery, potem do Tophera i zabiera im papierosy. Wrzuca jedne do pustej butelki po piwie, a drugiego zatrzymuje dla siebie. Nicole rzuciła palenie kilka lat temu, kiedy mój tata miał atak serca.

Pewnie doszła do wniosku, że to równie dobry moment, żeby znowu zacząć, jak każdy inny.

Kiedy wszyscy już siedzą, Joe Wright zajmuje miejsce kapitana. Trzyma w ręku niewielki kolonotatnik i długopis, które wydają się nedorzecznie małymi narzędziami do rozwiązania zagadki mojej śmierci. Obok niego stoi drugi policjant, też z notesem w ręku. Na plakietce ma napisane SHANE EVANS.

Joe Wright odchrząkuje.

- No dobrze. - Bierze głęboki oddech i pociera niewidzialną plamkę na czole, jakby od tej całej sytuacji dostał bólu głowy. - Zaczniemy od początku. Opowiedzcie mi, co się stało.

Nikt nic nie mówi przez dobrą minutę.

- Wiem, że urządziliście tu imprezę. To były jej urodziny, tak?

- Liz. - Richie wpatruje się w drewnianą podłogę łodzi. - Ma na imię Liz.



- A ty? Właściwie to dobry początek. Podajcie mi wszyscy swoje imiona i powiedzcie, co pamiętacie z wczorajszego wieczoru. Każdy po kolei.

- To fascynujące - szepcze Alex, jak gdyby mogli nas usłyszeć.

- Co? - Nie mogę oderwać wzroku od mojego taty i Nicole. Oboje drżą, pewnie z szoku. Zrobiłabym wszystko, żeby ich teraz objąć, naprawdę ich poczuć, i żeby oni poczuli mój dotyk.

- Nigdy nie widziałem fajnej paczki w takim stanie. Twoje przyjaciółki nawet nie są umalowane. Bez makijażu już nie wyglądają tak seksownie, nie sądzisz?

Patrzę na niego gniewnie.

A kiedy miały się umalować? Naprawdę myślisz, są aż tak próżne

- Nie zaskoczyłoby mnie to. - Krzywi się. - Zwłaszcza Josie i Mera. Wy trzy byłyście chyba najbardziej powierzchownymi osobami, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Wiesz, jak ja i moi przyjaciele nazywaliśmy takie dziewczyny jak wy? Dziewczyny, które miały wszystko podane na srebrnej tacy, które troszczyły się tylko o swój wygląd i interesowały tylko tym, kto umawia się na randki z najpopularniejszym facetem?

- Jak?

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Nazywaliśmy was dziwkami. Byłyście klasycznymi dziwkami.

Te słowa bolą. Chłodno mówię:

Zabawne. Myślałam, że to podchwytliwe pytanie. Uznałam, że nie miałeś żadnych przyjaciół. - Natychmiast żałuję tego, co powiedziałam. Już prawie chcę I przeprosić, ale zalega między nam cisza tak niezręczna, I tak gęsta od emocji, że nie wiem, co by tu dodać.

- Miałem przyjaciół - mówi Alex. - Po prostu ich nie znałaś.

- Kim byli twoi przyjaciele, Alex?

- Pracowałem z nimi. W Mystic Market. - Milknie. - Byli starsi. Głównie z college'u. Różnili się od ciebie i twojej paczki. Rozumieli, że poza liceum też toczy się życie, że są ważniejsze sprawy niż to, jakiej marki torebkę nosisz albo z kim się umawiasz na randki.

Wzruszam ramionami.

- Ale liceum *było* naszym życiem. Jedynym, jakie znaliśmy, więc nawet jeżeli te sprawy nie wydają się istotne, wtedy je za takie uważaliśmy.

Alex otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim ma szansę wygłosić kolejną kąśliwą uwagę, odzywa się Mera. Kiedy mówi, coraz lepiej sobie przypominam, kim jest.

Mera Hollinger, osiemnaście lat. Blond włosy, długie i rozjaśnione, tak jak moje i pozostałych dziewczyn. Jest pływaczką, i to bardzo dobrą. Jest też dosyć głupia. Piękna i świetnie zbudowana, ale zupełnie pozbawiona rozumu. Lubię ja najmniej ze wszystkich moich przyjaciół. Jestem prawie rozczarowana, że to ona mnie znalazła.

Poza innymi wadami Mera potrafi być naprawdę melodramatyczna. Jestem pewna, że kiedy zacznie się szkoła, maksymalnie wykorzysta fakt, że to ona znalazła moje ciało, skorzysta z każdej okazji, żeby opowiedzieć tę historię, nie omieszkając wspomnieć, jak wyglądałam, kiedy wyciągnięto mnie z wody.

Jest też chłopak Mery, Topher Paul, także dopiero co skończył osiemnaście lat.

Siedzi teraz obok niej i trzyma ją za rękę. Byli pierwszą parą w szkole, o której wiedziałam, że uprawiają seks. Są zrosnięci biodrami. Pewnie kiedyś wezmą ślub. Topher to prawdziwa sława w liceum, gwiazda piłki nożnej, jedyny syn bogatych rodziców,

którzy uwielbiają go tak, jakby był boskim darem dla świata. Miewa napady złości, które czasami trudno wytrzymać, ale w głębi duszy to miły chłopak. Znamy się od przedszkola.

- Urządziliśmy zwykłą imprezę - mówi Mera.

- Nie zdarzyło się nic wyjątkowego - popiera ją Topher.

- A ty jesteś...? - Joe Wright notuje bez wytchnienia, na czoło wystąpiły mu krople potu, choć na lodzi jest chłodno.

- Topher Paul. Christopher. Mój ojciec to doktor Michael Paul. - Przerywa dla uzyskania lepszego efektu.

- Dentysta - dodaje. - Jest najbardziej znanym w Noank dentystą i chirurgiem szczękowym.

Joe patrzy na Tophera dziwnie, po czym mówi suchym i sarkastycznym tonem:

- No proszę. Rozumiem, że to tłumaczy twój piękny uśmiech.

- Jego tata jest dentystą? Nie rozumiem, co w tym takiego nadzwyczajnego - mówi zdezorientowany Alex.

- Hej, to mój przyjaciel - besztam go. - Właściwie to jest nadzwyczajne, jego tata należy do zarządu country klubu. A mama była kiedyś miss Connecticut.

- Hm. To dopiero powód do dumy. Naprawdę zasłużyła się dla lokalnej społeczności, prawda?

- Cicho bądź. Usiłuję słuchać.

- A zatem to była normalna impreza - powtarza Joe - i „normalna” oznacza dla was narkotyki i alkohol? - Unosi brew, spoglądając w stronę moich rodziców.

- Kto kupił alkohol?

Kiedy wszyscy milczą, Joe przeciągle wzdycha.

- To poważna sprawa. Muszę wiedzieć, skąd wzięliście alkohol.

- Był na łodzi - szepcze mój ojciec. Zaciska mocno powieki, a po jego bladym, zaróżnionym policzku spływa gruba łza. - Zaufaliśmy im - mówi.

Caroline Michaels, która dotychczas siedziała w milczeniu na podłodze, w końcu się odzywa.

- Nie byliśmy aż tak pijani - mówi. - Liz nie piła dużo. Tylko trochę, tak dla zabawy.

Caroline, siedemnaście lat. Tak słodka i naiwna, jak to tylko możliwe. Najmłodsza z czterech sióstr. W wieku szesnastu lat została kapitanem drużyny cheerleaderek. Jej przepustką do sławy jest umiejętność zrobienia potrójnego salta w tył, które wykonuje często i z wielkim entuzjazmem podczas meczów piłki nożnej, świecąc idealnym, okrytym lycrą tyłkiem przed zachwyconym tłumem na trybunach. Jej rodzice często podróżują, na ogół do tak egzotycznych miejsc, jak Wiedeń, Ateny czy Egipt. Jest znana z urządzania niesamowitych imprez - wiem to, chociaż nie pamiętam żadnych szczegółów. Jakby ktoś wymazał z mojej pamięci całe rozdziały, a inne fragmenty pozostawił nietknięte, co dało niepokojący efekt, przerażający i intrygujący jednocześnie. Nawet nie wiem, kim jestem. Poza tym wcale tak bardzo nie podoba mi się osoba, którą zdawałam się być. I nie wiem, dlaczego taka byłam, ale mam przeczucie, że wkrótce się dowiem.

- No dobrze - mówi Joe, wciąż notując. - A co z narkotykami? Marihuana? Kokaina?

- Jezu - reaguje natychmiast Richie. - Żadnej kokainy. Nic w tym stylu. Odrobina trawki, to wszystko.

- A zatem imprezowaliście - ciągnie Joe - piliście, paliliście... a co się stało po-

tem? Ktoś zaczął się kłócić z jubilatką?

- Nie - odpowiada Richie. - Nie wiem, co się stało. Poszliśmy spać. Wszyscy poszliśmy spać.

Richie Wilson, prawie osiemnaście lat. Jedyne z moich Przyjaciół, który nigdy nie nosił aparatu ortodontycznego, ma naturalnie idealne zęby. Jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Emanuje pewnością siebie. Mogłam być śliczna i popularna, ale rozumiałam - zawsze rozumiałam, nawet za życia - jaką byłam szczęściarą, że miałam Richiego. Jest naprawdę miłym facetem i miłością mojego życia. Czuję się związana z nim bardziej niż z kimkolwiek innym na tej łodzi.

Jednak w tej chwili jego pewność siebie i spokój, które przyciągają ludzi jak magnes, zniknęły. Wygląda na zagubionego, drży. Wiem, że marzy tylko o tym, żeby wrócić do domu, zamknąć się w swoim pokoju i palić trawkę tak długo, aż zapomni, jak mu na imię. Richie ma problem z narkotykami - to jego główna wada. Ale dla mnie to nie miało wielkiego znaczenia, bez względu na wszystko nie mogłam przestać go kochać.

- A kiedy się obudziliśmy, Liz nie było - odpowiada Josie. - Pomyśleliśmy, że poszła do domu, po jedzenie czy po coś. Robi jej się słabo, kiedy nie je. Dostaje hipoglikemii. - Josie patrzy na mojego tatę i Nicole. - Czasami mdlała, była nawet z tego powodu w szpitalu.

Josie Valchar, siedemnaście lat, dokładnie sześć miesięcy młodsza ode mnie. Mimo że jest tylko moją przyszywaną siostrą, razem ze swoją mamą przybrały nasze nazwisko, kiedy nasi rodzice się pobrali. Niektórzy ludzie nie wierzą, że jesteśmy tylko przyszywanymi siostrami, ale oni nie mają pojęcia, o czym mówią. Od podstawówki była moją najlepszą przyjaciółką. Josie wierzy w duchy. Tak jak jej matka, często

chodzi do kościoła spirytualistów w Groton. Twierdzi, że zawsze czuła kontakt ze światem pozazmysłowym, ale teraz widzę jasno, że kłamała. Jest tylko przestraszonym dzieckiem, tak jak reszta moich przyjaciół, załamany i przerażony. Nie wiem, co ona beze mnie robi.

- Hipoglikemia? - pyta Alex. - Co to jest?

- Nic takiego - bagatelizuję. - Niski poziom cukru we krwi. To się zdarza, kiedy za mało jem.

- Jak cukrzycy?

- Coś w tym rodzaju. Nie jestem cukrzykiem, ale często kręci mi się w głowie. Tak jak powiedziała Josie, czasami mdleję.

- To ciekawe.

- Tak - przyznaję. - W zeszłym roku byłam w szpitalu, bo zemdlalam na schodach.

Miałam wstrząs mózgu - dodaję niemal radośnie, dumna, że pamiętam taki szczegół. -

A wczoraj wieczorem piłam. Nie powinnam pić.

Kiwa głową.

- I zobacz, co się stało. Nie żyjesz. Niczego się nie nauczyłaś na lekcjach o zdrowiu?

Patrzę na niego chłodno.

- Nic dziwnego, że nie byłeś popularny. Nie jesteś zbyt miły.

Odwzajemnia moje spojrzenie.

- Bycie miłym nie ma nic wspólnego z popularnością. Ty powinnaś to wiedzieć najlepiej.

Zamykam na minutę oczy. Ma rację. Powinnam spróbować być miła. Dlatego

mówię tak grzecznie, jak to tylko możliwe:

- Prosiłam cię już dwa razy. Proszę cię, zamknij się. Usiłuję słuchać.

Joe przegląda notatki w maleńkim notesie.

- A zatem... dobrze. Wszyscy mówią to samo. Zasnęliście, a kiedy się obudziliście, stwierdziliście, że Liz zniknęła.

- Właśnie tak - potwierdza Mera.

- Wtedy ktoś postanowił jej poszukać?

Mera potakuje.

- Ja.

- Ile czasu upłynęło? Dziesięć minut? Godzina?

Moi przyjaciele patrzą po sobie. W końcu odzywa się Richie:

- Nie mogło minąć więcej niż piętnaście minut. Posłaliśmy Merę do domu Liz. -

Przełyka ślinę. - Ale tam nie dotarła. Wyszła na pokład i natychmiast ją zauważyła.

Joe przygląda się długo każdemu z moich przyjaciół. Wpatruje się w moich rodziców. Widzę w jego oczach łzy. Dla niego to także nie jest łatwe. Znał mnie. Nie byłabym zaskoczona, gdyby pamiętał Richiego i mnie z tamtej nocy kilka miesięcy temu.

Dwoje zakochanych dzieciaków w samochodzie z zaparowanymi szybami.

- No to mamy tu małą tajemnicę - mruczy. - Kto by pomyślał?

Cisza. Spokój panujący na łodzi jest nienaturalny, przesiąknięty milczącym przeżeniem i bólem.

Joe zamyka notes.

- No dobrze. To na razie wystarczy, ale będę z wami wszystkimi w kontakcie. Dlatego nie wyjeżdżajcie zbyt daleko. - Patrzy na moich rodziców. - Państwo Valchar, muszę państwa zaprosić na posterunek.

Nic nie mówią, tylko kiwają głowami.

Alex i ja wychodzimy za Joem i jego partnerem na pomost. Zatrzymują się, kiedy są pewni, że nikt na łodzi nie może ich usłyszeć.

- Wierzysz w to? - pyta Shane.

- W co? Że osiemnastoletnia dziewczyna wpadła do wody w środku nocy i utonąła, a nikt tego nie zauważył? - Patrzy na łódź moich rodziców. - Nie wiem. Zdarzało jej się mdleć. Zobaczymy, co powie lekarz. - Myśli. - To był prawdopodobnie wypadek. Tak mi się wydaje.

- Ale trochę to podejrzane - drażni Shane. - Nie sądzisz? Jakby kilku kłamców opowiadało kiepską historię, która nie bardzo trzyma się kupy.

- Wiesz co? - Joe klepie Shane'a po ramieniu. - Oglądasz za dużo powtórek „Prawa i porządku”. To nie Nowy Jork. Jestem pewien, że jej przyjaciele nie zawiązali spisku, żeby ją zamordować.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Zanim ludzie znali mnie jako tę „martwą dziewczynę”, nazywali mnie biegaczką.

Pamiętam to równie wyraźnie, jak swoje imię czy twarz matki. Brałam udział w drużynowych biegach na przełaj. Nie byłam zbyt szybka - zwykle przebiegałam półtora kilometra w osiem minut - ale mogłam biegać godzinami. I biegałam. Codziennie rano, nawet podczas roku szkolnego, wstawałam przed świtem, wkładałam sportowe buty i biegałam wzdłuż zatoki drogą prowadzącą do Mystic - największego miasteczka w sąsiedztwie Noank - czasami aż na obrzeża miasta, po czym zawracałam i biegałam z powrotem do domu. Szesnaście kilometrów dziennie nie było dla mnie niczym niezwykłym. Czuję ogromną ulgę na myśl, że te wspomnienia wciąż są ze mną, że stanowią nierozzerwalną część mnie. W każdej chwili mogę zamknąć oczy i prawie usłyszeć rytm swoich kroków na asfalcie.



To zabawne - moi rodzice martwili się o mnie, kiedy tak biegałam sama o świcie.

Byliśmy otoczeni wodą. a oni niepokoiли się o moje bezpieczeństwo na łądzie.

Na razie relacje wszystkich uczestników wydarzeń i owej feralnej nocy prowadzą do konkluzji, że utonęłam. Oficjalna wersja brzmi tak: byłam pijana, miałam niski poziom cukru we krwi i wyszłam na pokład, żeby zaczerpnąć powietrza. Potknęłam się i wypadłam za burtę. Nikt nic nie widział. Nikt niczego nie słyszał.

Ludzie wydają się usatysfakcjonowani taką wersją wydarzeń. Moi rodzice ją zaakceptowali, moi przyjaciele w nią wierzą. To oficjalna wersja. Sprawa jest zamknięta. Jednak nieoficjalnie Joe Wrigth stoi w garniturze i krawacie z tyłu domu pogrzebowego i patrzy na tłum wypełniający salę.

Przemieszczanie się z Alekssem jest proste. Wystarczy, że zamknę oczy i nawiążę z nim jakikolwiek fizyczny kontakt, i już może iść ze mną wszędzie. Pomimo że się nie lubimy, wiem, że oboje jesteśmy zadowoleni z towarzystwa. Poza wspomnieniami, w które wracam sama, od dnia mojej śmierci jesteśmy praktycznie nierozłączni, związani niewidzialną siłą, której nie potrafię nazwać.

Teraz jesteśmy na moim pogrzebie, w tym samym domu pogrzebowym, w którym żegnaliśmy moją matkę, kiedy miałam dziewięć lat.

- Nie ma jej tu - szepczę ze łzami w oczach.

- Kogo? - pyta Alex.

Wiem, że nikt nas nie może zobaczyć, ale czuję się dziwnie nie na miejscu, jako że oboje z Alekssem jesteśmy "brani zbyt swobodnie, wyróżniając się pośród tłumu karanych żałobników. Patrzę na moje buty, kamienie <sup>ni</sup> w świetle żyrandoli. Stopy bołą mnie tak bardzo, że marzę tylko o tym, aby włożyć tenisówki i poruszać się swobodnie palcami u stóp, ale umarłam w tych butach i wygląda na to, że już w nich zostanę. To

dziwne, poza stopami nic mnie nie boli. Nie rozumiem dlaczego.

- Mojej matki - odpowiadam.

- Hm. - Alex rozgląda się dookoła. - Na pewno przyszli wszyscy inni.

To prawda. Tak jak wiele razy mu przypomiąłem, byłem bardzo popularna i wygląda na to, że pojawiła się cała szkoła, żeby mnie oplakiwać. Moim najbliżsi przyjaciele siedzą w pierwszych ławkach. Mera, Caroline i Topher w drugim rzędzie, za moją najbliższą rodziną. Richie i Josie z moim tatą i Nicole. Rodzice Richiego siedzą kilka rzędów za nimi, z rodzicami Caroline i Tophera. Nie widziałam jeszcze mamy i taty Mery, ale jestem pewna, że gdzieś tu są.

Śmierć jest podstępna. Okazało się, że moje odczucia zupełnie różnią się od doświadczeń Aleksa. Ja na przykład wszędzie, dokądkolwiek bym poszła, czuję się, jakbym była na rozkołysanej łodzi. 1 cały czas jest mi zimno, jestem przemarznięta do szpiku kości, zupełnie jakbym przebywała w lodowatej wodzie. Alex mówi, że jemu też jest cały czas zimno, ale raczej jakby stał w podmuchach lodowatego wiatru na otwartej przestrzeni. To ma sens: śmierć w morzu, śmierć na lądzie. Czasami, kiedy skoncentruję się na smaku w ustach, mogę prawie poczuć słoną wodę.

Śmierć jest też podstępna pod innymi względami- Na początku musiałam naprawdę się skupić, żeby wrócić we wspomnienia. A kiedy na nie patrzyłam, wydawały się zupełnie oddzielone od terażniejszości. Jednak teraz obrazy napływają szybciej, przeszłość i terażniejszość mieszają się ze sobą - tyle że nie uczestniczę we wspomnieniach, jestem tylko widzem.

Jak na pogrzebie mojej matki. Nagle, w mgnieniu oka, widzę siebie jako dziewięcioletnią dziewczynkę, siedzącą w tylnym rzędzie w domu pogrzebowym i patrzącą na ojca stojącego przed zamkniętą dębową trumną. Wiem, że w trumnie leży moja matka.

Mam długie, lśniące włosy i wyglądam ślicznie i łagodnie pośród żałobników o poważnych twarzach. Pomieszczenie przenika niemal dotykalny smutek. Siedzę ze spuszczoną głową i wpatruję się w swoje stopy. W wieku dziewięciu lat noszę lakierowane czarne szpilki. Mam dziewięć lat. Teraz, kiedy mam osiemnaście, taki wybór obuwia - czy tata pozwolił mi włożyć takie buty? Czy mi je kupił? - wydaje się zawstydzająco nieodpowiedni. Kto pozwala dziewięciolatce chodzić w szpilkach?

Matka Josie, Nicole, podchodzi do mnie od tyłu i kładzie ręce na moich ramionach. Pochyla się, żeby szepnąć mi do ucha:

-Elizabeth. Kochanie. Jak się czujesz?

Podskakuję, kiedy mnie dotyka. Podnoszę wzrok i patrzę niepewnie na tłum.

Twarz mam zaczerwienioną i mokrą od łez. Wyglądam, jakbym nie miała pojęcia, co się dzieje, jak zagubiona mała dziewczynka, która tylko chce do mamy. Patrząc na siebie, czuję ogromny smutek, dojmujący żal. Nagle zdaję sobie sprawę, że on n'gdy mnie nie opuścił, zawsze gdzieś głęboko we mnie tkwił.

Wtedy znałam Nicole jako panią Caruso, mamę Josie. I mimo że trudno mi przywołać konkretne wydarzenie z dzieciństwa, które wydaje mi się niewyraźne i zamglone, pamiętam podstawowe fakty: w wieku dziewięciu lat byliśmy już z Josie przyjaciółkami od lat. Nasi rodzice spędzali ze sobą dużo czasu przed śmiercią mojej mamy. Potem odszedł tata Josie. To, co wydarzyło się później między moim tatą i Nicole, wydawało się prawie naturalne. Lata temu chodzili ze sobą w liceum. Po śmierci mojej mamy i po swoim rozwodzie Nicole wpłynęła gładko w moje życie jako zastępcza matka, a ja nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałam. Tak po prostu było. Ojciec potrzebował nowej żony, Nicole nowego męża. Nigdy nie czułam, żeby próbowała zastąpić moją matkę. I nigdy nie wierzyłam w plotki, które krążyły po szkole i mie-

ście, że tata i Nicole mieli romans, zanim jeszcze umarła moja mama.

Jednak inni w to wierzyli. Ludzie mi bliscy też. Josie wierzyła. Staraliśmy się nie poruszać tego tematu, a ja nigdy nie odważyłam się zapytać o to mojego taty. Teraz zdaję sobie z czegoś sprawę: nie miałam stuprocentowej pewności, że w tych plotkach nie było ziarna prawdy, po prostu nie chciałam przyjąć do wiadomości, że *mogłyby* być prawdziwe.

- Czuję się dobrze - mówię Nicole, siląc się na uśmiech. Teraz wydaje mi się oczywiste, jak bardzo *niedobrze* się czułam.

Nicole klęka i bierze mnie za ręce. Nawet jako obserwator czuję jej zapach. Ma te same perfumy, których używała, odkąd tylko ją poznałam.

Natychmiast przychodzi mi do głowy pytanie: kto perfumuje się na pogrzeb?

- Josie tu jest - mówi. - Nie chce wejść, kochanie. Czeka w holu. Chciałabyś do niej wyjść?

Kiwam głową, do oczu znowu napływają mi Izy. Gdzie jest pon Caruso? - zastanawiam się. Nigdzie go nie widzę. Nic dziwnego - rozwiedli się z Nicole kilka miesięcy po śmierci mojej mamy.

Idę za młodszą sobą i Nicole do holu. Patrząc na nas. widzę, jak kilku żałobników rzuca złe spojrzenia Nicole. ale ona zdaje się tego nie zauważać, obejmuje mnie za ramiona i prowadzi do drzwi, podczas gdy ja stawiam niepewne kroki w swoich szpilekach.

Josie stoi w holu, plecami przyciśnięta do ściany pokrytej krzykliwą purpurową tapetą.

Na jej widok nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Jest taka mała, taka niewinna i śliczna. Brakuje jej zęba z przodu. Włosy ma związane w dwie długie jasnobrą-

zowe kitki. Ni z tego, ni z owego przypominam sobie pewien fakt: Nicole nie pozwałała Josie rozjaśniać włosów, dopóki ta nie skończyła dwunastu lat.

Przytulamy się mocno, długo. Ona zaciska dłonie w piąstki na mojej szyi. Zupełnie przypadkowo jesteśmy ubrane w identyczne sukienki: kloszowe spódnice do kolan w czarne i ciemnozielone pasy, czarne aksamitne góry, opinające ciasno nasze szczupłe talie i klatki piersiowe.

- Josie, kochanie. Chcesz coś powiedzieć Liz?

Josie potakuje. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Chciałabym ci powiedzieć - zaczyna cichym i przerażonym głosem - że możesz do nas przychodzić, kiedy tylko chcesz. Możesz nawet u nas spać w tygodniu. - Podnosi wzrok na Nicole. - Prawda, mammo?

- Oczywiście. - Nicole głaszcze córkę po włosach, nawija pasmo na palec. - Jeśli tata Liz się zgodzi.

- Dziękuję - mówię.

- Mam coś dla ciebie - dodaje Josie i znowu patrzy na matkę.

Nicole sięga do białej zamszowej torebki i wyjmuje podłużne aksamitne pudełeczko. W środku leży wąską złotą bransoletką z pojedynczym wisiorkiem. Połówką serca.

„Najlepsze przyjaciółki”. Zobacz. - Josie unosi lewą rękę. Na nadgarstku ma taką samą bransoletkę z drugą połówką serca. Nicole wyjmuję moją z pudełka i delikatnie zakłada mi na rękę. Josie i ja łączymy nadgarstki, przyciskając połówki do siebie, aż tworzą pełne serce z napisem: „Najlepsze przyjaciółki”

Jest śliczna. - Zdobywam się na uśmiech. - Dziękuję.

- Proszę bardzo. - Josie uśmiecha się promiennie. Przez chwilę jest zbyt radosna, jakby zapomniała, gdzie się znajduje. *To nie jej wina, myślę teraz, miała tylko dzie-*

*wieć lat.* - Przyjdź do nas niedługo, dobrze? Mamy nową zjeżdżalnię wodną.

Josie zostaje w holu, a mnie Nicole prowadzi przez podwójne drzwi z powrotem na miejsce.

Nachyla się i mocno mnie przytula.

- Tak bardzo kochaliśmy twoją mamę - szepcze. -I ciebie też Kochamy.

- Pani Caruso?

- Tak, kotku?

Wpatruję się w nią, szukając w jej twarzy odpowiedzi.

- Gdzie jest teraz moja mama?

Nicole nawet się nie zająknie.

- W bezpiecznym miejscu, Kochanie. - Jeszcze raz ściska moje dłonie. - Pokażę ci, kiedy przyjdiesz do nas następnym razem.

Zostawiam moją młodszą siebie i idę za nią. Kiedy byłam dzieckiem, nie miałam szansy, żeby zobaczyć zbyt wiele, i teraz wydaje mi się niezwykle istotne, aby wszystko uważnie obserwować. Nie jestem pewna dlaczego, ale przecież tu jestem, prawda? Z jakiegoś powodu wróciłam w to wspomnienie. Tak jak powiedział Alex, próbuję poskładać puzzle. Tyle że nie mam pojęcia, jak będzie wyglądał obraz, kiedy skończę, dlatego nie wiem, od czego zacząć i na jakie fragmenty zwracać uwagę.

- Marshall - mówi Nicole, obejmując mojego tatę. Przysuwa usta do jego ucha i szepcze: - Ona już nigdy nie będzie głodna.

I ni z tego, ni z owego jestem z powrotem na własnym pogrzebie, patrzę, jak Mera i Topher podchodzą, trzymając się za ręce, do mojej zamkniętej trumny. Oboje płaczą. Mając osiemnaście i pół roku, Mera jest najstarsza ze wszystkich - zatrzymali ją rok dłużej w żłobku z powodu - jak twierdzi - złego zachowania, ale wszyscy biedzą, że

tak naprawdę nie umiała korzystać z noc-

W każdym razie na osiemnaste urodziny rodzice zafundowali jej implanty piersi.

Nawet gdybym tego nie pamiętała, patrząc na nią teraz, nie miałabym wątpliwości. Na mój pogrzeb włożyła wycięty czarny sweter i stanik push-up, który naprawdę nie pozostawia wiele wyobraźni.

Kiedy się odwracają, Mera spostrzega Joego Wrighta, który stoi z tyłu. Trąca Tophera i szepcze coś pod nosem.

Dla wszystkich innych to mogłoby wyglądać podejrzanie, ale Mera nie miała żadnego powodu, żeby mnie skrzywdzić. Jest uosobieniem swoich implantów: przyjacielska, nieskomplikowana i - przynajmniej według Departamentu Zdrowia - niegroźna. Skoro już o tym I mowa, nie potrafię sobie też wyobrazić, żeby Topher mógł kogokolwiek zabić. Bywa wybuchowy, ale tak naprawdę to całkiem spokojny facet. Jest w ostatniej klasie liceum, a wciąż trzyma w pokoju królika miniaturkę, który śpi koło jego łóżka. Tacy ludzie nie mordują przyjaciół.

- Dziwki i kretyni - mówi Alex, wyciągając nogi i krzyżując ramiona za głową w leniwej pozie. - Liz, jak mogłaś się przyjaźnić z takimi ludźmi? - Nagle uderza się w czoło, jakby zadał idiotyczne pytanie. - Co ja mówię?

I Byłaś ich liderką. Byłaś najgorsza ze wszystkich.

- Jesteś niesprawiedliwy - protestuję. - Kilkoro z nas było na twoim pogrzebie, wiesz? Przyszło mnóstwo ludzi.

- Naprawdę? - pyta chłodnym tonem. - Na pewno i ty tam byłaś. - Ale nie wygląda, jakby docenił moją obecność.

Na słupach telefonicznych w całym mieście wciąż wisi mnóstwo plakatów. Rodzi-

ce Aleksa oferują dziesięć tysięcy dolarów nagrody za każdą informację na temat tego, co wydarzyło się w noc, w której zginął.

- Zmieniłam trasę biegu - mówię mu. Jestem zaskoczona, że to wspomnienie sprzed roku pojawiło się tak nagle.

Ściągam lewy but - nie mam skarpetek - i patrzę na swoją stopę. Prawie nie mam paznokcia na dużym palcu, mały też nie wygląda najlepiej. Nie dlatego, że utonęłam tylko od biegania. Cała reszta mojego ciała była piękna, ale stopy zawsze miałam brzydkie. Co dziwne, nigdy mi to nie przeszkadzało.

Cóż, może trochę. Moje przyjaciółki - Mera, Caroline i Josie - ciągle chodziły na pedikiur, ale ja zwykle ograniczałam się tylko do manikiuru. Za bardzo wstydziłam się swoich stóp, żeby komukolwiek je pokazywać. Dlatego wybierałam tak ekscentryczne buty - chyba w celach kompensacyjnych.

Uśmiecham się, patrząc na lewą nogę. Wokół kostki mam tę samą bransoletkę, którą dostałam od Josie dziewięć lat wcześniej. Kiedy poszliśmy do gimnazjum, uznałyśmy, że nie wypada nam już nosić bransoletek „Najlepsze przyjaciółki” na rękę i przełożyłyśmy je na kostki. Prawie nigdy ich nie zdejmowałyśmy. Prawdopodobnie leżąc tam, w trumnie, nadal mam ją na sobie.

- Zmieniłaś trasę biegu? - pyta Alex. – Dlaczego?

To musiało być po tym, jak cię znaleźli. Kiedyś co rano przebiegałam obok Mystic Market, ale nie mogłam tam wrócić, kiedy znaleźli twoje ciało. - Wzruszam Mionami, wkładając z powrotem but. Nie mam innego wyboru. Już kilka razy próbowałam porzucić gdzieś kowbojki, ale kilka minut później znów były na moich nogach. Te buty są teraz częścią mnie. Jestem na nie skazana.

- To, co cię spotkało, było potworne, Alex.



Ale on jest zajęty gapieniem się na biust Mery, która wraca na swoje miejsce.

- Masz niezłą kolekcję przyjaciół, Liz. Same seksowne dziewczyny i piękni chłopcy. - Kiwa głową. - Nigdy nie przypuszczałem, że spędzę z nimi tyle czasu.

Wzruszam ramionami.

- Cóż, kochali mnie. Masz szczęście, że teraz możesz z nimi być. - Milknę, przypominając sobie, że niegrzecznie jest się przechwalać. Wstydzę się tego, co przed chwilą powiedziałam. - Chociaż w sumie nie wiem, czy byłam aż tak popularna.

Patrzy na mnie spode łba.

- Och, nie byłaś? Pozwól, że cię o coś spytam, Liz. Czy kiedykolwiek musiałaś jeść lunch w bibliotece?

- O co ci chodzi?

- Wiesz, o co mi chodzi.

Posyłam mu chłodne spojrzenie.

- Nie mam pojęcia.

- Masz. Pokazałem ci we wspomnieniu. Widziałaś franka w kafeterii, jak go nękali twoi... przyjaciele. Widziałeś mnie. jak jadłem sam.

- Alex. Powiedziałam ci, że jest mi przykro z tego powodu.

- Z jakiego powodu, Liz? Że nic nie zrobiłaś? To si? zdarzało niemal codziennie, Liz. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim Topher albo ktoś inny z twoich przyjaciół zauważy, że ja też jem sam i że przynoszę własny lunch. Więc wiesz, co zacząłem robić?

- Co? - Mam wrażenie, że wcale nie chcę wiedzieć.

- Zabierałem lunch do biblioteki i jadłem go tam. Zupełnie sam.

- Nie musiałeś...

- Musiałem. Musiałem stać się niewidzialny. Wiedziałem, do czego twoja paczka

jest zdolna. Ty i twoi przyjaciele byliście... puści. Potrafiliście być potworami.

Nic nie mówię. Patrzę na pierwsze rzędy, gdzie siedzą moi przyjaciele, wszyscy mają zaczerwienione oczy i płaczą. W tej chwili na pewno nie wyglądają na potwory.

- Z was wszystkich tylko Richie miał resztki sumienia - ciągnie Alex - ale on też nigdy nic nie zrobił. Zawsze trwał przy twoim boku, nieważne co byś zrobiła. Jakbyś w jego oczach nigdy nie mogła zrobić nic złego.

Potrząsa z goryczą głową. - Owinęłaś go sobie wokół palca, co?

- Alex, już ci powiedziałam, że się tego wstydę.

Ale on jeszcze nie skończył.

- Nie wiesz, jak to jest, kiedy nie jesteś fajny. Jesteś sam. To nie było zabawne, Liz, tylko bardzo trudne.

- Wiesz, jak umarła moja matka? Kręci głową.

- Nie mam zielonego pojęcia. Przedawkowała szampana i kawior?

- Była anorektyczką, Alex. Zagłodziła się. Brała leki na przeziębienie, żeby pohamować głód. Zjadała pełne garście tabletek. - Teraz pamiętam to wyraźnie: moja matka stojąca nad zlewem, usta wypchane tabletkami. Czy w życiu po życiu nie ma żadnej litości dla martwej dziewczyny? Ze wszystkich wspomnień z dzieciństwa te związane z chorobą matki najbardziej chciałabym wymazać. Ale tu są, zakorzenione na zawsze.

A potem umarła.

- W wieku trzydziestu trzech lat dostała udaru - mówię. - Upadła pod prysznicem.

- Milknę.

- Co? - pyta Alex. - Wyglądasz, jakbyś chciała powiedzieć, że...

- Nic nie chcę powiedzieć. Tak właśnie umarła. Teraz już wiesz.

Jeżeli Alex mi współczuje, to doskonale to ukrywa.

- A potem co? Twój tata ożenił się z mamą Josie? Kiwam głową.

- Tak, ożenił się z Nicole.

*Jest bezpieczna, kochanie. Pokażę ci, kiedy przyjdiesz do nas następnym razem.*

- Chcesz usłyszeć coś dziwnego? - pytam.

- Pewnie.

- Kilka tygodni po pogrzebie mojej mamy poszłam nocować do Josie. Wiesz, co zrobiła Nicole?

-Co?

Przyniosła tablicę ouijską\*1- Miałam *dziewięć* lat, Alex, a ona przyniosła tę tablicę, żeby w moim imieniu skontaktować się z moją matką.

Oboje patrzymy na Nicole. Alex miał rację, zachwycając się jej urodą. Nicole jest chodzącym uosobieniem blond seksbomby. Jest też ekscentryczna i przesądna. Wierzy

1 \* Ouija - deska albo plansza z nadrukowanymi literami alfabetu oraz innymi znakami, które kolejno wskazywane

(przez ducha lub osobę trzymającą wskaźnik - często odwrócony do góry dnem Kieliszek) tworzą wyrazy układające się

w odpowiedzi na pytania zadawane przez uczestników seansu spirytystycznego

w życie po życiu, UFO i siły nadprzyrodzone. Kiedy wprowadziła się do naszego do-

mu, wezwała specjalistę feng shui, żeby poprzestawiał wszystkie meble. Nicole nie

pracuje - zamiast tego chodzi często na jogę i tai-chi, udziela się jako wolontariuszka i

ciągle przemeblowuje dom. Mojemu tacie zdaje się to nie przeszkadzać.

Josie jest taka sama jak matka. Ciągle chodzi z Nicole do kościoła spirytualistycz-

nego. Obie wierzą w duchy. Przez sekundę zastanawiam się, czy do nich nie podejść i

nie spróbować dotknąć, sprawdzić, czyby mnie poczuły. Jednak porzucam tę myśl równie szybko, jak się pojawiła. Podobnie jak mój ojciec jestem dużo bardziej pragmatyczna. Może i jestem teraz prawdziwym duchem, ale wątpię, żeby ktoś mógł poczuć mój dotyk. Ta możliwość wydaje się mi niedorzeczna.

- Zadziałała? - pyta Alex. - Ta tablica?

Zamykam oczy, próbując się znowu nie rozpląkać.

- Tak. Zapytała, jak moja matka się czuje, i odpowiedź brzmiała „jest bezpieczna”.

Dokładnie tak, jak powiedziały Nicole.

- To się wydaje właściwie - orzeka Alex. - Dorośli nie powinni bawić się w ten sposób z dziećmi. A już na pewno nie z dziewięciolatkami.

Ciekawe, nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo niewłaściwe to było. A słowa, które wypowiedziała do ojca, na pogrzebie mojej mamy - kto mówi coś takiego?

Przez chwilę nie możemy kontynuować rozmowy, przerywa nam metaliczny dźwięk organów, płynący z głośników umieszczonych w narożnikach pomieszczenia.

- Przedstawienie się zaczyna - mówi Alex.

Moi przyjaciele biorą się za ręce. Richie obejmuje Josie. Oboje płaczą tak spazmatycznie, że aż się trzęsą.

Odwracam się, żeby popatrzeć na Joego Wrighta, który nadal stoi z tyłu ze skrzyżowanymi ramionami i wzrokiem wbitym w moją trumnę. O ile wiem, nie ma absolutnie żadnych dowodów, które mogłyby sugerować, że moja śmierć nie była wypadkiem. Więc dlaczego on tu jest i wszystkim tak uważnie się przygląda? Brakuje tylko, żeby robił notatki.

*Miejscowy glina, myślę. Pewnie nie ma nic lepszego do roboty.*

Przenoszę wzrok na moich przyjaciół i rodzinę i zdaję sobie sprawę, że nie ode-  
szłam w spokoju. Jestem tutaj, wciąż na ziemi, z Alekssem, patrzę i czekam - ale na  
co? Dlaczego nadal tu jesteśmy? Co powinniśmy robić? Zdaniem Aleksa układać ele-  
menty - ale w co? Po raz kolejny powtarzam sobie, że żadne z moich przyjaciół by  
mnie nie »krzywdziło. Jaki powód którekolwiek z nich mogłoby mieć, by to uczynić?  
Próbuję przełknąć ślinę. Czuję smak słonej wody. Sala zdaje się kołysać lekko w  
przód i w tył, jak gdybym wciąż była na łodzi: nagle nie mogę oddychać.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Kiedy docieramy z Alekssem do domu Richiego, wszyscy już wychodzą. Topher i  
Mera wsiadają do samochodu, Caroline zbiera się, żeby pojechać z nimi. Stoi na gan-  
ku i zapina czarną marynarkę, w zimnym powietrzu obejmuje się ramionami. Wszyscy  
moi przyjaciele wyglądają bardzo poważnie i dorośle w żałobnych ubraniach, z czer-  
wonymi i zapuchniętymi od płaczu oczami.

Pogoda wydaje się wyjątkowo paskudna jak na koniec sierpnia, zakładając, że teo-  
retycznie wciąż mamy lato. Caroline owija szyję szalikiem Burberry i zaciera ręce,  
próbując je rozgrzać. Podnosi z ziemi torebkę i przyciska mocno do siebie.

- Muszę wracać do domu - mówi. - Moi rodzice od kilku dni zachowują się jak  
szaleńcy.

Josie kiwa głową.

Ja też chyba powinnam już iść. - Patrzy na Richiego, który siedzi na ziemi i wpa-  
ruje się w podłogę między swoimi butami. Wygląda, jakby nie spał od kilku dni. ma  
podkrążone oczy, pryszczki, popękane wargi. Przyjechał z domu pogrzebowego samo-  
chodem ojca, którego „gdzie nie widać. Rodzice pewnie podrzucili go i odjechali- To  
mnie złości, ale nie zaskakuje. Nawet nie muszę wchodzić do środka, żeby wiedzieć,

że w kuchni na blacie zostawili mu pieniądze. Jakby to mogło wszystko załatwić. Jakby on w ogóle ich nie potrzebował.

Podchodzę do Richiego, siadam obok niego na podłodze i kładę głowę na jego ramieniu. Spodziewam się, że - tak jak wszystkich innych - nie będę mogła go tak naprawdę poczuć.

Ale jest inaczej. Nie mogę go naprawdę poczuć, ale prawie. Jakby był tuż poza moim zasięgiem. Czuję go do głębi, przez koszulę, aż do ciepłego ciała. I czuję jego zapach. Oboje jego rodzice są rzeźbiarzami, takimi hipisami, że aż trudno sobie wyobrazić, dlatego Richie zawsze pachnie mokrą gliną. Mokrą gliną i paczuli.

- Alex - mówię - coś się zmieniło. Prawie mogę go dotknąć.

Podeksytowana przyciskam dłoń do policzka Richiego. Naprawdę próbuję się skoncentrować, ale to niewiele pomaga, wciąż dzieli nas niewidoczna bariera. Jednak czuję, że gdybym wystarczająco się postarała, gdybym naprawdę, naprawdę chciała, mogłabym ją pokonać. Może to potrwa, ale zrobię wszystko, żeby go dotknąć.

Pomimo tych wysiłków Richie nie daje żadnego znaku, że wyczuwa moją obecność. Zamykam oczy i koncentruję się na miłości, którą do niego czuję, wyczuwam każdy włoszek, każdą niedoskonałość jego słodkiej twarzy linię jego szczęki. Jestem stuprocentowo pewna wciąż w jakiś sposób jesteśmy ze sobą związani, i zaczynam drżeć. Przez chwilę moje ciało wydaje się tak naładowane elektrycznością, że prawie zapominam o bólu stóp, o palcach podkulonych w butach. Prawie. Ale nie do końca.

- Uspokój się - mówi Alex. - Pewnie ci się wydaje.

- Nic mi się nie wydaje. Alex, naprawdę! Z Richiem jest inaczej. Czuję, jakbym mogła go dotknąć, gdybym naprawdę się postarała. Jestem tak blisko. Jak myślisz, co to znaczy?

Wzrusza ramionami bez zainteresowania.

- Pewnie nic. Jesteś martwa, Liz.

- Josie - mówi Caroline, patrząc zmrużonymi oczami na moją przyszywaną siostrę

- chyba zostawiłaś płaszcz w pokoju Richiego. - Nie było mnie przy tym, ale domy-

ślałam się, że pewnie moi przyjaciele poszli tam wcześniej, żeby palić papierosy. Nawet

kiedy państwo Wilson są w domu, nie zwracają zbyt dużej uwagi na syna. Kiedy Ri-

chie chce zapalić, wystarczy, żeby otworzył okno w swoim pokoju i wychylił się na

zewnątrz. Nigdy nie ma z tego powodu kłopotów. Jego rodzice wyznają zasadę „żyj i

daj żyć innym" i nie narzucają synowi zbyt wielu ograniczeń.

- Och. - Josie patrzy na swoje nagie ramiona. Jej skóra ma śliczny, głęboki odcień

brązu, efekt długich godzin spędzonych w solarium. Inaczej niż matka Josie nie jest

naturalną piękną, musi nad sobą naprawdę ciężko pracować. Dużo ćwiczy, jeździ

na rowerze stacjonarnym i podnosi ciężarki, żeby zachować jako taką figurę. Jej włosy

są dużo ciemniejsze od moich, prawie brązowe. Rozjaśnia je co sześć tygodni, żeby

uchodzić za naturalną blondynkę.

- Chyba tak.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - pyta Caroline. Unosi palec, dając znać Tophero-

wi, żeby na nią poczekał.

Josie przygląda się Richiemu.

- Nie - mówi. - Dzięki. Chyba zostanę jeszcze kilka minut.

Caroline wzrusza ramionami.

- Jak chcesz. Będę w domu, gdybyś mnie potrzebowała. Tylko najpierw zadzwoń.

Rodzice nie pozwalają mi wychodzić bez uprzedzenia.

Richie i Josie - Alex i ja też - patrzą, jak Caroline schodzi po schodach i wsiada do

samochodu Tophera. Kiedy odjeżdżają, Richie mówi:

- Chyba powinnaś pójść po płaszcz.

Josie potakuje.

- Chyba tak.

- Pójdę z tobą.

Kiedy wchodzę do domu Richiego, czuję się tak, jakbym wchodziła do własnego domu. Nie potrafię zliczyć, ile popołudni tu spędziłam, ile razy nocowałam tu w weekendy - w piwnicy, razem z przyjaciółmi - ani ile czasu spędziliśmy sami z Richiem w jego pokoju.

Tak jak mówiłam, jego rodzice są hipisami. To ciekawe, Nicole jest takim wolnym duchem, a mama i tata Richiego nigdy jej nie polubili. Moja prawdziwa mama 'mama Richiego były blisko i jego rodzice zawsze mnie lubili, ale nasze rodziny niezbyt często się spotykały, chociaż wszyscy uważali, że Richie i ja kiedyś się pobierzemy; praktycznie przez całe życie mieszkaliśmy dwa domy od siebie.

- A zatem to tu jest to magiczne miejsce - mówi Alex, rozglądając się po pokoju Richiego, po czym mierzy wzrokiem moje ciało.

Unoszę brew.

- Co?

- Nic.

- Nie, Alex, powiedz. Co miałaś na myśli?

Rumieni się.

- No wiesz. *Seks*. - Przygryza wargę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Może mnie nienawidzić, ale nie zmienia to faktu, że wiem, jak wyglądam. - Założę się, że wy dwoje to zrobiliście, co?



Jednak Alex się myli. Pomimo że spędzaliśmy sami w tym pokoju mnóstwo czasu, nawet kiedy rodziców Richiego nie było w domu, pamiętam, że nigdy nie poszliśmy na całość. W tę noc w samochodzie po balu - a potem na łodzi - posunęliśmy się najdalej. A i tak to wcale nie było daleko.

Kiedy mówię to Aleksowi, wygląda na zszokowanego.

- Jak długo z nim chodziłaś?

- Odkąd skończyliśmy dwanaście lat. Czyli prawie sześć.

Kręci głową ze śmiechem.

- Rany, ale chłopak musiał być *sfrustrowany*.

- Nie - mówię stanowczo. - Richie nie był taki. Nigdy nie naciskałby mnie, żebym zrobiła coś, na co nie byłam gotowa.

- Ale bądź co bądź, szliście do ostatniej klasy, a Richie mógł mieć każdą dziewczynę, jaką zechciał. W końcu jest *Słynnym Richiem Wilsonem*.

- Wiem - warczę. - *Zamierzaliśmy to zrobić*. Tylko jeszcze nie teraz.

Alex posyła mi przeciągłe spojrzenie.

- Jesteś pewna? Jesteś pewna, że on miał w tej sprawie takie samo zdanie?

- Tak, jestem pewna. - Rozglądam się po pokoju i czuję niewypowiedziany smutek. To tutaj Richie po raz pierwszy naprawdę mnie pocałował, tutaj siedzieliśmy na jego łóżku i rozmawialiśmy godzinami, czasami długo w noc. Sypialnia jest duża i ciepła, pełna światła. Znajduje się z prawej strony domu i ciągnie w poprzek całego budynku, tak że ma aż trzy okna. Jedno, z boku, wychodzi na dom sąsiadów, drugie, frontowe, na ulicę, a z trzeciego, z tyłu, rozciąga się widok na zatokę i „Elizabeth”. -

Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo wygląda na to, że zrobił szybkie postępy.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że wyglądają na bardzo zaprzyjaźnionych, nie sądzisz?

Zanim zdążę zaprotestować, widzę, że Richie zamknął drzwi. Josie stoi zaraz za nim. obok jego łóżka. Kładzie mu ręce na ramionach i przyciąga go do siebie.

Richie się odwraca, patrzy na nią przez chwilę. A potem ją całuje.

Nie sądziłam, że duch może poczuć się tak, jakby ktoś kopnął go w żołądek. Ale kiedy stoję w sypialni Richiego i patrzę na nich oboje razem, czuję, że zaraz zacznę wymiotować.

Jego pokój to praktycznie ołtarzyk naszej miłości. Na biurku, pod oknem wychodzącym na zatokę, stoi kilka oprawionych fotografii przedstawiających nas w różnym wieku. Na jednym stoimy razem na przystanku w pierwszym dniu przedszkola. Trzymamy się za ręce i oboje mamy plecaki, które wyglądają jak wypchane zwierzątka.

Richie ma lwa, a ja jednorożca. Nasze palce splatają się ze sobą.

Na innym zdjęciu siedzimy na trybunie po biegach na przełaj. Richie nie biegał, ale zawsze przychodził, żeby mi kibicować. Na fotografii jestem ubrana w strój do biegania, włosy mam splecione w dwa długie warkocze. Jestem zarumieniona i spocona, wyraźnie wyczerpana, ale się uśmiecham. Richie też. Jego ręka spoczywa na moich opalonych ramionach. To chyba Josie zrobiła to zdjęcie.

Ostatnia fotografia - największa, w błyszczącej, srebrnej ramce - przedstawia nas dwoje po balu na rozpoczęcie roku szkolnego zeszłej jesieni. Wyglądamy na bardzo szczęśliwych. Kochaliśmy się. Jak w tylu innych przypadkach, nie pamiętam żadnych szczegółów z tamtej zabawy, ale założę się, że był to jeden z najpiękniejszych wieczorów mojego życia.

A teraz mój chłopak całuje moją przyszywaną siostrę. Obejmują się mocno ramio-

nami. Richie cicho płacze. Nie przestając go całować, Josie ociera mu łzy. głaszcząc go po wilgotnym policzku. Josie ma paznokcie w kolorze głębokiej, lśniącej purpury, akurat wiem, że dokładnie w tym samym odcieniu są jej paznokcie u nóg. Tydzień temu razem poszłyśmy sobie zrobić manikiur. Moje są tego samego koloru - tylko u rąk. oczywiście.

Wybrałyśmy go celowo - mam na myśli lakier. Zawsze dopasowywałyśmy się w ten sposób. Uwielbiałyśmy być siostrami.

- To nie może działać się naprawdę - szepczę, ocierając oczy. Nie chcę na to patrzeć, ale nie mogę oderwać wzroku. Wydaje mi się, że ich pocałunek trwa wieki. I ustami na wargach Josie Richie zaczyna popychać ją w stronę łóżka.

- Zaraz zwymiotuję - oświadczam, w końcu się odwracając. Obejmuję Aleksa i ukrywam twarz na jego piersi.

On cofa się przede mną.

- Nie zwymiotujesz. Jesteś duchem. Nie możesz rzygać.

Nie jestem taka pewna.

Zaciskam mocno powieki. Przez chwilę widzę tylko ciemność, ale potem coś się zmienia.

Jestem w przeszłości, stoję w rogu sypialni Richiego. On leży na łóżku, na narzucie, ubrany tylko w czarne bokserki. Jest blady, włosy ma pozlepiane potem. Oddycha z trudem.

Wiem. co to za dzień. Jakby znikąd powraca do mnie wyraźne wspomnienie, kiedy oglądam jeszcze raz tę scenę.

Wiosna w dziesiątej klasie. Rodzice Richiego są w Pradze już od niemal dwóch tygodni. Zostawili mu pieniądze, żeby kupował sobie jedzenie, i Richie kupił chleb 1

wędlinę w supermarkecie. Trzy dni wcześniej zostawił indyka na noc na blacie, ale i tak zjadł go rano i teraz cierpi na zatrucie pokarmowe. Nie był w szkole od dwóch i pół dnia.

Przez cały ten czas ja też nie chodziłam na lekcje, tylko go pielęgnowałam. Każdego ranka wychodziłyśmy z Josie z domu i szłyśmy w kierunku szkoły, ale ja wracałam bocznymi uliczkami, żeby Nicole i tata nie widzieli, jafe wchodzę do domu Richiego.

Teraz patrzę, jak młodsza ja wchodzi do jego sypialni. W jednej ręce niosę miseczkę parującego rosołu, w drugiej szklankę wody. Richie tak źle się czuje, że ledwo mnie zauważa. Koło jego łóżka stoi wiadro.

Czuję zapach, jaki unosi się w pokoju, śmierdzi potem i wymiocinami.

- Hej - szepcze moje młodsze ja. Chociaż jest tu tylko Richie, jestem ubrana jak z igły, mam pełny makijaż i włosy splecione w perfekcyjny warkocz, który przerzuciłam przez ramię. - Jak się czujesz

- Uuuch - jęczy Richie, po czym milknie, łapiąc ciężkooddech. - Lepiej. Czuję się trochę lepiej.

Ostrożnie siadam obok niego na łóżku. Na sekundę moje spojrzenie biegnie do wiadra, odnotowuję jego zawartość, która wydaje mi się zupełnie nie przeszkadzać.

Stawiam miskę i szklankę na szafce nocnej i przyciskam dłoń do czoła Richiego.

Kiedy ją odrywam, pot prawie kapie mi z palców. Bez wahania wycieram rękę o moje czarne rybaczki.

Jako szesnastolatka spoglądam na Richiego z prawdziwą miłością. Jako duch patrzę na nas dwoje, tak wzruszona niemal dotykalaną czułością, że prawie zapominam I oddychać. Nie żeby to miało jakieś znaczenie.

- Możesz usiąść? - pytam, dotykając lekko jego pleców. Richie leży na boku i cały

łśni od potu.

- Tak. - Siada. Drżącą dłonią sięga po szklankę wody i wypija kilka łyków.

Bez słowa obejmuję go w pasie i przyciskam drugą dłoń do jego czoła.

- Masz ciepłe czoło - mruczę.

- To tylko zatrucie pokarmowe. Nie mam gorączki, Liz. Nic mi nie będzie.

Przyciągam go bliżej.

- Powinieneś pójść do lekarza.

- Nie. - Wypija ostatni łyk wody, odstawia szklankę i znowu opada na łóżko, ciągnąc mnie za sobą. - Już mi lepiej. Muszę wyzdrowieć. Mam tony pracy domowej do nadrobienia. - Przerywa. - Tak jak ty, skoro już o tym mowa.

Ignoruję tę uwagę, wyraźnie nieprzejęta zaległościami w szkole.

- Moglibyśmy kogoś wezwać, żeby cię zobaczył. Może tatę Sharon Reese? Na pewno by przyjechał.

- Elizabeth. - Richie na wpół się uśmiecha. - On jest weterynarzem.

Wzdychając, kładę się koło niego i obejmuję go ramionami, nasze palce splatają się na jego brzuchu.

- Co mogę zrobić, żeby ci pomóc?

Zamyka oczy.

- Już mi pomagasz. Jesteś tutaj. Ale Liz, jutro musisz iść do szkoły. Wiesz, że zadzwonią do twoich rodziców, jeśli opuścisz trzy dni z rzędu

- Uhm. Nie szkodzi. Tata będzie w pracy, a Nicole nigdy nie odbiera domowego telefonu. Jeśli zostawią wiadomość, to ją usunę. - Zamykam oczy, przytulając się do niego mocniej. Patrząc na nas, pamiętam dotyk jego ciała. Pamiętam, że widziałam

każdy por na jego ramionach i plecach, maleńkie włoski na szyi, to jak jego skóra wydawała się oddychać z ulgą w chłodnym powietrzu. Pamiętam to wszystko bardzo wyraźnie.

- Ale opuszczasz lekcje.

- Cii. Nie zostawię cię.

Richie bierze kolejny głęboki oddech, z jego piersi dobywa się cichy świst.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi. Śpij. Będę tutaj.

- Liz?

-- Hm?

- Dlaczego ci na mnie zależy?

Pytanie mnie zaskakuje. Jest zupełnie nietypowe dla Richiego, zwykle tak opanowanego i pewnego siebie. Otwieram oczy.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo nie rozumiem. Tak bardzo się różnimy.

Podnoszę rękę i wycieram mu z czoła świeże krople potu. Tym razem nie osuszam dłoni o spodnie, tylko znowu splatam palce z jego palcami i leżymy tak razem, jego lepki pot wsiąka w moją umalowaną twarz i szykowne ubranie. Wyraźnie zupełnie mnie to nie obchodzi.

- Ale pasujemy do siebie - szepczę. - O tak. - Ściskam go mocniej.

- Uhm. - Uśmiecha się, nie otwierając oczu. - Masz rację. Pasujemy do siebie.

- Richie... kłamałam. Nie lubię cię.

- Nie? - Głos mu się łamie.

- Nie- Przysuwam usta do jego ucha. - Ja cię kocham, Richie.

- Elizabeth Valchar. Liz. Ja też cię kocham.

- Pasujemy do siebie - powtarzam.

- Masz rację - szepcze. - Pasujemy.

Nie chcę nas dłużej oglądać. To za bardzo boli. Zrobiłabym wszystko - wszystko - za jeszcze jedną sekundę blisko niego, tak jak tamtego popołudnia.

Kiedy otwieram oczy, żeby spojrzeć na terażniejszość, gdy widzę mojego chłopaka całującego moją przyszywaną siostrę i popychającego ją w stronę tego samego łóżka, na którym leżeliśmy kiedyś razem i po raz pierwszy wyznaliśmy sobie miłość, prawie nie mogę na to patrzeć. Ale co mam innego robić? Dokąd pójść?

- Poczekaj - mówi Richie i odsuwa się na sekundę przedtem, zanim oboje upadną na materac.

Josie wyciera mokre usta wierzchem dłoni.

- Co się stało?

Richie wbija wzrok w podłogę, po czym podchodzi do biurka. Patrzy na nasze zdjęcia.

- Nie mogę teraz tego zrobić.

Czuję się tak, jakby mnie spoliczkował.

- *Teraz?* Co on ma na myśli, mówiąc „teraz”?

- Że kiedyś będzie mógł - wyjaśnia Alex.

- Och nie. Nie, nie, nie. To nie może być prawda.

Josie siada na łóżku i zdezorientowana patrzy na mojego chłopaka; zawija na palcu kosmyk włosów, przygląda się im w poszukiwaniu rozdwojonych końcówek. Wydaje się zirytowana jego oporem

- Ja wiem, że jest ci ciężko, Richie. Wszystkim nam jest ciężko. Ale Liz chciałaby,

żebyśmy byli szczęśliwi.

- Nieprawda - mówię do Aleksa. - Nie w ten sposób.

Richie podnosi na nią wzrok.

- A dlaczego myślisz, że jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwy? - pyta. - Tylko dlatego, że ona odeszła... to nic nie zmienia. Nigdy jej nie powiedzieliśmy. To by jej zламаło serce, Josie.

Przecina pokój i podchodzi do półek na książki wbudowanych od podłogi do sufitu. Richie przeczytał więcej książek niż ktokolwiek, kogo znam. W szkole dostaje same piątki i niemal od dawna, niemal zawsze, mówił, że w przyszłości chce zostać pisarzem. Ale to nie dlatego ludzie nazywają go Słynnym Richiem Wilsonem.

Richie jest handlarzem narkotyków. Prawdziwym. Głównie handluje trawką, ale innymi używkami też - lekami na receptę, jak adderall\* 2czy percocet\*3, czasami też twardszymi narkotykami. Sprzedaje je uczniom w naszej szkole, ludziom z miasta, nawet znajomym rodziców. To jedyne, czego nie mogłam w nim znieść. Kilka razy zastanawiałam się nad zerwaniem z nim z tego powodu. Ale nie zerwałam. Kochałam go. A on kochał mnie - przynajmniej tak myślałam.

Sięga po „Wielkie nadzieje”, dużą książkę w czarnej, twardej oprawie, która - jak wiem - jest pusta. W środku leżą poukładane torebki odważonej marihuany.

Josie prostuje się, kiedy to widzi.

- Jeżeli zamierzasz to robić, idę do domu. - Potrząsa głową. - Nie zniosę tego.

\* Adderall - nazwa handlowa środka farmaceutycznego stosowanego jako lek pomocniczy w leczeniu nadpo-

budliwości psychoruchowej i zaburzeń uwagi (ADHD). Zażywany również niet®" galnie (w celach nielec-

nicznych) przez sportowców jako środek dopingujący.



\* Percocet - narkotyczny lek przeciwbólowy.

- Zostań jeszcze tylko kilka minut, dopóki nie wypalę. - Wzdryga się, zwrócony do niej plecami. - W tej chwili nie mogę stawić czoła rzeczywistości.

- Kiedyś będziesz musiał. - Josie pociąga nosem. -Wszyscy będziemy musieli. Jakos.

Richie siada przy biurku i starannie zwija jointa.

- Hej - mówi Josie. - Chcesz usłyszeć dziwną historię? OLiz?

Richie nie podnosi na nią wzroku.

- Założę się, że już ją słyszałem, ale mów.

- Nie. - Josie jest wyraźnie podekscytowana. - Założę się, że nie słyszałeś. Wiesz, że moja mama interesuje się zjawiskami paranormalnymi, prawda?

- Wiem, że czasem odlatuje. - Teraz na nią patrzy. -Tak jak ty, kotku.

- Kotku? - Aż skrzeczę. Podchodzę do Richiego i obejmuję go za szyję. Przytulam policzek do jego policzka. Nadal tak naprawdę nie mogę go dotknąć, a on w żaden sposób nie okazuje, że mnie wyczuwa. Ale wiem, że jesteśmy połączeni. Oddychamy w tym samym tempie ' wiem, że część mnie wciąż jest przy nim.

- A więc, kilka lat temu zabrała mnie i Liz do kościoła sobytualistycznego w Grotton. Często chodzimy tam z mamą. Liz prawie nigdy z nami nie chodziła, ale wtedy nie wiem, może się nudziła i uznała, że to zawsze jakiej zajęcia na sobotę. Było tam kilka osób o zdolnościach parapsychicznych.

Odsuwam się od Richiego, bo prawie nie mogę znieść uczucia takiej bliskości. On przewraca oczami. Nie wierzy w duchy. Tak naprawdę to chyba w nic nie wierzy.

- I co, rozmawiałyście z medium?

Josie potakuje.

- Tak, rozmawialiśmy. Ale teraz najciekawsze, jeden z nich, taki facet, nie mógł oderwać wzroku od Liz. Zerkał na nią cały czas podczas rozmów z innymi ludźmi. W końcu, gdy już wychodziłyśmy, podszedł do nas, chwycił ją za ramię i powiedział coś naprawdę przerażającego.

Richie liże bibułkę, zakleja jointa.

- No? Co takiego powiedział?

- Powiedział, żeby się strzegła farbowanego rudzielca. I że ktoś rudy kiedyś będzie stanowił dla niej zagrożenie. I wiesz, był tak *natarczywy*, jakby naprawdę było ważne, żeby ona go wysłuchała i wzięła sobie jego słowa do serca.

Richie trzyma jointa, patrząc na Josie.

- Chcesz czy nie?

Ona kręci głową.

- Nie chcę. - Milknie. - Nie sądzisz, że to ciekawe?

Richie przełyka ślinę.

- Nie. Sądzę, że głupi facet usiłował wyciągnąć kilka dodatkowych dolców od słodkiej dziewczyny. O ile wiem, Liz nawet nie знаła nikogo rudego. Czy znała?

Josie wpatruje się w niego.

- Nie. Naprawdę chcesz, żebym poszła?

- Przepraszam, Josie, po prostu jest za wcześnie. - Waha się. - Przyjdź jutro, do-  
brze?

- Jutro ?- parskam. - Dzisiaj jest za wcześnie, ale jutro już będzie w porządku? -

Patrzę na Richiego surowo. - Słyszał już tę historię. Opowiedziałam mu ją zaraz po powrocie z tego ich kościoła.

Josie wstaje.

- Okej - mówi. - Widzimy się jutro. - I zbiera się do wyjścia bez dzięki Bogu choćby uścisku na pożegnanie.

Richie otwiera okno i zapala jointa. Wpatruje się w „Elizabeth”, która stoi teraz spokojnie na wodzie, bez śladu horroru, jaki rozegrał się na pokładzie zaledwie kilka dni temu. Wydychając dym, mówi głośno:

- Słyszałem już tę historię. Liz opowiedziała mi ją zaraz po powrocie z tego kościoła.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Nie minęło nawet dziesięć sekund od wyjścia Josie, kiedy ktoś cicho puka do drzwi. Richie nie wydaje się zadowolony z tego, że prawdopodobnie wróciła. Przez kilka sekund nic nie mówi, tylko siedzi, patrząc przez okno i paląc jointa.

*Puk, puk, puk.*

Joint trzeszczy, kiedy pali się ziarenko. Nieszczęsny Richie zaciąga się głęboko, spoglądając czujnie na drzwi.

- Idź sobie! - krzyczę. - On nie chce cię widzieć!

Alex wydaje się zmieszany, jakby nie wiedział, co powinien zrobić.

- Jesteś zła - mówi. - Spróbuj się uspokoić.

*Puk, puk, puk.*

Nie ma mowy, żebym się uspokoiła.

- Powtórzył dokładnie to, co powiedziałam, prawie słowo w słowo. Myślisz, że mnie wyczuwa?

- Nie wiem. - Alex zastanawia się przez chwilę. - To było dziwne. I mówiłaś, że go czułaś, kiedy go dotykałaś?

- - Prawie. Myślę, że bym poczuła, gdybym wystarczająco się skoncentrowała.

Alex kręci głową.

- Nie wiem, Liz. To mi się nigdy nie zdarzyło. Są ludzie, którzy mogą mnie zobaczyć...

- Co? - prawie wrzeszczę. - Ludzie mogą cię widzieć? Kto?

- Niemowlęta - odpowiada. - Małe dzieci mnie widzą. Mam kuzyna. Kiedy zmarłem, miał prawie dwa lata i na pewno mnie widział, ale gdy podrosł, kiedy tylko zaczął mówić zrozumiałymi zdaniami, przestał. - Alex przerywa. - Zwierzęta też mnie widzą. Na przykład mój kot.

Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Żartujesz. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Wzrusza ramionami.

- Nie sądziłem, że to ważne.

- Może nie. Ale na pewno interesujące. - Potrząsam głową. - W każdym razie zgadzasz się, że Richie i ja wciąż w jakiś sposób jesteśmy ze sobą związani?

Alex przytakuje.

- Tak. Może masz rację. I co z tego?

Zanim zdążę odpowiedzieć, znowu słyszymy pukanie do drzwi. Puk, puk, puk.

Richie wzdycha. Przez kilka sekund wpatruje się \* jointa. po czym wyrzuca go przez okno. W pokoju le\* siwo od dymu. ~ Proszę - mówi, kaszląc.

Jestem pewna, że to znowu Josie, ale w drzwiach staje ktoś inny. To ten gliniarz, Joe Wright. Każdy inny chłopak by spanikował, ale Richie nie jest każdym innym chłopakiem. Nigdy za bardzo się niczym nie przejmował. Jest chłodny, spokojny, zawsze opanowany. Kiedy byłam z Richiem, czułam się tak, jakby wszystko było pod kontrolą. Patrząc na niego teraz, zdaję sobie sprawę, że jest tylko dzieciakiem, który

nie miał zielonego pojęcia, jak zapewnić mi bezpieczeństwo. Przecież umarłam niecałe trzy metry od niego, a on spał. Dlaczego się nie obudził? Musiałam wydać jakiś dźwięk, plusk, krzyk, cokolwiek. Ale on był pijany. Upalony. Tak nieprzytomny, że nie obudził się nawet po to, żeby uratować mi życie.

- Kto pana wpuszczał do mojego domu? - pyta Richie.

- Twoja dziewczyna. - Joe macha mu ręką przed nosem. - Powinieneś zainwestować w wiatrak, dzieciaku. Czuć to aż na schodach. - Joe wciąż ma na sobie garnitur i krawat z pogrzebu. Bez munduru policjanta wygląda jak każdy normalny facet. Dobiega czterdziestki, jest przystojny i wysportowany, ma schludnie ostrzyżone ciemne włosy i piegi na opalonej twarzy. Wygląda miło i niegroźnie, ale wiem, że Richie szybko się przed nim nie otworzy. Z zasady nie ufa dorosłym, już zwłaszcza tym w mundurach.

Richie mruga.

- Tak dla jasności, Josie nie jest moją dziewczyną, Liz nią była.

- Pewnie. - Joe podchodzi do niego bliżej, podnosi palec wskazujący i przesuwa po policzku Richiego, po czym unosi palec do góry. - Szminka - mówi.

- Och. cudownie. - Udaję, że klaszczę. - To ci dopiero solidna policyjna robota.

- O co panu chodzi? - pyta Richie z niezmaconym spokojem.

- Chodzi mi o to, że Josie nie chciała spojrzeć mi w oczy, kiedy mnie wpuszczała.

- I co z tego? Jest zrozpaczona. Właśnie wróciliśmy i pogrzebu jej siostry. - Richie patrzy na niego. - A co miała zrobić? Uśmiechnąć się do pana szeroko? Przybić piątkę? - Potrząsa głową. - Kurna, lokalne gliny. Joe ignoruje jego uwagę.

- Wiem, że byliście na pogrzebie. Widziałem was. A ty mnie? - Wysuwa krzesło spod biurka. - Mogę usiąść? - pyta i, zanim Richie zdąży odpowiedzieć, siada.

- Nie powinienem z panem rozmawiać - mówi Richie. - Nie może pan tak wchodzić do mojego domu. Powinienem zadzwonić do prawnika.

Joe unosi brew.

- Uważasz, że potrzebny ci prawnik?

- Nie. Nie zrobiłem nic złego.

- Czy Liz by się z tym zgodziła? Właśnie całowałeś jej siostrę.

- *Przyszywaną* siostrę. Cóż... to skomplikowane. Może siostrę przyrodną.

- Przyrodną? - Joe jest wyraźnie zainteresowany. "Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ niektórzy myślą, że Josie i Liz są przyrodziosiostrami. Mnóstwo ludzi tak

uważa. - Przerzywa - Ale nie Liz. Nigdy w to nie wierzyła. - Richie wyciąga z kieszeni

kawałek gumy do żucia, wrzuca ją do ust i powoli żuje, jakby nie chciał dzielić się z

Joem informacjami. - Widzi pan, w mieście zawsze krążyły plotki, że tata Liz i mama

Josie... że coś ich łączyło już przed śmiercią mamy Liz. W liceum byli parą. I nie-

którzy - na przykład moi rodzice - sądzą, że Josie jest bardzo podobna do pana Val-

chara. - Richie kręci głową, to dla niego wyraźnie niewygodny temat. - Nie wiem, czy

to prawda, czy nie. I nie ma to znaczenia. Żadnego. I może się całowaliśmy, ale musi

pan zrozumieć, że to nie jest tak, jak pan myśli.

- A jak? I mógłbyś zachowywać się grzeczniej. W każdej chwili mogę cię aresz-

tować za posiadanie.

Richie rozkłada ręce.

- Niech pan to zrobi. Nie mam nic do stracenia. - Jestem zaskoczona, że powie-

dział Joemu tak dużo o historii mojej rodziny. Może po prostu chce o mnie mówić.

- Jestem pewien, że nie masz. Gdzie są teraz twoi rodzice? Widziałem ich na po-

grzebie.

Richie kiwa głową.

- Tak, udało im się wpaść.

- Ale teraz ich nie ma?

- Są zajętymi ludźmi. - Parska. - Bardzo oddanymi sztuce.

- Rozumiem. - Joe rozgląda się po pokoju i zatrzymuje wzrok na zdjęciach na biurku. - Posłuchaj, sprawa jest oficjalnie zamknięta, ale mam trochę wolnego czasu - wiesz, my, lokalne gliny, zawsze mamy wolny czas - i zamierzam zadać jeszcze kilka pytań. Wszystko 10, co powiedzieliście, się zgadza, ale jest takie... takie poszlakowe. Nie mamy żadnych twardych dowodów. Chcę znaleźć coś, dzięki czemu będę pewien, co się stało. Poza tym Liz jest druga z nastolatków zabitych w Noank w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

Richie siada na łóżku.

- A kto był pierwszy?

- On mnie nawet nie pamięta - mówi Alex. Wydaje się autentycznie tym zmartwiony.

Dlaczego to cię obchodzi? - pytam.

Zastanawia się przez chwilę.

Nie wiem. Po prostu obchodzi.

Alex Berg - mówi Joe. - Przestań, nie jesteś aż tak upalony. Był w twoim wieku.

Ktoś go przejechał i uciekł z miejsca wypadku zeszłego roku w sierpniu przed Mystic Market.

Och, prawda. - Richie kiwa powoli głową. - Jasne, pamiętam. Widziałem plakaty na mieście. - Zastanawia się nad czymś. - Liz i Caroline poszły na jego pogrzeb, ja nie chciałem. Pogrzeby przyprawiają mnie o ciarki. Ale jakie to ma znaczenie? Tamten

wypadek nie miał nic wspólnego z nami.

Ma znaczenie - protestuje Joe - ponieważ ludzie się niepokoją. Najpierw ucieczka z miejsca przestępstwa. I teraz to. Dwoje zdrowych dzieciaków ginie w odstępie niecałego roku. To małe miasto. Rodzice się martwią.

To był wypadek. Nikt nie zabił Liz.

Joe kiwa głową.

Prawdopodobnie nie. Mam taką nadzieję. Ale widzisz Richardzie...

Richie.

Widzisz - kontynuuj - oto ty, upalony, romansujesz z przyszywaną siostrą, siostrą przyrodnią czy kim tam jest swojej nieżyjącej dziewczyny. W dniu jej pogrzebu. A ja nie wiem, jak wytłumaczyć tak niemoralne zachowanie. Zdajesz się wyjątkowo niewrażliwy, nie sądzisz?

Richie wpatruje się w lśniące deski podłogi.

Dlaczego nie może mnie pan po prostu aresztować za posiadanie?

A dlaczego miałbym to zrobić?

Bo jestem nikim.

Liz tak nie uważała.

Richie podnosi wzrok.

Uważała. - Przetyka. Cała jego charakterystyczna pewność siebie zniknęła, ledwo go poznaję. - Zdradzała mnie. - W jego ciemnych, przekrwionych oczarh lśnił łzy. - Od miesięcy, a ja nic nie wiedziałem. Dopiero Josie mi powiedziała.

Och. - Alex patrzy na mnie, kręcąc głową. - Ty *niedobra* dziewczyno.

Otwieram usta ze zdziwienia.

On się myli - mówię. - Nie mam pojęcia, o czym mówi.



Zdradzałaś go - wyjaśnia Alex. - Słuchaj.

To było zaraz po Bożym Narodzeniu - kontynuuje Richie. - Zauważyłem, że od jakiegoś czasu Liz znika, czasami na długie godziny. Wydawała się inna. Zacząłem się martwić. Zawsze była szczupła, ale ostatnio jeszcze bardziej schudła. Myślałem, że to dlatego właśnie umarła, prawda? Hipoglikemia z alkoholem? Zeszłej wiosny obliczyliśmy na lekcji o zdrowiu nasz BMP\*4 i Liz wyszedł o wiele za niski. - Milknie, wspominając. - W każdym razie nie chodziło tylko o utratę wagi. Nie sądzę, żeby jedno było związane z drugim. Chodziło o coś więcej. Liz oddaliła się ode mnie. Na początku pomyślałem, w porządku, ma obsesję na punkcie biegania. Zawsze była świetna na długie dystanse, ale miała kłopoty z szybkością. Uznałem, że próbuje to zmienić. Może trochę przesadzała. Często wstawiała o piątej rano i biegała przez dwie godziny przed lekcjami. - Potrząsa głową. - Szalona. Była zwariowana na tym punkcie. - Dlaczego zacząłeś podejrzewać, że chodzi o coś innego - pyta Joe - a nie tylko o obsesję na punkcie biegania? Josie tak ci powiedziała?

Richie potakuje.

Tak, Josie. Kilka tygodni przed balem na koniec roku szkolnego. Przez cały dzień próbowałem skontaktować się z Liz, ale nie odbierała telefonu. W końcu poszedłem do niej - mieszka tylko dwa domy dalej - ale jej nie było. Zacząłem rozmawiać z Josie i wtedy mi powiedziała.

On się myli - mówię stanowczo. - Nigdy bym go nie zdradziła. Nigdy.

-Zastanów się dobrze - radzi Alex. - Pamiętasz to?

- Nie, ale to nieważne! Nie muszę pamiętać, żeby mieć pewność. To niemożliwe.

Alex przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówi w końcu.

4 (ang. *Body Mass Index*) - współczynnik masy ciała, który obliczamy, dzieląc masę ciała podaną w kilo-

gramach przez wzrost, w metrach, podniesiony do kwadratu.

- W co nie możesz uwierzyć?

- Że wciąż taka jesteś. Nawet po wszystkim, co ci się przydarzyło, nadal jesteś okropnym człowiekiem. Jeżeli on mówi, że go zdradzałaś, to pewnie tak było. W każdym razie ja mu wierzę. Jesteś samolubna. Powierzchnowna. Założę się, że jeśli zainteresował się tobą ktoś lepszy niż Richie, nawet się nie obejrzałaś.

- Nie zdradziłam go! - krzyczę najgłośniejszym głosem, jak potrafię. - Kochałam go, Alex. Może dla ciebie nie jestem zbyt miła, ale z Richiem było inaczej. Poza tym, gdybym go zdradzała - czego nie robiłam - dlaczego miałabym teraz się tego wypierać? Dlaczego miałabym cię okłamywać?

- Nie wiem. Może jeszcze nie pamiętasz. A może nie chcesz, żebym uważał cię za złego człowieka.

Mój głos drży.

- Alex, mówię ci prawdę. Tak, nie pamiętam wszystkiego sprzed śmierci, ale tutaj nie ma czego pamiętać. Znam Richiego, odkąd oboje mieliśmy po dwa lata. Coś się nie zgadza. Nigdy bym go nie skrzywdziła.

I wtedy, jakby na sygnał, Richie mówi:

- Nie sądzę, żeby chciała mnie skrzywdzić. Tak długo byliśmy razem, może chciała... nie wiem, sprawdzić, jak to jest z kimś innym. - Przełyka ślinę. - W każdym razie nie uwierzyłem Josie. Wyzwałem ją od kłamczuch. Ale ona powiedziała, że mi to udowodni. Zawiozła mnie do Groton, do kompleksu mieszkalnego nad rzeką. Znaleźliśmy samochód Liz. Stał przed domem kolesia, którego znam.

Richie zaciska w lewej pięści róg brązowo-granatowej patchworkowej narzuty,

palcami prawej ręki wyskubuje nitki ze szwów. Oczy ma wciąż pełne łez. Słuchając jego słów. zdaję sobie sprawę, że niczego takiego nie pamiętani- Ale bez względu na to, co myśli Alex, nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nawet nie znam nikogo, kto mieszka w Groton. Zupełnie jakby ktoś starł moją pamięć na tarce do sera. Potwornie frustrujące uczucie.

Dlaczego jednak Richie miałby kłamać? Kiedy patrzę, jak tak skubie nerwowo nitki z narzuty, nie mam absolutnie żadnych wątpliwości: on wierzy, że mówi prawdę.

- Kolesi, którego znasz - powtarza Joe. - Jak ma na imię? Skąd go znasz?

0 Taki jeden, Vince. Vince Aiello. - Głos mu się załamuje. - Był moim kumplem.

Jest starszy.

- O ile?

- Nie wiem. Ma dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa lata? Czy to ważne?

- To ważne, jeśli sypiał z Liz.

Richie raptownie łyka powietrze. Przez chwilę oczekuję, że będzie mnie bronił, wytłumaczy, że byłam dziewicą i absolutnie nie mogłam z nikim sypiać. Ale on nic nie mówi.

- Skąd Liz знаła Vince'a? - docieka Joe.

- Ja ich poznałem.

- Co się wydarzyło tego dnia, kiedy zobaczyłeś jej samochód przed jego domem?

Doprowadziłeś do konfrontacji?

- Nie, Cóż, w pewnym sensie. Siedzieliśmy tam prawie godzinę, zanim Liz w końcu wyszła, patrzyłem, jak wychodziła i wsiadała do samochodu, a kiedy dojechała do domu odczekałem chwilę i zadzwoniłem do niej. Zapytałem gdzie była cały ranek. -

Opuszcza wzrok na narzutę, którą nadal ściska w dłoni. - Powiedziała mi, że była na

zakupach w centrum handlowym. Skłamała. - Richie znowu patrzy na Joego, w jego oczach płonie złość. - Chcę go zabić.

- Kogo? - pyta Joe.

- A jak pan myśli? Vince'a. - Richie kiwa głową, jakby rozważał ten pomysł. - Naprawdę. Naprawdę chcę go zabić.

- Hej. Uważaj, co do mnie mówisz, kolego - ostrzega Joe niby to lekkim tonem, ale widzę, że potraktował sprawę poważnie. Richie nie dodaje nic więcej, tylko znowu wpatruje się w zaciśniętą w rękę narzutę.

Po raz pierwszy zauważam, że Joe nosi cienką i srebrną obrączkę. Wpatrując się w Richiego, przesuwa ją kciukiem tam i z powrotem na palcu.

- Kiedy zaczęło się coś dziać między tobą a Josie?

- Nie wiem. Kilka tygodni później. - Richie patrzy przez okno na łodzie zacumowane wzdłuż brzegu, jego wzrok zatrzymuje się na „Elizabeth”, na której spędziliśmy razem taki cudowny wieczór zaledwie kilka dni temu. Przed moją śmiercią. Wtedy, kiedy życie było miłe. Łatwe, idealne. Przynajmniej tak mi się wydawało.

- To, co jest między mną a Josie, nie ma znaczenia. To tylko zwykły, brudny romansik nastolatków. Myślałem, że Liz i ja byliśmy inni, ale okazało się, że nie. To między mną a Josie po prostu się przytrafiło. Nie ma żadnego znaczenia.

- Czy Josie o tym wie?

- Myślę, że tak. - Richie kiwa głową, nadal wpatrując się w Elizabeth  
Joe wsuwa obrączkę z powrotem na miejsce. Podnosi się. staje za plecami Richiego i podąża spojrzeniem za jego wzrokiem.

- Co się stało tamtej nocy? Pokłóciliście się z Liz? powiedziałaś jej wszystko?

- Nie. Nie wiedziała, że ja wiem.

- Dlaczego miałaś jej nie powiedzieć? Daj spokój, Richie, byłeś zły. Romansowa-  
łeś z jej przyszywaną siostrą. Rozumiem, chciałeś ją zranić w odwecie za to, co ci  
zrobiła.

Richie się odwraca.

- Myli się pan. Pewnie, byłem zły. Chyba w jakiś sposób chciałem się na niej ode-  
grać, romansując z Josie. Wiedziałem, że w końcu będę musiał doprowadzić do kon-  
frontacji, i zdawałem sobie sprawę, że prawdopodobnie rozstaniemy się z powodu te-  
go, co zrobiła.

Joe patrzy na niego sceptycznie.

- Ale jeszcze nie wtedy?

- Nie. Jeszcze nie.

- A dlaczego?

- Ponieważ ... - zaczyna Richie, znowu patrząc na łódź. Unosi kciuk i zatrzymuje  
przed oczami, jakby chciał wymazać „Elizabeth” z pola widzenia. - Nie chciałem ze-  
psuć jej przyjęcia urodzinowego. Za bardzo ją kochałem

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Tak mało pamiętam ze swojego życia. Nie potrafię sobie przypomnieć, co robiłam  
w tę noc, kiedy umarłam, ani tydzień wcześniej. Poza krótkim wspomnieniem o Ri-  
chciem ze mną w samochodzie prawie nie pamiętam balu na koniec roku. Nie pamię-  
tam, kiedy ostatni raz za życia rozmawiałam z rodzicami. Nawet nie mogę przysiąc,  
że nie zdradzałam mojego chłopaka. Ale pamiętam bieganie.

Bieganie jest częścią mnie. Pamiętam rytm moich stóp na asfalcie i na ziemi. Pa-  
miętam, jak co rano budziłam się powoli, wychodziłam na dwór i zaczynałam truch-  
tać przy końcu High Street. Jak zaczynałam biec, czując zimno i zmęczenie, a koń-

czyłam spocona i szczęśliwa. Bieganie było magią. Samotnym błogosławieństwem.

Było wszystkim i chyba za bieganiem tęsknię najbardziej. Dlatego jest jakaś okrutna ironia w fakcie, że w życiu po życiu noszę źle dopasowane kowbojki, które cisną moje już i tak zniekształcone stopy. Te buty są jedynym źródłem bólu, jaki czuję, pełnie nie rozumiem dlaczego. Za życia je uwielbiała®-

Nigdy n'e przypuszczałam, że po śmierci staną się nieodłączną częścią mnie.

Siedzimy z Alekssem na białym linoleum obok szafek na drugim piętrze liceum

Noank. Jest pierwszy dzień nowego toku szkolnego, w którym poszlibyśmy do ostatniej klasy, i korytarze wypełnia niemal namacalny smutek z powodu śmierci ulubionej popularnej dziewczyny. Uczniowie zachowują się ciszej niż zwykle, jakby nikt nie chciał wydawać się zbyt radosny. Na zewnątrz opuszczono flagę do połowy masztu.

Moje nieoficjalne miejsce parkingowe stoi puste. Rano słyszałam, jak kilka osób mówiło, że w bibliotece czekają psychologowie gotowi pomóc każdemu, kto czuje się przytłoczony tą przedwczesną śmiercią.

Czy tak samo było po mojej śmierci? - pyta Alex. Generalnie cieszę się, że mam towarzystwo, ale są chwile - tak jak teraz - kiedy jestem *naprawdę* zła, że on ciągle tu jest. Zawsze ma mnóstwo dociekliwych pytań i kąśliwych uwag dokładnie wtedy, kiedy cieszę się samotnością związaną z byciem duchem, milczącym obserwatorem.

Przez chwilę mam ochotę powiedzieć: -Nie, oczywiście, że nie. Ty nie byłeś popularny". Ale nie jestem aż *taka* podła, przynajmniej nie teraz. Jeśli byłam za życia tak okropna, jak twierdzi Alex, to chociaż po śmierci mogę spróbować zachowywać się lepiej. Ale zamiast tego mówię:

- Tak, mniej więcej tak samo.

Ale to nieprawda. Ku swojemu zaskoczeniu zauważam, że wracają do mnie

wspomnienia tych kilku dni po jego śmierci. Patniętam, jak przyszedł na lekcje po tym, jak zginął. Szkoła zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano: opuszczona flaga, kilku psychologów, nawet minuta ciszy podczas godziny wychowawczej. Ale pamiętam też, że tamtego ranka rozdawano albumy szkolne, otwarte na zdjęciu Aleksa, żebyśmy wiedzieli, kogo opłakujemy. A podczas minuty ciszy w mojej klasie jeden z moich kolegów, Chad Shubuck, puścił obraźliwego, bardzo głośnego bąka. Prawie wszyscy się śmiali.

Wracam do terażniejszości i czuję ogromną ulgę, kiedy zauważam, że Alex nie widział mojego wspomnienia. Współczuję mu.

Widzę Chada Shubucka teraz, stoi w grupie uczniów na końcu korytarza, gdzie powieszono w ramie moje powiększone zdjęcie z zeszłorocznego albumu. Wpatruje się w milczeniu w moją twarz - to fantastyczne zdjęcie - po czym powoli kreśli znak krzyża, jakby właśnie skończył modlitwę.

Szukam wzrokiem reszty moich przyjaciół. Niecałe trzy metry dalej Richie stoi przed otwartą szafką i wpatruje się w jej zawartość. Wydaje się zatopiony w myślach, kiedy podchodzą do niego Topher i Mera, każde trzyma rękę w tylnej kieszeni spodni drugiego.

Topher, o wilgotnych oczach, wypucowany amerykański chłopak, ubrany w białoczerwoną sportową kurtkę, koszulkę i džinsy, żuje gumę bez cukru (ma obsesję na punkcie higieny jamy ustnej - w końcu jego ojciec *jest* najbardziej szanowanym w Noank dentystą i chirurgiem szczękowym), błyska pełnym współczucia uśmiechem, odsłaniając dwa rzędy lśniących białych zębów, i opiew się o sąsiednią szafkę.

- To dziwne uczucie, prawda? - mówi, przeczesując palcami potargane włosy. -

Być tutaj bez Liz.

- potworne. - Mera musiała wstać przed świtem, jgby ułożyć sobie włosy, pozwi-  
jane teraz w niezliczone. idealne blond loczki. Na paznokciach ma akrylowe francu-  
skie tipsy. - Wszyscy będą chcieli wiedzieć, co się stało. A skoro to ja ją znalazłam,  
ja będę musiała im opowiedzieć.

Wiedziałam. *Wiedziałam*, że wycisnie z mojej śmierci tyle uwagi dla siebie, ile  
tylko będzie mogła. To dla niej takie typowe. Jestem *martwa*, na litość boską. Można  
by pomyśleć, że chociaż raz nie wykorzysta okazji, by stać się centrum zainteresowa-  
nia.

-  
Nic im nie mów. Nie muszą nic wiedzieć. - Richie zdejmuję kurtkę. Ma na so-  
bie doszczętnie sprany podkoszulek Yale i pogniecione džinsy, które wyglądają, jak-  
by od tygodni leżały zwinięte w kulkę na podłodze w sypialni. Jest nieuczesany, a  
pod wielkimi oczami ma opuchnięte, szarawe worki. Richie nigdy nie przywiązywał  
zbyt dużej wagi do swojej prezencji, ale dzisiaj stanowczo wygląda na bardziej za-  
niedbanego niż zwykle. Nie wydaje się, żeby go to w ogóle obchodziło.

-  
Nie zrozum mnie źle, Richie - wtrąca Mera, marszcząc brwi - ale wyglądasz  
okropnie. Na wewnętrznych drzwiach szafki Richiego wisi nasze Ujęcie. Zrobiono je  
na trawniku przed moim domem, P°d koniec zeszłych wakacji. Na fotografii widać  
tylko lasze twarzy i górne części ciała, ale obok nas stoi ktoś tezcze. kto obejmuje  
mnie ręką za ramiona i opuszkami Palców dotyka karku Richiego. To Josie. Wzrok  
Richiego też pada na zdjęcie i widzę, że chce z nim coś - może je zerwać? Wyrzucić?  
jednak nic nie robi.

-



- Muszę iść - mówi do Mery i Tophera. Wypuszcza długi oddech, jakby próbował odzyskać swój zwykły chłód i pewność siebie. Ale kiedy się odzywa, ma zmęczony głos: - Chcecie czegoś ode mnie?

Topher pochyla się i mówi cicho.

-

- Hej, stary. Wiem, że jest nam wszystkim ciężko, ale chyba możesz pomóc bratu?

-

- O co mu chodzi? - szepcze Alex.

-- Cii.

-

Czy o narkotyki?

Patrzę na Aleksa.

-

- Czy jesteś nie tylko martwy, ale i głuchy? Powiedziałam „cii”.

-

- Czego chcesz? - pyta znowu Richie, zamykając szafkę i zerkając na zegar wiszący w holu. - Spóźnię się, koleś.

-

- No wiesz... ćwiartkę?

Alex kręci z niedowierzaniem głową.

-

- Co? Czemu tak na mnie patrzysz? - pytam.

-

- Ty i twoja paczka. Myślicie, że wszystko wam ujdzie na sucho. Topher jest w szkolnej drużynie. Nie robią im testów na narkotyki?

Patrzę na swoje buty. Moje stopy wręcz *pulsują* z bólu. Wiem, że nic na to nie poradzę, kilka razy próbowałam zdjąć te kowbojki, jednak wcześniej czy później wracały na miejsce. To jakaś magia. Są, przynajmniej na razie, nieodłączną częścią mnie.

- Można je obejść - mówię. - co masz na myśli?

- Testy na narkotyki powinny być wykonywane na chybił trafił - wyjaśniam - ale Topher był w zeszłym roku najlepszym zawodnikiem. Nie wykopią go z drużyny. - Milknę, zastanawiając się, jak mu to wytłumaczyć, żeby nie wyjść na skończoną snobkę, za którą Alex mnie uważa. - Chcę tylko powiedzieć, że są pewne rzeczy, które może zrobić zawodnik, żeby nie zostać złapany.

- Pewnie. Albo mógłby, no wiesz, po prostu *nie brać narkotyków*.

- Och, przestań, to dobry chłopak. - jednak nie brzmi to przekonująco, nie po tym, jak na moich oczach Topher sobie poczynał z biednym frankiem Wainscottem w kafeterii.

Alex patrzy na mnie z ledwo ukrywanym przerażeniem.

- Ze wszystkich martwych ludzi na świecie - mówi, kręcąc głową - ja musiałem wylądować właśnie z tobą, prawda?

- Żartujesz, co? Ja mogłabym powiedzieć dokładnie to samo.

- Nie, nie mogłabyś - zaprzecza stanowczym tonem. - Ja jestem dobry. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Ale ty i twoi przyjaciele. - Przerzywa na chwilę i patrzy na pustoszejący korytarz. - Przyznaj, Liz. Czy gdzieś w głębi duszy nie wstydzisz się, że siedzisz tu ze mną, Pomimo że nikt nas nie może zobaczyć?

Nic nie mówię. Moje milczenie jest wystarczającą odpowiedzią.

Kiedy Topher i Mera odchodzą, spodziewam się, że Richie pójdzie do klasy pana Franklina, który prowadzi godzinę wychowawczą. Jednak Richie nie idzie tam tylko schodzi na pierwsze piętro, przemierza kafenię (a właściwie połączenie kafełerii z salą widowiskową - liceum w Noank to mała szkoła) i wchodzi do szatni sportowych. Staże w ciemnym korytarzu przed zamkniętymi drzwiami do biura i przestępuje z nogi na nogę niepewny, czy ma zapukać.

Richie nie jest żadnym atletą. Z trudem dostaje trójki na wuefie - jedyne słabe oceny na jego nieskazitelnym świadectwie - co bardzo go różni od naszej popularnej, wysportowanej paczki. Zawsze był dużo bardziej zainteresowany książkami i muzyką niż ćwiczeniami fizycznymi. Mimo to kiedy tylko widzę, że idzie w stronę szatni, dokładnie wiem, kogo szuka.

Mój trener biegów na przełaj, pan Riley, siedzi cicho przy biurku w swoim małym zagraconym gabinecie. Wiele o nim pamiętam - zachowałam w pamięci sporo drobnych szczegółów o ludziach. Poza tym, że jest trenerem biegów na przełaj i na orientację, uczy chłopców wuefu i prowadzi lekcje o zdrowiu w dziesiątych klasach, przez co plasuje się na nizinach nauczycielskiej drabiny. Nie jest przystojny ani dowcipny, jak nasz nauczyciel angielskiego, pan Simon. Nigdy nie widziałam, żeby spontanicznie rzucił się na podłogę i zaczął robić pompki na jednej ręce, jak trener piłki

nożnej, pan „Mówcie Mi Todd” Buckley. Odwrotnie niż trenerka cheerleaderek, pani Casey, nigdy by nawet nie pomyślał, żeby dostarczać nieletnim alkohol. Jednak zawsze był moim ulubionym nauczycielem. Był moim trenerem od siódmej klasy, i to naprawdę dobrym. Rozumie, jak to jest, kiedy się Itocha bieganie. Patrząc na niego teraz, przypominam sobie że zauważyłam go na moim pogrzebie dwa tygodnie wcześniej. To był chyba jedyny raz, kiedy widziałam go krawacie. I na pewno jedyny, kiedy widziałam, jak płacze. Przynajmniej tak *myślę*. Teraz już niczego nie jestem stu-procentowo pewna.

Pamiętam, że bez względu na to, jak blisko byłam z panem Rileyem, on nigdy nie polubił Richiego, chociaż obaj byli na każdym moim biegu i mieli mnóstwo okazji, żeby się bliżej poznać.

-

- Nie jestem zaskoczony - oświadcza Alex, kiedy mu to mówię. - Wszyscy wiedzą, że Richie jest dilerem.

-

- Naprawdę?

-

- Oczywiście. - Przerywa. - To małe miasto, Liz. Tutaj ludzie nie potrafią do-chować tajemnicy. - Jego słowa zdają się mieć podwójne znaczenie, jakby robił do czegoś aluzję, ale nie wiem dokładnie, do czego.

To ciekawe, dużo pamiętam na temat pana Riley'a, ale nie wszystko. Wiem, że był moim trenerem. Wiem, że nie lubił Richiego. Ale nie pamiętam żadnych szczegółów dotyczących czasu, który z nim spędziłam.

Dlatego próbuję je przywołać. Coraz bardziej przyzwyczajam się do podróży we

wspomnienia i teraz zamykam oczy i lekko, bez wysiłku wślizguję się w przeszłość.

Widzę trochę młodszą, trochę grubszą wersję mnie samej stojącej w jego biurze.

Sądząc po wyglądzie, muszę być w drugiej klasie liceum - i jeśli to zawody w biegu na przetaj, to musi być jesień. Jesteśmy sami. Jedynym źródłem światła w pozbawionym okien gabinecie jest nieregularnie mrugająca jarzeniówka na suficie. Przejrzysty plastik osłaniający świetlówkę widać martwe owady. Wszystko to tworzy niesamowity efekt w opustoszałym budynku.

Pan Riley jest po trzydziestce. Na jego biurku stoi zdjęcie przedstawiające - jak przypuszczam - jego żonę i małą córeczkę. Czuję, że spotkałam je wcześniej, może nawet kilkakrotnie, ale w tej chwili niczego o nich nie pamiętam.

Pan Riley jest cichym, trochę ofermowatym mężczyzną ze wspaniałą opalenizną od ciągłego biegania na dworze i żylastą budową, charakterystyczną dla lekkoatletów.

-  
Liz - wskazuje mi krzesło stojące przed biurkiem - usiądź. Sięga do małej lodówki, szumiącej cicho na podłodze, i wyjmuje butelkę wody. - Proszę - mówi, stawiając butelkę przede mną - wypij. Właśnie przebiegłaś dziesięć kilometrów. Twoje ciało potrzebuje nawodnienia.

-  
Wiem. - Otwieram butelkę i długo piję. Najwidoczniej dopiero co skończyłam trening. Mam na sobie szare bawełniane szorty i różową koszulkę z tak cienkiego materiału, że widać pod nim wyraźnie mój biały sportowy stanik. Pan Riley patrzy na przeciwległą ścianę, na zdjęcie na biurku, wszędzie, byle tylko nie na moje ciało. Widzę, że czuje się nieswojo, przebywając ze mną sam na sam.

-

Nie idziesz z resztą drużyny? - pyta swobodny® tonem.

-

Słucham? A dokąd miałabym z nimi iść? - odpowiadam nonszalancko, i teraz wiem dlaczego. Poza mną nikogo w drużynie nie można by nazwać popularnym. Żadnym się nie przyjaźniłam. Kiedy teraz o tym myślę, trochę mi wstyd, że tak szybko ich skreśliłam.

- Wybierają się na chińszczyznę - mówi pan Riley i patrzy mi w oczy. - Nie wiedziałaś?

-

Wiedziałam. Oczywiście, że wiedziałam. - Ale p

o swoim głosie poznaję, że nie miałam pojęcia. Nie zapytali mnie.

-

Liz. - Pan Riley się waha. - Myślę, że powinnaś się zastanowić, czy nie mogłabyś być trochę... miłsza dla twoich kolegów z drużyny.

Ktoś odkasłuje za drzwiami. Nie muszę nawet sprawdzać, żeby wiedzieć, że to Richie, który na mnie czeka.

-

O co panu chodzi? Jestem bardzo miła. Po prostu nie spotykam się z nimi poza treningami, to wszystko. - Wzruszam ramionami. - Nie mam na to ochoty. To nieudacznicy.

Pan Riley wzdryga się na dźwięk ostatniego słowa. Patrząc na młodszą siebie, ja też.

-

O to mi właśnie chodzi - odpowiada. - Liz, może powinnaś się zastanowić nad towarzystwem, w którym się obracasz. Jestem twoim trenerem od siódmej klasy. Patrzyłem, jak wyrastasz na tę... dziewczynę, pochłoną tylko dobrami materialnymi, zapatrzoną w status 'Połączny osób, którymi się otaczasz. Wiem, że to nie ieseś prawdziwa ty.

Ostrożnie stawiam butelkę na biurku.

~ sNd pan to wie?

Ponieważ wiem, że tylko usiłujesz się chronić. Nie cesz. żeby znowu ktoś cię skrzywdził, dlatego otaczasz się ludźmi, którzy zrobią wszystko, żeby nie wpa4 { z twoich łask. A wszystkich innych odpychasz.

Pochyłam się, mrużąc oczy.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że nie chcę znowu zostać skrzywdzona? Kiedy ktoś mnie skrzywdził?

On się waha. Przez długą chwilę nic nie mówi. Wpa. truję się w niego, niemal wyzywając go spojrzeniem, żeby powiedział, co znaczą jego słowa, i skupiam się na oczach trenera, które mają różne kolory - jedno jest bladobłękitne, a drugie czarne, sama źrenica, bez tęczówki.

W końcu mówi:

- TVvoja matka.

*Och, mamusiu.* Patrząc na nas, widzę, że samo wspomnienie mamy mnie rani, jest tak żywe, tak świeże, nawet tyle lat po jej śmierci. Widać wyraźnie, że nie chcę o tym mówić.

Przygryzam dolną wargę.

- fenie Riley - mówię - czy mogę pana o coś spytać?

Wzrusza ramionami.

- Oczywiście.

- Co się stało z pana okiem?

Pytanie kompletnie go zaskakuje. Znowu rozgląda się po pokoju. Przez chwilę

boję się, że go rozzłościłam, że wyrzuci mnie za drzwi.

Nie robi tego jednak, tylko mówi:

- No dobrze, Liz. Chcesz wiedzieć, co się stało?

- Tak. - Kiwam głową.

- Nigdy nie mówiłem o tym żadnemu uczniowi.

Obdarzam go szczerym uśmiechem.

- Nikomu nie powiem. Słowo honoru.

- Miałem siedem lat. Byłem ciamajdą... wciąż chyba jestem. - Zdobywa się na

półuśmiech. - W każdym razie dzieciaki z sąsiedztwa nigdy nie chciały się ze mną

bawić. Aż pewnego dnia jeden chłopak - nazywał się Charlie Sutton - przyszedł do

nas do domu i zapytał moją mamę, czy mogę wyjść i pograć z chłopakami w bejsbol.

To było wczasach, kiedy ludzie wciąż pozwalali dzieciom bawić się na dworze bez

nadzoru. Nie posiadałem się z radości. Złapałem kij i rękawicę i wybiegłem jak sza-

lony. Nie możesz sobie wyobrazić, jaki byłem podekscytowany.

Milknie. Zamyka oczy.

-1? - Pochyliam się na krześle. - Co się stało? Ktoś uderzył pana kijem?

-

Nie. - Ran Riley patrzy mi prosto w oczy. - Kiedy poszedłem na boisko za na-

szym domem, Charlie Sutton i kilku innych już tam czekało. Mieli śrutówki. I zaczęli

do mnie strzelać. - Wzrusza ramionami. - TYafili sześć razy, tak dla zabawy, nie żeby



mnie zranić. Już wtedy płakałem. Zacząłem się cofać, gotów wracać biegiem do domu, ale jeden z nich strzelił mi w oko, zanim zdążyłem się odwrócić. Zniszczył mi tęczęwkę. Jestem zupełnie ślepy na lewe oko.

Nawet mając szesnaście lat, jestem wyraźnie poruszona tą historią. Podnoszę dłoń do ust.

-  
O mój Boże - mówię. - To straszne. Co się z nimi stało? Zostali ukarani?

Pui Riley znowu wzrusza ramionami.

-ftwnie dostali lanie - to było lata temu, kiedy "»którzy ludzie jeszcze dawali dzieciom klapsy - ale n'C 8°rszego ich nie spotkało. - Odchyła się na krześle.

- Przeprowadziliśmy się niedługo potem. Tak naprawdę najciężej było mojej mamie. Widziała, jaki byłem wtedy podniecony, jaki szczęśliwy, że wreszcie inne dzieci z ulicy zaprosiły mnie do zabawy. Ale to był tylko żart. - Wbij, wzrok w biurko. - Wiesz, jakie potrafią być dzieci. Nic się nie stało. Teraz mam udane życie. Nie narzekam.

Piję duży łyk wody. Włosy mam związane w kucyk opadający mi na plecy, twarz wciąż mokrą od potu, a oczy pełne współczucia.

-  
Tak mi przykro z powodu tego, co się panu przydarzyło - mówię.

-  
Nic się nie stało, Liz. Pewnie nawet nie powinienem ci o tym mówić. Ale o to właśnie chodzi, powinnaś uważać, z kim się zadajesz. Masz niewłaściwe priorytety. Kiedyś możesz tego żałować.

Z holu znowu dobiega kasłanie.

Kręcę się na krześle.

-

Muszę iść, panie Riley.

-

Nie wątpię. Twój książkę czeka. - Jest sarkastyczny.

Widzę, jak wychodzę z gabinetu na korytarz, gdzie

czeka znudzony Richie oparty o ścianę. W milczeniu opuszczamy budynek. Kie-

dy jesteśmy na parkingu, pytam go:

-

Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy?

Richie tylko kiwa głową.

-

To okropne, prawda?

-

Uch-uch.

W czarnym mercedesie z opuszczonym dachem czekają na nas Caroline. Mera i

Josie. Na nasz widok Mera trąbi i przywołuje nas ruchem ręki.

- Co wy tam, u diabła, tak długo robiliście? - burczy Josie do Richiego. kiedy ja

siadam z tyłu. Nie ma dosyć miejsca dla nas trojga, więc moje młodsze ja kuli się na

kolanach mojego chłopaka. Teraz mogę tylko patrzeć, stojąc obok samochodu.

- Wyluzuj - mówi Richie do Josie. - Już jesteśmy, no nie?

- O co chodzi, Liz? Wolisz spotykać się z Rileyem Szalone Gały i palantami z

drużyny? - Josie jednak uśmiecha się do mnie szeroko i głos jej się lekko załamuje. -

W porządku. Wciąż cię kocham.

Puszczam do niej oko. Ona też do mnie mruga. Pokazuję jej język, Josie robi do mnie zeza.

-

Serio - mówi, chichocząc - czemu to tak długo trwało? Wolisz spędzać czas ze swoim trenerem? On tak dziwnie wygląda.

- Nie wygląda dziwnie. Po prostu ma oczy w dwóch różnych kolorach. - Splatam palce z palcami Richiego.

-

- Tak, to dziwaczne. - Josie pociąga nosem. - Co za szajbus.

Nadal stoimy na parkingu.

-

- Nie jest szajbusem - protestuję. - Jest miły. I nie Powinnaś tak o nim mówić.

To nie jego wina, że ma różne oczy.

Widzę, że Richie ściska moją dłoń, kiedy nie rozwijam tematu.

Nieważne - kwituje Josie, wydmuchując balon z gumy - Nie ma znaczenia, czy to jego *wina*, Liz. Tak czy owak jest szajbusem.

-

- Zamknij się - mówię jej. - To dobry człowiek.

-

- Obie się zamknijcie - przerywa Mera i włącza radio - jedziemy!

Patrzę, jak odjeżdżamy, muzyka ryczy, opony piszczą, gdy Mera wyskakuje z parkingu.

Może jednak Alex ma rację, może wcale nie byłam takim wspaniałym człowiekiem. Na pewno nie miałam żadnych przyjaciół w drużynie biegów przełajowych.

Ale przyjaźniłam się z panem Rileyem. Zależało mi na nim. I - najwidoczniej - jemu zależało na mnie. Więc to już coś. W chwili obecnej, w świetle wszystkich wspomnień, które widziałam, ważny jest każdy szczegół mogący zaświadczyć, że nie byłam - jak Alex bez ogródek powiedział - okropnym człowiekiem.

W mgnieniu oka jestem z powrotem w terażniejszości, stoję w gabinecie pana Rileya z Alekssem i Richiem. Pan Riley właśnie opiera podbródek na dłoniach i mówi:

-

- Proszę, proszę, czyż to nie wspaniały Richie Wilson? Chyba zabłądziłeś na złą stronę piaskownicy.

Mój chłopak krzyżuje ramiona na piersi i opiera się o futrynę. Jego postawa może wydawać się niedbała, ale poznaję po zaciśniętych szczękach, że się denerwuje.

-

- O co panu chodzi?

Widzę, że przez chwilę pan Riley ma ochotę wyrzucić go za drzwi. Alex ma rację, pewnie wie, czym Richie zajmuje się w wolnym czasie. Nie żeby Richie kiedykolwiek starał się to ukrywać. Czasami myślała®, że chciał zostać złapany, zupełnie jakby to miało przynieść mu ulgę.

-

Proszę posłuchać, wiem, że pan mnie nie lubi - zaczyna Richie.

Pan Riley nie protestuje. Ale nie jest też złośliwy.

- Nie będę udawał, że wiem, jak się czujesz. To musi być dla ciebie straszne, Richie. - Siada prosto, bawiąc się nerwowo stoperem zawieszonym na szyi.

Pomimo że Richie ma tylko siedemnaście lat, mogę sobie wyobrazić, że w jego towarzystwie ktoś taki, jak pan Riley, może czuć się onieśmielony. Są tacy różni: Ri-

chie jest grubokościsty i powolny w swej pewności siebie, jakby przechadzał się zamiast chodzić, z głową pełną niezliczonych książek, które przeczytał, a jednocześnie - na luzie, taki absolutnie *nieofermowaty* - podczas gdy pan Riley składa się z napiętych, drgających mięśni, prosty, miły facet, skupiony jedynie na pasji, jaką jest stawianie jednej stopy przed drugą, bez końca, aż nie zostaje nic, tylko ciało, droga i odch. Teraz już żaden siedmiolatek ze śrutówką by go nie dogonił.

-  
- Zacząłem biegać - wyrzuca z siebie Richie. Nie patrzy na pana Rileya, lecz na półki z książkami nad jego głową, pełne takich tytułów, jak „Zmień swoje ciało, zmień swoje życie”, „Bieganie z zen” i budzący zażenowanie „Porozmawiajmy o seksie! Przewodnik dla młodych ludzi u progu dorosłości”.

Jestem bardziej zaskoczona niż wszyscy w pokoju, słysząc, co robił Richie przez dwa tygodnie, które minęły od mojej śmierci. Alex i ja w ogóle nie widzieliśmy, jak biega. Sądziłam, że spędza większość wolnego czasu, szukając pocieszenia w głębi jamy ustnej Josie.

- - Biegać? Żeby uciec przed glinami? - Pan Riley ćwiczy rozciąganie szyi, dotykając uchem do ramienia.

Richie traktuje to pytanie poważnie.

- - Nie, nie uciekając przed glinami. Mam na myśli bieganie jako *bieganie*. Rekreacyjne. Nie wiem, dlaczego to robię. Obudziłem się pewnego dnia w zeszłym tygodni i poczułem, że muszę się *ruszyć*. - Przętyka. - Liz o tym mówiła. Czasami ją pytałem: „O czym myślisz, kiedy tak biegasz godzinami?”. A ona zawsze odpowiadała: „O niczym”.

Uśmiecham się.

- - Ma rację. - Patrzę na Aleksa. - Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, prawda?

Nie myśleć o niczym całymi godzinami? To jak niebo.

Uśmiecha się do mnie rozczarowany.

- - Jakby którekolwiek z nas wiedziało, jakie jest niebo.

Pan Riley jest zaskoczony. Najwyraźniej nie tego spodziewał się po Richiem.

- - Cóż, to prawda - mówi. - Bieganie to medytacja. Oczyszcza umysł. Uspokaja.

- - W ostatnich czasach Liz biegała całymi godzinami, czasami trzy, cztery -  
ciągnie Richie. - Wiedział pan o tym? To znaczy zanim umarła. Zauważył pan, jak  
bardzo schudła? Mdląła. Czy nie powinien był pan zareagować? Jako jej trener.

Alex mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- - Skoro już o tym wspomnieli, Liz, *jesteś* okropni® szczupła. To znaczy zbyt  
chuda.

Marszczę brwi.

- - Biegacze zawsze są szczupli. Poza tym mówiłeś, że jestem seksowna.

- - Seksowny chudzielec, może - mruczy.

Ignoruję go i skupiam się na tym, co dzieje się w pokoju. Richie. Bieganie. Nigdy, przenigdy bym się tego po nim nie spodziewała. Milion razy próbowałam go  
pamówić, żeby biegał ze mną, ale on nie był tym zainteresowany.

- - Uspokój się, Richie - mówi pan Riley. - Wiem o tym. Rozmawialiśmy z Liz  
na ten temat, uwierz mi. Ale nie mogłem jej zabronić biegania. - Milknie. - Nie  
zdawałem sobie sprawy, jak poważna jest sytuacja. Mimo to próbowałem jej po-  
móc. Pod koniec zeszłego roku powiedziałem Liz, że jeśli dalej będzie chudnąć,  
usunę ją z drużyny.

- - Naprawdę? - Richie milknie na chwilę. - Nie powiedziała mi o tym.

- - Ostatnio w ogóle niewiele Richiemu mówiłaś, co? - pyta Alex.

Daję mu prztyczka w ucho.

- Cicho.

- - To było zaraz po tym, jak miała wstrząśnienie mózgu - ciągnie pan Riley. -

Wtedy zdałem sobie sprawę, że z Liz jest coraz gorzej.

Przyciskam dłoń do głowy.

- Och... prawda. Pamiętam to. - I widzę tę scenę, kiedy tylko zamykam oczy.

Mimo że jestem poza mota ciałem, stoję tak blisko siedemnastoletniej siebie, że prawie to *czuję*. Rozciągam się na szczycie schodów w domu rodziców, twarzą do wielkiego okna. Patrzę w wodę, na „Elizabeth” przycumowaną do pomostu za domem i plażę zarysowaną eleganckim lukiem aż po horyzont. Podnoszę wysoko ręce i rozciągam się stając na czubkach brudnych - ale bardzo wygodnych - adidasów.

Potem robię skłon i zanurzam czubki palców w orientalnym dywanie, na którym stoję. Widzę jego beżowe, butelkowozielone i szkarłatne włókna. Ale nagle tracę równowagę. Kolana się pode mną uginają i robię krok w tył, szukając oparcia dla stóp.

Chcę wyciągnąć do siebie rękę, zapobiec temu, co się zaraz stanie. Ale mogę tylko patrzeć.

Kiedy już mi się wydaje, że stoję bezpiecznie na podłodze, stawiam stopę na skraju stopnia. I spadam. Patrzę bezradnie, jak koziółkuję na sam dół. Gdy w końcu się zatrzymuję, moje chude niczym szczapa ciało leży zwinięte na podłodze, jestem nieprzytomna.

Otwieram oczy i widzę pana Riley’a siedzącego przy biurku. Mrugam i mrugam, próbując wrócić do wspomnień. Kiedy mi się w końcu udaje, widzę, że przeskoczy-

łam o dwa dni do przodu. Właśnie wyszłam ze szpitala, wciąż mam na rękę plastikową bransoletkę identyfikacyjną. Przyjechał po mnie ojciec. Patrzę na nas dwoje w samochodzie, jedziemy do domu w prawie zupełnej ciszy. Nie rozmawiam z ojcem, tylko patrzę przez okno na krajobraz rozciągający się wokół nas.

W końcu ojciec zaciska pulchną dłoń na moim bicepsie. Jego palce bez trudu zamykają się na moim ramieniu.

-- Co ty próbujesz zrobić, Elizabeth? - pyta cichym głosem. Mój tata zawsze taki był: spokojny, melancholijny opanowany, wszystko dusił w środku, nic na zewnątrz nawet kiedy umarła moja matka. Nawet kiedy zginęła jego własna córka.

Nie patrzę na niego. Nadal wyglądam przez okno i wydaję się koncentrować na drzewach, obsypanych pączkami w wiosennym powietrzu, kwitnących kwiatach, trawie wyrastającej niezliczonym mnóstwem pojedynczych, zdeterminowanych ździebełek w chloszczącym wietrze Nowej Anglii. To rośnie *życie*.

Patrząc na siebie, wiem, że jestem zagłodzona. Całe to życie na zewnątrz stanowi jedynie tło pulsującego głodu w moim opustoszałym żołądku. Mój głód wydaje się być wszędzie. W moich oczach, jasno wymalowany na twarzy, przenika przestrzeń między mną a ojcem.

Kiedy mój tata się odzywa, brzmi, jakby starał się nie płakać.

-

Nie jesteś twoją matką - mówi.

-

- Wiem - odpowiadam.

-

- Więc o co chodzi? Dlaczego to robisz? - Wjeżdża do garażu, wyłącza silnik i



zamyka drzwi.

-

- Nie wysiądziesz, dopóki mi nie odpowiesz - oznajmia.

Ale ja nie odpowiadam, tylko wpatruję się przed siebie, w ścianę garażu, na której wisi rower mojej macochy.

-

- Terapia - decyduje w końcu ojciec. - Pójdiesz do psychologa. Umówię cię na wizytę.

Milczę.

-

- Pójdiesz - kontynuuje - albo wyciągnę konsekwencje. Zrozumiano?

Jednak patrząc na siebie, wiem, że nie mam zamiaru na terapię. Na pewno nie pamiętam żadnej wizyty u specjalisty związanej z moimi nawykami żywieniowym lub ćwiczeniami. Tak naprawdę mój ojciec nie mógłby mnie do niczego zmusić. Był zbyt zajęty. Przed moją śmiercią pracował osiemdziesiąt godzin w tygodniu, czasami więcej. Nie dlatego, że potrzebowaliśmy pieniędzy, on po prostu kochał pracę. Prawie nigdy nie było go w domu. Jestem zaskoczona, że znalazł czas, żeby odebrać mnie ze szpitala.

Ojciec czeka przez kilka chwil, patrząc na mnie wyczekująco, po czym wysiada z samochodu, trzaska drzwiami i zostawia mnie samą w chłodnej ciemności. Przyciskam dłoń do czoła. Wyglądam, jakbym cierpiała straszny ból, I jakbym nie mogła znieść rzeczywistości.

Wspomnienie znika i widzę, jak pan Riley wstaje I od biurka.

-

- Jeżeli naprawdę chcesz biegać - mówi do Richiego - możesz dołączyć do drużyny biegów przełajowych.

-

- O nie. Nie mógłbym - protestuje Richie.

-

- Dlaczego nie?

-

- Och, mam... no wie pan, inne zobowiązania. I raczej nie jestem graczem zespołowym.

-

- Oczywiście, że nie. - Ran Riley patrzy na zegarek.

-

- Spóźnisz się na lekcję wychowawczą.

-

- Zastanawiałem się, czy nie mógłby pan zerknąć na moje buty.

Ran Riley patrzy ze zdziwieniem.

-

- Słucham?

-

- Na moje buty, adidas. - Richie podnosi nogę i opiera stopę o brzeg biurka pana Riley.

- Co chciałbyś wiedzieć? - Pan Riley ledwo zerka na jego buty. - Są w porządku.

Powinieneś kupować nowe mniej więcej co pięćset kilometrów. Te jeszcze długo ci posłużą.

- Nie jestem taki pewny - mówi Richie. - Biegam dopiero od półtora tygodnia, a już bolą mnie stopy. - Patrzy na buty. - Wie pan, Liz je dla mnie kupiła ponad rok temu. Chciała, żebym z nią biegał. Ale ja nigdy tego nie zrobiłem.

Pan Riley czuje się wyraźnie nieswojo.

-

- Jestem pewien, że byłaby szczęśliwa, wiedząc, że teraz biegasz.

-

- Wszyscy teraz myślą, że wiedzą, co by mnie uszczęśliwiło - mruczę.

Alex kiwa głową.

-

- Tak. Ludzie często to robią po czyjejs śmierci.

-

- Cały czas myślę - zaczyna Richie - że może to by się nie wydarzyło, gdybym spędzał z nią więcej czasu. Gdybym nie zasnął tamtej nocy, nic by jej się nie stało. Wie pan, podobno nawet najmniejszy szczegół potrafi zmienić czyjeś przeznaczenie. Że kiedy ktoś zabije komara w Afryce, może spowodować tsunami na innym kontynencie. Może gdybym zaczął z nią biegać albo chociaż więcej z nią rozmawiał...

-

- Hej. Przestań. - Pan Riley wpatruje się w twarz mojego chłopaka oblaną pa-skudnym światłem jarzeniówki. Nie rób sobie tego. W żaden sposób nie mogłeś jej pomóc.

Richie opuszcza stopę na podłogę. Przygryza wargę

- Ludzie o mnie plotkują - mówi. - Wiem o tym. Chcą zrobić z tego tragedię.

Mówią, że może to wcale nie był wypadek.

Pan Riley zamiera. Prawie nie oddycha. Nie odzywa się nawet stowem.

-

- I może nie był - kontynuuje Richie. - Pamięt

ani tylko, że zasnąłem. Kto wie, co

się potem działo? Na łodzi było nas sześcioro. - Ma wilgotne oczy. Poza moim po-

grzebem to pierwszy raz, kiedy widzę, jak Richie płacze.

-

- Ktoś musi wiedzieć, co się stało. Nie sądzi pan, panie Riley? Ona była wyjąt-

kowa. Tacy ludzie nie odchodzą tak po prostu, prawda?

Pan Riley kręci głową.

-

- Nie wiem.

-

- Czuję, że muszę bardzo uważnie słuchać - ciągnie Richie. - I coś mi mówi, że

muszę biegać.

Prawie nie mogę się ruszyć.

-

- To ja - szepczę. - Jestem tutaj, Richie. Jestem z tobą.

-

- W porządku. - Pan Riley kiwa głową. - W takim razie powinieneś to robić.

Przyjdź do mnie po lekcjach - dodaje. - Będę na bieżni. Sprawdzę twoją kondycję.

Zobaczmy, czy uda nam się odkryć, dlaczego bolą cię stopy.

Obaj wychodzą i pan Riley gasi światło, zostawiając mnie i Aleksa w ciemności. Pró-

buję poruszyć palcami w butach, ale kowbojki są zbyt ciasne.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Moje przyjaciółki kradną mi ubrania.

- To nie jest kradzież, skoro ty już nie możesz ich nosić- oświadcza Alex. Znajdujemy się w mojej sypialni, w której panuje totalny bałagan: łóżko pod dębowym baldachimem jest w nieładzie, pościel i narzuta w biało- różowe pasy leżą skopane w nogach. Na mojej toalecie stoi mnóstwo kosmetyków do makijażu, od brązującego pudru po niezliczone tubki z tuszem do rzęs, brokatowy żel do ciała i przynajmniej trzy tuziny szminek w drogiej, markowej saszetce. Nie pamiętam, że byłam aż takim flejtuchem. Trochę się wstydzę, że Alex widzi mój pokój w podobnym stanie.

- Ale to są moje rzeczy. - Wydynam wargi. - Minęły dopiero dwa tygodnie. Mogłyby jeszcze chwilę poczekać.

- No cóż, to twoje przyjaciółki. Mogłaś się po nich spodziewać, że rzucą się na darmowe ciuchy. Bądź rozsądna,

Dla nich to lepsze niż wyprzedaż w JCPenney\*5.

Krzywię się na samą myśl.

- Alex. Ani moje przyjaciółki, ani ja nie kupujemy w JCPenney.

Patrząc na moje rzeczy, czuję niewypowiedziany snutek. W tym bałaganie jest udokumentowana historia, prawdziwy obraz tego, kim byłam. Patrząc na poszczególne przedmioty i wracają do mnie fragmenty wspomnień, małe kawałki niewyobrażalnie

5 \* JCPenney - wielka amerykańska sieć handlowa

wielkiej - i wciąż rozrastającej się - układanki. Na korkowej tablicy nad komodą wisi mnóstwo wstążek z zawodów w biegu na przełaj. Większość za drugie i trzecie miejsce - jak mówiłam, szybkość nie była moją najmocniejszą stroną - ale są ich dziesiątki.

W kącie pokoju, obok komody, leży sterta butów do biegania. Kupowałam nową parę

mniej więcej co sześć tygodni, ale nigdy nie lubiłam wyrzucać starych. W kącie kurzy się około dwudziestu par, z podeszwami startymi niemal na gładko na kilometrach piaszczystych słonych dróg. Z boku każdego lewego buta pisałam czarnym flamastrzem datę zakupu, żeby wiedzieć mniej więcej, kiedy przestaną nadawać się do użytku.

Czuję nieprzepartą potrzebę, żeby wszystkiego dotknąć, poczuć tani materiał wytartej wstążki albo sztywny szew buta, ten jeden ostatni raz. Wiem, że nie mogę, i czuję się taka bezradna i sfrustrowana, taka... martwa.

Moje przyjaciółki - Mera, Caroline i Josie - stoją w mojej garderobie, która jest rozmiaru prawie połowy mojego pokoju.

- O rany, chyba żartujesz - mówi Alex na ich ich widok. Wszystkie trzy mają na sobie tylko majtki i staniki.

Są gotowe do przymierzania moich ubrań. Uśmiecha się przebiegle. - Jeżeli to jest piekło, to przykuj mnie do ściany.

Marszczę brwi.

- Myślałam, że ich nienawidzisz.

Drapie się po głowie z udawanym namysłem.

- Co nie oznacza, że nie chcę ich oglądać w samej bieliźnie.

Tylko Caroline zdaje się mieć obiekcje wobec tego, co robią. Patrzy na moje starannie posegregowane ubrania, wyciąga idealnie wymanikiurowany palec i leciutko muska rękaw czerwonego kaszmirowego swetra.

- Jesteś pewna, że to w porządku? - Zmartwiona patrzy na Josie. - Dziwnie się czuję. A jeśli twoja mama nas tutaj znajdzie?

Josie. Moja przyszywana siostra. Moja przyjaciółka. Kiedy tylko patrzę na jej

twarz, widzę, że też się martwi.

- To był pomysł mojej mamy - mówi, ściągając z wieszaka czarną lnianą sukienkę.

Wpatruje się w nią przez kilka sekund, po czym zanurza twarz w materiale i robi głęboki wdech, wciągając zapach. Szuka mnie. Kiedy odejmuje sukienkę od twarzy, w jej oczach błyszczą łzy.

- Josie? - pyta łagodnie Caroline. - Jesteś pewna, że chcesz to teraz zrobić?

Moja przyszywana siostra bierze kolejny głęboki oddech. Wygląda, jakby myślała, że była gdzieś daleko.

- Każdego ranka, kiedy się budzę, spodziewam się, że ona jest w domu - szepcze. -

Otwieram oczy, patrzę na budzik i myślę, że Liz już pewnie wróciła z porannego treningu. Potem sobie przypominam, że ona... że jej już nie ma. - Patrzy na sukienkę, którą zmięła w ręku - Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Wiecie że znałyśmy się przez całe życie?

Mera i Caroline wymieniają zatroskane spojrzenia. Caroline podchodzi do Josie i kładzie jej rękę na plecach

- Wiem, Josie. To okropne. Naprawdę, odłóżmy to na kiedy indziej. Teraz możemy zająć się czymś innym. Nie zostawimy cię dzisiaj samej, dobrze?

Josie marszczy czoło. Strzepuje sukienkę i przyciska do siebie, jakby chciała ją przytulić.

- Nie. Chcę to zrobić teraz. Poza tym co innego możemy z tym wszystkim zrobić?

Oddać do Czerwonego Krzyża? Te ubrania kosztowały fortunę. - Wyciera ręką oczy i gwałtownie mruga kilka razy. Zmusza się do szerokiego uśmiechu i patrzy na Merę i Caroline. - W porządku. Nic mi nie jest.

Ma rację co do moich ubrań. Pomimo że z bólem, patrzę, jak przyjaciółki rozdzie-

lają między siebie moje ziemskie dobra, wiem, że lepiej, aby to one je wzięły.

Wszystko wygląda, jakby pochodziło z najdroższych butików. Nawet moje stroje do biegania są najwyższej klasy)', najnowsza technologia ze spandeksu i mikrofibry.

- A co z tatą Liz? - pyta Caroline. - Co on pomyśli. Nie będzie miał nic przeciwko temu?

Ja już wiem, że mojego tatę nic to nie obchodzi- Odwrotnie niż Nicole, on twardo stąpa po ziemi i uważa się za bardzo zdroworozsądkową osobę. Nie wierzy w duchy, życie po życiu ani nic w tym stylu. Dlatego nie sądzę żeby moje ubrania miały jeszcze dla niego jakąkolwiek wartość.

To zabawne, można by pomyśleć, że będą z Nicole dobraną parą. Ale nie są. Mojego tatę bawi fascynacja Nicole spirytualizmem. Uważa, że jest zabawna i „niegroźna, a przynajmniej kiedyś tak sądził. Nie wiem, jakie teraz ma zdanie na ten temat. Josie patrzy ostro na Caroline.

- Dlaczego mówisz „tata Liz”? To także mój tata.

-Och. - Caroline wygląda, jakby połknęła gumę. - Racja.

Widzę, że znowu wymieniają z Merą spojrzenia, ale żadna z nich się nie odzywa.

- Ona myśli, że on jest jej prawdziwym tatą? - pyta Alex.

Próbuję zbyć jego pytanie machnięciem ręki, jakby niebyło niczym ważniejszym niż natrętna mucha. Ale te słowa padły, wiszą w powietrzu i wiem, że muszę w końcu Aleksowi wszystko wytłumaczyć.

- Mówiłam ci, że prawie wcale o tym nie rozmawialiśmy. Josie myśli... tak, uważa go za swojego tatę. Myli się. Ale jej prawdziwy tata to leń, który nie mógł utrzymać się w żadnej pracy. Po rozwodzie z Nicole wgdę nie odwiedził Josie.

- Nie przeszkadza ci, że Josie myśli, że twój tata i jej "urna romansowali przez te



wszystkie lata? - pyta Alex z niedowierzaniem.

Zdaję sobie sprawę, że w pewnym sensie ma rację, ze strony Josie to było dosyć śmiałe założenie, i dziwię się, gdy nie próbowałam jej wyprowadzić z błędu.

Patrzę na moją przyszywaną siostrę, która z posep<sup>^</sup> miną przesuwa palcami po moich ubraniach. Codzienny teraz płacze. Spoglądam na jej kostkę i widzę, że nosi naszą bransoletkę.

- To mi się wydawało niemożliwe – mówię - Nigdy w to nie wierzyłam. Nie wiem, Alex... Josie chciała mieć tatę. Myślę, że w głębi duszy wie, że to nie może być prawda. Musi to wiedzieć. To tylko paskudne plotki, które prześladowały nas przez całe życie. Żadna z nas nie lubiła o tym mówić. I na pewno nie zamierzałyśmy pytać taty czy Nicole. Nie było sensu o tym rozmawiać.

- Może masz rację. - Ale nie wydaje się przekonany.

Każda z moich przyjaciółek uzbierała naręczę ubrań i teraz wszystkie zaczynają je przymierzać na środku sypialni, odrzucając niechciane rzeczy na podłogę.

- Jesteś dużo szczuplejsza od nich wszystkich - zauważa Alex. - Nie sądzę, żeby twoje ubrania na nie pasowały.

- Richie powiedział, że ostatnio bardzo schudłam - przypominam mu - więc pewnie mam mnóstwo rzeczy w większych rozmiarach.

Josie wkłada dzinsy i bluzkę na jednym ramiączku i staje przed lustrem.

- Nie wyglądam w tym tak dobrze jak Liz - skarży się, z półuśmiechem przygryzając dolną wargę. Bierze w palce kosmyk długich blond włosów i, marszcząc brwi, ogląda końcówki, które jak wiem, zawsze są rozdwojone, bez względu na to, jak często je przycina. To przez te wszystkie chemikalia, które aplikuje co sześć tygodni i codzienne stylizowanie pod gorącą suszarką. – poza wszystkim świetnie wyglądała.

Każde ubranie leżało idealnie.

Mera siada przed toaletką i zaczyna przeglądać szuflady- Z jednej wyjmuje pudełeczko ze sztucznymi rzęsami-

- Nic dziwnego. Miała figurę jak modelka. - Przegląda kosmetyczkę z tuszami do rzęs, aż w końcu odwraca ją do góry nogami i wysypuje zawartość na podłogę. -Nie możesz się z nią porównywać.

Josie potakuje. Zauważam, że na sekundę zaciska szczęki, zupełnie jakby przeżywała to uczucie.

- Wiem. - Odwraca się bokiem do lustra i ogląda swój profil. - Ona wyglądałaby dobrze nawet w worku.

- Tak. - Mera dalej przegląda kosmetyki. Bierze szminkę, otwiera i patrzy w roz-targnieniu na kasztanowy odcień.

- Ale zmieniła się przez te ostatnie miesiące - mówi ostrożnie. - Zauważyłaś...  
prawda, Josie?

Josie kiwa głową.

- Marniała w oczach. Wszyscy o tym wiedzieli. - Po czym dodaje: - Jakby nie mogła uciec od przeszłości. Była dokładnie taka. jak jej mama.

Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie powiedziała. Nagle robi mi się jeszcze zimniej.

O czym ona mówi? Nie byłam taka jak moja matka. Nie byłam anorektyczką. Po prostu lubiłam biegać. Ciągle. Stale. Codziennie.

Caroline wzrusza ramionami, niezbyt przejęta uwagą °mojej mamie.

- Moim zdaniem nie wyglądała źle. Jak to mówią, ni- 8dy nie można być ani za szczupłym, ani za bogatym

Moja przyszywana siostra wygląda, jakby znowu miała się rozpłakać. Patrzy na sufit w kolorze jasnej fioleto. Podążam za jej wzrokiem i przypominam sobie że pomalowałyśmy go razem w deszczowe sobotnie popołudnie kilka miesięcy przed moją śmiercią. Zanim użyłyśmy wałków, wzięłyśmy pędzle i ozdobnymi literami wypisałyśmy nasze imiona. Napisałyśmy „Josie i Liz NPZ”, a ja dopisałam „Liz i Richie na zawsze”. Jeśli wyteżę wzrok, widzę zarysy liter nawet pod dwoma warstwami farby.

- Muszę wam coś powiedzieć - mówi cicho Josie.

- Tak? - Caroline jest średnio zainteresowana, studiuje ręczny szew na kurtce w pepitkę, którą uwielbiałam.

- Tak. - Josie ma włosy związane w ciasny gładki ogon. Kiedy dorastała, jej włosy stawały się coraz ciemniejsze, przez co pasemka - grube i tak jasne, że niemal platynowe - wyglądają nienaturalnie.

Teraz rozpuszcza włosy i pozwala im opaść na ramiona.

- Chodzi o Richiego. - Przerywa. Gdy znowu się odzywa, mówi niepewnym drżącym głosem. - Spotykamy się.

Mera niemal wydłubuje sobie oko szczoteczką do tuszu, tak gwałtownie odwraca głowę do Josie. Caroline, która włożyła już kurtkę w pepitkę, a teraz usiłuje wcisnąć szeroką stopę w mój wąski but, traci równowagę i pada na podłogę.

- ty i Richie? - pyta, siadając prosto i poprawiając kurtkę. - Od kiedy?

- Od kilku miesięcy. - Josie waha się. - Zamieał zerwać z Liz.

- Już to słyszałam - mówię, zakrywając rękami uszy. Nie chcę słuchać jeszcze raz.

Alex odciąga moje dłonie od głowy.

- Musisz słuchać - nalega. - Po co inaczej byśmy tu byli?

Ale ja go ignoruję. Uwalniam się z jego uścisku, idę do łazienki i siadam pod

prysznicem. Wygląda na to, że na chwilę udało mi się oddalić od Aleksa, przynajmniej na kilka metrów. Siedzę w łazience może minutę, kiedy wchodzi Caroline.

Zamyka za sobą drzwi i patrzy na swoje odbicie w lustrze.

- Cześć. Caroline - mówię, chociaż wiem, że mnie nie słyszy. - Tutaj jestem.

Odkręca kran, po czym powoli, cicho, otwiera szuflady komody i przegląda ich zawartość.

Kiedy patrzę na przyjaciółkę, przypominają mi się różne szczegóły na jej temat.

Caroline Ann Michaels, którą znam od przedszkola. Jest otwarta, przyjacielska i bardzo bystra. Jak już mówiłam, jest cheerleaderką, to pamiętałam już wcześniej. Jednak teraz przypominam sobie szczegóły dotyczące jej charakteru, rodziny. Kiedy jest podniecona, klaszcze w dłonie i gestykułuje. Uśmiecha się tak często, że przeżywam niemal szok, widząc ją ze zmarszczonymi brwiami. Jest najmłodszą z czterech sióstr, z których każda była swojego rodzaju sławą w liceum w Noank. Jej siostry, od najstarszej do najmłodszej, to Charlotte, Corrine i Christy. Jej rodzice nazywają się Camille i Colin. Cała rodzina jest głęboko katolicka. Są ucieleśnieniem amerykańskiego marzenia.

Co roku wysyłają kartki bożonarodzeniowe ze zdjęciem całej rodziny przebranej za postacie ze znanej książki lub filmu. W zeszłym roku z „Harry'ego Pottera”, rok wcześniej z „Gwiezdných wojen”. Matka Caroline pracuje w milionie miejsc jako wolontariuszka, a jej ojciec jest jakimś magikiem finansowym, który w tygodniu pracuje na Manhattanie, a do domu przyjeżdża tylko na weekendy.

Caroline to dobry człowiek - jestem tego pewna. Dlatego tak mnie zaskakuje, że w tajemnicy przegląda moje szuflady. To bez sensu, skoro Josie już pozwoliła im przejrzeć wszystkie moje rzeczy.

W górnej szufladzie znajduje prawie pełną fiolkę środków przeciwbólowych na receptę. Przepisano mi je po wstrząśnieniu mózgu. Chowa fiolkę do torebki. Już ma zakręcić wodę, kiedy się zatrzymuje i zagląda głębiej do szuflady.

Widzę, że szukała tylko tabletek, ale najwidoczniej natknęła się na coś innego.

To pieniądze. Gotówka. Caroline sięga do szuflady i wyjmuje całą garść studolatorowych banknotów. Jej dłonie lekko drżą.

Nie mam pojęcia, co mogłam robić z taką ilością pieniędzy. Miałam konto w banku i rodzice co tydzień przelewali mi na nie kieszonkowe. Nigdy nie dostawałam gotówki.

Ale pieniądze, które trzyma Caroline, były najwidoczniej przeznaczone na coś - po co inaczej miałabym je chować w szufladzie w łazience? Powoli, zafascynowana, z miną mówiącą „patrzcie, co znalazłam”. Caroline zaczyna liczyć pieniądze. Raz... dwa... trzy... cztery... to pięćset dolarów.

Chwytam powietrze. Co ja robiłam z taką gotówką? Nie potrafię sobie wyobrazić.

Zaciskam mocno powieki i próbuję się skupić, przypomnieć sobie coś, cokolwiek. Ale nic się nie pojawia.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Caroline? Kochanie, wszystko w porządku? - To Josie.

- uhm... tak. Sekundkę! - Caroline patrzy na pieniądze. a ja przez chwilę myślę, że odłoży je do szuflady.

Jednak tego nie robi, tylko zwija banknoty i upycha w staniku.

Wychodzi z łazienki i zaczyna zbierać swoje rzeczy.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak już późno - wyjaśnia. wkładając buty. - Muszę natychmiast wracać do domu.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy. - Mera marszczy brwi. - A potem miałyśmy pójść na kawę i nocować u Josie.

- Przykro mi, dziewczyny. Wypijemy kawę kiedy indziej, dobrze? - Caroline bierze torebkę, a Josie i Mera spoglądają na siebie ze zdumieniem.

- O co chodzi? Dziwnie się zachowujesz - stwierdza Josie. - Nie weźmiesz żadnych ubrań?

Mówiłam ci, moi rodzice chcą, żebyśmy je wzięły.

Caroline bierze głęboki oddech. Przez długą chwilę rozgląda się po pokoju. Jej wzrok pada na stertę moich starych butów. Przez sekundę wygląda, jakby miała się rozpłakać.

- Zatrzymam tę kurtkę - mówi, pokazując ubranie które już ma na sobie - ale nie chcę nic innego. Wzięcie jednej rzeczy jest w porządku, ale takie przekopywać się przez jej ciuchy... Nie wiem, Josie. To nie wydaje właściwe. Czuję się, jakbyśmy okradały Liz.

Mera patrzy na swoje dłonie. Trzyma w ręku pięć moich starych torebek. Lekko rozluźnia uścisk, ale ich nie puszcza.

Josie z niepokojem spogląda na Caroline.

- Wyglądasz świetnie w tej kurtce - mówi. - Liz by chciała, żebyś ją wzięła.

To prawda, wygląda w tej kurtce świetnie. I tym razem Josie ma rację. Chcę, żeby Caroline ją wzięła. Wiem, że będzie o nią dbała.

- Zdzwonimy się, dobrze? - Caroline posyła moim przyjaciółkom całusa i znika.

Kiedy mówię Aleksowi, co widziałam w łazience, podpowiada wyjaśnienie:

- Twój chłopak był dilerem narkotyków. Może przechowywałaś dla niego gotówkę.

Marszczę brwi.

- Wątpię w to. Nic takiego nie pamiętam.

- Twoja pamięć jest pełna dziur, Liz, a to wyjaśnienie wydaje się całkiem sensowne.

- Nie. - Kręcę głową. - To nie ma sensu. Dlaczego miałabym przechowywać dla niego pieniądze? I już ci mówiłam, bardzo mi się nie podobało, że Richie handlował narkotykami. Nie sądzę, żebym zrobiła cokolwiek, aby mu pomóc.

Alex unosi prawą brew.

- jednak nie jesteś pewna. Prawda?

Waham się.

- Nie - przyznaję w końcu. - Nie jestem pewna.

Patrzy na mnie z satysfakcją.

- Słuchaj, Liz, skoro tak bardzo ci się nie podobało, że handlował, to dlaczego nie zrobiłaś więcej, żeby go powstrzymać? Sama mi powiedziałaś, że ty też brałaś narkotyki. To trochę hipokryzja, nie sądzisz?

Wzruszam ramionami.

- Niezupełnie. Ja brałam tylko czasami i żadnych ciężkich. - Głęboki oddech.

Każde wspomnienie związane z Richiem sprawia mi ból. - Richie nie lubił, kiedy to robiłam. Zawsze starał się mnie chronić.

- Uhu. Świetnie mu poszło.

- Zamknij się. To tylko chłopiec, Alex. Taki jak ty. Tak naprawdę nie jest słynny.

To po prostu Richie. Ale odbiegasz od tematu. Mówię ci, nie ma możliwości, żebym miała tyle gotówki, na cokolwiek. Zawsze płaciłam kartą.

- No to jakie może być inne wytłumaczenie, Liz? W dzisiejszych czasach ludzie

już nie chodzą z taką gotówką. Dlaczego miałabyś chować te pieniądze w łazience?

- Nie wiem. - Patrzę, jak Mera zbiera się do wyjścia. Wynosi naręczę moich ubrań do samochodu, po czym wraca po następne.

- I jesteś pewna, że Caroline nie szukała pieniędzy? -pyta Alex.

- Tak. - Milknę, odtwarzając w głowie całą scenę.

- Była zaskoczona, kiedy je znalazła. Najwidoc szukała tabletek. Chociaż nawet to jest dziwne, nie mam pojęcia, co Caroline chciałaby robić z moimi starym tabletkami przeciwbólowymi.

Alex rozgląda się po moim pokoju, który wygląda jak pobożowisko.

- To zabawne - mówi - zawsze myślałem, że wy z wyższych kręgów społecznych, prowadzicie takie proste, idealne życie. Wydawało mi się, że dla was wszystko jest łatwe.

Wyglądam przez okno. Moja sypialnia znajduje się na tyłach domu z widokiem na wodę. Widzę „Elizabeth” stojącą samotnie w porcie, cichą i pustą.

Wspomnienie nadpływa, zanim jeszcze zdążę zamknąć oczy. Zastępuje rzeczywistość, a mnie ogarnia błogi spokój.

Jest środek nocy, mój budzik pokazuje drugą czternaście. Przez kilka sekund patrzę na siebie śpiącą w łóżku. Coś mi się śni, chyba jakiś koszmar. Przebieram nogami. Wyciągam w ciemność chude ramię, sięgam do sufitu, jakbym chciała coś lub kogoś złapać. I nagle tak gwałtownie siadam na łóżku, łapiąc powietrze, że jestem zaskoczona nawet jako duch. W pokoju panuje półmrok ale moje oczy błyszczą w świetle księżycy wpadającym przez okno.

Moje młodsze ja zapala lampkę przy łóżku i widzę, że nie mogę mieć więcej niż dziesięć, jedenaście lat- Sypialnia ma stary wystrój, Nicole jeszcze jej nie prze-



meblowała: pod sufitem biegnie wzór z baletek, na kremowych ścianach wiszą plakaty z „Dziadka do orzechów • Jeziora łabędziego”. To było, zanim zaczęłam biegać.

W kącie pokoju, teraz zarezerwowanym na adidas, leżą zdarte baletki i para czarnych, lśniących butów dostępowania. Wystrój i buty to ostatnie ślady wpływu mamy.

Uwielbiała chodzić na moje występy, przychodziła na prawie wszystkie próby. Jednak ja nigdy nie byłam dobrą baletnicą, mimo że chodziłam na lekcje od przedszkola aż do szóstej klasy. Zawsze zapominałam Itfolców w układach baletowych i nigdy nie potrafiłam opanować skomplikowanej choreografii stepu.

To niesamowite widzieć siebie jako małą dziewczynkę. Jestem ubrana w dopasowaną białą koszulkę i różowe spodnie od piżamy - no i oczywiście w baletki. Mam miękkie rysy, które dawno już zniknęły zastąpione przez kościstą szczękę i zapadnięte policzki. Nie mam za to w ogóle piersi, pewnie nie mam też jeszcze nawet stanika.

Długie blond włosy są równej długości, bez żadnych pazurków wokół twarzy. Rozglądam się po pokoju, po czym stawiam bose stopy na podłodze i przyciskam dłonie do zaróżowionych policzków. Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, kiedy widzę moje nietknięte paznokcie u stóp pomalowane na bladoróżowo.

Wydaję się zupełnie niewinna, a jednak śniłam ja- toś koszmar. Marszczę w zdenerwowaniu czoło i przez minutę lub dwie rozglądam się po pokoju, jakbym nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

W końcu wstaję i na palcach, żeby robić jak najmniej hałasu, wymykam się z sypialni. W korytarzu skręcam na prawo i zatrzymuję przed drzwiami do pokoju Josie.

Nie pukam, tylko otwieram drzwi i wchodzę do środka, podchodzę cicho do łóżka i kładę dłoń - z paznokciami w tym samym odcieniu co u stóp - na ramieniu śpiącej

Josie zwiniętej w kłębek.

- Josie - szepczę, lekko nią potrząsając. - Hej, Josie

- Mmm. - Przewraca się na plecy i mruga. Ma zapalona lampkę, Josie nigdy nie lubiła ciemności. Nawet teraz chociaż ma siedemnaście lat, śpi przy małym światełku.

- Cześć, Liz. - Uśmiecha się i ziewa, pokazując metalowy aparat na zęby. - Co się stało?

- Miałam zły sen.

Bierze mnie za rękę i ściska.

Kiedy na nas patrzę, czuję niewypowiedzianą tęsknotę za tamtymi czasami, za błogosławioną ignorancją młodości. Kiedy miałyśmy dziesięć, jedenaście lat, wiedziałyśmy, że na zawsze będziemy przyjaciółkami. Widzę, że obie mamy na rękach bransoletki z połówkami serca - to było na kilka lat przed tym, zanim uznałyśmy, że noszenie ich na wierzchu to obciach.

- Chodź. - Josie odkrywa kołdrę. - Wskakuj.

Moje młodsze ja kładzie się do łóżka obok mojej przyszywanej siostry. Obejmuję ją w pasie, kładę głowę na poduszce tuż obok jej głowy.

Przez chwilę nic nie mówimy, tylko leżymy razem z zamkniętymi oczami, i już prawie mam zacząć mrugać, żeby wrócić do rzeczywistości, kiedy Josie szepcze:

- Kocham cię, Liz.

- Ja też cię kocham - szepcze moje młodsze ja.

- Siostry - mruczy Josie - na zawsze.

- Na zawsze - powtarzam jak echo.

Mogłabym na nas patrzeć przez całą noc, ale po kilkunastu minutach jest jasne, że zasnęłyśmy. Pora wracać do rzeczywistości. Moje serce, które nie bije w piersi, boli z tęsknoty za tamtymi dniami. Straciłam już wtedy matkę, więc nie byłam taka naiwna, ale

życie wciąż było pełne nadziei, nowych początków. Miałam nową rodzinę. Nadal miałam swojego ojca. Przyszłość była pełna możliwości.

Zamykam oczy, zaciskam powieki najmocniej, jak potrafię, żeby wymazać tęsknotę, która mnie przepelniła na widok sceny, której przed chwilą byłam świadkiem. Kiedy je otwieram, Alex stoi obok mnie i przygląda się mi z mieszaniną ciekawości i znudzenia.

- Wreszcie jesteś - mówi. - Gdzie byłaś?

Ignoruję jego pytanie.

- Chcę stąd wyjść - oznajmiam. Nagle czuję, że nie zniosę przebywania w moim pokoju ani minuty dłużej.

- Dokąd chcesz iść?

- Nieważne. Dokądkolwiek. Na dwór.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Kiedy byłam żywa, łatwo było mi uciec przed rzeczywistością. Po prostu wkładałam buty i szłam biegać. I jednak teraz nie ma miejsca, w którym przebywanie nie sprawiałoby mi bólu. Zamarzam, trzęsę się od wilgoci, I która zagnieździła się w moich kościach. Bolą mnie stopy. Jestem zmęczona. Pomimo stałej obecności Aleksa śmierć jest niewiarygodnie, niezmiernie samotna.

Wychodząc z domu, mijamy swojego ojca siedzącego- I go samotnie w salonie. Jest ubrany do pracy, ale nie I wygląda, jakby się dokądś śpieszył. Siedzi na kanapie i patrzy w wiszący na ścianie telewizor. Odbiornik jest I wyłączony, ekran czarny, ale mój tata chyba nie zdaje I sobie z tego sprawy. W ręku trzyma szklankę napoju, który wygląda na whisky, ściska ją tak mocno, że pobieleły mu kłykcie.

Pamiętam swojego tatę jako bardzo wesołego człowieka. Teraz wydaje się załama-

ny. Pomimo służbowego ubrania widzę małe oznaki świadczące, że nie wszystko jest w porządku. Nie golił się od kilku dni, nie ma na ręku zegarka, z którym nigdy się nie rozstawał. I nie ma skarpetek- czarne błyszczące mokasyny na pulchnych stopach. Jakby zaczął przygotowania do pracy, do życia, tak naprawdę nie mając zamiaru ich dokończyć.

Przenosi wzrok z telewizora na szklanekę. Potrząsa nią lekko i patrzy na poruszające się kostki lodu. Przekrzywia głowę. słucha ich cichego brzęku.

Alex i ja przyglądamy mu się w milczeniu. Z korytarza na górze dobiega głos mojej przyszywanej siostry, która z ożywieniem rozmawia z kimś przez telefon. Słyszę jej śmiech.

Mój tata też go słyszy. Zamyka oczy i zapada się głębiej na kanapie.

Wypija łyk alkoholu, żuje kostkę lodu, po czym powoli wstaje i idzie do kuchni.

Alex i ja podążamy za nim. Mój tata wstawia szklanekę do zlewu. Podchodzi do szafki i wyciąga pełną butelkę whisky. Wtyka ją pod ramię i kieruje się do tylnych drzwi, które wychodzą do ogrodu.

- Jak myślisz, dokąd on idzie? - szepcze Alex.

- Nie wiem.

- Możemy iść za nim.

Patrzę przez kuchenne okno, jak mój tata przecina ogród i kieruje się w stronę przystani. Jeżeli zobaczy go teraz któryś z sąsiadów, pomyśli, że kompletnie zwario-  
\*« I może będzie miał rację.

- Nie chcę - odpowiadam Aleksowi.

- Dlaczego nie?

Patrzę na niego. Pytanie wydaje mi się absurdalne.

- Bo to za bardzo boli. Dlatego nie.

Zamiast pójść za moim tatą, idziemy w odwrotnym kierunku i wychodzimy frontowymi drzwiami. Kiedy stajemy przed domem, patrzę na ulicę i wyobrażam sobie, jakbym się czuła, gdybym mogła teraz zacząć biec. Uciec od Aleksa, od bolesnego widoku Josie i przyjaciół przeglądających moje rzeczy, mojego ojca, który ledwo funkcjonuje, od śmierci. Pomimo że już prawdopodobnie nigdy nie będę mogła biegać, nie potrafię przestać wyobrażać sobie, jak dobrze bym się wtedy poczuła, jaka wolna. Myśląc o tym, docieram do końca ulicy akurat w chwili, w której mój chłopak wychodzi na ganek. Natychmiast do niego podchodzę. Czuję, że muszę być z nim, blisko niego.

Richie wygląda dziwnie. Nie przypominam sobie, że bym przez wszystkie te lata kiedykolwiek poza szkołą widziała go w stroju sportowym. Jednak teraz stoi w białym podkoszulku i zawiązuje sznurówki adidasów. Choć buty są już dość stare - dałam mu je ponad rok temu - nie były często używane i wciąż są białe, w miarę czyste i wyglądają na sztywne. Richie nie stoi w nich zbyt pewnie. Jego nogi są blade i słabo umięśnione. Widać, że zaczął biegać dopiero dwa tygodnie temu.

Już ma zejść z ganku, kiedy Josie otwiera frontowe drzwi naszego domu i macha do niego.

- Cholera - mruczy Richie, chociaż się do niej uśmiecha.

- Chodź na chwilę! - wola Josie.

Idę za nim ulicą. Rozgląda się czujnie, jakby się bał, że ktoś ich razem zobaczy.

Moja przyszywana siostra marszczy brwi.

- Co ty masz, do cholery, na sobie? - pyta, chichocząc.

- Ubranie. Idę biegać.

- Ty! Biegać?

- Tak. - Milknij na chwilę. - To mi pomaga myśleć.

Przychodzi mi do głowy, że może to coś więcej niż zbieg okoliczności, że Richie idzie pobiegać dokładnie wtedy, kiedy ja tak intensywnie myślę o bieganiu. Ale ten pomysł daje mi zbyt dużo nadziei, więc jak najszybciej <p odrzucam.

Josie nawija na palec kosmyk włosów. W porównaniu i Richiem wygląda doskonale: włosy, zakręcone i napuszone w idealny nieład, otaczają perfekcyjnie umalowaną twarz. Niezliczoną ilość razy widziałam, jak się maluje. Jest jedną z tych dziewczyn - teraz rozumiem, że i ja taka byłam - która nastawia budzik na bezbożną godzinę, żeby rano przejść mozolny proces upiększania: nagrzewane walki, żeby dodać włosom puszystości. Pęseta do brwi. Podkład. Bronzer. Róż. Kredka do oczu. Cień do oczu. Zalotka. Tusz, tusz, tusz. Balsam powiększający usta. Kredka do ust. Szminka. Błyszczak. Chusteczki wchłaniające nadmiar tłuszczu. Lakier do włosów. Balsam do ciała. Niesamowite, jak wiele trzeba włożyć wysiłku, żeby wyglądać tak jak wszyscy - tylko lepiej.

Jest połowa września i na dworze zrobiło się chłodno, P° błękitnym niebie płynie kilka idealnych chmurek. powiewa wiatr i z ganku Richiego dobiega nieustanny, przyjemny dźwięk cynowych wietrznych dzwonków.

Josie pociera pokryte gęsią skórą ciało.

- Jak sobie radzisz?

Stajemy przed domem, patrzę na ulicę i wyobrażam sobie, jakbym się czuła, gdybym mogła teraz zacząć biec. Uciec od Aleksa, od bolesnego widoku Josie i przyjaciół przeglądających moje rzeczy, mojego ojca, który ledwo funkcjonuje, od śmierci. Pomimo że już prawdopodobnie nigdy nie będę mogła biegać, nie potrafię przestać wy-

obrażać sobie, jak dobrze bym się wtedy poczuła, jaka wolna. Myśląc o tym, docieram do końca ulicy akurat w chwili, w której mój chłopak wychodzi na ganek Natychmiast do niego podchodzę. Czuję, że muszę być z nim, blisko niego.

W porządku. Chociaż szkoła to piekło. Gdziekolwiek spojrzę, myślę o niej. - Patrzy w niebo. - Czuję się jakby ona nie odeszła, wiesz? Co rano kiedy się budzę myślę, że znowu ją zobaczę. Na przykład: „Kurczę, muszę się pośpieszyć, Liz nienawidzi się spóźniać”. A poteni sobie przypominam. To tak, jakby ona każdego dnia umierała na nowo.

- Wiem - mówi Josie. - O tym samym mówiłam Caroline i Merze. - Wyciąga nieśmiało rękę do Richiego. Zauważam, że jej paznokcie nie są już purpurowe, tylko jaśkrawoczerwone. Robiła niedawno manikiur. - Richie, chcę ci coś powiedzieć. Nie powinnam była mówić ci o niej i Vinsie. Lepiej by było dla ciebie, gdybyś nie wiedział.

Richie patrzy na mój dom, mój samochód - czerwonego mustanga, którego dostałam na siedemnaste urodziny - zaparkowanego na podjeździe.

- Może tak. Może nie. - Potrząsa głową i lok spada mu na oko. Tak bardzo pragnę wyciągnąć dłoń i odgarnąć ten kosmyk. - Nie - mówi. - Lepiej, że znałem prawdę. Bierze Josie za rękę i macha jej ramieniem do przodu i do tyłu. - Możemy zaopiekować się sobą nawzajem.

Nagle Josie patrzy nad jego ramieniem. Unosi wolną rękę i macha.

- Dzień dobry, pani Wilson.

Richie ogląda się przez ramię. Jego matka stoi na ganku i ich obserwuje.

- Chryste - mówi Richie cicho. - Czego ona chce.

- Och, bądź miły. - Josie uśmiecha się do niego

- To twoja matka.

- Ledwo - mruczy. Jak już mówiłam, państwo Wilson to znani artyści. Są kreatywni i troskliwi, ale z jakiegoś powodu fatalnie sobie radzą z wychowaniem dziecka. Kiedyś słyszałam, jak ktoś mówił, że istnieją dwa rodzaje rodziców: tacy, którzy zrobią wszystko dla swojego dziecka, i tacy, którzy zapłacą komuś, żeby zrobił wszystko dla ich dziecka. Rodzice Richiego należą do tej drugiej kategorii. Nie to, że syn ich nie obchodzi, oni po prostu są tak strasznie zajęci, moja droga.

- Richard? Możesz tu przyjść na minutę? - Rani Wilson nie macha do Josie, nie odwzajemnia nawet jej uśmiechu.

- Co jej jest? - pyta Alex. - Nie lubi Josie czy jak?

Potakuję.

- Nie lubi nikogo z nas. Ani Josie, ani moich rodziców...

- A ciebie?

Wzdrygam się. Kiedy znów patrzę na dom, Richie i Josie znikają zastąpieni przez kolejne wspomnienie. Na podjeździe stoi ciężarówka firmy przeprowadzkowej. Frontowe drzwi są otwarte na oścież i zablokowane cegła. Ze środka dobiega dziewczęcy pisk i odgłosy stóp łomoczących po schodach.

Dziewczynki! Uspokójcie się! - Mój ojciec wyłania się z tyłu ciężarówki ze stertą pudeł w ramionach.

Z domu wychodzi Nicole. Jest ubrana w bardzo obcisłą koszulkę i dżinsy, długie włosy związała różową Pustką. Jest młoda, ma trzydzieści kilka lat, policzki zaróżowione od ciężkiej pracy i podniecenia, a w oczach rozmarzony blask świeżo poślubionej małżonki. I, rany, jest śliczna.

- Niech się bawią, Marshall - mówi do i całuje go w policzek. - Są takie podekscy-



towane. - tyka za ucho luźny kosmyk, odsłaniając małe kolczyki w kształcie pułapki snów, mikroskopijne piórka wiszące na okrągłej siateczce.

Josie i ja wybiegamy zza niej, mamy spocone twa. rze, chichoczymy. Prawie wpadam na ojca, który idzie z pudłami po ścieżce.

- Uważajcie! - Odskakuje na bok. Wzdycha, stawia pudła na ziemi i przyciska dłoń do pleców. Może mieć jakieś trzydzieści pięć lat, ale już ma sporą nadwagę i zero kondycji fizycznej. Na jego zmarszczonym czole błyszczą krople potu, brakuje mu tchu. Za cztery lata dostanie lekkiego zawału podczas zakrapianego lunchu z klientami. Lekarz zaleci mu, żeby schudł dziesięć kilogramów i przestał jeść czerwone mięso, a on utyje pięć i nie porzuci miłości do steków.

Patrzy spode łba na pudła.

- Trzeba było zatrudnić ludzi.

- Och, daj spokój. Jesteś dużym chłopcem. Tego nie ma tak dużo. - Nicole macha bez troski ręką. Wielki diament na palcu jej lewej dłoni błyska w słońcu. Nie pasuje do reszty biżuterii: kolczyków, grubego naszyjnika z turkusów i brzęczących bransoletek.

Przenosi wzrok gdzieś za mojego ojca.

- Och... spójrz, Marshall. Przyjechali Wilsonowie.

Richie i jego rodzice wysiadają z samochodu zaparkowanego przed domem. Kiedy pan i pani Wilson widzą mojego tatę i Nicole, wymieniają czujne spojrzenia.

- Hej, Richie! - wołam, machając.

On od razu się uśmiecha, na jego policzkach się doleczki. Na koszulce ma obrazek z Batmanem- Nie widać żadnych znamion zatwardziałego „jzestępcy. jakim stanie się za kilka lat. Teraz, w wieku lat dziesięciu, ma loczki, jest słodki i pełen

niewinnej energii- Uwielbiałam go wtedy. Jak mogłabym nie uwielbiać? Kochaliśmy się nawet jako dzieci, chociaż nie wiem, wv zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- Richard, idź do domu. Natychmiast.

- Ale, mammo...

Pani Wilson uśmiecha się, zaciskając równocześnie zęby.

*-Natychmiast, Richard.*

Rozczarowany wzrusza ramionami w moim kierunku i wlecze się do domu, spoglądając na mnie przez ramię. Wskazuje na matkę i rysuje kółko koło ucha. jakby chciał powiedzieć: „wariatka”.

Uśmiecham się do niego promiennie, po czym patrzę, jak Nicole rozmawia z państwem Wilson, a oni, z wymuszonymi uśmiechami kiwają głowami. Wtedy nie rozumiałam, co się dzieje, ale patrząc na nich teraz, widzę wyraźnie, że jej nie lubili. Wca-  
le.

- Po śmierci mojej matki - wyjaśniam Aleksowi, gdy wspomnienie znika - Nicole i mój tata natychmiast zaczęli się spotykać. Nicole i jej pierwszy mąż dopiero co podjęli decyzję o separacji. - Nie wiem, dlaczego mu to mówię. Właściwie nie chcę rozmawiać na ten temat, jak już tyle razy powtarzałam, nigdy nie wierzyłam W żadne plotki. Jednak nagle, gdzieś w głębi mojego umysłu, pojawia się cień wątpliwości. Tylko cień to wystarcza.

- Jej pierwszy mąż? - powtarza Alex. - Masz na myśli tatę Josie?

- Tak. - Potakuję. - Ale spójrz na Josie, Alex. Jest trochę podobna do mojego ojca, nie sądzisz? - Próbuję upomnieć samą siebie, że Josie przypomina też swojego prawdziwego tatę - mają takie same włosy i kolor oczu - ale jednak. Mam coraz większe wątpliwości. Ludzie mówią o tym od tak dawna. Czy możliwe, że to prawda?

Josie jest dosyć szczupła i drobna, ale widać, że gruboścista. Inaczej niż ja - miałam geny matki i nawet zanim stałam się chuda jak szczapa, zawsze byłam wysoka i szczupła - Josie walczy o utrzymanie figury. Nie ma wcięcia w talii i odznacza się mięsistością, której nigdy nie zmieni żadna wysokoproteinowa dieta ani godziny aerobiku. Wyglądem pasuje do rodziny ze strony mojego ojca jak brakująca gałąź drzewa genealogicznego.

Mój tata i Nicole chodzili ze sobą w liceum. Po maturze zerwali i każde poszło w swoją stronę, ale w końcu oboje osiedli w Noank ze swymi szanownymi małżonkami. To małe miasto. Przyjaźnili się. Moja matka była chora na długo przedtem, zanim zaśła w ciążę. Kto wie, jak wyglądało małżeństwo moich rodziców?

- Ludzie myślą, że mój tata i Nicole mieli romans, którego owocem jest Josie - wyjaśniam Aleksowi. – Po śmiercią mojej mamy. Przed rozwodem Nicole.

- Uch-uch. A co ty myślisz? - pyta Alex.

Richie rozmawia z matką, a Josie wpatruje się w telefon pilnie pisząc SMS-a, z półuśmiechem błakającym po jej ślicznych czerwonych ustach.

Nie wiem. Jeszcze kilka minut temu powiedziałabym że nie ma mowy, żeby mieli romans. Ale... - Mój głos zamiera - Pobrali się tak szybko po śmierci mamy.

Prawie wcale nie umawiali się na randki. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mój tata mógłby zdradzać moją mamę, Alex. Nigdy nie brałam pod uwagę takiej ewentualności, nawet przez sekundę. Tylko że...

- Co? - przerywa mi Alex. - Tylko że co?

- Ona jest naprawdę bardzo podobna do mojego taty. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

Alex patrzy na Josie.

- Może nie chciałaś zauważyć.

Richie zostawia Josie samą i idzie za matką do domu, a ja podążam za nimi, przechodzę bez trudu przez frontowe drzwi, które zamknęli mi przed nosem.

Dom sprawia złudne wrażenie ciepła. Gdziekolwiek spojrzysz, widzisz dzieła sztuki: obrazy na ścianach [reprodukcje nie są dla Wilsonów - tu wiszą tylko oryginalne pastele za ochronnymi szybami, kolekcja, którą prawdopodobnie można by trzykrotnie opłacić Richiemu college), rzeźby na podłodze i półkach, witrażowe okna, ręcznie tkane dywany, rośliny w każdym kącie pokoiów pełnych ciepłego, swojskiego nieładu mającego sprawiać "rażenie, że tu jest prawdziwy dom.

Jednak ja wiem, że jest inaczej. To tylko zbiór przedmów. Obrazy mają być podziwiane, ale nie należy im się zbyt dokładnie przyglądać. Kiedyś, gdy patrzyły na jeden z nich, tata Richiego naprawdę powiedzie mi, żebym uważała i nie oddychała zbyt blisko szyby Książki są na pokaz, kupione wszystkie naraz na aukcji antyków wiele lat temu. Wszystkie dywany pochodzą z jednego importu z Maroka. Pokojówka podlewa wszystkie rośliny.

W tym domu nigdy nie ma żadnego prawdziwego jedzenia, jedynie takie produkty, jak keczup, wino czy pudełko z resztkami jedzenia na wynos. Rodzice Richiego spędzają większość tygodnia w mieście, gdzie mają galerię - po co mieliby jeździć na zakupy? Przecież ich syn nie musi jeść.

Richie i jego matka stoją w kuchni, pani Wilson zagląda do ogromnej, prawie pustej lodówki z nierdzewnej stali. Poza półkami na drzwiach, na których stoi mnóstwo różnych sosów, w środku widzę jedynie dwulitrową butelkę, pudełko po pizzy i karton sojowego mleka. Patrząc na mleko, przypominam sobie, że stoi tu od miesiąca.

- Richard, wiem, że nie spodoba ci się to, co powiem, ale nie chcę, żebyś spotykał

się z Josie. - Kuchnia jest nowoczesna, lśniąca, zimna, pełna marmuru, stali i szkła.

Wystrój wydaje się symbolem głodu, powiększonego przez permanentny brak jakiegokolwiek pożywienia. Na haczyku wisi zapasowa para kluczy. Zmywarka o drzwiach z przezroczystego szkła jest kompletnie pusta. Richie zwykle jadał śniadania u mnie w domu. Nie mam poi?" cia, co teraz robi rano.

- Dopiero co straciła siostrę - mówi. - Nie radzi sobie.

- - Dokładnie o to mi chodzi. Dopiero co straciła siostrę - Pani Wilson zamyka lodówkę i jej twarz spowija mrok. Jedyne światło pada z okna nad zlewem, przecina pomieszczenie na pół, oddzielając Richiego i jego mamę od siebie. Pani Wilson - chuda, po pięćdziesiątce, bez makijażu, ciemnobrązowe kręcone włosy, ubrana we flanelowi koszulę i brudne dżinsy - przyciska dłoń do czoła i opiera się o wyspę kuchenną. - Jesteś za młody, żeby pamiętać, jak to było przed śmiercią matki Liz. Lisa była moją przyjaciółką. Richard, ona płakała z powodu Nicole. Mówiła do mnie: „Ta kobieta próbuje ukraść mi męża". To było potwornie smutne. Cała czwórka - rodzice Josie i rodzice Liz - zaczęli spotykać się jako przyjaciele. Lisa nie wiedziała, że Nicole ma obsesję na punkcie jej męża. Możesz to sobie wyobrazić? - Patrzy na niego drwiąco. - Oczywiście, że nie możesz. Jesteś dzieckiem.

Richie wbija wzrok w swoje białe buty.

- A co ja mam zrobić, mamó? Nie mogę ignorować Josie. Ona na to nie zasługuje.

Nie zrobiła nic złego.

- Jest jego córką. Josie jest córką Marshalla. Wiesz o tym, prawda? Ten romans trwał przez lata, na oczach wszystkich. A potem umarła jego żona. Zagłodziła się na śmierć. Była upokorzona, nieszczęśliwa i miała złamane serce. Wiesz, chyba nie minął nawet tydzień od jej pogrzebu, kiedy Nicole zostawiła swojego męża dla Marshalla.

Są pewne sprawy, o których nie chcę pamiętać, bez względu na to, z jakiego powodu tu jestem. Nie chcę tego słuchać, nie chcę niczego więcej wiedzieć. Ale nie mogę się powstrzymać

To było lata temu - wtrąca Richie.

To było przerażające. - Pani Wilson prostuje się i podchodzi do jedynej szafki w kuchni, która jest w pełni zaopatrzona, szafki z winami. Otwiera butelkę czerwonego wina i nalewa trochę do kubka z reprodukcją „Krzyku» Edwarda Muncha.

Richie mruga powiekami o długich, chłopięcych rzęsach.

Mamo - mówi - nie minęło jeszcze nawet południe.

Nie szkodzi. - Obejmuje kubek dłońmi, palce ma pobrudzone gliną, paznokcie krótkie, nierówne i bez lakieru. Jak na osobę tak blisko obcującą ze sztuką wydaje się niewiarygodnie bezbarwna. Dmucha do kubka, jakby chciała ostudzić gorący napój. -

Udawaj, że to kawa.

Lubiłaś Liz. Wiesz, że tak było. - Richie wygląda przez okno, na niebo, jakby chciał patrzeć wszędzie, tylko nie na matkę, bo pani Wilson tak bardzo przejmuje się życiem sąsiadów, podczas gdy minęły chyba lata. odkąd ostatni raz ugotowała obiad swojemu jedyemu synowi.

- Tak. Oczywiście, że ją lubiłam. Ona nie była niczemu winna, prawda? Bardzo jej współczułam.

- A czym różni się Josie? Ona również nie ponosi winy za to, jacy są jej rodzice.

- Ale jest ich córką. Liz przynajmniej była córką Lisy. - Ten fakt wydaje się mieć ogromną wagę dla pani Wilson. - Nie chcę, żebyś tam więcej chodził. Tu jest twój dom. - I dopiero teraz zauważa jego strój. - Dlaczego jesteś tak ubrany?

- Szedłem pobiegać - odpowiada Richie. - Muszę wyjść. Natychmiast.

Zrobiłabym wszystko, żeby pobiec z nim. Wszystko. Pobieglabym w tych butach, gdyby ból nie był nie do zniesienia. I co z tego, jeśli moje stopy spuchną i zaczną krwawić? Jakie to ma znaczenie? Nie jestem nawet trupem. Zadziwiające, że nadal mogę odczuwać aż taki ból z powodu palców skulonych w czubkach butów. Do oczu napływają mi pełne frustracji Izy, kiedy patrzymy z Alekssem. Jak Richie truchta do końca naszej ulicy, po czym skręca w drogę prowadzącą do Groton Long Point. Stoję w tych cholernych butach i wiem, że nie ma mowy, bym pobiegła. Ból byłby nie do wytrzymania. Zabiłby mnie po raz drugi. Samo stanie wydaje się torturą.

- Jak myślisz, dlaczego tak strasznie bolą mnie stopy? - pytam Aleksa. - Nigdzie indziej nie czuję bólu. - To dziwne, że wcześniej nie rozmawialiśmy na ten temat, skoro ból towarzyszy mi od samego początku.

Spogląda na moje buty.

- Nie wiem. A jak ty myślisz?

Te jego pytania mnie irytują. Zupełnie jakby próbował mnie naprowadzić na jakiś trop, ale w tej chwili nie mam ochoty na zgadywanki.

- Alex, jesteś tu dużo dłużej ode mnie. Jeżeli coś wiesz, po prostu powiedz.

Alex wzrusza ramionami.

- Naprawdę nic nie wiem, Liz. Masz rację, to dziwne.

Wzdycham i odwracam się, żeby popatrzeć na Richiego.

Jedyne, czego chcę, to biegać.

Tak? - Alex podąża wzrokiem za moim spojrzeniem po czym znowu patrzy na moje buty. - Ale nie możesz. Przynajmniej nie w tej chwili.

Za to Richie jest wolny. Może biec wzdłuż plaży obok domów aż nieprzyzwoitych w swojej dekadencji Większość budynków w Groton Long Point to letnie wille nie-

wiarygodnie bogate. Stoją tu domy z windami, z wtaj. nymi polami golfowymi. Latem na podjazdach tłoczą się mercedesy, ferrari, a czasem nawet jeden lub dwa bentleje. Tutaj mieszkają ludzie, którzy nigdy nie słyszą słowa „nie”. To moi sąsiedzi, rodzice moich przyjaciół. W pewien sposób byłam taka jak oni. Ponieważ ja też nie słyszałam słowa „nie”, zwłaszcza po śmierci matki.

Ale teraz każda odpowiedź brzmi „nie”: „nie, nie pamiętasz”, „nie, nie możesz zobaczyć swojej matki”, „nie, nie możesz biegać”.

Jednak Richie może biec po chłodnej plaży, może wdychać słone powietrze i czuć, jak kostki mu drżą, gdy stawia stopy na piasku. Sama robiłam to setki razy.

tylko pod jednym względem ma sens fakt, że nie mogę tego robić teraz: biegając, czułam się bardziej żywa niż kiedykolwiek. Oczywiście, że nie mogę poczuć tego teraz, kiedy jestem martwa.

Mama Richiego stoi w drzwiach i patrzy, jak jej syn znika na końcu ulicy. Zostawiam Aleksa samego i idę za nią, kiedy wchodzi po schodach, do sypialni Richiego. Przez chwilę tylko tam stoi. Podchodzi do łóżka, między kciuk i palec wskazujący bierze róg narzuty i uważnie się mu przygląda. Cicho - jakby wiedziała, że nie powinna być i że Richie w każdej chwili może ją przyłapać podchodzi do biurka. Bierze do ręki moje zdjęcie. Zakrywa kciukiem moją twarz, tak że widać jedynie włosy i sylwetkę.

Na kilka miesięcy przed śmiercią zostały ze mnie tylko skóra i kości.

- Lisa - szepcze. Odsuwa kciuk, odsłaniając moją uśmiechniętą twarz. Mimo tego uśmiechu mojej urodzie brakuje blasku: jeżeli przyjrzeć się uważniej, włosy, choć wciąż długie i blond, wydają się słabe. Pod oczami mam cienie, na pewno pokryte grubą warstwą korektora, a pod skórą widać wyraźnie wszystkie kości. Kość łydki, połączona z kością kolana, kość udowa, połączona z biodrem...



- Co ona robi? - pyta Alex.

Zaskoczył mnie. Nie widziałam, że za mną idzie, a jednak tu jest.

- Nie wiem - odpowiadam. - Rozgląda się.

- Czego szuka?

Kręci głową.

- Nie jestem pewna. Ale jeżeli zacznie węszyć, nie spodoba jej się to, co znajdzie.

Pani Wilson jest kiepską matką, ale nie złym człowiekiem. Patrząc na nią teraz, jak ogląda książki na półkach Richiego, każda po sto stron, przeczytane przez syna, o którym absolutnie nic nie wie, czuję taki żal, że współczucie niemal zapiera mi dech w piersi. Zdaję sobie sprawę, że ja znałam go lepiej, niż ona kiedykolwiek będzie miała szansę poznać.

Tyle że zna syna chyba lepiej, niż myślałam. Jej palce, "Wzące po grzbietach książek, zatrzymują się na zbyt dużym egzemplarzu „Wielkich nadziei”, pani Wilson wysuwa powoli książkę i pozwala jej się samej otwożyć. Czy to może być zbieg okoliczności, że wybrała właśnie ten tom?

Pusta przestrzeń w środku jest wypchana kłopotami; torebki z trawą, kilka fiolek leków na receptę, zawiąza plastikowa torebka z poważną ilością białego proszku i plik zwiniętych banknotów ściągniętych gumką. Spójrz, mamó! Twój syn handluje narkotykami!

Spodziewam się, że pani Wilson zacznie spazmatycznie łąpać powietrze i płakać, skonfiskuje wszystko albo zadzwoni do męża, na policję, zrobi cokolwiek. Ale ona nic nie robi. Delikatnie zamyka książkę i wstawia ją z powrotem na miejsce. Przesuwa moje zdjęcie na biurku, żeby stało dokładnie tak, jak przedtem. Po czym, prawie bezgłośnie, wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Jako duchy przemieszczamy się bez żadnego wysiłku. Chociaż nie mogę biec razem z Richiem z powodu moich koszmarnych butów, wystarczy, żebym zamrugała, tylko o nim pomyślała - a Alex, żeby mnie dotknął, jeśli chce pójść ze mną - i już jesteśmy u jego boku.

Próbuję się na nim skoncentrować tak mocno, jak to tylko możliwe, sprawić, by zdał sobie sprawę, że jestem tu obok niego. *Richie, to ja, myślę. To ja, Liz. Czujesz mnie? Wiesz, że tu jestem?* Próbuję skupić się na tym, co nas wciąż łączy, ale rozprasza mnie bezustanna obecność Aleksa. W moich myślach obaj zlewają się na chwilę w jedno, Alex stojący koło mnie i Richie, który zatrzymuje się i odpoczywa, opierając łokcie na kolanach.

*Jestem tutaj. Jestem tuż obok ciebie. Czujesz mnie? To ja, twoja Liz*

Patrząc na niego, nabieram nadziei: wydaje się odmieniony, jakby dostał świeży zastrzyk energii. twarz ma zarumienioną, policzki czerwone, a oczy pełne blasku, kiedy patrzy na popołudniowe słońce przed sobą. To był raczej sprint niż jogging i teraz jesteśmy już po drugiej stronie miasta.

- Nie pobiegł na plażę. - Alex nigdy nie podchodzi do niczego z nadmiernym entuzjazmem, ale teraz jego ton jest bardziej obojętny niż zwykle. - Co on tutaj robi?

Czuje to, co nas łączy. Musi czuć. Inaczej dlaczego tak nagle by się zatrzymał?

Przysuwam się bliżej do Richiego, tak blisko, że mogę wyciągnąć rękę i go dotknąć. Koncentrując się najmocniej, jak tylko potrafię, oczyszczając umysł ze wszystkich innych myśli, robię to: dotykam go. I udaje mi się. Kiedy kładę dłoń na jego spoczonych plecach, czuję życie tętniące pod moimi palcami: ciepłe, wilgotne, nieustające. Czuję mrowienie w całym ramieniu, aż czubki moich palców gotowe są eksplodować i w mgnieniu oka uczucie euforii przechodzi we wrażenie, że płonę. Odrywam dłoń.

- A co miałyby tu robić? Jest droga, więc nią przybiegł, -patrzę na przestrzeń między naszymi ciałami. Powietrze wydaje się nasycone elektrycznością, pełne energii.

Czy Richie to czuje? Kiedy żyłam, czasami po długim biegu miałam wrażenie, że wszystko wokół mnie oddycha i nie istnieje pustka, że nawet powietrze ma postać.

Richie wciąż łapie oddech. Przodem podkoszulka ociera pot z czoła. Jego śliczne loki przykleiły się do twarzy, Patrzy niemal ze strachem, na stojący przed nim dom.

To maty budynek z czerwonymi okiennicami, półtora piętra przeładowanego stylu Nowej Anglii. Nie straszny, jeśli nie zależy komuś na metrażu.

Jednak to obskurna część miasta, blisko cmentarza daleko od plaży, i nawet teraz, w jasne popołudnie ze słońcem wiszącym nad nami, okolica wygląda, jak by padał na nią cień. Na niebie nie ma żadnych chmur a jednak to miejsce spowija jakaś szarość, sieć, od której powietrze wydaje się gęstnieć.

Mój chłopak rozgląda się, jakby podejrzewał, że ktoś go śledził. Ja! - chcę krzyknąć. - To ja! Podchodzi bliżej do małego, białego domu, z boku, do wolno stojącego garażu, wspina się na palce i zagląda przez okno.

- Alex - mówię - zrobiłam to. Dotknęłam go.

Jednak Alex nie wydaje się zainteresowany tą rewelacją.

- Wiesz, kto tu mieszka? - Jego głos drży.

- Nie, oczywiście, że nie wiem.

- Oczywiście, bo to gówniany dom? - Próbuje kopnąć grudkę ziemi na frontowym trawniku, ale nie może. jego stopa przechodzi przez materię, nie czyniąc najmniejszego uszczerbku.

Wciąż chwuję się z wrażenia, jakie wywarł na mnie kontakt z ciałem Richiego.

Obejmuję się ramionami, próbując zachować choć ślad tamtego uczucia, jednak zani-

ka niczym piach odsiewany przez sito. Nie mogę tego powstrzymać. Podłe zachowanie Aleksa wydaje się zacierać wszystkie mile doznania, które tak trudno mi znaleźć, i zdaję sobie sprawę, że na chwilę zupełnie zapomniałam o bólu stóp. Jednak teraz wrócił, tak ostry, ledwo mogę stać.

- Tak- syczę, zła na Aleksa, że przez niego straciłam uczucie - ponieważ to gówniany dom. To właśnie chciałeś usłyszeć? Nie mam pojęcia, co Richie robi na tej ulicy i dlaczego jest taki zainteresowany akurat tym budynkiem. Nigdy wcześniej nawet nie widziałam tego domu. Żadne z moich przyjaciół nie mieszka w tej części miasta. Nawet w Halloween nie chciałabym tu przyjść prosić o cukierki. Pewnie skończyłabym z koszykiem pełnym kiepskich, przeterminowanych słodczy. - Nie żeby to miało jakieś znaczenie, przecież nigdy nie jadłam słodczy.

- W takim razie co on robi? - Alex prawie wpada w histerię. - Dlaczego tu przyszedł?

- Nie wiem! Rozgląda się. Zagląda... do skrzynki. -Przerywam. - Co?

To prawda. Richie przegląda pocztę. Przygląda się uważnie po kolei każdej kopercie. Kiedy przejrzał już wszystkie, wkłada je z powrotem do skrzynki. Obrzuca dom ostatnim, długim spojrzeniem, po czym rusza z powrotem, przyśpieszając na opadającej w dół drodze do miasta.

- Chcę wejść do środka - mówi Alex.

-- Dlaczego? - pytam.

Uczucie smutku oplata mnie coraz ciaśniej, powietrze staje się coraz gęstsze, cięższe, aż wydaje się przesycone prawdziwym strachem. Zanim Alex się odezwie, już wiem, co chce powiedzieć. Nie rozumiem dlaczego, tylko, że myślałam o Aleksie, patrząc na biegnącego Richiego. Dzieje się coś, co przechodzi moje pojęcie. Nasze

światy splatają się ze sobą, moje myśli wpływają na Richiego. To wydaje się jasne, chociaż jeszcze nie do końca potrafię dostrzec w tym wszystkim sens. - Ponieważ to mój dom. Chcę iść do domu.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Ludzie radzą sobie ze śmiercią na różne sposoby. Moja rodzina próbuje pozwolić mi odejść bez zbytniego hałasu. Rozdają moje rzeczy, mój ojciec topi ból w alkoholu. Moja przyszywana siostra, pomimo że bez wątpienia jest w żałobie, twierdzi, że mój chłopak należy do niej. Nie wydają się zainteresowani rozwiązaniem tajemnicy otaczającej moją przedwczesną śmierć, nawet nie przyznają, że istnieje jakaś tajemnica. Ale niektórzy ludzie nie wracają tak łatwo do normalnego życia, trzymają się strasy najbliższej osoby jak ciepłego koca. Dom Aleksa to jego mauzoleum, zrobione ze ścian z gipsu i kartonu, podłóg z linoleum i tanich zasłon. W każdym pokoju wisi jego fotografia, otoczona świętymi obrazkami i suchymi kwiatami, pod wieloma s'oją świece, które płoną w pustym domu.

- Nie boją się, że wywołają pożar? - "IYzymam dłoń płomieniem krwistoczerwonej świecy w szklanym świeczniku z prymitywną podobizną Marii Dziewicy Pstem zafascynowana faktem, że nic nie czuję. Czasami bycie duchem miewa swoje dobre strony.

- Nie sądzę, żeby jeszcze czegokolwiek się bali.

- Mówiłeś, że są religijni. Mam na myśli twoich ro. dziców. Są katolikami?

jedyne, co znałam i co zdawało się przypominać religię to nowoczesna wersja spirytualizmu Nicole. W naszym domu nie mogłaś skontaktować się z drugą stroną, jeśli

nie miałaś odpowiedniego uniformu: obcisłego podko- szulka na ramiączkach, szero-

kiej spódnicy, turkusowej biżuterii, tatuaży zrobionych henną. Z tego, co zauważyłam, przez miesiąc, który upłynął od mojej śmierci, Nicole nie zajmowała się swoją religią. Nie dziwi mnie to. Prawdziwa strata - widok jej pasierbicy w worku na ciało, świadomość, że ostatnie chwile życia spędziłam w słonej wodzie, która zalewała mi płuca, że umarłam dosyć nieprzyjemną śmiercią, łagodnie mówiąc - nie skłania do beztróskiego przerzucania kart tarota ani absurdalnych ceremonii seansów spirytystycznych.

Jednak nie miała obiekcji, żeby wyciągnąć tablicę ouija po śmierci mojej matki.

Dlaczego? Czy próbowała tylko mnie pocieszyć? Jeśli tak, to pomysł był chybiony i niemal groteskowo niestosowny. Co ona, u diabła, myślała?

- Tak, są katolikami. I nie mówiłem, że są religijni - poprawia mnie Alex. - Mówiłem, że są bardzo religijni- Rozejrzyj się dookoła, Liz. Całe ich życie kręci się wokół wiary. - Milknie na chwilę. - Nie ma w tym nic złego. Religia przyniosła im odrobinę pocieszenia. Rytuały religijne mają pewne zalety, nie sądzisz?

Waham się. Moim zdaniem ten dom jest po prostu przerażający.

- Cóż - mówię. - Chyba tak.

- To jak z twoim bieganiem - dodaje. - To też był rytuał, prawda? Coś, co robiłaś ciągle od nowa, żeby schować rozsądek i kontrolę.

. - Okej, rozumiem, co masz na myśli. Ale to nie była do końca religia. To znaczy,

Alex - omiatam spojrzeniem pokój - tutaj widać zupełnie inny stopień pobożności.

Wiem - przyznaje. - Moi rodzice tacy są.

W takim razie powiedz mi, gdzie teraz jesteś według twoich pobożnych rodziców?

W niebie?

, - Oczywiście. Zostałem ochrzczony. - Mruży oczy. W domu jest ciemno, jedyne światło pochodzi od płomieni świec. - Nie wiesz tego? Nie należysz do FCA\*6?

Ma na myśli Chrześcijańskie Stowarzyszenie Atletów.

- Należę - przytakuję. - Właściwie jestem wiceprezesem.

W takim razie powinnaś wiedzieć.

Wzruszam ramionami.

- Wstąpiłam tylko po to, żeby móc o tym napisać w podaniu do college'u. Dziwne, że to pamiętam. Nie sądzisz? Dlaczego to miałyby być ważne?

- Nie wiem - odpowiada. - Ale to coś o tobie mówi, o tym, kim byłaś. - Krzyżuje ramiona na piersi. - Jeżeli nie byłaś chrześcijanką, to jakim cudem zostałaś wiceprezesem?

Nie odpowiadam, tylko dalej się rozglądam. Dom jest strasznie zagracony. Oprócz gadżetów religijnych, świec, figurek i wykaligrafowanych modlitw, wiszący na ścianach, wszędzie panuje bałagan. Zlew w kuchni jest zavalony brudnymi naczyniami.

6 \* FCA - ang. Fellowship of Christian Athletes.

Pranie - nie więcej, czyste czy brudne - piętrzy się w trzech koszach koto kanapy w salonie. W kącie pokoju stoi kuweta, która aż błaga o sprzątanie.

Marszczę nos.

Myślałam, że czystość idzie w parze z pobożnością. A żeby odpowiedzieć na twoje pytanie: głosowaliśmy. Nje przeprowadziłam żadnej kampanii ani nic takiego.

- I tak po prostu cię wybrali? Mimo że nawet nie deklarujesz się jako chrześcijanka? - Jest wyraźnie zły, zupełnie jakby nie miał zielonego pojęcia, jak to jest być nastolatkiem. Ponieważ w tym właśnie tkwi sedno: nic z tego nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Jesteśmy tylko dziećmi. Co z tego, że nie jestem chrześcijanką? Przecież nikt nie robi mi egzaminu z Nowego Testamentu, żeby podważyć mój autorytet jako wiceprezesa FCA, ponieważ nie istnieją żadne autorytety. Chyba jedyne, co mu-

siałam zrobić, żeby otrzymać tę funkcję, to pomóc w organizowaniu zbiórki żywności. Jedynym moim obowiązkiem było ustawienie w każdej klasie kartonu na produkty o przedłużonej trwałości. Oto kolejne wspomnienie wyjęte z kontekstu, pozbawione znaczenia. Dlaczego to wiem, a nie mogę sobie przypomnieć faktów, które są naprawdę istotne? Wydaje się, że bycie martwą wymaga cierpliwości, której ja nie posiadam. W każdym razie jeszcze nie.

- Wielkie mi wyzwanie - mówię. – Naprawdę, gdy bym tego nie dokonała bez boskiej interwencji Od najmłodszych lat religia wydawała mi się absurdalna. Bóg zabiera matkę dziewięcioletniej dziewczynce.

No dobrze, teraz naprawdę go wkurzyłam. Alex aż trzęsie się ze złości. - Nie mów tak. Nie w moim domu. Okaż choć trochę szacunku.

301

- Dla kogo? Dla Boga?

-Tak.

- Och - mówię lekkim, prawie drwiącym tonem. Nie mogę się powstrzymać. W naszej sytuacji jego niezłomna wiara po prostu mnie śmieszy. - Pozwól, że cię zapytam, Alex, jak myślisz, gdzie on jest? Bóg?

- Jesteśmy tutaj, prawda? Więc śmierć nie jest końcem.

Spuszczam wzrok na moje buty, poruszam palcami, jakbym grała symfonię bólu.

- Moim zdaniem to może być piekło.

- Jeżeli naprawdę tak sądzisz - odpowiada - to jesteś o wiele bardziej zepsuta, niż myślałam.

Z tyłu pokoju stoi przy ścianie pianino, na którym toczą się fotografie. Alex siada na stoiku i patrzy na klawisze.



- Umiesz grać? - pytam. Kiwa głową.

- Gram, odkąd skończyłem cztery lata.

Każda fotografia na pianinie przedstawia Aleksa, niemowlęcia do - jak przypuszczam - zaledwie kil- 111 miesięcy, może tygodni, przed śmiercią. Zamyka oczy, a jego palce zaczynają bez tańczyć po klawiszach.

Dziwna energia - sieć smutku, którą poczułam pierw szy raz na zewnątrz, kiedy Richie przeglądał pocztę - wydaje się jeszcze gęstsza, jakby przenikała cały dom otulając nas tak ciasno, że mogłaby potrzaskać szyby w oknach. Patrząc na fotografie, widzę, jak Alex dorastał widzę każdy ważny moment jego życia, od narodzin aż do szkolnego zdjęcia z drugiej klasy. Stoi tu fotografia ze świątecznego poranka, Alex, jako jedyne dziecko siedzące pod choinką, uśmiecha się obok małego stosiku prezentów. Zdjęcie z Małej Ligi: Alex w stroju do bejsbolu, z kijem w ręku i szczerbatym uśmiechem. Potem na recitalu fortepianowym, ma na sobie krawat i smoking, obejmuje matkę ramieniem w talii.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jakie to dziwne, że słyszę, co on gra. Nie rozumiem, jak to możliwe, jednak muzyka jest tak piękna, że nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

- Co to było? - pytam, kiedy kończy.

- Ta melodia nie ma tytułu. - Skromnie spuszcza wzrok. - Sam ją skomponowałem.

Kiedy miałem piętnaście lat.

- Chyba już ją słyszałam. - I nagle wiem gdzie. - Słyszałam ją - mówię głośno - na twoim pogrzebie.

- Och. - Nie odrywa wzroku od klawiszy. - Masz rację.

Wydaje się, że myśli o czymś innym, jego twarz przybiera nieobecny wyraz, a

palce zsuwają się z klawiatury. Znowu zamyka oczy, zupełnie jakby młwie nie było.

Jednak teraz wygląda inaczej. Opuszcza jżiniona, garbi tak zwykle proste plecy. Wi-  
dzę, że odpłwa w przeszłość. Może to przypadek, nigdy wcześniej przy mnie te8° nie  
robił, poza tym jednym razem w dniu mojej śmierci, kiedy pokazał mi zawstydzającą  
scenę w kafeterii.

Nie zastanawiam się, co mam robić, to się po prostu dzieje. Wyciągam rękę i  
mocno chwytam go za nadgarstek. zamykam oczy.

Na początku nie wiem, gdzie jestem, mogę tylko powiedzieć, że to jakiś sklep.

Stoję przed oszkloną lodówką, pełną wysokokalorycznego jedzenia: sałatek z ma-  
karonem, panierowanych piersi kurczaka, lśniących filetów z łososia na słodko, pie-  
czonych przegrzebków owiniętych plasterkami bekonu. A te desery - och, Boże, na sam  
widok czuję taki głód, że aż muszę się cofnąć. Sernik udekorowany stertą truskawek w  
lukrze, ciasto przypominające roladę, pokryte warstwą orzechów, masła i cynamonu.

Na srebrnej tacy stoją ciastka czekoladowe i grube prostokąty krówek.

- Och - wzdycham, ale głos więźnie mi w gardle. Słysząc w nim głębokie pożąda-  
nie. Chyba teraz, kiedy jestem martwa, nie mogę przytyć. Czułabym się jak w niebie,  
gdybym mogła jeść, na co tylko przyszlaby mi ochota, nie zwracając uwagi na kalorie.  
Jednak nie Potrafię już czuć smaku. Nie sędzę, żeby objadanie się słodyczami sprawi-  
ło mi jakakolwiek przyjemność.

- Wynoś się. Natychmiast. - Nigdy wcześniej Alex nie zwracał się do mnie tak  
ostrym tonem. Stoi tuż obok mnie.

*Gdzie jesteśmy? To twoje wspomnienie, prawda? To miejsce z twojej przeszłości?*

Patrzy na mnie z wściekłością i ani mrugnie.

- Wiesz, gdzie jesteśmy. A teraz wynoś się.

Między nas wchodzi krucha staruszka.

- Halo? - woła. - Czy ktoś tu pracuje?

Kładzie ręce na ladzie i niecierpliwie stuka paznokciami o blat. Jej szczupły nadgarstek luźno obejmuje diamentowa bransoletka. Kobieta prawie cała jest ubrana na biało, poza czerwonym jedwabnym szalikiem, który owinęła wokół szyi. Na palcu prawej ręki lśni diament wielkości kulki do gry. Gęste siwe włosy są ściśnięte w ciasny kok. Nawet tutaj, przy sklepowej ladzie, emanuje ze staruszki klasa.

- O, rany... - cedzi Alex, krzywiąc się na jej widok. - Liz, musisz stąd iść. Nie chcę, żebyś to widziała.

I nagle mnie oświeca - oczywiście, że wiem, gdzie jesteśmy. Byłam tutaj z przyjaciółmi wiele razy. Rozglądam się dookoła i rozpoznaję półki pełne pieczywa, urocze, dwuosobowe stoliki z giętego metalu na przodzie sklepu, wielkie okna ze wspaniałym widokiem na plażę.

Z zaplecza, wycierając ręce w brudny fartuch, wychodzi Alex. Jest młodszy, ale niewiele. Jesteśmy, oczywiście, w Mystic Market.

- Pani Boyden. - Uśmiecha się szeroko do kobiety po drugiej stronie lady. - Jak się pani miewa?

Na jego widok wystudiowana żelazna postawa kobiety mięknie.

- Alex, jak dobrze cię widzieć. - Rozgląda się. - Przyprowadziłam dziś gościa, ale chyba jest nieśmiały Chelsea? Gdzie się chowasz?

- Nigdy nie zabierasz mnie ze sobą we wspomnienia - skarżę się.

Wzrusza ramionami, ale widzę, że tylko udaje zrelaksowanego, tak naprawdę jest zdenerwowany.

- Nie robię tego często. Koncentrowaliśmy się na tym, co przydarzyło się tobie. Ja miałem cały rok na powroty

Kręcę głową.

- To nie dlatego. Sam powiedziałaś, że nie wiesz jeszcze, kto cię zabił. Muszą ci się przypominać różne rzeczy. Nie chcesz mnie do nich dopuścić, prawda? Ani na krok. Tkwimy w tym razem, Alex, przez cały czas. Ja pokazałam ci bardzo dużo. Ale ty nie chcesz, żebym zobaczyła cokolwiek z twojego życia. To nie fair.

- Liz - odpowiada coraz bardziej zniecierpliwionym tonem - nigdzie nie jest napisane, że muszę pokazywać ci moje życie. Ja nie potrzebuję twojej pomocy. To prywatna sprawa. Nie potrafisz tego zrozumieć?

Spomiędzy półek wychodzi ładna dziewczyna i podchodzi do lady. Jest ubrana w mundurek katolickiej szkoły, brązowe podkolanówki i mokasyny. Kasztanowe proste włosy ma związane wysoko w koński ogon. Jest umalowana, ale bardzo delikatnie, tylko odrobina różu i błyszczyk. Prawie natychmiast zauważam, że nie ma przekłutych "szu, a paznokcie krótkie i niepolakierowane.

- Ale ty tylko pracujesz - upieram się, wydymając wargi. - Każdy może tu wejść i cię zobaczyć. Co w tym aż tak prywatnego?

- Nic. Tylko... nic. - Wzdycha. - To jest moje. I chcę żeby tak pozostało. - Przerywa. - Nie chcę, żeby cokolwiek to zepsuło.

- Myślisz, że moja obecność tutaj to zepsuje? - łaszczę brwi. - Jak?

Drugi Alex, ten za ladą, uśmiecha się do dziewczyny.

- Cześć - mówi - jak się masz? Nie widzieliśmy się całe wieki.

Jest coś dziwnego w jego twarzy, tonie głosu, oczach i z jakiegoś powodu wydaje się wyższy. Kładzie łokcie na ładzie i, rozluźniony, opiera podbródek na dłoniach.

Rani Boyden przenosi wzrok z jednego na drugie.

- Odebrałam dziś Chelsea ze szkoły - wyjaśnia. - Zostanie ze mną na weekend.

- Nie znam jej - stwierdzam. - Powinam? Dlaczego ma na sobie mundurek?

- Chodzi do katolickiej szkoły w Groton - mruczy Alex wyraźnie niezadowolony, że musi mi cokolwiek wyjaśniać.

Ach tak. - Teraz Alex za ladą kiwa głową z zainteresowaniem. - Jakieś wielkie plany na weekend?

I nagle rozumiem, dlaczego we wspomnieniu wygląda inaczej. Jest szczęśliwy.

Spokojny. Zrelaksowany. Ale przede wszystkim pewny siebie.

- Spójrz tylko na siebie. - Szczerzę zęby w uśmiechu. - Flirtujesz jak pierwszoklasista.

- Przestań. - Wygląda tak, jakby się miał rozplakać-

305

- Alex, o co ci chodzi? Siedzimy w tym razem, wiesz.

H je jesteśmy martwi. Nie będę się z ciebie nabijać, obiecuję.

- - Nieważne. - Wbija wzrok w podłogę. - Nie o to chodzi.

- W takim razie powiedz mi, o co - nalegam.

Jednak on ignoruje moje pytanie i skupia się na daw- oym sobie, pani Boyden i Chelsea.

- Och. nawet nie zamierzam się oszukiwać, że Chelsea nadal chce spędzać ze mną

wieczory - mówi pani Boyden. - Ma już prawie piętnaście lat. Chce gdzieś wyjść j

bawić się z młodzieżą w swoim wieku, a nie siedzieć w domu z babcią. Prawda, kochanie?

Chelsea rumieni się i wzrusza ramionami.

- Prawie nikogo tu nie znam, babciu.

- Lubi chodzić na spacer - ciągnie pani Boyden. - Mieszkamy przy samej plaży.

Wiedziałaś o tym, Alex?

Alex kręci głową.

Nie. nie wiedziałem. To wspaniale.

Rani Boyden uśmiecha się promiennie.

- To cudowna posiadłość. Kupiliśmy ją z panem Boydenem zaraz po przejściu na emeryturę. Oczywiście mieszkamy tam tylko od kwietnia do sierpnia, przez resztę roku jest za zimno dla naszych starych kości, przyszłym tygodniu Chelsea kończy szkołę i próbuję ją namówić, żeby przyjechała do nas na wakacje. - Puszcza do Aleksa oko. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że to doskonały pomysł - chwali Alex. - Poznasz mnóstwo ludzi, Chelsea.

Twarz dziewczyny trochę się rozjaśnia. Mógłbyś mnie przedstawić swoim przyjaciółni,

- Jasne. Mam mnóstwo przyjaciół. - Przerywa. - Ty<sup>^</sup> że jestem od ciebie starszy.

Większość moich przyjaciół zacznie w przyszłym roku ostatnią klasę.

- Alex - mówię - to się dzieje zaledwie na kilka mig. sięcy przed twoją śmiercią, prawda?

-Tak.

- I nigdy się z nią nie umówiłeś?

Marszczy czoło. Nie odpowiada.

- Co lubisz robić, kiedy nie pracujesz? - pyta Chelsea, nawijając nerwowo na palec pasmo długich włosów. Jest taka słodka.

Alex prostuje się.

- Głównie chodzę na imprezy - odpowiada, po czym dodaje z niewiarygodną non-szalancją: -1 spędzam mnóstwo czasu z moją dziewczyną.

Wpatruję się w Aleksa, ale on na mnie nie patrzy.

- Och. Masz, uhm, dziewczynę? - pyta Chelsea. Biedaczka wygląda, jakby ktoś właśnie wyrwał jej łoda.

Alex kiwa głową.

- Tak, jesteśmy razem prawie od roku.

Po jego minie widzę, że nie mówi prawdy.

- Dlaczego skłamałeś? - pytam. - Spodobałeś się jej, Alex. Nie rozumiem.

Nie odrywa wzroku od podłogi.

- Nigdy tego nie zrozumiesz.

- Oczywiście, że nie! To nie ma żadnego sensu. Pojawia się przemiła dziewczyna, która jest wyraźnie tobą zainteresowana, a ty ją odpychasz. Dlaczego to zrobiłeś?

Alex posyła mi gniewne spojrzenie.

- Ponieważ nie miałem mnóstwa przyjaciół. Nikt nie spraszał mnie na imprezy. A gdyby ona to wiedziała, gdyby знаła prawdę, w ogóle by się mną nie zainteresowała.

Tak naprawdę nie spodobałem jej się ja, tylko osoba, za którą mnie uważała.

Kręcę głową.

307

- Nie wiesz tego.

- Słyszałaś, co mówiła jej babcia. Mieszkają przy plaży. Są bogaci.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

- Alex - pytam - nic nie rozumiesz? Mogłeś się z nią umówić, pozwolić, żeby cię poznała. Pójść z nią na randkę, i to pewnie niejedną. Ale zamiast tego wolałeś kłamać.

Nawet nie chciałeś spróbować. I ty mówisz, że ja i moi przyjaciele byliśmy fałszywi.

- Chcę wracać - mówi.

- Nie wątpię. - Ale nie ruszam się, tylko dalej na niego patrzę.

Alex czuje się wyraźnie nieswojo pod moim spojrzeniem.

- Nie chcę o tym mówić, Liz.

- Pamiętałeś to wcześniej? Pamiętałeś, że ją okłamałeś? -dopytuję się.

Kręci głową.

- A widzisz? Sam mi mówiłeś, że te wszystkie wspomnienia, w które wracamy, które widzimy po raz pierwszy, powinny nam coś uświadomić o nas samych. Co ty miałeś Szumieć, Alex? Zastanów się nad tym

- Zastanawiałem się. A w przyszłości chciałbym zastanawiać się sam. - Żeby nie było wątpliwości, dodaje: - W samotności. Bez twojej pomocy.

- Okej, w porządku. - Pociągam nosem. - Jak chcesz,

- Dziękuję. - Wyciąga rękę i zaciska palce na moim przegubie. - Gotowa?

Rzucam ostatnie spojrzenie na dawnego Aleksa stojącego za ladą. Rani Boyden i Chelsea wychodzą. Kiedy tylko zamykają za sobą drzwi, Alex odwraca się i bierze kilka głębokich wdechów. Zamyka oczy i odchyła głowę po czym idzie na zaplecze. W środku odwraca się i stopą w adidasie z całej siły kopie w ścianę.

- Jestem gotowa - mówię. Część mnie ma ochotę go uściskać po tym, co właśnie zobaczyłam, ale wiem, że dla niego nawet dotykanie mojego nadgarstka jest straszne. Wszystko, czym byłam, wszystko, co sobą reprezentowałam - nie tylko dlatego Alex nie lubił mnie i moich przyjaciół. Zdaję sobie sprawę, że to było o wiele bardziej skomplikowane.

Kiedy wracamy, wydaje mi się, że nie ma już miejsca, w którym mogłabym za-



znać spokoju, ani w domu Aleksa, ani nigdzie. Tata przeżywa żałobę, ale poza tym mój dom jest zbyt pełen życia i energii, moja przyszywana siostra i przyjaciółki idą dalej. Jednak zaczynam myśleć, że wszędzie jest lepiej niż tutaj, w tej duszącej atmosferze, przesiąkniętej niemal dotykającą żałobą, która wydaje się wręcz oddychać wokół nas.

- Czy mogę cię o coś spytać? - Alex podnosi na mnie wzrok, opierając się o pianino. Jego przedramię na klawiszach wydaje tak przykry dźwięk, że aż się krzywi? - Oczywiście - odpowiadam pewna, że nie zapyta mnie o nic związanego ze sceną, którą widzieliśmy przed chwilą - Bez wątpienia chce zmienić temat.

- Czy kiedykolwiek myślałaś, że to cię spotka? - pyta. Że umrzesz tak młodo?

Ze schodów dobiega jakiś dźwięk. Kot, tłusty, trójkolorowy o długich, grubych wąsach i puszystym ogonie, którym przecina powietrze, jakby rwał niewidzialną sieć, wkracza do pokoju. Alex miał rację co do zwierząt, kot bez wątpienia nas widzi. Idzie prosto do Aleksa i próbuje otrzeć się o jego nogi, mruczy, wygina grzbiet, aż w końcu siada u jego stóp. Nie jestem pewna dlaczego, przecież nie możemy nawiązać kontaktu z kotem, ale fakt, że on nas widzi, tak jak wcześniej to, że słyszałam Aleksa grającego na pianinie, podnosi mnie na duchu, daje pewność, że jeszcze nie zostaliśmy kompletnie odcięci od świata żywych.

I nagle bardzo Aleksowi współczuję. Nie tylko z powodu tego, co przed chwilą widzieliśmy. Może też dlatego, że jesteśmy w jego domu, tak bardzo przesiąkniętym żałobą po jego śmierci.

- Kiedy żyłam, śmierć nie była mi obca - mówię.

Alex mruga.

- Z powodu twojej mamy?

Kiwam głową.

- Tak. Trudno to wytłumaczyć... jak gdyby śmierć zawsze miała swoje miejsce w moim sercu. Kiedy mia- 'sm dziewięć lat... - Samo wypowiedzenie tych słów \* głos sprawia mi ogromny ból. Jednak nagle chcę,

Poznał historię, którą przez cały ten czas przed nim ukrywałam. Chcę, żeby zobaczył, że ja też byłam kiefer dzieckiem, jak on na zdjęciach stojących na pianin; że byłam niewinna i miła i nie miałam pojęcia o układach społecznych, które zdominowały moje nastoletnie życie. Chcę, żeby wiedział, co mnie spotkało, żeby zrozumiał że to

309

wydarzenie zmieniło wszystko.

- Muszę ci coś pokazać - mówię.

Mruga jeszcze kilka razy.

-- Co?

Położ mi rękę na ramieniu.

Waha się.

- Dlaczego?

- Alex... proszę - nalegam łagodnie. - Nic się nie stanie. Chcę, żebyś coś zobaczył.

Robi to, o co go proszę. Gdy tylko czuję jego dotyk, zamykam oczy. I jesteśmy na miejscu.

Letnie popołudnie. Mam dziewięć lat, tata jeszcze w pracy. Wtorek. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

- Popatrz na siebie, jaka jesteś wystrojona - rzuca Alex, ale w jego głosie nie słychać złośliwości. Stoimy w sypialni moich rodziców. Ja, mała dziewczynka, przechadzam się po pokoju w szpilkach mojej mamy. Jestem ubrana w sięgające podłogi

futro i elegancki toczek - jedno i drugie należy do matki - i pozuję przed lustrem z rękami na biodrach, przechadzam się niczym profesjonalna modelka, trzepoczę rzęsami i posyłam całusy w powietrze. Usta umalowałam szminką w odcieniu - nigdy tego nie zapomnę, nigdy - „Szkarłatny Żar”. Mam wytuszowane rzęsy, na powiekach kredkę do oczu i wielkie rumieńce z rózu. Pamiętam wyraźnie, ledwo mogłam uwierzyć tak ślicznie wyglądam. Na paznokciach widnieją przyklejone tipsy- Między palcami trzymam długopis, który unSZę do ust z głębokim wdechem, udając, że palę. Zupełnie tak jak moja mama.

Kiedy próbuję wykonać przed lustrem chwiejny obrót, ciszę domu przerywa donośny odgłos, który bez wątplenia oznacza wielkie zamieszanie. Patrzę na zamknięte drzwi łazienki rodziców, w której mama bierze prysznic. Jako dziesięciolatka potrzebuję kilku sekund, żeby zrozumieć, co mam przed oczami.

- Co się stało? - pyta Alex.

Nie mogę mówić, tylko patrzę. Myślałam, że teraz będzie łatwiej, ale szybko zdaję sobie sprawę, że scena nie jest wcale mniej przerażająca niż wtedy, kiedy widziałam ją po raz pierwszy, dziewięć lat temu. - Poczekaj - szepczę z trudem. Ze szpary pod drzwiami zaczyna sączyć się woda, najpierw powoli, a potem coraz obfitszym strumieniem, który natychmiast wsiąka w biały dywan. Jakby patrzyło się na magiczną sztuczkę: gdy tylko woda wsiąka w dywan, materiał robi się czerwony, f- Chodźmy, dobrze? - mówię do Aleksa, patrząc na młodszą siebie. Doskonale wiem, co się zaraz stanie, i nagle żałuję, że go tu przyprowadziłam. Myślałam, że sobie z tym poradzę, ale nie potrafię. Nie chcę tego widzieć, nie znowu. Raz - kiedy miałam tylko dziewięć lat - wystarczy.

Jednak Alex kręci głową.

- Chcę wiedzieć, Liz.

- To zostań. Ja idę.

- Nie. - Zaciska rękę na moim ramieniu. - Nie chcę zostać bez ciebie. Liz... proszę.

- Dlaczego każesz mi na to patrzeć? - pytam błagalnym tonem.

- To ty chciałaś mi to pokazać! Po co mnie tu przyprowadziłaś?

Patrzę na niego.

- Ponieważ chciałam, żebyś mnie zrozumiał. Chciałam, żebyś zobaczył, że kiedyś

byłam taka jak ty. Nie zawsze byłam złym człowiekiem.

Odwzajemnia moje spojrzenie.

- W takim razie pozwól mi zobaczyć.

On patrzy, a ja zakrywam oczy. Już wiem, co się będzie działo.

Jako dziewięciolatka biegnę do łazienki i widzę ją: och, mamusiu. Padając, stłukła

szklane drzwi kabiny prysznicowej, odłamki pocięły jej ciało w równoległe linie.

Robię wszystko, czego można się spodziewać po małej dziewczynce. Próbuję ją

obudzić, jakoś jej pomóc, raniąc sobie ręce i kolana na potłuczonym szkłe. Krzyczę na

nią, żeby wstała. Potrząsam nią. Nie ma na świecie nic gorszego niż absolutny bez-

ruch.

Potem patrzę, jak łapie ostatni oddech. Nawet jako dziecko rozumiem, że odeszła.

Wtedy, w tamtej chwili, myślałam, że pękło mi serce. Na zawsze.

- Chcę stąd iść - powtarzam bliska łez. - Proszę, możemy iść? Alex, proszę!

Puszcza moje ramię. Jesteśmy z powrotem u niego w domu, ale już za późno,

311

wspomnienie wróciło. Nie mogę przed nim uciec.

fjudziom w moim wieku wydaje się, że śmierć nie ijtnieje. Nastolatki - jak wszy-

scy wiedzą - na ogół wierzą, . ją nieśmiertelne. Jednak ja chyba nigdy nie miałam ^ego poczucia. Widzicie, znałam śmierć bardzo do- j^e. patrzyłam, jak zabiera moją matkę.

Czegoś takiego się nie zapomina.

Alex nie patrzy na mnie. Chyba nie wie, co powiedzieć.

Zasłaniam twarz dłońmi i potrząsam głową, próbując zapomnieć o tym, co właśnie widziałam, drugi raz w życiu. Mimo że to wspomnienie zawsze ze mną było, po uj-rzeniu tego obrazu znowu jestem roztrzęsiona, zrozpaczona i bezradna. Czuję się jak mała dziewczynka, zupełnie sama na świecie. Nie sądzę, żebym potrafiła wytłuma- czyć to Aleksowi. Już żałuję, że pokazałam mu śmierć mojej matki. Nie mogę znieść, że widzi mnie taką wstrząśniętą, taką bezbronną.

Patrzę ponad jego ramieniem na reprodukcję „Ostatniej wieczerzy”, która wisi na ścianie.

- A zatem, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, może dostawałam jakieś wska- zówki. Nie wiem. Nie pamiętam. Ty też nie, prawda?

- Nie. - Wystukuje na klawiszach spowolnioną wersję Belodii „Heart and Soul”. -

Zanim umarłaś, spędziłem mnóstwo czasu, siedząc przy drodze i patrząc na prze- tódzające samochody. Moi rodzice przybili wieniec do drzewa niedaleko miejsca, w którym znaleziono moje ciało. Najpierw przychodzili tam codziennie, potem raz w tygodniu. - Przenosi palce o oktawę niżej i znowu zaczyna grać. - Ale ja czekałem na kogoś innego. Uznałem że osoba, która mnie zabiła, w końcu się pojawi. Czekaly i czekałem. - Potrząsa głową. - I nic.

Milczymy przez dłuższą chwilę, aż w końcu Alex mówi:

- Byłaś taka mała. Przykro mi, że cię to spotkało.

Wbijam wzrok w podłogę.

- Dziękuję.

Kot u jego stóp leniwie lizał łapy, ale teraz nagle przestaje i patrzy na mnie. Jego źrenice się rozszerzają, kiedy tak się we mnie wpatruje. Wyciąga do mnie prawą łapę z wysuniętymi pazurami.

Dłoń Aleksa zamiera na klawiszach. Przekrzywia głowę i patrzy na mnie błyszczącymi oczami. Zauważam, że nadal ma krzywe zęby, jak na zdjęciu z Malej Ligi. Pewnie nigdy nie nosił aparatu, może jego rodziców nie było na to stać.

- To nie ma żadnego sensu, Liz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Jakiś samochód wjeżdża na podjazd, słyszymy odgłos otwieranych drzwi garażu. Czuję niepokój, jakbyśmy byli intruzami. Jakby rodzice Aleksa mogli wejść i nas przyłapać.

- Co masz na myśli?

Alex zastanawia się intensywnie, nagle podekscytowany. Jego oddech przyśpiesza. Zaciska dłoń na moim nadgarstku. Jego palce są zimne i bezwładne, martw.

- To, co powiedziałem. Nic nie ma sensu. Pomyśl o tym. Nie masz żadnych pytań, Liz? Na przykład dlaczego Richie przyszedł do mojego domu? Ja tego ni® rozumiem.

A ty?

Kręcę głową.

- Ja też nie. Ty wiesz więcej ode mnie.

- To nie mógł być zbieg okoliczności. A ty i ja razem, razem. Jesteśmy duchami.

Dlaczego? Nie byliśmy przyjaciółmi- - Patrzy na drzwi, na klucz poruszający się zamku. - Nienawidziłem cię.

- Wiem. Przykro mi. Musisz mi uwierzyć, Alex, nie zdawałam sobie sprawy, jaka się stała okropna. Kiedyś byłam inna. Wszystko się zmieniło po śmierci mamy.

- Zależało ci tylko i wyłącznie na przedmiotach - mówi.- Ubraniach, samochodach i imprezach. Komórkach, torebkach i... butach. - Patrzy na moje kowbojki. – I co ci z tego przyszło? I tak jesteś tu ze mną.

Patrzemy na siebie. Drzwi się otwierają.

- Proszę, chodźmy stąd.

- Dlaczego. Liz? Co się stało?

Nie mogę mówić głośniej niż szeptem.

- Nie potrafię oddychać.

- Czy ty coś wiesz? Dlaczego tu jesteśmy?

313

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- Na co byty te pieniądze w twoim pokoju? Dlaczego miałaś przed wszystkimi tajemnice?

- Nie *wiem!*. - Kot ucieka. Zamykam oczy, przyciskam dłonie do powiek. Natychmiast otaczają mnie urywki wspomnień: moja matka na podłodze w łazience. Moje pierwsze zawody w biegu na przełaj, czuję motyle w brzuchu. Moje własne ciało, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy w noc swojej śmierci, zaklinowane między łodzią a pomostem. Leżę na plaży z Caroline Merą i Josie, słuchamy radia i opalamy się. I powietrze, chłodne i świeże, które wypełnia mi płuca, kiedy biegnę przez miasto, uderzam w ziemię stopami *slap-slap*, w rytmie, który przypomina bicie serca, żywotne i Silne. Pot spływa mi po czole, szczypie w oczy. Czuję smak soli wysychającej na moich ustach, zawsze lekko otwartych podczas biegania.

Chciałam już nigdy się nie zatrzymać. *Slap-slop-slop-slap*. Teraz zdaję sobie sprawę, że chciałam zniknąć Zgubić się gdzieś, żeby nikt nigdy mnie nie znalazł Po-

biec tak daleko, żeby już nigdy nie odnaleźć drogi powrotnej do domu. Ale nie mam pojęcia dlaczego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wracamy do mojego domu, cisi i poważni po wspomnieniach, których byliśmy świadkami, i rozmowie, jaką przed chwilą odbyliśmy. Jest wieczór, latarnie rozświetlają chłodne powietrze, gdy wchodzimy po schodach na ganek. Tak strasznie bołą mnie stopy. że ledwo mogę chodzić. Nie przyszliśmy tutaj, po prostu zamrugaliśmy kilka razy, ale teraz przy każdym kroku czuję, jakby ktoś wbijał mi ostrze w palce u nóg. Ból jest nie do zniesienia i kiedy docieramy do drzwi mojej sypialni, brakuje mi tchu, a w oczach mam łzy.

Drzwi są zamknięte, ale ze środka dobiegają głosy. Od razu poznaję Merę, Caroline i Josie.

Myślisz, że wróciły po resztę ubrań? - pyta Alex. Wiem, że nie chciał być złośliwy, ale te słowa mnie ranią. Po tak głębokiej żałobie, panującej w jego domu, jestem trochę zła, że przyjaciółki tak szybko przeszły do porządku dziennego nad moją śmiercią.

- Nie wiem. Prawdopodobnie. - Patrzę na drzwi mojego pokoju. - Zobaczmy.

Kiedy wchodzimy do środka, łapię spazmatycznie powietrze. W ciągu kilku godzin mój pokój został prawie zupełnie wyczyszczony. Z łóżka zniknęła elegancka pościel w różowo-białe paski, został tylko goły materac. Na komodzie nie stoi ani jeden kosmetyk, a szafa jest praktycznie pusta. Wstęgi i odznaki z biegów przełajowych zostały spakowane i prawdopodobnie gromadzą kurz gdzieś w piwnicy albo, co gorsza, na śmietniku. Jedyne, co pozostało z mojego życia, to sterta starych adidasów. Zabawne, można by pomyśleć, że one właśnie znikną pierwsze, dla mojej rodziny to tyl-



ko śmieci. Ciekawe, dlaczego nadal tu są.

Moje przyjaciółki siedzą półkolem na podłodze wokół tablicy ouiija. Od razu widzę, że są pijane, jeszcze zanim Caroline dostanie czkawki. Jeszcze zanim dostrzegę prawie pustą butelkę czerwonego wina stojącą obok Josie.

- Josie - mruczy Mera, wyraźnie niechętna. Policzki ma zarumienione od alkoholu, na ustach czerwone plamy. - To głupie.

- Nic się nie martw. - Josie kładzie rękę na ramieniu Mery. Ma na sobie jeden z moich ulubionych strojów: czarne obcisłe dżinsy i czerwony sweter. - Mama zabrała mnie dziś rano do kościoła. Wiem, jak to zrobić. Tam ciągle urządza seanse.

- Z tablicą ouiija? - pyta Mera z powątpiewaniem.

- Nie, ale widziałam, jak kontaktują się z ludźmi z tamtej strony. Nie martw się.

315

- Myślałem, że nie jesteście religijni - mówi Alex- Zafascynowany wpatruje się w moje przyjaciółki szeroko otwartymi oczami.

- Nje jesteśmy. To znaczy, nie byliśmy. Ona mówi kościele spirytualistycznym.

Jest bezwyznaniowy. Przewracam oczami. - To takie hipisowskie gówno, fejpują się wprowadzaniem w trans, aurami, wspólną świadomością, takimi bredniami.

- I co się stało w kościele? - pyta Caroline. - Powiedzieli ci, żebyś urządziła seans i spróbowała skontaktować się z... siostrą? - Odchrząkuje. Widzę, że zbiera się na pijacką odwagę, żeby powiedzieć to, co myśli, - jakoś trudno mi w to uwierzyć, Josie.

Moim zdaniem to zły pomysł.

Oczy Josie błyszczą w niemal zupełnej ciemności. Jedyne światło pochodzi z lampki nocnej i pojedynczej świecy na komodzie.

- Właściwie powiedzieli mi, żebym nie urządziła seansu. Był tam facet medium.

Często przychodzi.

Przez chwilę zastanawiam się, czy to nie ten sam, który kazał mi uważać na farbowanego rudzielca. Ale tak, jak powiedział Richie, ja nawet nie znałam nikogo rudego. Facet zupełnie spudłował ze swoim ostrzeżeniem.

- Powiedział, że w żadnym wypadku nie powinniśmy próbować kontaktować się z Liz za pomocą narzędzi okultystycznych.

- To dlaczego przyniosłaś tablicę? - Mera prawie skrzeczy.

- Cii - mówi Josie. - Obudzisz mojego tatę. Wpadnie w szal, jeśli zobaczy, co robimy. - Milknie i przez chwilę wpatruje się w sufit. Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i widzę, że skupia się na bladych, ale wciąż widocznych literach. - Chcę wiedzieć, że jest bezpieczna.

Muszę mieć pewność, że nic jej nie jest, gdziekolwiek przebywa.

- Nie róbmy tego, Josie - prosi Caroline. - Jej tu nie ma. Odeszła.

Josie patrzy na nią zmrużonymi oczami.

- Nie wiesz tego. Jest tak wiele rzeczy w życiu, których nikt z nas nie rozumie. -

Sili się na uśmiech. - Napij się jeszcze. - Josie podaje butelkę wina Caroline, która patrzy na nią przez chwilę, po czym niechętnie pije

*Dobra, stara Caroline, myślę. Zawsze chce się dopasować.*

- Nie czujecie potrzeby, żeby to wiedzieć? - indaguje Josie. Słyszę w jej głosie szczerość. Naprawdę martwi się o moje życie po życiu. - Nie chcecie wiedzieć, że znalazła spokój?

Mera i Caroline potakują.

- I właśnie w ten sposób się dowiemy. Uda się nam. - Josie ciężko oddycha, twarz ma zarumienioną od alkoholu i podniecenia. - Ale wszystkie powinniśmy się skoncen-

trować. Musimy tego chcieć.

Alex wzdraga się.

- Niezłe masz przyjaciółki.

- One nie chcą - szepczę, patrząc na nie. - Tylko Josie.

- Myślisz, że im się uda? - pyta Alex.

- Nie wiem. Stoję tuż obok. Może.

- Mogłabyś do nich podejść. Położyć ręce na wskazówce i spróbować ją przesunąć.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Poza Richiem nie mogę nawiązać prawdziwego kontaktu z żadnym .im stałym. Ale to jest tablica ouija, chyba mogłabym spróbować. Wiem, że to tylko tania gra, Josie pewnie kupiła ją w sklepie z zabawkami, ale w jednej kwestii On rację: istnieje wiele spraw, o których nie mamy pojęcia wżyciu i po śmierci. Jeśli mogłam skontaktować się Richiem, jedynie będąc z nim w tym samym pokoju, jak wtedy, kiedy rozmawiał z Joem Wrightem po moim pogrzebie, to co się wydarzy, jeżeli położę ręce na wskazówce?

Jednak gdy już mam podejść do dziewczyn, coś mnie powstrzymuje. Jestem tu.

Mam świadomość, że jestem bezpieczna. Chcę zobaczyć, czy tablica powie mi coś, czego jeszcze nie wiem. Chcę spróbować, nawet jeśli to tylko zabawka.

- Popatrzmy - mówię do Aleksa. - Mam ochotę zobaczyć, co się stanie.

Moje trzy przyjaciółki przesuwają palce wskazujące nad strzałkę umieszczoną na środku tablicy.

- Próbujemy skontaktować się z Elizabeth Valchar -zaczyna Josie cichym, ale pewnym głosem. - Liz, jesteś tam?

Po kilku chwilach bezruchu strzałka zaczyna powoli przesuwać się po tablicy, odpowiadając: TAK.

- O mój Boże - szepcze Caroline. - Ja tego nie zrobiłam. Czy ty nią ruszasz, Mera? Josie, to ty?

- To nie ja. - Mera przełyka ślinę. - Chcę iść do donu.

- Cii. - Oczy Josie aż płoną z podniecenia. - Liz, czy jesteś bezpieczna?

Wskazówka literuje: NIE.

- Ona nie rusza się sama - mówię Aleksowi. - to robi. Jedna z nich nią porusza.

- Tak myślisz? - szepcze.

- Tak, Alex. Ale która?

Podchodzi kilka kroków bliżej. Klęka i przygiąć się uważnie wskazówce i palcom, które prawie jej nie dotykają.

- Nie wiem. Wszystkie trzy lekko ją muskają. Wszystkie się trzęsą, Liz.

- Liz, dlaczego nie jesteś bezpieczna? - pyta Josie. Po krótkiej pauzie wskazówka znowu zaczyna pełzać po tablicy. K-Ł-A-M-S-T-W-A.

- Kłamstwa? - powtarza Josie. - Jakie kłamstwa? Wskazówka dalej się porusza, zadržując na chwilę

na każdej literze. Z-D-R-A-D-A.

- To nie ma żadnego sensu - mówi Caroline. - Boję się. Josie, chcę przestać.

- Ja też. - Mera sięga za Caroline po butelkę wina, wypija duży łyk.

- Zdradzała Richiego - szepcze Josie, ma szeroko otwarte oczy i rozszerzone źrenice. -I teraz żałuje.

Mera i Caroline wymieniają spojrzenia nad pochyloną głową Josie.

- Liz, czy znalazłaś spokój? - pyta Josie. Wskazówka literuje szybko: NIE.

- Dlaczego nie? - Jest rozgorączkowana. Patrząc, jak wskazówka układa słowo P-I-E-K-Ł-O.

- To ona nią porusza, Liz - szepcze Alex, który nadal obserwuje wskazówkę.

- Kto?

- Josie.

Patrzemy na siebie nawzajem.

- Ale ja nie jestem w piekle - mówię.

Alex długo milczy.

Jesteś pewna? - pyta.

- Oczywiście, że jestem pewna. - Patrząc na moją przyszywaną siostrę tak skoncentrowaną, że wydaje się niemal naładowana elektrycznością. I nagle rozumiem: chce, żeby moje przyjaciółki wiedziały, że zdradzałam Richiego. Chce, żeby ją rozgrzeszyły z tego, że się z nim spotyka, i posługuje się teraz tablicą ouija, aby je przekonać, że na niego nie zasługiwałam.

Jest moją najlepszą przyjaciółką. Najwyraźniej doznała pomieszania zmysłów.

Zmarłam dopiero kilka tygodni temu i wciąż nie może się pozbierać - to widać. Dokładnie tak samo postąpiłaby Nicole.

I tak właśnie *postąpiła*. Po śmierci mojej mamy. Jaka matka, taka córka.

- Koniec tej zabawy - mówi Caroline, odrywając ręce od tablicy. - To chore, Josie.

Ta tablica to śmieć. Mam tego dosyć.

- O co ci chodzi? - Josie mruga niewinnie, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego. - Wszystkie widziałyby, że przez te ostatnie miesiące Liz zachowywała się dziwnie. Miała tajemnice, nawet przede mną. Może teraz Póbuje powiedzieć nam prawdę...

- To żaden dowód - przerywa jej Caroline. Wstaje i rozciera rękami ramiona. Cała drży.

Josie znów mruga z miną niewiniątka.

- Są rzeczy na tym świecie, których nie rozumiemy.

- Tak, Josie, tyle że gra planszowa za dwadzieścia dolarów nie stanowi klucza do tajemnic wszechświata, - Mera wstaje szybko, ale nie trzyma się pewnie na nogach

Jest już w piżamie - nie mogę uwierzyć, że przyjaciół urządziły piżamowe party w moim domu, praktyCZnie w moim pokoju - podchodzi do okna, otwiera je i szuka w

319

torebce papierosów. Zapala jednego, wychylając się niemal całym ciałem przez okno.

- Hej - mówi, wypuszczając dym i odwracając głowę żeby spojrzeć na ulicę - Richie wychodzi z domu.

Josie chowa tablicę z powrotem do pudełka. Wydaje się niezainteresowana poczynaniami Richiego, ale ja znam ją lepiej niż ktokolwiek. Widzę, że tylko udaje.

- Pewnie znowu idzie biegać. Ostatnio biega jak nawiedzony.

- Richie? - pyta Mera z niedowierzaniem.

- Mera? Możesz tu nie palić? - Caroline pociąga nosem. - Liz nienawidziła dymu.

To jakbyś okazywała jej brak szacunku.

Zerkam na Aleksa, który wciąż klęczy na podłodze.

- I to mówi dziewczyna, która nie dalej jak dwa tygodnie temu ukradła mi pięćset dolarów - zauważam.

Alex kiwa głową ze zrozumieniem.

- Masz rację.

Wyraz jego twarzy mnie zadziwia. Chyba po raz pierwszy, odkąd jesteśmy razem,

Alex uśmiecha się do mnie bez chłodnej pogardy.

Nagle coś mi się przypomina.

- Richie już raz dzisiaj biegał.

- Tak? Może idzie jeszcze raz?

Jego słowa jeszcze nie zdążyły przebrzmieć, gdy Mera aćtfi:

- Nie sądzę, żeby szedł biegać, Josie. Ma na sobie dzinsy, bluzę " i klapki. - Milk-

nie, wydmuchując wstęgę dymu. - Jest po dziesiątej. Nie wiesz, co robi twój własny

*chłopak*? - Znowu wymieniają z Caroline spojrzenia Wyraźnie sceptycznie podchodzą

do związku Josie i Richiego. - Myślałam, że zamierzasz chodzić z Jasonem - ciągnie

Mera. - Chce cię poprosić. Wiesz o tym. - Mówi o Jasonie Harvatcie, który jest dopie-

ro w pierwszej klasie, ale już zyskał dużą popularność. Gra w drużynie koszykówki.

Jest uroczy. I od zawsze podkochuje się w Josie, chociaż ona nigdy nie okazała mu

najmniejszego zainteresowania.

- Nie jest w moim typie. - Josie wzrusza ramionami.

- Jak myślisz, dokąd idzie Richie? - pytam Aleksa.

- Nie wiem. Pewnie po narkotyki.

Jednak ja nie sądzę, by tak było. Nie wiem dlaczego. Tak jak mówiłam od począt-

ku, Richiego i mnie wciąż coś łączy. Zupełnie jakby istniała między nami niewidzial-

na nić. a on za nią ciągnął, oddalając się ulicą.

- Chcę iść za nim - mówię.

Alex się waha, po czym wydyma przesadnie usta.

- Nie możemy zostać? Miałem nadzieję, że twoje przyjaciółki przebiorą się w pe-

niuarki i zaczną bitwę na poduszki.

Odchodzę do niego i chwytam go za ramię.

- Tak. bo to właśnie robimy na każdej piżamowej party . No dalej, wychodzimy.

Ale kiedy zbliżamy się do drzwi, te nagle się otwierają.

- O nie - mówię, stając jak wmurowana. - Będzie źle.

To mój tata. Stoi w drzwiach w czerwonej piżamie, gwiazdkowym prezencie od

Nicole. Na czubku głowy ma okulary do czytania, na potarganych, kasztanowych włosach - w dokładnie tym samym odcieniu, co naturalny kolor Josie.

Zapala światło, patrzy na podłogę, na pudełko od tablicy ouiija. Bierze głęboki oddech.

- Co tu się dzieje?

Oślupiała Mera zastygła w oknie, papieros pali się między jej palcami.

Josie szybkim ruchem wpycha pudełko pod moje łóżko.

- Nic, tato - rzuca. - Grałyśmy tylko w grę.

- W grę? - Ojciec ma oczy szeroko otwarte z niedowierzania. - Czy to tablica ouiija? Skąd ją masz?

Josie patrzy najpierw na Caroline, potem na Merę, ale obie wbijają spojrzenie w podłogę, nie chcąc nawiązać kontaktu wzrokowego z moim tatą. Wcale im się nie dziwię.

- Dostałaś to od twojej matki? - pyta tata.

321

Josie nic nie mówi.

- A to co? - Wchodzi do pokoju. W jego głosie pobrzmiewa ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałam- Nie jest zły. Jest wściekły. - Wino? Skąd wzięłyście wino? -

Podnosi głos i, zanim Josie zdąży zaprotestować krzyczy: - Nicole!

Zapada gęsta niezręczna cisza, moje przyjaciółki nadal odwracają wzrok. Tylko



Josie patrzy na mojego tatę, i to tak płomiennym spojrzeniem, że wydaje się niemal na niego zła.

- Marshall? - W drzwiach pojawia się Nicole. - Co się stało? - Patrzy na moją siostrę i przyjaciółki. - Co robicie w pokoju Liz?

- Poczulem dym - wyjaśnia tata. - Myślałem, że pali się ten cholerny dom. Ale nie, to tylko twoja córka - Josie wyraźnie się krzywi na dźwięk tych słów - urządza pieprzony seans. I są pijane. - Coraz bardziej podnosi głos.

Nicole zaciska wargi w wymuszonym uśmiechu.

- Marshall - mówi tak spokojnie i uprzejmie, że sprawia wrażenie, jakby z niego drwiła - twoje serce.

- Mam w dupie swoje serce. Twoje dziecko siedzi tu i próbuje nawiązać kontakt ze zmarłymi. - Patrzy na moje przyjaciółki. - A wy, dziewczynki? Uważacie, że to w porządku? Elizabeth była waszą najlepszą przyjaciółką. A teraz nie żyje.

Dławi się i zaczyna szlochać. Tak bardzo mnie boli patrzenie, jak mój ojciec dosłownie rozpada się na kawałki.

- Była moją córką - ciągnie głosem urywanym od rozpaczki i łez. - Moja córka nie żyje. Myślicie, że to w porządku? Myślicie, że to w porządku, że przychodzicie do jej pokoju i urządza seans? Czegoście się dowiemy? Że nigdy nie wróci? Była tylko dzieckiem. Wy też jesteście tylko dziećmi, rozumiecie?

Mój tata nie może przestać płakać. Trudno mu złapać oddech.

- Marshall - uspokaja Nicole, głaszcząc go plecach - wracaj do łóżka. - Patrzy na Josie. - Dziewczyny urządziły tylko piżamowe party.

- Nie, nie. To nie jest w porządku, Nicole. - Patrzy w podłogę, policzki ma czerwone ze złości.

- Och, tato - szepczę. - Jestem tuż obok.

Alex patrzy na mnie.

- Naprawdę bardzo żałuję, że on cię nie słyszy - mówi

- Ja też.

- Myśl o nim - zaleca. - Przywołaj jakieś szczęśliwe wspomnienie.

Rzeczywistość znika, gdy tylko zamykam oczy. Kiedy je otwieram, myśląc o moim ojcu, widzę, że wróciłam do wspomnienia, w którym jesteśmy sami. Szybko orientuję się, że to ten krótki okres między śmiercią mojej matki a ślubem taty z Nicole.

Był sam tylko przez kilka miesięcy, zanim wprowadziła się do nas Nicole z Josie.

Stoimy przy samochodzie taty, jeździł wtedy srebrnym porsche. Zatrzymał się na poboczu drogi, na piachu kilka metrów dalej stoi kartonowe pudło. Na boku ktoś napisał czarnym flamastrem KOCIAKI ZA DARMO.

Mam dziewięć lat. Jest lato. Słońce mocno grzeje, a ja najwidoczniej gdzieś pływałam. Jestem ubrana w jednoczęściowy czerwony kostium i szorty, długie mokre włosy spływają mi na plecy. Mam brązowe ramiona i lekko spaloną słońcem twarz.

Mój tata pewnie nie miał pojęcia o wychowaniu małej dziewczynki i nie posmarował mi twarzy kremem, zanim poszłam pływać.

- Zostań tu, kochanie - mówi i podchodzi do pudła by zajrzeć do środka. - Zo-

baczmy. - Patrzy w dół. Och... popatrz tylko na to - wzdycha. - Co to jest? Tato, czy to naprawdę kociaki? - Staję

czubkach sandałów, żeby coś zobaczyć.

- Chodź tu, Liz. Teraz możesz. - Uśmiecha się do mnie przez ramię- - To chyba

cały miot. - Zatroskany marszczy czoło - Kto mógł je tu tak zostawić? To okropne.

Stając obok młodszej siebie i mojego ojca, też zaglądam do pudelka, chociaż już

wiem, co tam zobaczą. W środku jest siedem małych kociąt, jasnopomarańczowych kulek precudownego puchu, łapek i słodkich różowych nosków; z otwartymi pyszczkami miauczą wniebogłosy. Ledwo mogą poruszać się w pudełku, wchodzą na siebie nawzajem i przewracają, próbując się wspinać po kartonowych ścianach. Mają krótkie, spiczaste ogonki, szkliste, niebieskie oczka i drżą, przerażone, samiutkie na świecie. w tym pudle przy drodze, bez wody ani jedzenia. Tego, kto je tu zostawił, zupełnie nie obchodziło, co się z nimi stanie.

323

jako dziewięciolatka klękam obok pudełka i podnoszę kociaki jednego po drugim. Mój tata patrzy, jak z szerokim uśmiechem przytulam miękkie futerka do piersi, do policzka.

- Tatusiu? Możemy zabrać je do domu? Proszę!

Kiedy teraz na nas patrzę, prośba wydaje mi się absurdalna. Jest ich siedem. Ale pamiętam, jak to było. Zdaję sobie sprawę, że Alex ma rację, przynajmniej w jednej kwestii: byłam niewiarygodnie rozpieszczona.

Mój tata osłania oczy i patrzy na bezchmurne niebo,

- Kocięta dorastają, Liz. Nie zawsze będą małe i słodkie. Powinniśmy zabrać je do schroniska uJ rywa. - Pozwolę ci zatrzymać jednego, jeśli chce tylko jednego.

- Ale tatusiu, to są bracia i siostry! Będą za ba. I tęskniły! -1 biorę jeszcze dwa - są naprawdę maleftuJ - tak że teraz przytulam już piątkę kociąt. - i^/Tl Proszę, możemy zabrać je do domu? Tylko na kilka dni potem będziesz mógł je zawieźć do schroniska.

Tatu siu, są głodne. Są samotne. - Patrzę na tatę błagalnym wzrokiem.

Mój ojciec dopiero co owdowiał, mieszka z małą ccr. ką i najbardziej na świecie pragnie, żeby była szczęśliwa. Żeby się uśmiechała. Żeby nie była sama. Zrobiłby

wszystko, o co bym go poprosiła. Robił wszystko, o co go poprosiłam.

Nie musiałam krzywić warg w podkówkę ani płakać. Nie musiałam nawet błagać.

- No dobrze - mówi z uśmiechem - możesz zatrzymać je na kilka dni. Może na tydzień.

Patrzę na młodszą siebie, szczęśliwą, niemal pijaną z radości, gdy wkładam kocie-  
ta z powrotem do pudełka, które mój tata niesie do samochodu. W aucie nie ma tyl-  
nych siedzeń, więc jadę do domu z kartonem na kolanach.

Patrzę, jak odjeżdżamy. Nie muszę iść za nami, żeby wiedzieć, co się stało z ko-  
ciętami.

Minął tydzień, a one wciąż były takie maleńkie - takie słodkie! - że nie mogłam  
rozstać się z żadnym z nich- Nazwałam je dniami tygodnia. Niedziela lubiła spać w  
wyściowych butach mojego taty. Czwartek nigdy końca nie przyzwyczał się do ku-  
wety. Pamiętam t°wszystk0 bardz0 wyraźnie

Karmiłam je przez następne dwa miesiące, potem zaczęły wyrastać na koty, aż w  
końcu nie były już takie słodkie. Przestałam się nimi interesować, zajmować się z ni-  
mi. Pewnego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły, zniknęły. Tata zdał sobie sprawę, że już  
ich nie chce, więc zabrał je do schroniska. Zamienił siedem kotów na nowego maleń-  
kiego kociaka. Nazwałam go Puszek. A kiedy zaczął rosnąć, tata zabrał i jego do  
schroniska i wrócił z kolejnym kociątkiem - Panem Wąsem, który nocami zwijał się w  
kłębek obok mnie na łóżku i mrucał. Pana Wąsa postanowiłam zatrzymać.

Teraz widzę, że gdybym mu pozwoliła - i gdyby schronisko nadal tolerowało te  
praktyki - mój tata ciągle od nowa wymieniałby koty na kocięta, żeby nigdy nie pa-  
trzyła, jak dorastają, żeby zawsze były dla mnie małe i słodkie.

Po śmierci mojej mamy robił, co w jego mocy, żeby mnie uszczęśliwić. Wszystko.

Dawał mi wszystko, czego chciałam: najdroższe markowe ubrania, bilety na miejsca w pierwszych rzędach na koncerty, markowe torebki, buty i kosmetyki, i każdą rzecz, której tylko mogłabym zapragnąć. Kiedy skończyłam siedemnaście lat, dostałam nowiuteńki samochód.

Pozwolił mi urządzić osiemnastkę na łodzi. Mimo Wszystko, co tylko chciałam.

Bez względu na koszty.

Wracam do rzeczywistości i widzę ojca płaczącego w mojej sypialni. Nie mamy już Pana Wąsa. W pewien zimowy dzień kilka lat temu po prostu wyszedł i nie wrócił.

- Wygląda na to, że reszta twojej rodziny wcale nie trzyma się tak dobrze, jak myślałaś - zauważa cicho.

- Tak. - Kiwam głową. - Na to wygląda.

- Dziewczynki - mówi Nicole do Josie i moich przyjaciółek lekkim tonem - może zejście do salonu i nie wiem, napijecie się kakao? - A do ojca: - Marshall chodźmy.

Zostaw je.

Zanim wyjdą z pokoju, tata odwraca się do Mery, wciąż stojącej jak wmurowana, z papierosem, z którego pozostał tylko popiół zwisający między jej bezwładnymi palcami.

- Natychmiast wyrzuć tego cholernego papierosa - cedzi ojciec przez zaciśnięte zęby.

Mera wyrzuca papierosa przez okno.

- Dobrze. - Ojciec bierze głęboki oddech. - Tak lepiej. - Patrzy na Caroline, która wydaje się bliska łez, na Josie, a w końcu na Nicole. - Wracajmy do łóżka - mówi.

325

- Oczywiście, kochanie. Chodźmy.

Wychodzą, zamykając za sobą drzwi. Moje przyjaciółki milczą przez długi czas.

W końcu odzywa się Mera:

- Rany, Josie, tata Liz jest w fatalnym stanie.

Josie patrzy na nią zwięzonymi oczami.

- Mój tata - poprawia Merę. - On jest też moim tatą. Wiesz o tym. - Kiedy żyłam, nigdy nie twierdziła aż tak zdecydowanie, że mamy wspólnego ojca, jednak odkąd odeszłam, jest nieugięta.

- Ona naprawdę w to wierzy - mówię. - Tylko jej posłuchaj. Alex. - Patrzę na niego. - Jest przekonana, tomamy tego samego ojca. Ja nigdy, ani przez chwilę, nie brałam pod uwagę takiej ewentualności.

- A teraz? - Jego słowa zawisają w powietrzu.

Kręcę głową.

- Teraz nie wiem. Czuję się, jakbym już nic nie wiedziała.

Alex potakuje.

- Nadal chcesz iść za Richiem?

Prawie zapomniałam, ale jestem mu wdzięczna za zmianę tematu. Widok mojego ojca w takim stanie łamie mi serce. Biedny tata. Wydaje się taki samotny. Czuję się potwornie winna, że go opuściłam. Nawet jeśli nie zrobiłam tego celowo, to nie zmienia faktu, że odeszłam.

- Tak - potwierdzam łamiącym się głosem - chodźmy.

Prawie nie ma księżyca, na niebie wisi tylko maleńki srebrny sierp, kiedy idziemy za Richiem przez miasto.

- Chciałabym wiedzieć, dokąd on idzie - mówię, krzywiąc się przy każdym kroku.

Mam pęcherze na stopach, które okropnie pieką. - Nie wiesz, jak strasznie mnie bolą

nogi. Gdybyśmy wiedzieli, dokąd idzie, moglibyśmy się tam po prostu *znaleźć*.

- Mam pewien pomysł - oznajmia Alex.

- Naprawdę? To dokąd, twoim zdaniem, idzie?

- To dosyć oczywiste, prawda? Jesteśmy prawie na miejscu. - Wskazuje głową na szeroką żelazną bramę przed nami. - Idzie na cmentarz,

Noc jest chłodna. Richie musi marznąć w swych kłapkach. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak moje stopy czułyby się w sandałach - nareszcie wolne.

Richie rzeczywiście wchodzi na cmentarz. Od powinnam była się domyślić. Idzie wzdłuż nagrobka aż dociera do świeżego kopca usłanego kwiatami i pi,, ' szowymi zabawkami. To mój grób.

Alex i ja stoimy blisko siebie i obserwujemy. Przejmując dłuższy czas Richie nic nie mówi ani nie robi, stoi tylko w bladym świetle księżycy i patrzy na mogiłę. Jeszcze nie ma mojego pomnika, zdaniem Aleksa potrzeba kilku tygodni na wyrycie liter - czasami więcej, zależy, jak długi jest tekst.

Richie powoli klęka, muskając palcami ziemię. Opuszcza głowę i zaczyna płakać. Przebaczyłbym ci, Liz - wyznaje głośno. - Nieważne, co zrobiłaś. Nie wiem, dlaczego miałabyś... Nic już nie wiem. Ale przebaczyłbym ci. Przysięgam.

Mam w oczach Izy.

- Przepraszam, Richie - szepczę. - Nie wiem, co się stało. Kocham cię.

Alex patrzy na mnie.

- Naprawdę - mówi.

- Co naprawdę?

- Ty naprawdę go kochasz.

Kiwam głową.

- Tak. Zawsze go kochałam. Alex, nie wiem, co się dzieje ani dlaczego jesteśmy tu razem, ale kiedy zobaczyłam tatę tam, w moim starym pokoju, coś sobie przypomniałam. Alex, kiedyś byłam inna. Nie musisz mi wierzyć.

Kto prawda. Byłam zwyczajną małą dziewczynką, a moja mama umarła i wszystko się zmieniło. 'ITakbym -- tak jakbym myślała, że jeśli będę ładna, i zupa i popu-

327

larna, jeżeli otoczę się ludźmi podobnymi do mnie- jeżeli będę kontrolowała wszystko, co dzieje się w moim świecie, wtedy to, co stało się z mamą, nie będzie mi sprawiało aż takiego bólu. A mój tata był gotów ją zabić wszystko, żebym nie cierpiała. Przez to stałam się płytka. Teraz to rozumiem. Alex, musisz zrozumieć, przepraszam za to, jak cię wszyscy traktowaliśmy... że cię ignorowałam. I za to, jak traktowaliśmy innych ludzi, na przykład Franka Wainscotta. Przykro mi, że tak ciężko było ci w szkole. Gdybym mogła wrócić i zmienić bieg wydarzeń...

- No cóż, nie możesz - mówi z prostotą. Nie wydaje się zły. ale także mi nie współczuje. Może w jego głosie zabrzmiała nuta żalu, tyle że szybko zniknęła. - Dla nas to już koniec.

Patrzę na Richiego.

Ale dla niego nie.

Mój chłopak długo klęczy, po czym kładzie się na moim grobie. Trawa pod nim jest młoda i rzadka, ledwo zaczęła kiełkować na świeżo usypanym kopcu.

Richie kładzie się na boku. Leży nad moim ciałem, zakopany głęboko w ziemi, i zamyka oczy.

Podchodzę do niego. Kładę się obok i obejmuję go. Ziemia znowu wydaje się lekko podę mną kołysać, jakbym była na łodzi. Tak jak ostatnim razem, kiedy się kon-



centruję, mogę naprawdę dotknąć Richiego, teraz jednak jest inaczej niż przed domem Aleksa. Wtedy poczułam nieznośne gorąco, po kilku sekundach miałam odsunąć rękę, w tej chwili natomiast odkryłam, że mogę naprawdę przytulić Richiego. Uczucie jest przecudowne. Od chwili śmierci nigdy nie czułam się tak żywa. Kiedy tak leżymy, przypominam sobie, że przytulałam go prawie tak samo ponad rok temu, gdy leżał chory w łóżku. I mimo że Richie nie daje żadnych oznak, że mnie wyczuwa, ja jestem niemal pijana od dotyku jego kędziorów na mojej (warzy, faktury jego ubrania pod moimi palcami. Czuję jego oddech. Słyszę bicie jego serca, czuję chłód wilgotnej ziemi pod nami.

Richie zasypia, jego oddech staje się głęboki i regularny. Śpi tam całą noc, dopóki pierwsze promienie słońca nie pojawią się nad horyzontem. A ja leżę z nim, Alex patrzy na nas bez słowa i rozumie, że nie zawsze byłam tak złym człowiekiem, za jakiego mnie uważał. Może nie.

Richie śpi, ale ja nie. Leżę, obejmując go ramionami i marząc, żeby poczuł mój dotyk tylko jeszcze jeden raz. Zastanawiam się, dlaczego, u diabła, wylądowałam w grobie. I boję się, bardziej niż czegokolwiek na świecie, że być może nigdy się tego nie dowiem.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

W poniedziałek w szkole jest tak, jakby żadne z dziwacznych wydarzeń weekendu

329

- seans w mojej sypialni, mój chłopak śpiący na moim grobie - w ogóle nie miało miejsca. To liceum, popularne dzieciaki jak zwykle zbierają się przy szafkach w przerwie między godziną wychowawczą a pierwszą lekcją i ociągają się, jak mogą. Przez lata ja i moi przyjaciele staraliśmy się maksymalnie dopasowywać swoje plany lekcji,

dlatego nie jestem zaskoczona, kiedy widzę Richiego na zajęciach z angielskiego razem z Caroline i Josie.

Jednak gdy moja przyszywana siostra zajmuje miejsce z tyłu klasy obok mojego chłopaka, przysuwając stolik tak blisko jego stołu, że prawie się dotykają, nie mogę "kryć grymasu niezadowolenia.

- Jakby chciała bez reszty zająć moje miejsce - skarżę s'? Aleksowi.

On wzrusza ramionami.

- Byłyście jak siostry. Teraz ona chodzi z Richiem. Jestem pewien, że to mu w jakiś sposób pomaga. O co tyle szumu?

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

- O co tyle szumu? Richie spał na moim grobie 1 dzień jak dwie noce temu. A Josie żyje dalej, jakby taki był naturalny porządek rzeczy. - Patrząc na ni i? potrząsam głową. - Nigdy nie miałam pojęcia, że on fei się podoba. Najmniejszego. - Milknę. -

W każdym razie! nic takiego nie pamiętam.

- Cóż... - Alex się waha.

- Cóż co?

- Ona myśli, że jesteście przyrodnimi siostrami, prawda?

Przytakuję.

- Naprawdę jesteś zdziwiona, że chce zająć twoje miejsce, Liz? Czy nie tak właśnie robią siostry?

Patrzę na białą tablicę na ścianie. Ktoś - zapewne nie nasza nauczycielka - wypisał drukowanymi literami sarkastyczną uwagę: ROZBIÓR LOGICZNY ZDANIA JEST FANTASTYCZNY.

- Ale to nie fair - krzywię się, wydymając wargi. - Josie podoba się wielu chłopaka-

kom. Jason Harvatt ma prawie obsesję na jej punkcie. Powinna chodzić z kimś innym.

Ja powinnam być z Richiem.

- Ale ty nie żyjesz. I już nie jesteś z Richiem. Jesteś ze mną. - Alex rumieni się, wypowiadając te słowa. - To znaczy, nie jesteś ze mną, tylko jesteśmy razem w...

- Alex. - Posyłam mu półuśmiech. - W porządku, wiem, co miałaś na myśli.

Ostatnia klasa czyta „Komu bije dzwon” i przez kilka minut słuchamy z Alekssem nudnej dyskusji na temat núnnewayowskiego stylu, która wydaje się ciągnąć ęgi0ńca.

Patrzę na zegarek i widzę, że minęło dopiero pięć minut

- Zawsze nienawidziłam angielskiego - mówię. Siedzimy na podłodze z przodu klasy.

- Naprawdę? W ogóle nie lubisz czytać? A mówiłaś, że Richie chce zostać pisarzem.

- Bo chce. Ale ja nigdy nie lubiłam czytać. To znaczy wiesz, gazety, magazyny. -

Milknę. - Chociaż to nie do końca prawda. Czasami, kiedy Richie przeczytał książkę i uznał ją za naprawdę świetną, dawał mi ją do przeczytania. Kilka z nich bardzo mi się podobało.

- Na przykład które? - Alex wydaje się szczerze zainteresowany.

- Och, niech pomyślę... cóż, byłam zachwycona „Buszującym w zbożu”. To ulubiona książka Richiego. Czytaliśmy chyba w drugiej klasie.

- Tak. w drugiej. Też ją czytałem. - Przerywa. - Byłem zachwycony.

Na moment zapada niezręczna cisza, po czym Alex mówi, uśmiechając się nieśmiało:

- Cóż, to mamy jednak ze sobą coś wspólnego.

- Tak. - Odwzajemniam jego uśmiech. - A to już coś.

Nadal czujemy się niezręcznie, oboje nie wiemy, co teraz powiedzieć.

- Nudzę się - oświadczam, chcąc zmienić temat.

- To co chcesz robić?

- Nie wiem. - Rozglądam się dookoła. - Moglibyśmy Przypomnieć coś sobie razem. - Przerywam. - To znaczy coś o mnie - dodaję. Musimy jeszcze porozmawiaj o wspomnieniu Aleksa, którego byliśmy świadka ale wiem, że żadne z nas nie ma ochoty na tę rozmowę i nie zamierzam drążyć tematu na siłę. To jasne, że Alex nie chce mnie w swojej głowie.

331

Jakaś część mnie uważa, że to nie fair, w końcu ja pokazałam mu bardzo wiele z mojego życia, chociaż w zasadzie nie przeszkadza mi, że on zatrzymuje swoje wspomnienia dla siebie. Przecież kiedy żyliśmy, nasze drogi prawie wcale się nie przecinały, a najbardziej na świecie chcę się dowiedzieć, jak i dlaczego umarłam. Czego mogłabym się dowiedzieć ze wspomnień Aleksa? Nie mają ze mną nic wspólnego. On milczy.

- Mogę to zrobić sama - proponuję. - Nie wiem, czy chcę, żebyś szedł ze mną.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie chcę dostarczać ci więcej dowodów na to, jaka byłam okropna.

Patrzy na mnie uważnie.

- Okazujesz się bardziej skomplikowana, niż myślałem, Liz. Nie jesteś tylko powierzchowną zepsutą pannicą.

- Tak uważasz?

- Tak. - Kładzie mi rękę na ramieniu. - Pozwól mi iść z tobą. Przypomnijmy coś sobie razem.

Odpycham jego rękę.

- Chyba chcę iść sama.

To co mam robić, siedzieć tu i patrzeć, jak odlatujesz - Nasza nauczycielka, pani Davis, przeszła od dyskusji na temat stylu do hiszpańskiej wojny domowej, której nie rozumiem - jest tematem książki. O Boże. Mogłabym umrzeć jeszcze raz, z nudów.

- No dobrze - zgadzam się. - Zagramy w grę, żeby podjąć decyzję.

- Co zrobimy? Liz, po prostu pozwól mi iść.

.- Nie. Chcę zagrać. Zagramy w papier-nożyce, dobrze?

Alex przewraca oczami.

- Dobrze.

Wyciągam pięść, on robi to samo.

- Gotowy? - Pytam. - Trzy cztery... o nie.

Alex jest papierem, ja kamieniem. Wygrywa.

- Zagramy do pięciu - proszę, nie mogąc stłumić uśmiechu.

- Nie, nie, nie. Powiedziałaś, że chcesz zagrać, i zegraliśmy. Wygrałem. - Znowu zaciska mi dłoń na ramieniu. -Idziemy.

- Dokąd?

Wzruszam ramionami.

- Nie wybierajmy. Zobaczmy, gdzie wylądujemy.

Kiedy otwieram oczy, nadal jestem w liceum. Patrzę siebie stojącą w drzwiach pracowni angielskiego, Intern w pierwszej klasie. Od razu to widzę, ponieważ kuleję, a na policzku mam paskudnego siniaka.

- O mój Boże - mówię do Aleksa. - To pierwszy dzień w szkole po moim upadku ze schodów. - Patrzę na niego

- Ty już nie żyjesz. Chcesz spróbować jeszcze raz? Abyśmy cofnąć się dalej i...

- Nie. Chcę zobaczyć, co się stanie.

- Będę tylko siedziała na angielskim

- Nie, Liz. To może być ważne. Sama powiedziałaś że prawie nic nie pamiętasz z zeszłego roku. Nie jesteś ciekawa? Nie chcesz wiedzieć, jak wylądowałaś w wo dzie?

- Chcę - przyznaję. Ale nie chcę znowu patrzeć, jak zachowuję się jak skończona suka. A kiedy spoglądam w głąb klasy, od razu wiem, jakiego rodzaju przedstawienie nas czeka, mimo że nie pamiętam szczegółów.

- Patrz - mówi Alex cicho. - Nie martw się. - Kąciki jego oczu marszczą się w półuśmiechu. - Nie będę dla ciebie zbyt surowy.

Richie siedzi z tyłu klasy. Zawsze siada z tyłu, to taki typ faceta. Normalnie siedziałabym tuż obok niego, ale kiedy tylko wchodzę do klasy, staję jak wryta: obok mojego chłopaka siedzi Beth Follet.

Beth biega ze mną w drużynie. Jej rodzice się rozwiedli. Mieszka sama z mamą, która jest technikiem dentystycznym w gabinecie taty Tophera. Beth i ja się nie lubimy. Jak tyle innych dziewczyn w szkole, zawsze miała słabość do Richiego, ośmieliła

333

się nawet poprosić go do tańca na balu na rozpoczęcie roku, kiedy ja poszłam do łazienki. Co za tupet. Oczywiście Richie odmówił. Ale teraz siedzi obok niego, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Podchodzę do nich z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Hej - pytam - co się tu dzieje? - Patrzę prosto na Beth. nie przestając się uśmiechać. - Siedzisz na moim miejscu.

- Nieprawda - odpowiada, odwzajemniając mój uśmiech. - Nie było cię przez trzy

dni. Pracujemy w parach- Richie i ja atworzymy zespół.

- Co? - pytam bezbarwnym tonem. - Richie, to prawda? Tworzycie zespół?

Richie kiwa głową. Kiedy Beth nie patrzy, przeprasza ją wzruszając ramionami i artykułuje bezgłośnie:

-Przepraszam.

Obracam się na pięcie - pomimo urazów nadal noszę buty na ośmiocentymetrowych obcasach, które bez wątpienia wykańczają mi stopy - i idę na przód klasy, gdzie nasza nauczycielka, pani Cunningham, siedzi przy biurku, kartkując „New Yorkera” i nie zwracając żadnej uwagi na uczniów.

- Pani Cunningham - wyjaśniam - wiem, że byłam nieobecna przez trzy dni, ale teraz nie mam z kim robić zadania, to znaczy nawet nie wiem, jakie jest zadanie, i naprawdę miałam nadzieję, że mogłabym pracować z Richiem. - Mówię pewnym tonem, głowę trzymam wysoko. - Zawsze pracujemy razem.

Pani Cunningham ledwo odrywa wzrok od magazynu.

- Tak. Liz, wiem, z kim zwykle pracujesz. Ale tworzyliśmy zespoły w poniedziałek, a dziś jest czwartek, więc obawiam się, że po prostu musisz wykonać zadanie sama. - Teraz patrzy na mnie z szerokim uśmiechem. - Kiedy już zajrzysz do programu i dowiesz się, jakie jest zadanie. Co wiedziałabyś, gdybyś wcześniej tam zajrzała. - Jej ton łagodnieje odrobinę. - Wiem, że byłaś chora, Liz. Ale musisz wykonać to zadanie, tak samo jak wszyscy. Zgoda?

- Mówi pani, że muszę pracować sama, podczas gdy wszyscy inni pracują w parach? - pytam.

Kiwa głową.

- Dokładnie to mówię. Przykro mi, ale nie został już nikt, kto mógłby być z tobą w

parze.

Przez resztę lekcji siedzę sama przy stoliku z przodu klasy, najpierw czytam program zajęć, a potem zabieram się do odpowiadania na pytania na temat „Tytusa Andronikusa” Szekspira, którego nie przeczytałam, chociaż miałam to zrobić ponad tydzień temu. Kiedy nie udaję że pracuję, patrzę spode łba na pustą kartkę albo rysuję esy-floresy na marginesach. Wiem dokładnie, co myślę: nieważne, że nie pracujemy razem w klasie. Richie pomoże mi później.

Kiedy dzwoni dzwonek, szybko zbieram swoje rzeczy. Czekam na korytarzu, tuż za drzwiami, aż wyjdzie Beth.

Razem z Alekssem idziemy za nią do damskiej toalety.

Czekam, żeby wyszła z kabiny. Poza naszą czwórką łazienka jest pusta.

- Tu nie ma niczego nadzwyczajnego. - Rozczarowany Alex rozgląda się dookoła.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem, myślałem, że stoją tu sofy czy coś w tym rodzaju.

Przewracam oczami.

- Pewnie. Poczekaj, patrz.

- Co się wydarzy?

- Nie pamiętam, Alex. Dlatego chcę zobaczyć.

Beth wychodzi i, zanim choćby zdąży odwrócić się do umywalki, wyciągam błyskawicznie rękę, chwytam ją za włosy Przyciągam do siebie.

- O mój Boże - jęczę, patrząc na siebie. - Co ja, u diabła. robię?

Oślepiały Alex obserwuje scenę szeroko otwartymi oczami. Nie odpowiada.

- Słuchaj mnie. mała dziwko - syczę cichym, groźnym tonem. - Może pracowałaś dzisiaj z Richiem, ale jutro już nie będziesz. Rozumiesz?



- Au! - Beth prawie płacze, naprawdę się mnie przestraszyła. - Liz, to boli! Puść mnie!

Ale ja przyciągam ją jeszcze bliżej. Wyglądam, jakbym oszalała.

335

- Przyjdiesz jutro na lekcję i powiesz pani Cunnigham, że zmieniłaś zdanie. Że już nie chcesz pracować z Richiem. I jeżeli kiedykolwiek zobaczę, że choćby patrzysz w jego stronę, nie mówiąc już o proszeniu do tańca czy siadaniu obok niego, przysięgam na Boga, że pożałujesz. - I puszczam jej włosy.

Beth stoi tam, próbując powstrzymać łzy, masuje skórę głowy zaszokowana moim wybuchem.

- Przepraszam - mówi. - Ja go nawet nie wybrałam. Dobierała nas nauczycielka.

- Nie kłam. - Robię krok w jej stronę.

Ona cofa się i kuli pod ścianą. Jej wzrok ucieka w stronę drzwi. Widzę, że chce tylko ode mnie uciec

- Nie kłamię. Przepraszam. Ale Liz, już skończyliśmy. nie będę więcej z nim pracować, okej?

- Okej. - Kiwam głową. Ciężko oddycham, ręce trzęsą mi się ze złości. - Dobrze.

W takim razie nie mam nic więcej do powiedzenia.

Beth biegnie do drzwi. Ale gdy ma już wyjść z łazienki zatrzymuje się. Przez chwilę stoi zupełnie nieruchomo po czym powoli odwraca się do mnie. Wzrok ma spokojny, nagle nie widać w jej oczach strachu.

- Pamiętam, jak kiedyś, kiedy byłam mała, jadłam z rodzicami kolację w „Pasquillano” - zaczyna cicho „Pasquillano” to włoska restauracja w Noank.

- I co z tego? - Uśmiecham się krzywo. - Było was stać na jądanie na mieście?

- Twój ojciec był tam z twoją macochą. - Przełyka ślinę. - Pamiętam, jak moi rodzice mówili, jaki to wstyd, że oni dwoje tak się ze sobą prowadzą. Widzisz, Liz, twoja mama jeszcze żyła. Twój tata był na randce ze swoją dawną dziewczyną, jak za starych, dobrych czasów, i całe miasto widziało, co się dzieje. - Cofa się o krok. - Moja rodzina może nie mieć dużo pieniędzy, a moi rodzice może już nie są razem, ale ja przynajmniej mam matkę. A twoja zagłodziła się na śmierć. Twój tata miał romans, kiedy umierała. Wszyscy o tym wiedzą.

- Zamknij się - warczę. - Ty jesteś biedna. Biedna i brzydka.

- Ty też jesteś brzydka. - Beth uśmiecha się do mnie. - Jesteś strasznie brzydka w środku i nawet o tym nie wiesz. - Teraz niemal promienieje. - I głodzisz się. Tak samo jak twoja matka. Ale wiesz co? Cieszę się. - Kładzie dłoń z powrotem na klamce. - Świat bez ciebie będzie lepszy.

I wychodzi.

Przez chwilę tylko stoję i za nią patrzę.

- - Rany - mruczy Alex. - To było naprawdę... coś.

ja nie mogę wydusić słowa, tak jestem przerażona tym co właśnie widziałam.

Wręcz nie mogę pojąć, jak okrutna byłam wobec Beth. W dodatku czuję się upokorzona faktem, że nikt w naszym mieście nie miał żadnych wątpliwości co do romansu mojego taty i Nicole. Wszyscy wiedzieli. Nawet rodzice Beth Follet.

W końcu udaje mi się odezwać.

- Poczekaj - dukam. - Spójrz. Co ja robię?

Przez ostatnich kilka sekund patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Teraz, krzywiąc się, dotykam siniaków na twarzy. Odkręcam wodę i obserwuję, jak znika w odpływie. Pochylam się, biorę kilka głębokich oddechów i zakręcam kran. Kiedy się

prostuję, mam dziki wzrok.

- Ona ma rację. Jesteś brzydka - mówię do swojego odbicia. - Każdy o tym wie.

Zaczynam płakać. Łzy płyną mi po policzkach, rozmazując makijaż.

- Brzydka - powtarzam, jakbym smakowała to słowo, próbowała przekonać siebie, że to prawda.

Idę za młodszą sobą do kabiny, w której się zamykam i siadam na zamkniętym sedesie, podciągając kolana do piersi. Siedzę tak i szlocham bezgłośnie. Dzwoni dzwonek na drugą lekcję, ale nie wstaję. Dalej płaczę.

I nagle, gdy już wydaje się, że nigdy nie przestanę, Podnoszę się. Wyglądam pogniecione ubranie. Biorę głęboki oddech. Wychodzę z kabiny, otwieram torbę z książkami i staję przed lustrem. Starannie, spokojnie Składam tusz do rzęs, szminkę, puder. Uśmiecham się do swojego odbicia.

- W porządku - mówię cicho. - Idziemy, Liz.

Po korytarzu wałęsa się jeszcze kilku maruderów uczniów ociągających się między lekcjami i od razu zauważam Josie i Richiego, rozmawiają przy jego szafa Richie stoi plecami do mnie, opiera się o szafkę, wylu. zowany jak zawsze. Josie spostrzega

337

mnie i macha.

- Cześć - rzucam z promiennym uśmiechem. Nie ma śladu po Liz, którą wridzia-  
łam w łazience, w ciągu sekund zmieniłam się ze szlochającej desperatki w spokojną,  
pewną siebie, uśmiechniętą dziewczynę. - Powinniśmy iść na lekcję. - Patrzę na Josie.

- Co ty tu robisz? Nie masz teraz na górze hiszpańskiego?

- Myślisz, że oni już wtedy romansowali? - pytam Aleksa. Czuję, jak wzbiera we  
mnie niekontrolowana zazdrość. - Tłiz pod moim nosem?

On kręci głową.

- Josie mówiła, że to się zaczęło kilka miesięcy przed twoją śmiercią.

- Tak - przyznaję. - A to było jesienią... na długo, zanim umarłam. W takim razie o czym rozmawiali?

Alex tylko wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Popatrzmy.

- Przed chwilą widzieliśmy zapłakaną Beth - relacjonuje Josie, chichocząc. - Masz z tym coś wspólnego? Richie opowiedział mi o scenie, którą urządziłaś na angielskim. Zostaliśmy sami na korytarzu, nie śpieszymy się?1 jakbyśmy nie mieli absolutnie nic do roboty, mimo że już jesteśmy spóźnieni na lekcję.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. L - TYafiony zatopiony. - Władczym gestem kładę rękę . faniieniu Richiego i ściskam je. - Próbowała myskować w mojej spizarni.

- Och Boże, Liz, jak gdyby coś jej to dało - mówi Richie z westchnieniem. - Nie zachowałaś się wobec niej jak wariatka, co? To było tylko zadanie z angielskiego, już skończyliśmy.

Josie mruży oczy.

- Liz ma rację, Richie, Beth powinna znać swoje miejsce. Co za tupet, że w ogóle z tobą rozmawia!

Uśmiecham się do Josie, ale w moim głosie słychać leciutkie drżenie.

- No właśnie - zwracam się do Richiego stanowczo. - Jesteś mój. Ona powinna mieć więcej rozumu.

Mój chłopak wydaje się przyzwyczajony do naszego zachowania. Uśmiecha się do mnie krzywo.

Jestem twój, okej? - Opiera czoło o moje i całuje mnie w nos. - Jak się czujesz? -

Palcami muska siniaki na mojej twarzy. Krzywię się. - Ciągłe spuchnięte?

- Tak. Trochę.

Josie przygryza wargę i zatroskana przekrzywia głowę. Mówi do Richiego:

- Wiesz, że to było wstrząśnienie mózgu. - Zwraca się do mnie: - Miałaś szczęście, że nie skręciłaś karku, spadając z tych schodów. W tej chwili moglibyśmy stać na twoim pogrzebie. - Przesuwa spojrzeniem po moim ciele. Martwi się, że jestem coraz chudsza.

Stojąc obok mojej przyszywanej siostry, ignoruję ^ uwagę, ale Alex i ja wymieniamy spojrzenia. Przerazające - mówi Alex. - Nie sądzisz?

Wzdragam się lekko.

- Tak. Okropnie.

Moje młodsze ja prostuje się, jakbym się zbierała na odwagę. Rozglądam się po korytarzu, żeby się upewnić, że jesteśmy sami, niżam głos.

- Richie? - pytam nieśmiało. - Zastanawiałam się. Mam tyle lekcji do nadrobienia, a w ogóle nie mogę się skupić.

- Tak? - Waha się, jakby wiedział, o co poproszę.

- Masz coś? Coś... co pomogłoby mi w nauce?

Richie odchyła głowę i wbija wzrok w sufit. Przez chwilę nic nie mówi.

- Richie? - powtarzam. - Serio. Nie mogę pozbierać myśli. To by mi naprawdę pomogło.

- Dlaczego nie możesz się skupić? Z powodu tego wstrząśnienia?

Zerkam na Josie - tylko przez sekundę, ale to wystarczy. Tu chodzi o coś więcej i ona o tym wie, ale nie mam pojęcia o co.

- Tak - potwierdzam - z powodu wstrząśnienia.

- Bierzesz środki przeciwbólowe? - pyta dalej Richie.

339

Przytakuję.

- Jakie?

- Um... Percocet.

- Ile miligramów? Ile razy dziennie? - Jest jak chodzący podręcznik dla farmaceutów.

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem, ile mają miligramów, Richie. Duże, białe pigułki. Po szkole mogę pokazać ci fiolkę.

i co chcesz, żebym ci dał? Coś, co pomoże ci się koncentrować? Na przykład adderall?

Kiwam głową.

- Tak. Mógłbyś?

-- Nie. Liz. - Stanowczo kręci głową. - Nie ma mowy. Nie pozwolę ci się uzależnić od leków tylko po to, żebyś nadrobiła zaległości w szkole. Nie możesz tak mieszać środków przeciwbólowych i tabletek z amfą. To nie jest dobry pomysł.

- Co to jest adderall? - pyta szeptem Alex.

- To lek na ADHD' - wyjaśniam. - Zawiera amfetaminę. Ludzie biorą go dla lepszej koncentracji. - Przerывam. -I żeby kontrolować apetyt. Hamuje głód.

- Aha. - Kiwa głową. - A skąd ty to wszystko wiesz? Masz ADHD?

- Nie. - Wbijam wzrok w podłogę. Wstyd mi, że widział, jak się zachowuję w stosunku do Beth w łazience i teraz, kiedy proszę Richiego o narkotyki. Po co mi adderall? Poza odrobiną trawki od czasu do czasu nie biorę narkotyków, żadnego prosz-

ku, pigulek, niczego. -Muszę wiedzieć, czym jest adderall, ponieważ Richie go sprzedawał. Uczniom. Liczył sobie dwadzieścia dolców za jedną pigułkę. Nie mam pojęcia, skąd go brał.

Jednak jest jeszcze jeden powód, dla którego znam l'eki na ADHD. Naprawdę nie mam ochoty mówić o tym Aleksowi, ale wierzę, że on chce mi pomóc w odkryciu mojej przeszłości, która wciąż jest białą kartą; pojawiają się na niej tylko tu i ówdzie pojedyncze wspomnie świadczące, jak okropna potrafiłam być za życia

- Moja matka ciągle chodziła po różnych lekarzach - wyjaśniam nadal, wpatrując się w linoleum na korytarzu. - Była lekomanką. Poza tabletkami na przeziębienie brała wszystko, co hamowało głód. - Przełykam. - Adderall też, jeśli udało jej się zdobyć receptę.

Alex nie odpowiada. Tylko słucha. Jestem wdzięczna za tę chwilę ciszy.

Wtedy Josie mówi:

- Richie? *Masz* ten adderall?

Richie znowu się uśmiecha.

- Kogo ty pytasz, Josie? Czy ja mam adderall? - Puszczą do niej oko. - Oczywiście, że mam. A co?

- Ja też jestem bardzo zestresowana. Zaraz koniec semestru i muszę skończyć trzy projekty. Do tego na historię powinnam namalować cholerną dioramę\*7. - Pozwala słowom zawisnąć w powietrzu, po czym uśmiecha się drwiąco. - Założę się, że *mnie też nie dasz*, co?

Richie i ja trzymamy się za ręce i machamy splecionymi dłońmi do tyłu i do przodu.

- Dam ci - mówi. - Dlaczego nie?

Josie wydaje się rozczarowana.

- Och. Świetnie. A możesz dać mi po szkole?

- Chodźmy! - ponagliam Richiego i ciągnę go za rękę. - Już jesteśmy spóźnieni. Josie, musisz iść na hiszpański.

- Poczekaj, Josie, jedno musimy sobie wyjaśnić. - Richie szczyrzy do niej zębami, gdy wszyscy razem ruszamy korytarzem. - Niczego ode mnie nie *dostaniesz*. Płacisz jak każdy klient. Dwadzieścia dolców za pigułę. Jasne?

Josie udaje, że to nie robi na niej wrażenia, ale widzę, że jest zła.

- Pewnie - przytakuje. - Oczywiście.

- Jemu na niej nie zależy - mówię do Aleksa. - Nie tak jak na mnie. Widziałeś?

Mnie nie chciał dać żadnych pigułek, ale jej *sprzedaje*. Josie nic go nie obchodzi, i ona cholernie dobrze o tym wie.

341

- Tak - zgadza się Alex - masz rację. - Patrzy mi w oczy. - Więc co się zmieniło?

Dlaczego teraz mu na niej zależy?

Mrużę oczy. Patrzę na dawną siebie, jak idę leniwie ze swoim chłopakiem i przyzywającą siostrą w stronę klasy, obcasy moje i Josie stukają cicho na linoleum.

Nie wiem - odpowiadam - ale musi mieć naprawdę poważny powód.

7 \* Diorama - rodzaj obrazu w głębokim obramowaniu, którego pewne fragmenty są nieprzezroczyste i malowa-

ne na płótnie, a inne. przezroczyste, na cienkim materiale lub matowym szkle. Wymaga odpowiedniego oświetle-

nia.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Umarli nie śpią, przynajmniej nie ja i nie Alex. Spędzamy nocę w ciszy i samotno-



ści zagubieni we własnych wspomnieniach - na ogół podróżujemy razem w moją przeszłość, ale czasami Alex sam wybiera się na wycieczkę w czasie. Już więcej go nie prosiłam, żeby zabrał mnie ze sobą. Poza tym niewiele mamy do roboty poza czekaniem, aż wstanie słońce i będziemy mogli patrzeć, jak nasi przyjaciele i bliscy żyją bez nas. Boję się każdego wieczoru, nieuniknionej cichej ciemności, uczucia samotności i wykluczenia, przez które pragnę snu, wiedząc, że nie nadejdzie.

Jest późny wrzesień, dwa tygodnie po tym, jak byliśmy świadkami sceny z Beth w damskiej toalecie. Środek nocy, pewnie blisko świtu. W moim pokoju nie ma już zegara, ale po tych wszystkich nocach, które tu spędziłam, wyglądając przez okno, jestem całkiem niezła w czytaniu z nieba, określaniu pory nocy według położenia Księżyca.

- Ktoś jest na zewnątrz - mówi Alex. Stoi przy oknu i patrzy na ulicę.

- I co z tego? - Siedzę na podłodze obok sterty moich starych butów. W ciemności wyglądają jak żywe: języki przypominają usta, sznurówki: wyczekujące twarze z mnóstwem oczu. Przyglądamy się sobie nawzajem.

- To twój chłopak. - Alex przyciska twarz do szyby, na szkle nie pojawia się para od jego oddechu. - Może znowu idzie spać na twoim grobie.

Prostuję się.

- Tak myślisz?

Alex wciąż patrzy przez okno.

- Nie - mówi w końcu. - Jedzie gdzieś samochodem.

To prawda. Kiedy wybiegamy z Alekssem na zewnątrz, Richie szybko wrzuca na tylne siedzenie małą walizkę i sportową torbę. Już ma wsiąść do środka, kiedy na ulicę wjeżdża jakiś samochód i oślepia go światłami.

- Cholera - mruczy, zamyka drzwi i chowa kluczyki do kieszeni. Staje obok samochodu i usiłuje wyglądać nonszalancko. Nieomal oczekuję, że zacznie gwizdać.

343

Joe Wright, już po służbie, zatrzymuje brązowego sedana i zostawia wóz na środku ulicy.

Richie unosi dłonie.

- Nie robię nic złego. Wyszedłem pobiegać, to wszystko.

- O czwartej nad ranem? - Joe rozgląda się z niewinnym wyrazem twarzy. - Wiesz, jest ciemno. - Patrzy na mojego chłopaka ubranego w koszulkę, szare spodnie dresu i te same klapki, w których kilka tygodni temu Poszedł na cmentarz, na podszwach wciąż widać ziemię Mojego grobu. - Kiepsko kłamiesz.

- Za miesiąc skończę osiemnaście lat. Mogę robić co chcę.

Joe przykłada zwiniętą dłoń do szyby i zagląda na tylne siedzenie samochodu.

- Twoi rodzice wiedzą, że wybierasz się w podróż?

Richie spogląda na dom. W każdym oknie pali się światło.

- Nie wiem. Nie ma ich w domu.

Joe kiwa głową.

- A co ze szkołą? Jesteś w ostatniej klasie. Chyba nie masz zamiaru po prostu zniknąć, co? - Przenosi wzrok na mój dom. - Twoja nowa dziewczyna będzie za tobą tęskniła.

Richie patrzy na jasny księżyc na niebie i nic nie mówi.

- Nie sądzisz, że ludzie uznają to za dziwne? Jeżeli tak znikniesz w środku nocy?

- Może. - Wzrusza ramionami. - Jakoś to przeżyją.

Bez żadnego ostrzeżenia Joe otwiera samochód i sięga

na tylne siedzenie. Wyjmuje bukiet kwiatów, białych lili.

- Moje ulubione - szepczę. - Zamierza położyć je na moim grobie.

- Co to jest? - pyta Joe, marszcząc brwi. Kładzie bukiet na dachu samochodu.

Richie nie traci rezonu.

- To nie pana sprawa. Nie ma pan nakazu, nie może pan przeszukiwać moich rzeczy.

- Dla kogo są te kwiaty?

Richie krzyżuje ramiona na piersi i patrzy buntowniczo na Joego.

- Wiesz - mówi Joe - kiedy zobaczyłem cię na łodzi, wiedziałem, że gdzieś już cię widziałem. Zajęło mi to chwilę, ale sobie przypomniałem. - Puka w bok nosa palcem wskazującym, potem celuje nim w Richiego. - Noc po balu ostatniej wiosny, prawda? Spisałem nawet raport. Razem z Liz staraliście się, jak tylko mogliście, żeby zaparować szyby w tym samochodzie.

Richie kładzie rękę na drzwiach od strony kierowcy.

- Mogę jechać? Śpieszę się. - Sięga po kwiaty, a Joe szybkim ruchem zaciska palce na jego przegubie.

- Pojadę z tobą. Musimy porozmawiać.

- Właśnie rozmawiamy.

- Co znajdę, jeśli przejrzę twoje torby?

- Nic. - Richie próbuje uwolnić rękę.

- Nic? W takim razie nie masz pewnie także nic przeciwko. żebym zajrzał.

- Nie ma pan nakazu.

Joe patrzy mu spokojnie w oczy.

- Nie muszę, kolego. To się nazywa prawdopodobieństwo winy.

Richie posyła mu wściekłe spojrzenie.

- Jak pan chce. Proszę bardzo.

Joe z wyraźnym zainteresowaniem rozpakowuje torbę i walizkę. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego: w walizce ubrania, książki („Wielki Gatsby”, „Rzeźnia numer 6” . „Tęcza grawitacji”) i mapa Nowej Anglii. W torbie jest jeszcze więcej ubrań, kilka paczek papierosów (które Joe konfiskuje ku wyraźniej irytacji Richiego) i nasze zdjęcie w ramce, to z zawodów, które stało na biurku.

Joe kończy przegląd, cofa się o krok i marszczy z qj» zadowoleniem brwi, stukając palcem w wargi.

345

- Widzi pan? Nic tam nie ma. - Zadowolony Richie porusza palcami u stóp. - Mogę jechać?

Joe patrzy na niego chwilę dłużej, po czym przesuwa wzrokiem po domu Richiego, moim, po samochodzie. Bez słowa podchodzi do auta i otwiera bagażnik. Mojemu chłopakowi twarz się wydłuża, otwiera usta ze zdziwienia. Joe wyciąga wykładzinę i odkrywa dziurę, w której powinna leżeć zapasowa opona. Jednak zamiast opony jest tam dobrze mi znany egzemplarz „Wielkich nadziei” i brązowa papierowa torebka.

Mój chłopak usiłuje zachować spokój, ale widzę, że się poci. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zamyka, otwiera znowu. Z żalem patrzy na swoje stopy. Wiem, o czym myśli: gdyby miał buty do biegania, mógłby uciec.

Nie jestem zaskoczona, kiedy Joe otwiera „Wielkie nadzieje” i znajduje w środku narkotyki i pieniądze. Ale jestem zupełnie nieprzygotowana na to, co odkrywa w papierowej torbie.

- Jasna cholera - mówi Alex, robiąc duży krok w tył - jak gdyby ktoś jeszcze mógł

mu wyrządzić krzywdę.

Joe też się cofa. Ma szeroko otwarte oczy, dorosły mężczyzna - i do tego policjant - nagle boi się, ponieważ jest z moim chłopakiem sam na ulicy, w środku nocy, nawet bez pary kajdanek.

Richie na chwilę zamiera. Przenosi wzrok z bagażnika na Joego i z powrotem na bagażnik. Szybkim ruchem skacze do przodu i zaciska palce na przedmiocie, który skrywała papierowa torebka.

To pistolet.

Joe podbiega do Richiego, ale jest zbyt powolny. Tu łącz broń do piersi, mój chłopak odwraca się na pięcie i puszcza biegiem w dół pustej ulicy, jego klapki wybijają szalony rytm na asfalcie.

Richie jest szybki, Joe nawet nie próbuje go gonić. Osłupiały stoi na środku ulicy, najwidoczniej nie oczekiwał aż takich problemów w środku nocy, w uśpionym nieście.

Poza narkotykami Richie zostawił coś jeszcze: Joe znowu bierze do ręki papierową torbę, z której wypada maleńka, niewinnie wyglądająca karta pamięci, odbija się od asfaltu i wpada pod samochód. Joe spostrzega to kątem oka.

Pochyla się i delikatnie podnosi kartę, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym. Wszyscy troje patrzymy na nią w świetle księżyca.

- Co my tu mamy? - mówi głośno.

Alex patrzy na mnie.

- Wiesz, co na niej jest?

Przetrząsam pamięć w poszukiwaniu jakiegoś wspomnienia, myśli, czegokolwiek, z czego mogłabym wywnioskować, co znajduje się na maleńkiej karcie. Ale nic nie

znajduję.

Może być na niej wszystko. Prywatne informacje na temat mnie i Richiego lub coś, czego nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Jednak nie mogę ochronić zawartości tej karty, ukryć przed resztą świata. Richie też nie - już nie. Może tylko uciekać przed kłopotami, w które się wpakował. A ja mogę tylko czekać.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

347

Policjanci są wszędzie. To scena, którą znam aż za dobrze: chaos spowodowany nieszczęściem. Na gankach tłoczą się moi sąsiedzi, większość wciąż w piżamach i koszulach nocnych, obserwują bieg wydarzeń zmęczonymi, ale szeroko otwartymi oczami.

- Dla nich to rozrywka - mówię zde gustowana do Aleksa. - Jak telenowela.

Alex zaciska wargi.

- Po prostu są ciekawi.

- Cóż, wolałabym, żeby każdy pilnował własnego nosa. Jakby moja rodzina za mało przeszła. Jakby potrzebowała jeszcze, żeby wszyscy się na nią gapili.

Policja przeszukuje dom Richiego. Jego rodzice w środku nocy wezwani z apartamentu na Manhattanie stoją na chodniku i patrzą, jak umundurowani policjanci wynoszą z ich domu, z pokoju mojego chłopaka, torby pełne dowodów, ale dowodów na co?

Kiedy przychodzą Mera i Topher - ostatnio podwożą Josie do szkoły - Josie wciąga ich do domu, gdzie moja rodzina siedzi od rana przy kuchennym stole, a ona płakuje i wysyła rozpaczliwe SMS-y do Richiego, który przepadł jak kamień w wodę.

JeSt z nimi Joe, opiera się o lodówkę i pije kawę.

- Co możemy zrobić? - pyta mój tata. Przez te ostatnie tygodnie schudł z dziesięć kilogramów. Twarz ma koloru Iniolu. wzrok szklisty i ponury. - Nie wierzę, że Richie może mieć cokolwiek wspólnego z... tym, co spotkało Liz.

Mój tata zawsze lubił Richiego. I oczywiście ma rację Richie nigdy by mnie nie skrzywdził. Cieszę się, że ojciec nie ma wątpliwości, że Richie to tak naprawdę dobry chłopak, w istocie mnie kochał. Jednak mimo to wyraźnie dzieje się coś bardzo złego.

- Nie wiemy, czy on to zrobił. - Joe dmucha w gorącą kawę. - Najpierw musimy go znaleźć, potem będziemy wyciągać wnioski. - Patrzy na moją przyszywaną siostrę. - Josie? Jakies pomysły?

Ona patrzy na Tophera i Merę. Ich obecność tutaj jest absurdalna. Oboje skulili się w kącie kuchni, każde z ręką w tylnej kieszeni drugiego, jak zawsze. Jakby nie potrafili stać koło siebie, nie dotykając się. Zawsze mnie to irytowało. Dzisiaj również tak samo ubrani: w dżinsy, białe koszule z kołnierzykami, czerwone swetry z wzorem «szarych rombów na środku, identyczne złote bransoletki aa rękach. Porzygać się można.

Mera prawie niezauważalnie trąca Tophera, który na nią zerka.

-Co?

- Powiedz im.

- Och. - Topher patrzy w sufit z lekko rozchylonymi latami. – Prawda.

- Co on ma na zębach? - pyta Alex.

Przewracam oczami.

- Pasek wybielający. - Topher, jak wszyscy moi przyjaciele, bardzo dba o swój wygląd. Jednak jest też palaczem, więc żeby uniknąć żółknięcia zębów, dwa razy dziennie stosuje paski wybielające. Teraz wkłada palec do ust, odrywa pasek i przez

dłuższą chwilę przesuwa językiem po uzębieniu, podczas gdy wszyscy wpatrują się w niego wyczekująco.

Zwija pasek w ciasną kulkę i podaje Merze, która wyciąga otwartą dłoń. Wiem, że Topher ma w torbie maleńką buteleczkę płynu do płukania ust i nitkę dentystyczną i w tej chwili marzy tylko o tym, żeby wypłukać i wyczyścić jamę ustną, zanim - Boże broń - będzie rozmawiał z kimkolwiek poza Merą. Jednak jest jasne, że nikt nie zamierza czekać.

Opuszcza głowę i, zasłaniając usta dłonią, mówi:

- Richie był u mnie dzisiaj wczesnym rankiem. Pytał, czy nie mógłbym pożyczyć mu pieniędzy.

- Ja też tam byłam - wtrąca Mera. - Richie był bardzo zdenerwowany.

- I znowu to robi - mówię do Aleksa. - Zawsze musi być w centrum uwagi.

Joe pochyla się z zainteresowaniem.

- Mówił, na co mu potrzebne te pieniądze? I że wyjeżdża?

Topher wzrusza ramionami.

- Nie. Powiedział tylko, że potrzebuje pieniędzy.

349

Natychmiast myślę o Caroline i banknotach, które ukradła z mojej łazienki.

- Ile mu dałeś?-pyta Joe.

- Uhm, niewiele.

- Co to znaczy „niewiele”?

Topher odchrząkuje. Nie patrzy na nikogo. Poszedłem do bankomatu. Wypłaciłem tyle pieniędzy, ile mogłem. Siedemset dolarów. - Milknie na chwilę. Richie chciał więcej.



Nicole przyklada dłoń do czoła. Drugą ręką ściska ramię mojego ojca.

- Mój Boże - szepcze. - Ciągłe go widywaliśmy. Znany jego rodzinę. Jest dla nas jak syn. - Patrzy na Joego. -Niemożliwe, żeby skrzywdził Liz. Znam tego chłopca od niemowlęcia. Prawie codziennie przychodził do naszego domu.

Nicole ma rację. Zamykam oczy i przywołuję wspomnienia. Nie dotykam Aleksa.

Chcę być w tej kuchni sama z moją rodziną, z Richiem - który był jak członek rodziny - wtedy, kiedy wszyscy byliśmy szczęśliwi. Zaczyna mi się wydawać, że to niemożliwe.

Kiedy otwieram oczy, za kuchennym oknem pada gęsty śnieg. W salonie dostrzegam wielką choinkę, udekorowaną białymi lampkami i mnóstwem ozdób. Może nie uważaliśmy się za chrześcijan, ale Boże Narodzenie zawsze było wielkim świętem w naszym domu. Josie i ja dostawałyśmy stosy prezentów. Robiłyśmy listy rzeczy, które chciałyśmy mieć, i rzadko się zdarzało, żeby którejś pozycji zabrakło P°d choinką. Jak mówiłam, mój ojciec niczego nam nie zabraniał, a Nicole nigdy nie miała nic przeciwko temu, że tak nas rozpieszczał - zwłaszcza mnie.

Mam siedemnaście lat, jestem w pierwszej klasie liceum. Poznaję po książce z brykiem do „Otella” która leży przede mną na kuchennym stole. Szekspira przerabialiśmy w pierwszej klasie.

Mimo że jest rano - zegar na kuchence wskazuje siódmą czterdzieści osiem - policzki mam zaróżowione pod makijażem, oczy szeroko otwarte i czujne. Prawdopodobnie wstałam o piątej rano i poszłam biegać Zawsze lubiłam biegać po śniegu, patrzeć, jak mój oddech zamienia się w parę, odnajdować harmonię między ciepłem ciała a zimnym powietrzem, które otulało mnie wilgotnym kocem potu.

Josie stoi plecami do mnie przy kuchence. Gotuje. Na palnikach stoją dwie żeliw-

ne patelnie, jedzenie skwierczy, kiedy w nim miesza. Josie zawsze lubiła gotować.

Drzwi do kuchni otwierają się bez żadnego pukania i do środka wchodzi Richie.

Chociaż mieszka tylko kilka domów dalej, ma na sobie ciężką zimową kurtkę, a na szyi czarno-szary szalik w romby, na rękach rękawiczki. Brakuje mu tylko czapki, w jego włosach widać mnóstwo zamarzniętych płatków śniegu. Wygląda cudownie.

- Dzień dobry - mówi, uśmiechając się do mnie szeroko. Zostawia zimowe buty na orientalnym chodniczku przy drzwiach. Podchodzi, pochyla się i całuje mnie w czubek głowy.

Odpowiadam mu promiennym uśmiechem.

- Dzień dobry.

Nicole stoi przy otwartej lodówce i wpatruje się w jej zawartość. Wciąż jest ubrana w strój nocny, czyli niewiele: krótka biała koszulka wystaje spod kremowego cynowego szlafrocza, który sięga jej do pól uda. Nogi ma umięśnione i mocno opalone, mimo że jest środek zimy. Kiedy nie może leżeć na słońcu, używa drogiego samoopalacza, który przydaje jej skórze naturalny wygląd.

Richie siada obok mnie przy stole. Patrzą na nas z tęsknotą i głębokim żalem, kiedy żywa ja nachylam się ku niemu i całuję go mocno w usta.

- Ale jesteś zimny - stwierdzam ze śmiechem i odsuwam się. - Dużo śniegu spadło?

Zanim zdąży odpowiedzieć, do kuchni wchodzi mój ojciec. Ma na sobie spodnie od garnituru, czarno-czerwone szelki, opinające jego gruby brzuch, i marynarkę przewieszoną przez ramię.

- Jest na tyle zimno, że odwołali lekcje - mówi. Podchodzi do Nicole, obejmuje ją w pasie i całuje w policzek.

Może nie wszystko było idealnie, ale wydawaliśmy się tacy szczęśliwi. Dałabym wszystko, żeby móc wrócić do tej chwili, przeżywać ją naprawdę, zamiast tylko patrzeć z boku.

Odwołali lekcje? Naprawdę? - Josie odwraca się od kuchenki z szerokim uśmiechem. - Nigdy nie odwołują lekcji.

Ma rację, w Connecticut wszyscy są przyzwyczajeni do śniegu. Chyba musiałyby  
351

się rozpętać burza śnieżna, zebv administracja pozamykała szkoły.

Przed chwilą podano informację w wiadomościach - uiformuje mój tata. - Od mrozu pękła rura. Macie fart, dzieciaki.

Spoglądając na nas, widzę, że Richie i ja w ogóle nie zwracamy uwagi na mojego tatę. Pod stołem Richie trzyma rękę na moim kolanie, mam na sobie czarną ołówkową spódnicę i czarne pończochy, na nogach lśniące czerwone kozaki na wysokich szpilkach. Jak, u diabła zamierzałam wyjść w tym stroju na śnieg?

Siedzimy z Richiem obok siebie i patrzymy sobie w oczy. On unosi wolną rękę i zakłada mi za ucho kosmyk włosów.

Jesteśmy we własnym świecie, nieświadomi obecności członków mojej rodziny.

To musiało być po moim upadku ze schodów, kiedy już chudłam i oddalałam się od wszystkich, ale mimo to z Richiem wciąż się kochamy. To nie ulega wątpliwości.

Niemal nie możemy oderwać od siebie wzroku.

- Co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? - mruczy do mnie Richie.

Lekki uśmiech igra na moich wargach, starannie obwiedzionych kredką, pomalowanych karmazynową szminką i blyszczykiem.

- Coś wymyślimy - prawie szepczę.

- No dobrze, gołąbki. - Josie staje nad nami z talerzem sadzonych jajek. - Dostyc

tego. Zaraz zwymiotuję.

Podnoszę na nią wzrok, nadal się uśmiecham.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, tylko przestań. - Stawia talerz przed Richiem. - Proszę. Jajka z bekonem, cebulą, pomidorem i wędzoną mozarellą. - Milknie na chwilę. - Lubisz takie, prawda?

- O tak. Dzięki, Josie. - Richie posyła jej szeroki uśmiech. - Jesteś najlepsza.

Przez chwilę Josie wygląda, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

*On już jej się podobał, myślę teraz. Robiła mu śniadania- Troszczyła się o niego.*

- Żaden problem - mówi w końcu. - Lubię pichcić. „Odwraca się, bierze z blatu drugi talerz, który stawia przede mną. - Dla ciebie, Liz. Same białka. Bez dodatków.

- Dziękuję. - Puszczam do niej oko. Josie uśmiecha się krzywo.

- Nie chcemy, żebyś utyła nam do rozmiaru zero, prawda?

- Marshall. - Nicole patrzy na mojego tatę, marszcząc czoło. - Chyba nie wybierasz się do pracy? Spadło prawie trzydzieści centymetrów śniegu. Drogi na pewno nie są jeszcze przejezdne. Tata popija kawę z kubka, który trzyma w dłoni.

- Nie martw się o mnie. Jadę tylko na stację. Nicole kręci głową.

- Przez jeden dzień poradzą sobie bez ciebie. Praca nie jest warta tego, żeby ryzykować zdrowie.

Ojciec wypija ostatni łyk kawy, odstawia kubek na blat i wkłada marynarkę.

- Nic mi nie będzie. - Patrzy po kolei na mnie, Richiego i Josie. - A wy co będziecie robić?

- Możemy obejrzeć u mnie jakiś film - proponuje Richie.

Uśmiecham się do niego leciutko, jakbyśmy mieli Wspólną tajemnicę. - Pewnie. Z chęcią.

- Josie? - pyta mój tata. - A ty?

Zapada cisza, Richie i ja patrzymy najpierw na siebie a potem na moją przyszywaną siostrę. Sytuacja staje się niezręczna.

*On już wtedy jej się podobał, myślę. Już wtedy chciała.*

W końcu mówię:

- Josie? Możesz iść z nami, jeśli chcesz.

Josie zerka na matkę. Nicole najwidoczniej rozumie co tu się dzieje. Patrzy na córkę z lekko zmarszczonymi brwiami, po czym potrząsa głową, prawie niezauważalnie nie sędzę, żebym ja albo Richie wtedy coś zauważyli, ale teraz, jako duch, widzę.

- Nie - mówi Josie. - Muszę odrobić lekcje. - Patrzy na Richiego. - Zamierzam naprawdę przeczytać „Otella”.

Uśmiecha się do niego. - A nie tylko ściągę.

- I dobrze. - Richie przetyka wielki kęs jajka. - Pyszne. Liz, mogłabyś się nauczyć

353

kilku rzeczy od swojej siostry.

Kolejna chwila ciszy. Josie patrzy na mnie, ja na nią, Richie w swój talerz.

Stojąc w kącie i patrząc na nas, wyciągam palec wskazujący i łącząc nas troje niewidzialną linią, rysuję trójkąt. Jest.

- Liz?

Głos dobiega z oddali. Czuję się dezorientowana, kręci mi się w głowie.

- Liz? Hej, jesteś tam?

To Alex. Potrząsa mną, wrywa mnie ze wspomnie- mrugam i mrugam, aż w koń-

cu wracam, stoję obok niego w kuchni, z tatą, Nicole, Josie, Merą i Topherem i Joem Wrightem.

Josie wpatruje się w telefon, jakby mogła przywołać wiadomość siłą woli.

- Powiedz panu Wrightowi - naciska Nicole Josie - powiedz, że Richie nigdy by nikogo nie skrzywdził. Znasz go prawie tak dobrze jak Liz. Prawda, kochanie?

Josie ociera oczy. Na paznokciach ma świeży lakier w kolorze jaskrawego różu, idealnie dobrany do wstążki we włosach.

- Jest coś, o czym powinniście wiedzieć. - Przenosi wzrok z mojego taty na Nicole, potem na Joego. - Richie i ja zaczęliśmy się spotykać kilka miesięcy przed śmiercią Liz. - Milknie. - Ona o tym nie wiedziała. Liz. Zieraliśmy jej powiedzieć.

Mera sztywnieje, ale nic nie mówi. Przechwytuje wzrok Tophera i kiedy patrzą na siebie, widzę, że komunikują się w ten prosty, tylko sobie znany sposób. My z Richiem też się tak porozumiewaliśmy, spojrzeniami, które rozumieją tylko wieloletnie pary, mówiącymi wszystko bez potrzeby wypowiedzania choćby jednego słowa. Wiem, że Richie nie potrafi patrzeć w ten sposób na Josie. Nigdy nie potrafił i nigdy nie będzie umiał.

Topher odsuwa się od Mery.

- Przepraszam - mówi. - Nie mogę już dłużej. Muszę iść do łazienki. - Bierze swoją torbę.

- Idzie czyścić zęby - informuję Aleksa. - Chodźmy zanim.

- Naprawdę? - Alex jest zaskoczony. - Nie ch zostac tutaj i posluchac?

Kręcę głową.

- Nie. To dla mnie za duzo na jeden raz. - Tak naprawde chodzi o to, ze sluchanie, jak Josie opowiada naszym rodzicom o swoim związku z Richiem, sprawi mi zbyt

wielki ból, ale nie muszę tego tłumaczyć Aleksowi, on rozumie.

W łazience Topher natychmiast wyciąga z torby nić dentystyczną i płyn do płukania ust. Ostrożnie czyści nitką przestrzeń międzyzębową. Dwa razy. Płucze płynem, po czym długo grzebie w torbie, aż w końcu wyciąga małą torebeczkę marihuany, którą spuszcza w toalecie. Bierze głęboki oddech, opiera się pięściami o zlew i wpatruje w swoje odbicie w lustrze.

Odciąga palcami wargi i uważnie ogląda swoje dziąsła. Wyraźnie rozczarowany tym, co zobaczył, potrząsa głową i mruczy:

- Pieprzone fajki.

Bierze głęboki, drżący oddech. Poci się, jest wyraźnie zdenerwowany, po jego zwykłej nonszalancji nie ma ani śladu.

- Cholerny Richie - szepcze. - Nie mógł sobie odpuścić.

Topher wychodzi z łazienki dokładnie w chwili, gdy Joe podchodzi do drzwi frontowych. Zamiera w pół kroku i patrzy przez chwilę na policjanta, po czym zerka przez ramię w stronę kuchni. Moja rodzina go nie widzi - jest poza zasięgiem wzroku rodziców, a Josie nadal siedzi przy stole plecami do niego. Jednak w kącie stoi Mera patrzy prosto na niego. Otwiera szeroko oczy i przenosi wzrok na Joego.

Topher unosi palec do ust. Prawie bezszelestnie wychodzą z Joem na zewnątrz.

- Muszę z panem porozmawiać - mówi chłopak, kręcąc się niespokojnie i patrząc w błękitne niebo.

- Słucham. - Joe krzyżuje ramiona na piersi i rozgląda się dookoła. Sąsiedzi wciąż stoją na gankach, wyglądają przez okna. Na ulicy stoją trzy radiowozy z bezgłośnie migającymi kogutami. Matka Richiego siedzi po turecku na chodniku. Chyba jest załamana. Wygląda jak dziecko.

- Boże, ona się kompletnie rozsypała - mówi Alex.

Myślę o pustej kuchni. O narkotykach w pokoju Richiego, które widziała pani

Wilson i w ogóle nie zareagowała.

355

- Zasłużyła sobie - syczę.

- Jak czyszczenie zębów? - pyta Joe Tophera.

- Świetnie. Nie powinno się zaniedbywać dziąseł. - Topher wkłada papierosa między wargi. - Proszę nie robić mi wykładu, mam osiemnaście lat.

- W porządku, żadnych wykładów. Czego chcesz? Miałem ciężki poranek.

- Jakim cudem natknął się pan na Richiego, akurat kiedy wyjeżdżał? Nadzwyczajny zbieg okoliczności.

- Prawo to ja, synu. Moja praca polega na trzymaniu ręki na pulsie. - Joe zaczyna wyłamywać palce, jeden po drugim. Topher krzywi się przy każdym głośnym chrupnięciu. - Nie jesteście wstrząśnięci? - pyta Joe. - W ciągu roku zginęło dwoje waszych kolegów z klasy Liz była waszą bliską przyjaciółką. Ile osób z waszego rocznika uczy się w szkole? Sto? Dziewięćdziesiąt?

- Coś kolo tego. - Topher zerka nerwowo na mój dom wypuszczając w powietrze wstążkę dymu. - Ma pan rację, to okropne. - Przerywa. - Jeśli znajdziecie Richiego aresztujecie go?

- Tak.

- Za co? Gwarantuję panu, że on nie zabił Liz.

- Posiadanie broni, na początek. I ma też inne problemy, wierz mi.

- Wiem o tym. Jest moim przyjacielem. Wiem wszystko o problemach Richiego.

Proszę posłuchać, Josie kłamie. Nie spotykała się z Richiem przed śmiercią Liz. To



niemożliwe.

Joe kręci głową, wyraźnie poirytowany wszechwiedzą Tophera.

- Ja zrozumiałem co innego.

- W takim razie źle pan zrozumiał. On nigdy by tego nie zrobił. - Topher pociera nerwowo wargi i zniża głos, mimo że są sami. - Jeżeli chce pan znaleźć Richiego, musi pan jechać do Groton. Jest tam blok, który nazywa się Convinton Arms. Mieszkanie numer dziewięć. Musi pan znaleźć gościa nazwiskiem Vince Aiello.

Słyszając to nazwisko, Joe skupia na Topherze całą uwagę.

Moje pole widzenia zwęża się, żołądek przewraca mi się do góry nogami. Spoglądam na Aleksa, który patrzy na mnie z powątpiewaniem. Od tygodni utrzymuj że nigdy nie słyszałam o Vinsie Aiello. Alex uważa się, że kłamię, że muszę coś pamiętać na temat mężczyzny.

który najwidoczniej odgrywał ważną rolę w moim życiu.

- Nic nie pamiętam - mówię słabo bez przekonania. - przysięgam, Alex, nie mam pojęcia, kim on jest.

- Ostatnio Richie dziwnie się zachowywał - ciągnie Topher. - Parkował przed domem tego gościa, śledził go i tak dalej. - Rzuca niedopałek na chodnik. Joe patrzy na ziemię, ale nic nie mówi. - Kiedy dziś rano do mnie przyszedł, był w kiepskim stanie. Mera też widziała, jak się zachowywał. Wariuje z powodu Liz. Dlatego wiem, że jej nie zabił. Bez niej traci rozum. Myśli, że Liz go zdradzała, ale problem polega na tym, że ten koleś, Vince, jest totalną ofiarą losu. Pracuje w warsztacie samochodowym. To niechluj.

- Może Liz lubiła niechlujów. Mnóstwo dziewczyn ma słabość do niegrzecznych chłopców. - Joe patrzy przez ramię na dom Richiego. - Richie handluje narkotykami.

Ja to wiem i ty to wiesz. Może Liz chciała pójść szczebel wyżej.

- Nie. - Topher kręci głową. - Nie ma mowy. Nie znał pan Elizabeth Valchar, proszę pana, a ja tak. Znałem ją od przedszkola. Coś panu opowiem o tej dziewczynie. Była moją przyjaciółką i w ogóle, ale, z całym szacunkiem, pan się myli. Dam panu przykład, dobrze? Kiedyś przyjechaliśmy po nią rano z Merą, żeby podwieźć ją do szkoły, a poprzedniego wieczoru byliśmy w kinie samochodowym. Jedliśmy popcorn na tylnym siedzeniu mojego samochodu i wszędzie zostały takie małe ziarenka, wie pan, na podłodze walały się tłuste serwetki. Nic strasznego, prawda? Odsuwa pan to na bok i siada. Ale nie Liz, o nie. Ta dziewczyna oświadcza, że nie wsiądzie do mojego samochodu. Na siedzeniu jest za dużo okruchów, żeby je strzepnąć na pogłogę a poza tym i tak ubrudziłaby sobie sukienkę. Tak powiedziała. Oznajmiła, że wsiądzie dopiero wtedy kiedy pojedę do myjni i dokładnie wysprzątam auto.

- Pamiętam tamten dzień. - Spoglądam na Aleksa który patrzy na swoją koszulę.

Ma na sobie mundurek z Mystic Market poplamiony jedzeniem i tłuszczem

- Przykro mi, jeśli mój wygląd napawa cię obrzydzeniem - mówi zażenowany.

Historia opowiadana przez Tophera brzmi niedorzecznie. Naprawdę byłam aż taka

357

kapryśna? Musiało tak być. Marszczę brwi.

- Miałam na sobie sukienkę z białego lnu. Można ją było prać tylko chemicznie. -

Nawet kiedy to mówię, czuję, że to marne wymówka. Dlaczego po prostu nie wsiadłam do tego samochodu? To była tylko *sukienka*.

- Całe twoje życie - mówi Alex - można było prać tylko chemicznie.

- Raz czy dwa przejeżdżałem z Richiem koło mieszkania Vince'a - kontynuuje

Topher. - Sam go widziałem. - Marszczy nos na to wspomnienie. - Nawet z drugiej

strony ulicy widziałem jego długie brudne paznokcie. Miał pokiereszowane dłonie.

Zniszczone. Cały był brudny, to było widać na kilometr. Nosi! koszulkę dziurawą pod pachami. To żaden niegrzeczny chłopiec ani gangster, tylko po prostu flejtuch. Prawdziwa łajza.

Topher waha się przez chwilę. Wyciąga z kieszeni kawałek gumy i wkłada do ust.

Przysłania oczy dłoni wpatruje się w niebo - jest piękny, pogodny dzień, właśnie zaczyna przypiekać. Elizabeth Valchar sama rzuciłaby się do zatoki, zanim pozwoliłaby, żeby taki koleś tknął ją choćby palcem. I gdy Richie widział Liz, jak wychodziła z mieszkania Vince'a. to musi się pan dowiedzieć dlaczego, bo proszę mi wierzyć, tu się dzieje coś bardzo dziwnego.

- W porządku - mówi Joe. - Wierzę ci.

- Tak. - Topher drży. - Richie powiedział, że zabije Vince'a. Ma pistolet. Więc może powinien pan poszukać go w Covington Arms - wypuszcza balona z gumy - I najlepiej natychmiast.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Covington Arms to duży trzypiętrowy budynek, który czasy świetności ma już za sobą: chodniki są popękane, parking pełen dziur. Przysięgałam Aleksowi, że nigdy nie słyszałam o Vinsie Aiello i że nigdy tu nie byłam, ale kiedy podchodzimy do drzwi mieszkania numer dziewięć, miejsce wydaje mi się znajome, przebiega mnie dreszcz od kręgosłupa aż po czubki palców. Czuję mdłości, marzę, żeby stąd uciec, zanim jeszcze weszliśmy do środka. Moja fizyczna reakcja przypomina mi chwilę, kiedy po raz pierwszy - i jedyny - zapaliłam papierosa. Czuję się, jakbym połknęła truciznę.

Przyjechaliśmy tutaj sedanem Joego, siedząc na podłodze, żeby nie wciskać się między dziecięce foteliki. To ironia losu, jeśli wziąć pod uwagę opowieść Tophera o

mojej pogardzie dla brudu, podłoga samochodu jest usłana pustymi kartonami po sokach, pomiętymi kolorowymi wankami i innymi śmieciami. Ale to pestka - i naprawdę nic w porównaniu ze stanem mieszkania numer dziewięć-

Na pierwszy rzut oka składa się ono z salonu i kuchenki, widzę też drzwi, które prowadzą zapewne do sypialni i łazienki. Jest tylko jedno okno, w salonie, zamknięte skryte za połamanymi plastikowymi żaluzjami. Nie ma zasłon. Najwidoczniej Vince nie zatrudnił żadnego dekoratora wnętrz. Na podłodze leży brudna szara wykładzina. tylko w kuchni widać przyklejone linoleum. Kuchenny zlew jest zawałony brudnymi naczyniami. Nie ma zmywarki ani mikrofalówki, jedynie mała kuchenka z brudnymi palnikami elektrycznymi i wąska beżowa lodówka. Wszystkie ściany są białe, z brudnymi smugami od palców wokół framug drzwi. W salonie stoi wytarta pomarańczowa kanapa i drewniany stolik do kawy, na którym tłoczą się trzy popielniczki - z każdej wysypują się pety - i puste puszki po piwie. Jediną rzeczą w mieszkaniu, którą można uznać za ładną (choć naprawdę trzeba się starać), jest wielki telewizor z płaskim ekranem, zawieszony na ścianie naprzeciwko kanapy.

Alex i ja mamy ten luksus, że nie musimy pukać, więc jesteśmy już w mieszkaniu, kiedy Joe dopiero zaczyna dobijać się do drzwi.

- Ładne wybrałaś sobie towarzystwo - zauważa Alex, rozglądając się dookoła. - A przez te wszystkie lata ty i twoi przyjaciele nabijaliście się z ludzi, którzy byli biedni. -

359

Uśmiecha się do mnie szeroko. - Niezły miałaś sekrecik, co?

Marszczę brwi.

- Nigdy nie nabijałam się z ciebie, że byłeś biedny, Prawda? - Mój wzrok pada na

kąt pokoju, gdzie - co dziwne leży sterta egzemplarzy „National Géographie” prawie

tak wysoka , jak telewizor. Może Vince jest miłośnikiem Przyrody.

- Oczywiście, że tak.

- Podaj mi choć jeden przykład. - Ale już kiedy mówię, wiem, że bez wątpienia potrafi przytoczyć więcej niż jeden.

- Dobrze. To było kilka lat temu, już pracowałem w Mystic Market. Ty i... twoja świta przyszliście na lunch Pamiętam, bo my podawaliśmy tylko naleśniki, kanapki i makarony, i twoja przyjaciółka Mera była przerażona że wszystko w menu zawierało węglowodany. Kiedy podliczyłem wasz rachunek, ty wyjęłaś dziesięciodolarowy banknot i wrzuciłaś go do słoika na napiwki. Pamiętasz co wtedy powiedziałaś?

Kręcę głową.

- Popatrzyłaś na swoich przyjaciół i powiedziałaś: „Myślicie, że można to potraktować jako datek na cel charytatywny?”.

Joe coraz natarczywiej wali w drzwi. W sypialni ktoś zaczyna się poruszać, męski głos krzyczy:

- Idę, kurwa! Jezu, dajcie włożyć spodnie. Mamy środek pieprzonej nocy. - Jest ósma rano.

- Przepraszam, Alex - mówię. I naprawdę mi wstyd.

Spogląda na mnie z powątpiewaniem.

- Hej. - Teraz patrzę mu prosto w oczy. - Uwierz, że mi bardzo przykro. Przepraszam, Alex. Gdybym mogła cofnąć czas i coś zmienić, zrobiłabym to. Musisz mi uwierzyć. - Wiem, że na tym powinnam skończyć, ale nie mogę się powstrzymać. -

Alex... ludzie dorastają - ciągnę. - Sam mówiłeś, że twoi przyjaciele z Mystic Market powtarzali, że prawdziwe życie nie jest takie jak w liceum. Że będzie lepiej, kiedy do-  
rośniesz.

Powietrze jest przesycone smrodem zastarzałego dymu z papierosów. Prawie nie mogę oddychać, nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Mogę nie pamiętać dopadnie sytuacji, którą opisał Alex, ale wierzę, że mówi prawdę. To chyba najlepiej ze wszystkich obrazuje, jakim byłem człowiekiem. Zwłaszcza na kilka miesięcy przed śmiercią, kiedy stałam się dosłownie kłębkim nerwów i złej energii. Naprawdę chciałabym cofnąć czas i to zmienić. Bardzo, bardzo żałuję, że tak obrzydliwie się zachowałam.

-Tak właśnie mówili moi przyjaciele - potwierdza Alex. - Ciągłe to powtarzali.

Dwa razy ukradziono mi rower spod sklepu i wtedy twierdzili, że w dorosłym świecie ludzie są inni. Za każdym razem, kiedy jadłem sam, żeby uciec przed wami, powtarzali, że „prawdziwe życie” będzie lepsze.

Rozganiem ręką powietrze, co - oczywiście - nie przynosi żadnego efektu. Ale pierwszy raz cieszę się, że mam na nogach buty, za nic nie stanęłabym na tej wykładzinie bosymi stopami.

- Może mieli rację - mówię. - Byliśmy tylko nastolatkami. Może potem zrobiłoby się lepiej. - Jednak nie brzmi to przekonująco. Aleksowi było ciężko - między innymi z powodu takich ludzi jak ja - i dobrze o tym wiem.

- Racja, tylko że zamiast się o tym przekonać, umarłem. I utknąłem tu z tobą, nie wiadomo na jak długo. Nie zrobiło się lepiej.

Patrzę na niego.

- Mogło być gorzej. Mogłeś być traktowany jak Frank Wainscott.

Odwzajemnia moje spojrzenie.

- Masz rację. Wiem.

Zanim zdążę powiedzieć coś jeszcze, drzwi sypig<sup>^</sup> stają otworem. Pomimo wrzasków na temat władani, spodni Vince nie zadał sobie trudu, żeby się ubrać

Natychmiast go rozpoznaję z taką pewnością, że o maio nie mdleję. Kolana się pode mną uginają. Gdyby moje serce było, wyskoczyłoby mi z piersi. Vince Aiello. jak mogłam zapomnieć tego człowieka? I dlaczego nie pamiętam, co mi zrobił? Jest wielki, zbudowany jak drwal, z otłuszczonym brzuchem i ramionami, które pokrywają tatuaże. Nie ma na sobie nic oprócz poplamionych białych bokserek. Kiedy otwiera drzwi, w ustach już trzyma zapalonego papierosa.

361

Joe przez długą chwilę mierzy go wzrokiem.

- Słyszałem, że miałeś włożyć spodnie.

Vince wzrusza ramionami.

- Mój dom, moje zasady.

- Vince Aiello?

Vince przeczesuje ręką gęste, tłuste, czarne włosy.

- Taa.

- Mogę wejść?

Krzyżuje ramiona na piersi, mruży oczy.

- Jest pan gliną?

- Tak. - Joe pokazuje odznakę.

- Nic nie zrobiłem.

- W takim razie nie masz nic przeciwko, żebym...

- Dobra, dobra. Niech pan wchodzi.

Vince idzie do kuchni, drapiąc się po tyłku. Otwiera lodówkę i szuka czegoś w środku. Czuję ukłucie bólu w sercu, kiedy widzę, że lodówka tego mężczyzny jest lepiej zaopatrzona niż lodówka w domu Richiego. I nagle zdaję sobie sprawę, że mój

chłopak może tu przyjść , w każdej chwili. Gdzie indziej mógłby pójść? Nie ma samochodu, ale ma pistolet, a Topher mówił, że Richie chce zabić Vince'a. Nie może iść do nikogo z naszych przyjaciół, bo wszyscy są w szkole. Ja pragnę tylko, żeby był bezpieczny, żeby wypłatał się z tego bałaganu, jakim było moje życie.

Vince otwiera puszkę napoju energetyzującego i siada na kanapie.

- Niech zgadnę - stwierdza. - Przyszedł pan w sprawie Elizabeth Valchar.

Joe wydaje się zaskoczony.

- A więc ją znałeś?

- Jasne. Była moją dziewczyną. Chodziliśmy ze sobą prawie rok. - Siorbie napój. -

Byłem załamany, kiedy dowiedziałem się, co się stało. Wie pan, była prawdziwą pięknoscią. Klasa sama w sobie.

Joe odchrząkuje, rozgląda się po mieszkaniu.

- Nie chcę cię urazić - mówi - ale trudno mi uwierzyć, że wy dwoje byliście parą.

- Mnie też. - Alex z uśmiechem kiwa głową. - A ty ciągle tu przychodziłaś, prawda? Ty? Thtap Co by powiedzieli twoi przyjaciele?

Zamykam oczy.

Wspomnienie wciąga mnie niczym rura odkurzacza nie mogę go uniknąć ani powstrzymać. Mogę tylko być wdzięczna, że Alex nie poszedł ze mną. Dostrzegam każdy szczegół sypialni na tyłach domu, łuszczącą się tapetę, ściany bez okien. Widzę moje ciało na materacu sprężyny wbijają mi się w kręgosłup. Nie ma pościeli, tylko poplamiona granatowa narzuta. Leżę w staniku i w majtkach. To komplet: jasnoróżowy, z maleńkimi czerwonymi kokardkami na ramiączkach stanika i na biodrach. Vince, bez koszuli, leży na boku, nachyla się nade mną. Brudnym palcem wskazującym rysuje linię od mojego obojczyka, między piersiami, aż do pępka. Kładzie mi rękę na



biodrze.

Jesteś cholernie chuda - mruczy. - Musisz nabrać trochę ciała.

Próbuje mnie pocałować, ale ja odwracam głowę, krzywię się, jakbym czuła fizyczny ból. Prawie wymiotuję, patrząc na scenę rozgrywającą się przed moimi oczami.

- Liz. - Alex ściska mnie za ramię. - Hej, wracaj.

Kiwa głową w stronę Vince'a i Joego. - Słuchaj.

- Spotkaliśmy się zeszłej jesieni - zaczyna Vince. - Przyszła z jednym gościem do mojego warsztatu. Cos tam jej się zepsuło w samochodzie. Natychmiast poczuliśmy, że coś nas łączy. Miała dosyć tego, że wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem, wie pan? - Kilka razy potrząsa głową, kaszle. - Przy mnie mogła się rozluźnić- Pozwalałem jej być sobą. Chyba można powiedzieć, » to był układ idealny.

Joe wierci się na kanapie. - A na czym dokładnie polegał ten układ?

- Kiedy miała dosyć życia księżniczki, przychodziła tutaj- Zabawialiśmy się trochę. Wie pan, o czym mówię? - Unosi brwi. - A potem wracała do swojego życia, do bogatych przyjaciół, chłopaka, liceum i całego tego chlamu. To nie było nic poważnego, ale niech mi pan wierzy, cieszyła się każdą chwilą tak samo jak ja. Była tygrysicą.

363

- Byłam dziewicą - mówię słabo. - Nie przespałabym się z nim. Zachowywałam siebie dla Richiego. Chciałam być tylko z Richiem. Alex przygląda mi się uważnie.

- Wiesz co? Chyba naprawdę ci wierzę.

Po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do mieszkania Vince'a, czuję ulgę. P - Poważnie?

- Tak. Ale w takim razie co tu robiłaś, Liz? Musi istnieć jakieś wytłumaczenie.

Wiem przecież, że ten chłopak ci się nie podobał.

Spuszczam wzrok na swoje buty. Tak strasznie bołą mnie stopy, że prawie ich nie czuję, niemal chciałabym odciąć sobie nogi i wreszcie przestać znosić ten potworny ból. fótrzę na Aleksa błagalnie.

- Niech zgadnę - rzuca - naprawdę chcesz stąd iść.

Potakuję.

- Ale jak myślisz, dokąd powinniśmy pójść? Nie wiemy. gdzie jest Richie.

- Nieważne. - Smród w mieszkaniu zaczyna mnie dusić. Zrobię cokolwiek, byle tylko uniknąć kolejnego wspomnienia z Vince'em Aiello. Zamykam oczy i myślę. „Zabierz mnie dokądkolwiek”.

Może potrzebuję oczyszczenia. Wspomnienie, w które się zanurzam, jest równie cudowne jak długa gorąca ką. piel. Bal na koniec pierwszej klasy - ten sam, po którym Joe nakrył Richiego i mnie w samochodzie na plaży Jestem ubrana w różową suknię bez pleców, z wąską spódnicą. Patrząc na siebie, przypominam sobie, że dwa razy musiałam oddawać tę sukienkę do zwężenia, tak szybko traciłam na wadze.

Richie nigdy nie przepadał za tańcem. Ja uwielbiałam tańczyć, ale on zawsze zachowywał się tak, jakby wygibasy na parkiecie były poniżej jego godności. Jednak znam prawdę: jest nieśmiały i nie chce, żeby nasi przyjaciele i koledzy z klasy patrzyli na niego, kiedy tańczy. Zwykle trzymał się blisko mnie, lekko się kołysząc, poruszając ciałem tylko na tyle, żeby nie narobić sobie wstydu. Tamtego wieczoru ja i moje przyjaciółki tańczymy razem w kole, nasi partnerzy siedzą przy stole i patrzą. Panuje półmrok rozświetlony jedynie małymi świeczkami, pływającymi w rozstawionych na stołach szklanych misach, cienie kładą się na ścianach. Stoły są udekorowane brokatem, konfetti i aranżacjami z kwiatów, na każdym stoją trzy lub cztery bukiety. Patrę na

siebie tańczącą z Merą, Caroline i Josie, uśmiechamy się tak szeroko, że muszą nas już boleć policzki, buty dawno temu schowałam pod stołem, bo bolały mnie stopy, i pamiętam, że myślałam- zapamiętaj to na zawsze.

Tańce mają potrwać do północy, ale my z Richiem wymykamy się tuż po jedenastej.

Wynajęliśmy limuzynę. Zrzuciliśmy się wszyscy - sieli demnaście dolarów sześćdziesiąt pięć centów od osoby, zadziwiająco, jak wiele szczegółów nagle do mnie wraca - - j samochód miał wozić nas przez całą noc wszędzie, dokąd tylko zechcemy, ale my z Richiem nie zamierzaliśmy zabierać auta i zostawić wszystkich na lodzie.

Jest ciepła noc, a do domu Richiego mamy nie więcej niż półtora kilometra piechotą. Nie możemy iść do jego pokoju, w domu są akurat rodzice - na odmianę - więc bierzemy samochód mamy mojego chłopaka i jedziemy krętymi drózkami wzdłuż wybrzeża, mijając puste letnie domy. Parkujemy na samym końcu zabudowań, blisko czyjś garaż, i udajemy, że ten dom należy do nas.

Richie i ja jesteśmy razem od tak dawna, że prawie nie musimy ze sobą rozmawiać. Uwielbiałam być z nim sam na sam, kochałam głęboką, kojącą ciszę, która zapadała między nami, utkaną z wielu lat rozmów, z umiejętności odczytywania najdrobniejszych niuansów z naszych twarzy, języka ciała, oddechów.

Patrzę na nas, jak przesiadamy się do tyłu, składamy siedzenia. Ostrożnie, delikatnie, palcami, które - jak przypuszczam - są miękkie i chłodne, Richie rozpina moją sukienkę. Jest mi tak bliski, że prawie czuję jego dotyk, mimo że nie mam już ciała.

Patrzę, jak zsuwam sukienkę i starannie wieszam ją na oparciu Przedniego siedzenia.

Nie mam stanika, tylko prosty, biały pasek materiału, tak cienki, że wyglądam, jakbym była naga.

Kładę się na plecach, a Richie pochyla się nade mną wpatruje we mnie, odruchowo rozluźniając muszkę. Przyciska dłoń do mojego brzucha, który wydaje się składać jedynie ze skóry i mięśni. Pochyla się i całuje.

- Kocham cię - mówię. Przez te wszystkie lata powtarzałam to miliony razy, ale teraz moje słowa brzmią inaczej. W moim głosie pobrzmiewa jakaś dziwna nuta.

Richie odsuwa się. W samochodzie jest ciemno, widzę jego oczy, lśniące w blasku księżyca wpadającym przez okno, ale nie mogę dostrzec ich wyrazu.

- Naprawdę? - pyta z powątpiewaniem.

- Richie. Oczywiście. Kocham cię od zawsze.

365

Przesuwa koniuszkiem palca po moich żebrach, doskonale widocznych pod skórą.

- Zupełnie, jakbyś zniknęła - szepcze.

- Nie znikam. Jestem tutaj.

- Dokąd biegasz, kiedy trenujesz?

Śmieję się głucho i z wysiłkiem.

- Wiesz, dokąd biegam.

Otwiera usta. Zaciska rękę na moich żebrach tak mocno, że pewnie sprawia mi ból.

- Chcę być twoim pierwszym. - Przełyka ślinę. - Chcę być jedyny. Na zawsze.

- Będziesz.

- Obiecujesz?

Już wiedział o Vinsie, teraz to rozumiem. I patrząc na nas razem, zdaję sobie sprawę, że *byłam świadoma*, że Richie nie wierzył w ani jedno moje słowo.

Więc dlaczego mi o tym nie powiedział? Dlaczego mnie całuje i dalej kocha, sko-

ro wszystko, co budowaliśmy przez tyle lat, zamienia się w kłamstwo?

- Obiecuję - szepczę. Może on nie chce znać całej prawdy. Moja tajemnica musiała być straszna, skoro nie chciałam dzielić jej z Richiem.

A gdybym mu powiedziała, czy sprawy potoczyłyby się inaczej? Czy teraz bym żyła? Czy też wypadki, które doprowadziły do mojej śmierci, były już w pełnym toku, zbyt zaawansowanym, żeby czemukolwiek zapobiec, bez względu na to, co bym zrobiła?

Gdy tylko wspomnienie znika, Alex chwyta mnie za ramię, żeby zabrać w inne miejsce.

- Jesteśmy - mówi.

Widzę, że wróciliśmy do teraźniejszości, bo nigdzie nie widać ani mnie, ani Aleksa. Gdybym nie znała sytuacji, pomyślałabym, że to zwykły dzień w zwykłym liceum.

Jesteśmy w kafeterii.

- Dzień pizzy - zauważa Alex.

Natychmiast dostrzegam moich przyjaciół siedzących przy naszym stoliku. To najlepsze miejsce w sali, wielki, okrągły stół w najdalszym kącie, obok lady z ziemniakami 'podwójnych drzwi prowadzących na parking.

- Myślałam, że nienawidziłeś lunchu - mówię do Aleksa.

- Uznałem, że może chciałabyś zobaczyć jakieś znajome twarze. - Uśmiecha się nieznacznie. - Czy ja mówiłem, że nienawidziłem lunchu?

- Tak. Z powodu mnie i moich przyjaciół. Powiedziałeś mi, że czasami jadałeś sam w bibliotece, żeby przed nami uciec. - Patrzę na niego. - Pamiętam to. Przepraszam

- Możesz przestać przeproszać.

- Nie mogę się powstrzymać. - To prawda, nie mogę

Stajemy za moimi przyjaciółmi. Może i dla wszyst-

kich innych uczniów jest dzień pizzy, ale dla moich przyjaciółek każdy dzień jest dniem sałatki.

Josie dziobie widelcem sałatkę Capri', żuje liść bazylii.

- Dobrze się czujesz? - Mera sączy dietetyczną colę. - Martwisz się o Richiego?

Josie potakuje.

- Aresztują go.

- Josie, wyluzuj. - Topher rozpiiera się na krześle, niedbale obejmuje Merę ramieniem. - No to go aresztują. Rodzice zapłacą za niego kaucję i skończy się na dozorcze kuratorskim. To nic wielkiego. Jest niepełnoletni.

- Daj jej spokój - mówi Caroline. - To jej chłopak. Martwi się o niego.

- Och, nie jest jej chłopakiem. - Mera zerka na Tophera, który udaje niezainteresowanego, zupełnie nie przypomina gadatliwego informatora, jakim był podczas rozmowy z Joem. - Richie wariuje. Powinnyście były go zobaczyć rano, w domu Tophera. On chce się dowiedzieć, kto zabił Liz.

Kiedy wypowiada te słowa głośno - kto zabił Liz - przy stoliku zapada cisza. Josie spuszcza wzrok. Caroline tak mocno przygryza wargę, że ta chyba zaraz zacznie krwawić.

367

Nagle Josie siada prosto, jakby zbierała całą odwagę. Niemal obronnym gestem odrzuca włosy do tyłu. Patrzy na każdego z moich przyjaciół po kolei, władczo, lodowato.

- Nikt nie zabił mojej siostry - oświadcza wyraźnie. Potknęła się. To był wypadek.

Wszyscy o tym wiedzą.

- Doprawdy? - Mera milknie na chwilę. - Spójrz na nas. Siedzimy tu zupełnie sami. Nawet nauczyciele traktują mnie inaczej. I nie tylko dlatego, że mi współczują z powodu straty przyjaciółki. Ludzie o nas mówią. Nie wiesz o tym? - Odwraca się do Josie. - Nie pomaga nam fakt, że praktycznie codziennie przychodzimy do szkoły w jej ciuchach. Ani że ty uganiaś się za jej chłopakiem.

Josie mruży oczy. Wydaje się w pełni panować nad emocjami, nieporuszona słowami Mery.

- Mówiłam wam, Richie i ja zaczęliśmy się spotykać, zanim... no, wiecie. - Josie odsuwa talerz. - A ja byłam siostrą Liz. Mam prawo nosić jej ubrania. - Na sekundę pewność siebie mojej przyszywanej siostry znika. - Dzięki temu czuję się bliżej niej. Odpowiada jej chłodna cisza. Rozglądam się po sali i widzę, że połowa uczniów zerka ukradkiem na moich Przyjaciół. Za to oni wpatrują się w puste krzesła przy "ftym stoliku, w puste krzesło Richiego i moje.

- Mera, nie waż się mi dyktować, jak mam się teraz pulowycować. Nie mów mi, co powinnam czuć. Nie wiesz, co się dzieje u nas w domu - mówi Josie. - Mój tata ledwo funkcjonuje. - Nawija na palec pasmo długich włosów

- Sypia na łodzi. Myśli, że o tym nie wiem. Czeka, aż mama i ja położymy się spać, i idzie tam... - Wzdraga się. - To potworne.

To prawda. Przez ostatni tydzień widywałam mojego ojca, jak późną nocą szedł sam na „Elizabeth". Czasami był już w pizamie. Kilka razy widziałam go w szlafroku, ale nie sądzę, żeby spał na łodzi. Przeważnie siedzi na pokładzie, pali cygara i wpatruje się w wodę. To niewiarygodne, że spędza tak dużo czasu w miejscach, w których stracił żonę i córkę: w domu i na łodzi. Po śmierci mojej mamy nie przeprowadziliśmy

się, nawet nie wyremontowaliśmy od razu łazienki. Tata po prostu wymienił kabinę prysznicową i dywan w sypialni.

- Nie wiem jak wy, ale ja mógłbym zabić za fajkę.

Topher wstaje tak szybko, że prawie przewraca krzesło.

- Nie będę tu siedział przez kolejnych dwadzieścia minut i czuł się jak wyrzutek. -

Toczy wzrokiem po moich przyjaciółach, którzy patrzą na niego spojrzeniem bez wyrazu. Nawet Mera marszczy brwi.

- No dalej! - popędza. - Jesteśmy ponad to. Wszyscy wiemy, że żadne z nas nie skrzywdziło Liz. To uwłacza nam wszystkim. - Wali pięścią w literę N wyhaftowaną na szkolnej kurtce. - Jestem Christopher Allen cholerny Raul Trzeci. Mój ojciec jest najbardziej szanowanym dentystą i chirurgiem szczękowym w tym mieście. Moja matka była miss Connecticut w siedemdziesiątym wsiódmym. Mera, wstawaj. Idziesz ze mną. - Patrzy po kolei na każdego. - Wy też. Natychmiast.

Oczywiście nikomu nie wolno palić na terenie szkoły, ale ja i moi przyjaciele zawsze byliśmy traktowani inaczej. Sportowcom, ładnym dziewczynom, dzieciom najbardziej szanowanych mieszkańców miasta (bez względu na to, że tata Tophera jest *jedynym* dentystą w Noank, i dlatego najbardziej szanowanym) często uchodziły na sucho drobne przewinienia.

Moi przyjaciele stają na parkingu koło samochodu Mery. Topher zapala papierosa, kilka razy zaciąga się głęboko, po czym podaje go Merze. Ona robi tak samo, wysuwając szyję tak daleko do przodu, jak tylko może; włosy schowała pod różowym sztruksowym kapeluszem, żeby nie przesiąkły dymem.

- Muszę wam coś powiedzieć - odzywa się Caroline. Marszczy nos od zapachu dymu wiszącego w powietrzu. - Kilka tygodni temu mój tata stracił pracę.



Josie, która żuła zaciekle gumę, robiąc balony, aż w kącikach jej ust zebrały się maleńkie różowe strzępki, zamiera.

- Ale on pracuje na Wall Street.

- Wiem. - Pomimo słońca Caroline obejmuje się ramionami. jakby jej było zimno.

- To się zdarza, Josie.

- Ale... ale on jest maklerem giełdowym. Jak może tak po prostu stracić pracę?

Przecież jest niezbędny, prawda? Ludzie zawsze będą potrzebowali maklerów giełdowych. - Josie jest wyraźnie zdezorientowana. - Jak maczej poradzą sobie z inwestycjami?

- Być może będziemy musieli sprzedać dom. - Caroline mruga gwałtownie, próbując powstrzymać łzy. - W zeszłym miesiącu ledwo zapłaciliśmy ratę za mój samo-

369

chód.

Pamiętam o pieniądzach, które ukradła z mojej Ja zienki, i nagle bardzo jej współczuję. Na cokolwiek ja je zamierzałam je przeznaczyć, Caroline na pewno zrobiła z nich lepszy użytek. Może zapłaciła ratę za samochód albo dała pieniądze rodzicom.

Widzisz? - Trącam Aleksa łokciem. - Moi przyjaciele też mają problemy. Nie jesteśmy tylko bandą zepsutych dzieciaków.

Mera kończy palić, zdejmuje kapelusz i przez dłuższą chwilę potrząsa głową, żeby blond sploty rozsypały się jej na ramionach.

Nie dramatyzuj. Nie będziecie musieli się przeprowadzić. - Pociąga nosem. - No wiesz, zawsze możesz... no wiesz... pójść do pracy.

Caroline robi się czerwona jak burak.

Nie pójdę do pracy. Prędzej zrzeknę się kieszonkowego.

Och, pewnie - zauważa Alex. Wydaje się prawie rozbawiony moją poprzednią uwagą. - Wcale nie jesteście bandą zepsutych dzieciaków. Wszyscy macie doskonale poukładane priorytety. Caroline woli ukraść pieniądze drogiej przyjaciółce, niż ruszyć tyłek i pójść do pracy.

- Proszę, nie mówcie nikomu - Caroline błaga moich przyjaciół głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Tak strasznie bym się wstydziła. Moi rodzice wariują. Jeśli tata nie znajdzie wkrótce pracy, moja siostra będzie musiała zrezygnować z college'u.

Topher opiera się o samochód Mery i zapala drugiego papierosa.

- Wyluzuj, Caroline. Wszystko będzie dobrze.

Mera patrzy na swojego chłopaka i obejmuje go w pasie ramieniem.

- Jesteś taki opanowany. Kocham cię.

Topher puszcza do niej oko.

- Ja też cię kocham, mała. Masz gumę?

- Zgaś to. - Josie ma na myśli papierosa. Przysłania oczy dłonią i patrzy na drugą stronę parkingu. - Ktoś idzie. - Dalej obserwuje, mrużąc oczy. - Och, nieważne. - Chichocze. - To tylko Riley Szalone Gały.

Pan Riley prowadzi około czterech lekcji dziennie. Powiedział mi, że kiedy nie uczy albo nie siedzi w gabinecie, biega ścieżkami, które wiją się w lesie za szkołą.

Zbliża się teraz, zwalniając tempo, a moi przyjaciele nawet nie próbują ukryć tego, co robią. Stoją przed szkołą, kiedy powinni być w środku i jeść lunch. Kręcą się po parkingu, na którym nie wolno przebywać uczniom podczas lekcji, i palą papierosy. Jednak wiedzą, że pan Riley nie ma odwagi, żeby jakoś zareagować. W głębi duszy jest offermą i moi przyjaciele doskonale wiedzą, że boi się ich tak samo. jak bał się popularnych dzieciaków, kiedy sam chodził do szkoły.

Twarz ma czerwoną i moką od potu. Pochyliła się, opiera dłonie na kolanach i stara się posłać uczniom swoje najgroźniejsze spojrzenie. Wiem, że gdybym żyła i stała 'am z nimi, nigdy bym do tego nie dopuściła. Kazałabym Topherowi zgasić papierosa. Kazałabym kolegom wracać |i ® środka. Przynajmniej tak myślę.

Powiniennem posiać was wszystkich do dyrektora ~ tnówi pan Riley, prostując się i wyciągając ręce nad itfową. - Powinniście świecić przykładem. Jesteście sportowcami Jak za sprawą magii Josie natychmiast odkręca f0ntanny łez.

- Mieliśmy straszny poranek. Nasz przyjaciel zaginał. Nawet nie powinniśmy dziś przychodzić do szkoły - Ociera oczy wierzchem dłoni, jej policzki migocą brokatem z blyszczyka. Zatyka kosmyk włosów za ucho i zauważam, że włożyła moje kolczyki. Kiedyś należały do mojej matki. Nie przeszkadza mi, że je wzięła, wolę żeby je nosiła, niż gdyby miały zbierać kurz w jakimś kącie. Jednak zastanawiam się, czy mój ojciec wie, że ona ma te kolczyki albo czy je u niej zauważy. A jeśli tak, czy w ogóle będzie go to obchodziło? Nie ma jeszcze południa, ale jestem pewna, że on siedzi już na „Elizabeth", wpatruje się w wodę i czeka, aż coś, cokolwiek, nabierze sensu.

Pan Riley spogląda na Josie.

- Przykro mi z powodu twojej siostry. Jeszcze nie miałem okazji złożyć ci kondolencji.

- Dziękuję. - Josie patrzy mu prosto w oczy. Wiem, że on źle się wtedy czuje, bo jak mogłoby być inaczej? Wyobraźcie sobie, jakie to uczucie każdego dnia patrzeć światu w oczy dwiema różnymi źrenicami. Po kilku sekundach odwraca wzrok.

- Lubiła pana - mówi Josie.

- Ja też ją lubiłem.

- Dlatego... proszę na nas nie skarżyć, dobrze? Nw robimy nic złego.

Pan Riley patrzy na nich wszystkich z lekko wydętymi ustami. Wydaje się mały i niepewny, jego ułomność tak wyraźnie rzuca się w oczy. Nawet jako dorosły nauczyciel, człowiek z autorytetem - nie potrafi sprzeciwić się grupie nastolatków.

- Naprawdę tak myślicie, co?

Nie odpowiadają.

- Spójrzcie na siebie - mówi z niespotykaną jak na niego pewnością siebie. - Najpierw było was sześcioro... potem pięcioro... a teraz została czwórka. Nie jesteście niezwykłymi, dziećmi. Myślałem, że teraz już zdajecie sobie z tego sprawę.

- Alex. - Kładę rękę na jego ramieniu. Czuję jednocześnie niepokój i podniecenie.

- Mam pomysł.

Topher strzela papierosem w kierunku pana Rileya.

- Nie powinien pan mówić do nas w ten sposób.

Pan Riley tylko tam stoi z czerwoną twarzą i patrzy na nich groźnie. Ale nagle zaczyna się cofać.

- Facet nie zamierza nic zrobić? - Alex niemal skrzeczy. - Pozwoli, żeby uszło im to na sucho?

- Hej. - Ściskam go za ramię. - Chodź ze mną. Chyba wiem, dokąd poszedł Richie.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Wspomnienia napływają teraz szybciej, bez uprzedzenia, nie mam czasu, żeby się na nie przygotować. Nie muszę ich szukać, po prostu nagle w nie wpadam. Przypominam sobie coraz więcej, są jak elementy układanki, które jeden po drugim wskakują na swoje miejsce. Nie bardzo podoba mi się obraz mojego życia, na jaki się składają, ale jestem wdzięczna, że moja przeszłość staje się czymś więcej niż białą kartką, po-

plamioną kilkoma przypadkowymi szczegółami.

W jednym wspomnieniu jadę chodnikiem na trójkołowym rowerze, a rodzice stoją i patrzą za mną z niepokojem. W innym jestem z Josie na piżamowej party u Mery, możemy mieć jakieś jedenaście lat. Jest środek nocy, a my pijemy dietetyczną oranżadę prosto z butelki, podając ją sobie z ręki do ręki, jakby to był alkohol, i gramy w „Prawda czy kłamstwo”. Kilka sekund później widzę siebie w liceum - w dziewiątej lub dziesiątej klasie, sądząc po mojej fryzurze i stroju - siedzę w klasie, biurko w biurko z Richiem, i mażemy coś sobie nawzajem w zeszytach od historii.

Wspomnienie znika prawie tak samo szybko, jak się „oiawiło. i napływa następne. Teraz jest wczesny zimowy oranek. Jestem w domu. Mamy stare okna i kiedy temperatura spada, mróz maluje kwiaty na szybach. Patrząc „a siebie stojącą w zabalagowanym pokoju, rozciągam się. ubrana w ocieplane spodnie i bluzę. Pochylam się na chwilę, żeby wydrapać tipsem na oszronionej szybie inicjały: E.V. R.W. Jestem teraz starsza, trochę chudsza. Mam chyba siedemnaście lat.

Budzik na szafce nocnej pokazuje piątą dwie i na dworze panują tak nieprzenik-

373

nione ciemności, że równie dobrze mogłaby być północ. Mam odblaskowy strój, żeby biegać bezpiecznie po drodze, ale dziś go nie włożyłam. Otej porze nie świecą nawet latarnie. W ciemności, sama. kiedy nikt mnie nie widzi, wydaje mi się, że wcale nie istnieję.

Jedynе źródło światła w pokoju to monitor komputera stojącego na biurku. Sprawdzam, czy drzwi mojego pokoju są zamknięte na klucz, po czym siadam przed komputerem, wchodzę do Internetu i widzę, że dostałam kilka e-maili od lovemy-

[car@gmail.com](mailto:car@gmail.com). Pierwsza wiadomość brzmi:

„Baw się dobrze, kotku. B Całusy B Vinny”.

Są załączniki. To fotografie, każda gorsza od następnej. Musi ich być ze sto. Na niektórych jestem ubrana stanik i majtki, na kilku leżę na brudnym materacu w mieszkaniu Vince'a i pozuję w bieliźnie tak tandetnej, że przenigdy bym sama takiej nie kupiła. Nigdy bym nawet nie pomyślała o pozowaniu do takich zdjęć i mimo że widzę siebie, wiem, że to ja, część mnie myśli: to absolutnie niemożliwe. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wysłała Richiemu choćby lekko pikantne zdjęcie. Jestem dziewicą. A te fotografie to praktycznie pornografia. To nie ma żadnego sensu. A jednak tu są, bez żadnego Photoshopa: to ja, poniżona, uśmiecham się, tak mocno zaciśkając zęby, że mięśnie wyraźnie rysują się pod skórą policzków. Jediną pociechę mogę czerpać z faktu, że pozowanie wyraźnie nie sprawiało mi przyjemności.

Patrzę, jak oglądam zdjęcia szeroko otwartymi oczyma, przerażona obrazami, które ukazują się jeden po drugim. Kiedy docieram do końca ostatniej wiadomości, zamykam pliki, wyłączam komputer i wychodzę z pokoju. Na zewnątrz jest tak zimno, że natychmiast tracę czucie w twarzy. Mam na sobie czapkę i rękawiczki, ale kiedy biegnę, policzki mi płoną, gdy chwytam i wypuszczam powietrze, odnajduję rytm, przedzieram się dalej kilometr za kilometrem, aż słońce zaczyna wstawać na horyzoncie.

To tortura, na którą mogę tylko patrzeć, mogę tylko unosić się za sobą w powietrzu, niezdolna do biegu, nie mogąc uwolnić się od tych cholernych butów.

Przebiegam całą drogę do jego domu. W kuchni pali się światło. On na mnie czeka, wydaje się, że teraz spodziewa się mnie w każdej chwili. Pukam cicho do drzwi, wchodzę i staję w ciepłym pomieszczeniu, próbuję złapać oddech, patrząc, jak pan Riley karmi małą dziewczynkę siedzącą w wysokim krześle przy stole.

Ledwo na mnie zerka.

- Jak długo biegasz?

Zegar na kuchence pokazuje szóstą pięćdziesiąt cztery.

- Dwie godziny. - Wyciągam ramiona w górę. Sufit jest tak niski, że czubkami palców muskam żółtą farbę. - Gdzie pana żona?

- Śpi - Ja wziąłem poranną zmianę przy dziecku. Wypij szklanekę wody, Liz. - W końcu patrzy na mnie uważniej. - Jesteś odwodniona. Nie dasz rady wrócić do domu.

Dziewczynka - pamiętam, na imię jej Hope - ma policzki całe usmarowane jabłkiem. Gaworzy z rozkoszą i uśmiecha się do ojca ubranego w biały podkoszulek i spodnie od pizamy.

- Jadłaś śniadanie? - pyta.

Kiedy nie odpowiadam, mówi:

- Rozumiem, że to oznacza „nie”. Musisz jeść, Liz. Chcesz zemdleć na środku drogi? Chcesz mieć kolejne wstrząśnienie mózgu?

- Mam kłopoty, panie Riley.

Kiwa głową i podaje Hope następną łyżeczkę papki.

- Wyglądasz jak upiór.

Teraz zdaję sobie sprawę, że dla osoby z zewnątrz musiałyby to wyglądać bardzo niewłaściwie: stoję w kuchni mojego trenera o siódmej rano, a on mi mówi, że wyglądam jak upiór. Patrzę, jak karmi córkę, jego żona śpi kilka metrów dalej, a on spędza intymne chwile wczesnego Poranka z pozbawioną tchu nastolatką.

Jednak wiem na pewno, że w tej scenie nie było nic nieprzyzwoitego. Nie sądzę, żebym za życia zdawała sobie z tego sprawę, ale teraz wydaje mi się to jasne. ponieważ po śmierci mamy mojego taty prawie nigdy nie było w domu - a jeśli był, pozwa-

łał mi na wszystko

Pan Riley stał się dla mnie nie tylko moim trenerem i przyjacielem, ale też autorytetem. Co wiedział? Czy zdradziłam mu swoje sekrety przed śmiercią? Patrzę z nadzieją, że wreszcie dowiem się czegoś więcej. 375

Naprawdę. Mam ogromne kłopoty. Czy może mi pan pomóc?

Ran Riley odkłada łyżkę i przez chwilę rozgląda się po kuchni, jest mała, ale śliczna, ciepła i jasna, na blatach z plamami po kawie stoją talerze, lodówkę ozdabiają rodzinne zdjęcia, jestem pewna, że jeśli nawet wyjdę, zanim żona pana Riley'a wstanie, on powie jej o mojej wizycie. Nie wygląda na faceta, który ma tajemnice przed tymi, których kocha.

- Mogłabyś porozmawiać z panią Anderson. Zastanawiałaś się nad tym?

Prawie krztuszę się wodą.

- Ze szkolnym psychologiem? Żartuje pan? Ona chodzi na jogę z moją macochą. -

Kręcę głową. - Nie ma mowy.

- A może z psychoterapeutą? Znam jednego w mieście. Ma stopień doktora. Jest bardzo dobry.

- Dlaczego nie mogę powiedzieć panu? Może pan po prostu siedzieć i słuchać, a ja wszystko opowiem. - Przełykam wodę. - Chcę panu powiedzieć. Chcę, żeby ktoś jeszcze wiedział.

Pan Riley patrzy na mnie, potem na Hope - która wciąż się uśmiecha uradowana moją dyskusją z jej ojcem - po czym zamyka oczy.

- Nie powinnaś tu przychodzić. Gdyby ktoś zobaczył, że przychodzisz do mnie tak wcześnie rano... A jeśli stracę pracę, Liz? Nietrudno odnieść mylne wrażenie. - -

Pbtrzy na swój strój, na tyle skąpy, że można go uznać za niewłaściwy: cienki podko-



szulek, bosa stopy, nieogolona twarz. Dopiero co wstał z łóżka.

- Nie mam dokąd pójść. Biegam i biegam, i nic się nie zmienia. - Mój ton jest błagalny, pełen desperacji. - Nie mogę myśleć o niczym innym. Nie mogę żyć w ten sposób.

- Mówiłem ci, jest jeden psychoterapeuta...

- Powiem panu coś o psychoterapeutach. Zna pan mojego chłopaka, Richiego?

Przewraca oczami.

- Słynny Richie Wilson, diler licealnych gwiazd.

- Może pan myśleć o nim, co pan chce. W zeszłym roku rodzice posłali go do psychoterapeuty. Odbił z tym facetem chyba ze trzy sesje i zwierzył się, że czasami... no wie pan. Sprzedaje trochę trawki. Nie minął miesiąc, a nasz doktorek kupował od mojego chłopaka narkotyki. Jego psychoterapeuta. - Siadam przy stole i odsuwam szklankę z wodą. - Nie będę rozmawiała z żadnym psychoterapeutą.

Nagle pan Riley robi coś, czego się nie spodziewam. Pochyliła się nad stołem i przykrywa moją dłoń swoją. Widzę, że musi mocno ścisnąć, ale nie próbuję się wyrwać.

- Liz. Elizabeth. Martwię się o ciebie, ale nie wolno ci tutaj więcej przychodzić.

Nie mogę ryzykować utraty Pracy. - Stanowczo kręci głową. - Musisz porozmawiać ze specjalistą. Z kimś, kto naprawdę potrafi ci pomóc. Ja jestem tylko trenerem biegów na przełaj, Liz.

Mrugam zażawionymi oczami.

- Ale ja chcę tylko z panem porozmawiać. Pan nie robi nic złego.

- Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale inni ludzie mogą mieć na ten temat odmienne zdanie. - Przerywa na chwilę - A gdybym umówił cię na wizytę? Mógłbym poprosić tu i

ówdzie i znaleźć terapeutę doświadczonego w pracy z nastolatkami. Mogę znaleźć ci kogoś dobrego, obiecuję.

Wpatruję się w swoje dłonie. Nic nie mówię, tylko potrząsam głową.

Oboje wstajemy. Pan Riley podaje Hope plastikową łyżkę, którą ona radośnie wali w wysokie krzesło. Trener kładzie mi rękę na plecach i popycha mnie lekko w stronę drzwi.

Jeszcze raz rozglądam się po kuchni. Jest taka ciepła, cicha, taka bezpieczna. Pochylam głowę i opieram ją na jego ramieniu.

- Nie chcę wychodzić. – I zaczynam strasznie płakać, cieknie mi z nosa na koszulkę pana Rileya. Ma rację, wyglądam jak upiór. Nie sądzę, żeby mnie to wtedy obchodziło.

Obejmuje mnie i przytula. Wyobrażam sobie, co by pomyślała jego żona, gdyby weszła teraz do kuchni, ale ja wiem, że nie miałaby powodu złościć się na którekolwiek z nas. To tylko odruch ciepła i pocieszenia, bez podtekstów. Przychodzi mi do głowy, że po obejrzeniu tamtych zdjęć to może być jedyna niewinna rzecz, jaka mi

377

pozostała.

Pan Riley odsuwa się lekko, odgarnia kosmyk włosów mojego spoconego czoła.

- Masz kawał drogi do domu. Podwieźć cię? Mogę włożyć Hope do fotelika. To żaden kłopot.

- Poradzę sobie.

Odsuwa się, zerkając nerwowo przez okno, pewnie przerażony, że jakiś sąsiad mógłby zobaczyć mnie w jego objęciach.

Kiedy wychodzę kuchennymi drzwiami, zapinając kurtkę, mówi:

- Nie będę zważał na twoje protesty. Znajdę kogoś, z kim będziesz mogła porozmawiać.

Nie odpowiadam, zachowuję się, jakbym w ogóle go nie słyszała.

Pan Riley patrzy na swoją córkę. Potrząsa głową i mamrocze pod nosem:

- No dobrze. Do zobaczenia w szkole, Liz.

Kiedy wracam do domu, moja rodzina już nie śpi. Rodzice są przyzwyczajeni do tych porannych biegów, machają do mnie z kuchni, kiedy wchodzę na górę.

Josie jest w mojej sypialni. Siedzi przy moim komputerze. Ogląda zdjęcia, akurat patrzy na to, na którym Vince i ja leżymy razem w łóżku. Szeroko uśmiechnięty Vince puszcza oko do aparatu, ma żółte i krzywe zęby. Jestem pewna, że nie planuje wizyty u taty Tophera.

Josie i ja wpatrujemy się w siebie.

- Wieki cię nie było - mówi niemal oskarżycielskim tonem. - Słyszałam, jak wychodziłaś. Było dopiero po piątej.

- I weszłaś do mojego pokoju? Włączyłaś mój komputer? - Słyszę w swoim głosie złość, która mnie samą zaskakuje. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek kłóciły się z Josie.

Wzrusza ramionami.

- Tak, weszłam do twojego pokoju. Jakie to ma znaczenie, Liz? Kim jest ten facet?

- Zgadnij.

Wypuszcza długi, drżący oddech.

- Mechanik.

- On o wszystkim wie, Josie. Jest dupkiem, ale nie idiotą. - Rozpuszczam włosy. -

Musiałam zrobić to, czego chciał.

Cały kolor ucieka jej z twarzy.

- Zgodziłaś się na to?

- Tak. Powiedział, że pójdzie na policję, jeśli tego nie zrobię. Te zdjęcia to jego ubezpieczenie.

- Więc on cię... szantażuje.

Kiwam głową. Znowu zaczynam płakać.

Jednak ta informacja wydaje się uspokajać Josie.

- I to wszystko? Zrobiłaś, co chciał?

- Nie spałam z nim. Wolałabym pójść do więzienia, niż uprawiać seks z kimś takim.

- Nie próbował cię zmusić?

Kręcę głową.

- Jeszcze nie. Powiedział... powiedział, że podnieca go świadomość, że jestem dziewicą. - Przełykam głośno ślinę. - Ale to tylko kwestia czasu, Josie. On będzie chciał seksu. I co wtedy zrobię?

Znowu wydaje się dziwnie mało przejęta.

- Nie może cię zmusić. To byłby gwałt.

- Już się czuję, jakby mnie zgwałcił.

Josie bierze kolejny głęboki wdech. Jedna ze sztucznych pęś w kąciku oka odlepiła się i teraz zwisa w jej polu widzenia. Włosy ma nawinięte na wałki. Jest spokojna, ma idealny makijaż - poza odklejoną rzęsą - i wyraz ulgi na twarzy.

- Masz to już za sobą. Pozwoliłaś mu zrobić zdjęcia. To koniec. Od teraz nie zwracaj na niego uwagi. Już nie musimy się martwić.

Sięgam obok niej i wyłączam monitor.

- To nie koniec, Josie. To się nigdy nie skończy. On będzie chciał ode mnie coraz więcej.

Moja przyszywana siostra zaciska palce na moim nadgarstku. Kiedy mówi, nie drga jej nawet powieka.

- Liz. Posłuchaj mnie teraz. Nie powiemy nikomu. Rozumiesz, prawda?

Patrząc na nas, zrobiłabym wszystko - wszystko - żeby wiedzieć, co ona ma na myśli. Czego mam nikomu nie mówić? Co wiemy, że musimy to trzymać w aż takiej tajemnicy?

Patrzymy na siebie w ciszy przez całą wieczność. Po raz pierwszy widzę, jak w obecności Josie zupełnie kompletnie zabrakło mi słów.

Wracam do teraźniejszości i opowiadam Aleksowi wszystko, co widziałam.

- Jak myślisz, co to znaczy? - pyta z zainteresowaniem.

- Nie wiem. - Zamykam oczy. - Ale bardzo chciałabym wiedzieć.

Kiedy znowu na niego patrzę, ma poważną minę

- Myślę, że się dowiesz. To tylko kwestia czasu. Bądź cierpliwa, Liz. - Rozgląda się wokół, patrzy na błękitne niebo - Jaki piękny dzień - zauważa, próbując zmienić temat

Ma rację, to piękny dzień. Jest późne popołudnie. Moglibyśmy pójść, dokąd tylko byśmy chcieli, wystarczyłaby jedynie myśl lub mrugnięcie, ale idziemy razem przez miasto, chłoniemy widoki, próbując zarazem odszukać Richiego. Gdybyśmy nie mieli pilniejszych spraw, moglibyśmy być po prostu dwójką ludzi na spacerze, rozkoszujących się jesienią. Od tygodnia Alex i ja czujemy się lepiej w swoim towarzystwie pomimo pojawiających się coraz to nowych pytań na temat mojego życia.

Teraz jestem pewna, że wiem, gdzie jest Richie, i że na pewno jeszcze tam będzie, kiedy dotrzemy na miejsce. Nie ma dokąd pójść. Spacer z Alekssem jest prawie przyjemny, poruszamy się raczej wolno, nawet stopy mnie tak strasznie nie boją.

Mijamy „Mleczarnię Noank”, gdzie sprzedają domowe lody i krówki. Thryści uwielbiają to miejsce. Jest środek tygodnia, a i tak kolejka sięga daleko na ulicę.

Alex zamyka z uśmiechem oczy.

- Tak bardzo chciałbym móc jeść - mówi. - Uwielbiałem lody.

Patrzę przez okno. W środku rodziny siedzą wokół małych metalowych stolików, dzieci z buziami usmarowanymi lodami, rodzice czekający w pogotowiu z chlarzykami serwetek. Wszyscy wydają się szczęśliwi jedząc to, co dla nich niezdrowe.

- To trucizna - krzywię się. - Nigdy tu nic nie zjadła.

Alex staje jak wryty.

- Żartujesz. Mieszkałaś tu przez całe życie i nigdy nie byłaś w „Mleczarni”?

- Moja mama nie jadała nabiału, więc ja też nie. No i słodczy. Są niezdrowe. Od słodczy się tyje.

- Liz, daj spokój. Przy twoim bieganiu mogłaś zjeść kilogramem ciastek i też byś nie utyła.

- To nie o to chodzi, nie do końca.

- A o co?

Zaciskam mocno wargi. Czuję, jak sztywnieje mi kręgosłup i napinają się mięśnie ud, gdy tak stoję zupełnie nieruchomo i patrzę na uśmiechniętych ludzi.

- Chodzi o zachowanie kontroli.

Alex potrząsa głową.

- To głupie. Jesteś zbyt szczupła. - Milknie. - Jadłaś tort tej nocy, kiedy zginęłaś,

prawda?

- Jeden kęs. - Gdy to mówię, prawie czuję tamten smak: wilgotne waniliowe ciasto i kremowa, czekoladowa masa. Wraca dawno zapomniane poczucie mocy, dyscypliny.

- Tylko, żeby poczuć smak.

Alex wyciąga rękę, kładzie dłoń na moim płaskim brzuchu i szczypie. Nie ma za co chwycić palcami, są tam 'vlko mięśnie, organy wewnętrzne i skóra.

- I dużo ci przyszło z tego całego trenowania, martwa dziewczyno.

Zaciskam mu rękę na ramieniu, a on już prawie się nie wzdryga.

381

- Chcesz wiedzieć, dlaczego taka jestem? - Czuję, jakbym dopiero teraz naprawdę zdała sobie z tego sprawę.

*-Oczywiście*

- Jasne - mówi. - Dlaczego taka jesteś, Liz?

Zaciskam mocniej palce na jego ramieniu. Nic nie mówić, on już wie, jak to działa.

Oboje zamykamy oczy.

Stoimy w kuchni w moim domu. Wszystko jest takie samo - rozkład, widok na zatonkę, czarno-białe kafelki na podłodze - a jednak inne. Moja matka stoi przed otwartą lodówką, ubrana w szorty i sportowy stanik. Widzę wszystkie jej żebra. Ma ziemistą skórę i bose stopy, stuka wymanikiurowanymi paznokciami o drzwi lodówki.

- Zapomniałam, jak kiedyś wyglądała ta kuchnia - mówię do Aleksa. - Tak bardzo się zmieniła.

Rozgląda się.

-Masz rację. Twoja mama i Nicole bardzo się różniły, prawda? Nicole jest... jak to

nazwać? Seksbombą, a twoja mama... - Patrzy na jej plecy, na widoczną linię kręgosłupa. - Jaka ona była?

Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiedzią. Nawet kiedy żyłam, czasami trudno było mi przypomnieć sobie coś dobrego o mojej matce, chorowała przez większość mojego dzieciństwa. Ale za nic nie przyznam się Aleksowi, że nie mam wielu szczęśliwych wspomnień z nią związanych. To nie zmienia faktu, że za nią tęsknię. Jest moją matką.

- Cóż - zaczynam. - Na pewno była inna. Utrzymywała w domu wzorowy porządek. Wtedy wszystkie sprzęty mieliśmy nowoczesne, czyste i lśniące. - Rozglądam się po kuchni. Ściany są w kolorze jasnego beżu, wszystkie urządzenia z nierdzewnej stali: zmywarka, chłodziarka na wino, lodówka, kuchenka, mikrofalówka. Nie widać ani jednego talerza. Na blatach nie ma jedzenia, żadnego otwartego pudełka płatków, żadnych bananów w koszyku, chipsów czy butelek z napojami.

Teraz wszędzie w kuchni porozrzucone są produkty spożycze, Nicole lubi jeść. Po śmierci mojej matki przemeblowała kuchnię, niemal natychmiast po tym, jak się wprowadziła, stare sprzęty zniknęły i zastąpiły je nowe, białe. Nicole przemaalowała ściany na delikatną zieleń, na którą rzuciła z szablonu bukiety żółtych lilii tak pieczołowicie, że wyglądały jak żywe. Na lodówce powiesiła zdjęcia. Nie chcę tego przyznawać - to brzmi jakbym zdradzała własną matkę - ale pod wieloma względami Nicole uczyniła z tego miejsca dom.

Tyle że to był *dom*, kiedy żyła moja mama. Po prostu inny.

Siedzę przy kuchennym stole. Na środku stoi wielka szklana misa, pełna błyszczących sztucznych owoców: plastikowych jabłek, pomarańczy, gruszek i nektarynek, Patrz, ale nie jedz.



- Mam dziewięć lat - szepczę, spoglądając na siebie, jestem bardzo podobna do matki, obie mamy blond włosy, splecione w dwa warkocze, które sięgają nam prawie do pasa. obie jesteśmy chude, chociaż moja matka przerażająco, podczas gdy ja jestem po prostu szczupłym dzieckiem. Mamy takie same oczy, nos, taki same małe uszy.

Niepodobna wątpić, że należę do niej.

- Skąd wiesz, ile masz lat?

Nie chcę mówić tego na głos. Ale mówię.

- Ponieważ moja matka umrze za kilka tygodni. Widzę to.

- Och. - Przelyka ślinę. - Przepraszam.

Potrząsam głową.

- Nie szkodzi. Popatrzmy, dobrze?

Moja matka sięga do szuflady w lodówce i wyjmuję wielkie, żółte jabłko. Trzyma owoc w kościstej dłoni i wpatruje się w niego z namysłem.

- Mamusiu, jestem *głodna* - mówię.

- Dopiero co jadłaś, półtorej godziny temu u Richiego - mruczy. - Twój brzusek jest wciąż pełny, kochanie

- Ale ja jestem *głodna*.

Odwraca się do mnie z jabłkiem w dłoni.

383

- No dobrze. Chcesz coś przekąsić?

Kiwam głową.

Wyciąga jabłko w moją stronę.

- Możemy się podzielić. Co ty na to?

- Czy mogę zjeść moją połówkę z masłem orzechowym?

Moja mama ma oczy w kolorze głębokiego granatu, w takim samym odcieniu, jak moje. Nawet w sportowym stroju - pewnie dopiero co skończyła ćwiczyć - jest w pełnym makijażu, świeżo nałożyła szminkę.

Ja jestem ubrana w komplet w żółto-białą kratkę, bluzeczkę i spódnicę, które wydają się zbyt eleganckie na zabawę z Richiem. Zauważam, że ja też mam makijaż subtelny, ale jednak: trochę różu, odrobinę srebrnego cienia na powiekach i błyszczak w tym samym odcieniu, co mama. Wszystko starannie nałożone zręczną dłonią - To bez wątplenia dzieło mojej matki. Nigdy nie widziała nic złego w tym, że chodzę umalowana, nawet kiedy miałam dziewięć lat.

- Jesteś pewna, że chcesz masło orzechowe? - pyta cicho.

-- Tak. Dlaczego nie?

- Łyżeczka masła orzechowego ma sto kalorii. Osiem gramów tłuszczu - mówi. -

No dobrze, Liz - pochyła się ku unie - czy wiesz, ile kalorii jest w gramie tłuszczu?

Potakuję.

- Dziewięć kalorii w każdym gramie - recytuję z pamięci. Moja matka szkoli mnie już jako dziewięciolatkę. Czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest chora? Czy w ogóle ją to obchodzi? Chcę na nią krzyczeć, wrzeszczeć, żeby jadła, żeby żyła, ale wiem, że to niczego nie zmieni. I tak umrze za kilka tygodni.

- Więc jeżeli łyżka masła ma dziewięć gramów tłuszczu. a w każdy gramie jest dziewięć kalorii - drąży - to ile kalorii pochodzi z tłuszczu?

Myśląc nad odpowiedzią, przygryzam wargę umalowaną błyszczkiem.

- Nie wiem.

Matka ma poważną minę.

- Nie umiesz pomnożyć osiem przez dziewięć, Elizabeth?

Kręcę głową.

- Siedemdziesiąt dwie kalorie - mówi wyraźnie. "To prawie w siedemdziesięciu pięciu procentach tłuszcz. A ile procent tłuszczu powinniśmy spożywać?"

Jeszcze mocniej przygryzam dolną wargę i wbijam wzrok w stół. Wyglądam na bardzo zawstydzoną.

- Nie pamiętam.

Trzydzieści procent - informuję Aleksa.

Prawie jednocześnie moje młodsze ja szepcze-

- Trzydzieści procent.

- Bardzo dobrze. - Moja matka uśmiecha się. - chcesz masło orzechowe?

Kręcę głową. Nie patrzę na nią.

- Nienawidzę masła orzechowego - mówię Aleksowi.

- Nic dziwnego - odpowiada. - Boże, to okropne.

- To moja mama. Zawsze taka była.

Patrzymy, jak moja matka wspina się na palce i sięga w najdalszy kąt szafki.

Wyjmuje małą elektroniczną wagę. Waży jabłko, zdejmuje je z wagi, przekrawa na pół i waży każdą połówkę oddzielnie.

Zanim usiądzie przy stole, sięga do drugiej szafki, pełnej lekarstw, i wyjmuje pudełko tabletek na katar. Wyciska z listka osiem pigułek i wpatruje się w nie leżące na jej dłoni. Są małe i czerwone. Jest ich dużo, za dużo dla osoby o jej posturze. Jednak ona i tak je bierze, wkłada wszystkie naraz do ust i popija łykiem wody.

Moje dziewięcioletnie ja patrzy na nią i czeka cierpliwie na swoją połowę jabłka.

Matka w końcu siada i uśmiecha się do mnie szeroko.

- Proszę - mówi, podając mi pół owocu.

- Dziękuję. - Wpatruję się w tę połówkę, ale nie odgryzam nawet kęsa. - Mamusi?

- Tak?

385

- Dlaczego ważysz wszystko, co jesz?

Moja mama patrzy na swoją połówkę jabłka. Traktu)« to pytanie poważnie, długo zastanawia się nad odpowiedzią. W końcu mówi: - Liz, kiedy jesteś dorosła, życie potrafi być bardzo aplikowane. Wszędzie dookoła ciebie dzieją się rzeczy, \_jd którymi nie masz kontroli. Nie możesz kontrolować tego, co przydarza się ludziom, których kochasz. Nie możesz kontrolować każdej części swojego życia. Ale możesz kontrolować fragmenty. Małe. I czasami, kiedy wydaje ci się, że wszystko cię przerasta tak bardzo, że sama sobie nie poradzisz, pomaga ci świadomość, że istnieje jakaś część, choćby bardzo mała, nad którą sprawujesz pełną kontrolę. - Podnosi na mnie wzrok. - Rozumiesz, co mam na myśli?

Kiwam głową.

- Chyba tak.

- Dobrze. To ważna lekcja. - I znowu się uśmiecha.

- Ona jest chora - szepczę. - Wiedziałam, że choruje, ale mój Boże. To jest...

- Potworne - kończy Alex.

Patrzę na niego, siląc się na uśmiech.

- Kontrola. Mówiłam ci.

Oboje patrzymy, jak matka i ja jemy nasze połówki jabłka w zupełnej ciszy, zakłócanej jedynie odgłosem zębów wbijających się w miąższ.

- Chcesz iść? - pyta Alex,

Potakuję.

Zaciska chłodną dłoń na moim ramieniu i zamyka oczy.

W terażniejszości wciąż idziemy, teraz w odrobinie niezręcznej ciszy. Oboje myślimy o tym, co przed chwilą widzieliśmy. Wcześniej spacerowaliśmy, ale teraz zmierzamy do celu, szybciej, każdy krok w moich butach to małe piekło, do końca głównego deptaka, wzdłuż szeregu pułapek na turystów - ludzie uwielbiają kiczowate pamiątki z miasteczek Nowej Anglii - aż do osiedla nowych, małych domków za kościołem baptystów.

Lekcje już się skończyły, samochód pana Riley'a stoi na podjeździe. W domu palą się światła, a w salonie na drewnianej podłodze, Richie bawi się z Hope piłką

- Skąd wiedziałaś, że on tu jest? - Alex siada na podłodze obok Richiego.

- To było jedyne miejsce, do którego mógł pójść. Nie ma samochodu i nie ufa nikomu z dorosłych. Poza tym gliniarzem pan Riley jest pierwszą od lat dorosłą osobą, z którą Richie odbył poważną rozmowę. On nie lubi dorosłych.

- Ale oni się prawie nie znają.

- Obaj znali mnie. I Richie wie, że ufałam panu Rileyowi.

Siadam z drugiej strony Richiego. Widzę, że Alex miał rację co do zwierząt i dzieci. Hope naprawdę nas widzi.

- Jak myślisz, dlaczego? - pytam go.

- Nie wiem - odpowiada. - Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że dzieci po prostu nie wiedzą, co jest prawdziwe.

Hope jest dużo większa, niż ją zapamiętałam, musi mieć już ze dwa lata. Śmieje się, wskazując na mnie palcem, i mówi:

- Pani!

Uśmiecham się i przykładam palec do ust.

W kuchni pan Riley i jego żona, Karen, kłócą się przyciszonymi głosami, wściekła

Karen przyrządza makaron z serem.

- Chcę, żeby się wynosił, Tim. Zwolnią cię. Za... - jak to się mówi? - udzielasz schronienia zbiegowi. On przyniósł do tego domu broń. Pistolet. Skąd wiesz, że nie zabił Elizabeth Valchar? Przecież wszyscy tak myślą.

- Karen, oddał mi ten pistolet. Nie był nawet naładowany. On nas nie skrzywdzi.

Porozmawiam z nim. Przekonam, żeby pojechał ze mną na policję. - Pan Riley

wzdryga się, kiedy Karen wrzuca z impetem drewnianą łyżkę do zlewu. - On ma kłopoty. A ja muszę mu pomóc, na tym polega moja praca.

- Twoja praca? - Krzyżuje ramiona i zaciska wargi, policzki ma zaczerwienione ze złości. Karen jest niska i szczupła i mogłaby być ładna, gdyby nie była taka pospolita.

Nie ma makijażu ani żadnej określonej fryzury. Zawsze jest blada, nawet latem. Nosi ubrania, które wglądają, jakby pochodziły ze sklepu z używaną odzieżą. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak kobieta może tak nie zwracać uwagi na swój wygląd. Mnie

387

zawsze się wydawało, że nie ma nic gorszego na świecie, niż wyglądać pospolicie.

- Był chłopakiem Elizabeth, prawda?

Pan Riley kiwa głową.

- Wie o twoich porannych spotkaniach z nią? O waszych intymnych pogawędkach w kuchni, kiedy ja spałam?

- Karen, weź się w garść. Wiedziałaś o nich. Ona miała kłopoty. Moja praca polegała również na tym, żeby spróbować jej pomóc.

Karen patrzy na niego gniewnie.

- Twoja praca. Gdzie w twoim zakresie obowiązuje jest napisane, że masz zapraszać nastoletnią seksbombę do domu? Żeby ją pocieszać. Przytulać.

Pan Riley zerka w stronę salonu, gdzie Richie i Hope nadal bawią się piłką. Richie wydaje się spokojny, co mnie nie dziwi. Teraz na pewno już wie, że wcześniej czy później będzie miał do czynienia z policją. O ile go znam, pewnie czuje ulgę, że to wszystko już wkrótce się skończy. Jednak na razie ma czas na chwilę oddechu. Co może działać bardziej kojąco niż zabawa z małą dziewczynką?

- Nie chcę, żeby był sam na sam z Hope. - Karen przeczesuje dłonią matowe brązowe włosy. Paznokcie ma nieumalowane, postrzępione skórki, kostki suche i popękane. Przez sekundę zastanawiam się, dlaczego nie zrobi sobie manikiuru.

- Dobrze. Każę mu wyjść. Wtedy będziesz zadowolona?

- Tak. Wtedy będę zadowolona. - Bierze długi, głęboki oddech. - To jakieś szaleństwo.

Pan Riley podchodzi do żony i przytula policzek do jej policzka.

- Nigdy nie zrobiłem z Liz niczego, czego nie mógłbym zrobić na twoich oczach.

Mówi prawdę. Był moim jedynym pocieszycielem. Uważał za swój święty obowiązek, żeby mnie przytulić i próbować sprawić, bym poczuła się lepiej.

- Była bardzo ładna. Takie dziewczyny... dziewczyny w tym mieście, w tej szkole... wiesz, że ja taka nie jestem- Nigdy nie byłam.

- Była bardzo chora. To wszystko. Choroba i smutek, ubrane w drogie ciuchy i okryte makijażem. To nie zmienia faktu, kim była. - Przełyka ślinę. - I prawdopodobnie dlatego została zabita, Karen.

Ona patrzy na niego oskarżycielsko.

- Wiesz coś, o czym mi nie mówisz.

- Nic nie wiem. - Jego ton jest stanowczy. - Błagała mnie, żebym pozwolił jej powiedzieć, o co chodzi. Ale nie pozwoliłem. Nie chciałem, by to wtargnęło do naszego życia.

Garnek na kuchence zaczyna dymić. Ogień jest zbyt duży. Kolacja się spali.

Karen przykręca kurek i patrzy na lepłą masę w naczyniu.

- Ale teraz to jest w naszym życiu.

- Dlatego pozwól mi pomóc Richiemu - kontynuuje pan Riley. - Proszę. Wiesz, nie mogę przestać myśleć, że gdybym zrobił więcej dla Liz... gdybym porozmawiał z jej rodzicami albo umówił ją na wizytę u psychoterapeuty lub pozwolił, żeby mi powiedziała, co się stało... może nadal by żyła. Wiesz, jakie to uczucie, Karen?

Kobieta kręci głową.

- Nie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

- Nie mogę zrobić nic. Już nie. - Pan Riley milknie na chwilę. - Muszę pomóc Richiemu. Jestem to winien Liz.

Pan Riley staje w salonie nad Richiem i Hope i klaszcze w dłonie.

- No dobrze, chłopie. Pora iść.

Richie patrzy na niego oczami pełnymi niewinnego zdumienia.

- Dokąd?

- Na policję. Musisz się zgłosić. Szuka cię każdy gliniarz w tym mieście. Wiesz, że o mało nie odwołali lekcji?

Karen wpada do salonu, chwytając Hope za rękę i wraca do kuchni. Nie żegna się ani z Richiem, ani z mężem.

Kiedy siedzą już w samochodzie, Richie mówi:

- Biegałem każdego ranka.



- To świetnie. Jeśli nie wylądujesz w więzieniu, na wiosnę możesz spróbować biegów przełajowych.

- Ciągle biegam w to samo miejsce. To jakiś odruch... jakby jakaś siła kazała mi tam biec. To bardzo dziwne, panie Riley, nie mogę biec w żadnym innym kierunku.

Tylko do pewnego zaniedbanego domu na obrzeżach miasta, nigdy wcześniej tam nie byłem. Żaden z moich przyjaciół nie mieszka w okolicy, wszyscy mieszkają w bogatych dzielnicach. - Przerzywa. - Pochodzę z dobrej rodziny, panie Riley. Jestem porządnym człowiekiem.

- Jesteś handlarzem narkotyków, Richie.

- No dobrze, poza tym. Ran mnie nie słucha. Za każdym razem, kiedy zaczynam biec, ląduję przed tym domem. Na początku tylko mu się przyglądałem. Nie wiedziałem, dlaczego się tam znalazłem. Ale kilka tygodni temu zacząłem się rozglądać.

Przeprowadziłem małe śledztwo.

Już prawie dojechali do posterunku.

- Ach tak? - Pan Riley wydaje się zupełnie niezainteresowany. - Co zrobiłeś?

Włamałeś się tam?

- Nie. Zajrzałem przez okna, do skrzynki. Wie pan czyj to dom? - Nie czeka na odpowiedź. - Tego chłopaka, który zginął w zeszłym roku. Aleksa Berga. Przez cały ten czas biegałem tam, jakby ktoś ciągnął mnie na sznurku, i okazuje się, że to dom kolejnego martwego dzieciaka. Jak pan myśli, co to znaczy? Nie ma w tym żadnego sensu, prawda? - Waha się przez chwilę. - Panie Riley, ja wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale... czy myśli pan, że to może być Liz? Może ona wciąż tu jest. Może chce, żebym tam biegał z jakiegoś powodu, może chce mi coś powiedzieć.

- To ja - szepczę. Drzę cała. patrząc na Richiego z czystą miłością, tak bardzo pragnę być blisko niego. - Myślałam o Aleksie i ty to poczułeś. Wciąż to czujesz.

Pan Riley wjeżdża na żwirowy parking przed posterunkiem policji.

- Powiem ci, Richie, co ja myślę. Sądzę, że wy, dzieciaki, powinniście skupić się na swoim życiu. Jakie to ma znaczenie, że to dom Aleksa? On odszedł.

- Został zabity - poprawia go Richie. - Nigdy nie aresztowali sprawcy. Nagroda wciąż czeka.

Pan Riley zatrzymuje samochód.

- Jesteśmy. Pójdę z tobą, jeśli chcesz.

- Panie Riley?

Mój trener wpatruje się w dach samochodu.

- Słucham, Richie?

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Na temat Liz.

- Myślisz, że Liz zmusza cię w jakiś sposób, żebyś biegał do domu Aleksa? Sądziś, że w Noank ktoś uknuł niebezpieczny spisek? - Pan Riley kręci głową. – Nie, nie wierzę w to. I ty też nie powinieneś. To zbieg oko liczności, nic więcej. Nie wierzę w spiski i w duchy też nie wierzę.

Siedząc na tylnym siedzeniu, pochylam się i kładę ręce na ramionach pana Riley'a.

Ściskam mocno. Koncentruję się, ale mój wysiłek nie przynosi nawet w połowie tak dobrych efektów, jak z Richiem. Mogę prawie poczuć krew płynącą w żyłach pod skórą, ale tylko prawie. On ani drgnie.

- Proszę poczekać chwilę. Zanim tam wejdem, czy mogę pana o coś spytać?

- Oczywiście.

- Chciałbym zapytać... czy sądzi pan, że jeśli wrócę do szkoły, pozwolą mi pójść

na bal na rozpoczęcie roku? Obiecałem już Josie, że pójdziemy razem. Kupiła sukienkę i w ogóle.

Pan Riley patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

- Zaraz cię aresztują, a ty myślisz o balu? - Z niedowierzaniem kręci głową. - Jesteś naprawdę marnym przestępcą, wiesz o tym?

- Wiem. Ma pan rację.

- Więc dlaczego z tym nie skończysz? Przestań handlować. Możesz dać światu dużo więcej. Masz świadectwo z czerwonym paskiem. - Pan Riley milknie, przyglądając się mojemu chłopakowi. W oczach trenera widać błysk rozbawienia, pomieszanego ze współczuciem z czym? To wygląda prawie jak fascynacja. Richie jest o wiele bardziej skomplikowany, niż pan Riley sądzi przez te wszystkie lata. Wygląda, jakby właśnie sobie to uświadomił.

391

Richie uśmiecha się.

- Takie mam zajęcie. Za późno na zmiany.

Nigdy nie jest za późno.

Mój chłopak nic nie mówi. Najwidoczniej w tej chwili nie ma ochoty na dyskusję na temat swojej przyszłości.

Pan Riley odkaśluje.

- Mówisz mi, że martwisz się uczuciami Josie? Czy będzie musiała zwrócić balową suknię?

- Nie zwróci jej. Znajdzie sobie innego partnera, jestem pewien. - Richie sięga do klamki. - Tak strasznie współczuję Josie. Współczuję całej rodzinie. Ale pewnie pana to nie obchodzi, prawda? Bo dlaczego miałoby obchodzić?

Zanim pan Riley zdąży odpowiedzieć, Richie wysiada z samochodu.

- Dziękuję, że mnie pan dzisiaj przechował. Proszę mi życzyć powodzenia.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Richie zostaje poddany wielogodzinnemu przesłuchaniu, które prowadzi donikąd.

Bogaci ludzie naprawdę są traktowani inaczej, zwłaszcza w naszym mieście. Ojciec

Richiego przyjeżdża na posterunek ze swoim prawnikiem i po spotkaniu z sędzią koń-

czy się na dwuletnim dozorcze kuratorskim. Szczęśliwie dla Richiego kilka lat temu

pan Wilson przekazał hojną darowiznę na rzecz naszej społeczności, dzięki której wy-

budowano nową siedzibę policji. W wyniku tego ma spory wpływ na lokalnych stró-

żów prawa. Ponieważ to pierwsze przestępstwo Richiego - i ponieważ broń nie była

naładowana, a on z własnej woli oddał ją panu Rileyowi, który przekazał pistolet poli-

cjantom - wszyscy zgadzają się, że nie ma sensu robić wokół całej sprawy zbyt wiel-

kiego szumu. Narkotyki zostają na policji jako dowód rzeczowy, pistolet wraca do oj-

ca Richiego jako prawowitego właściciela, a karta pamięci zostaje w posiadaniu Joego

Wrighta.

Po przesłuchaniu Richiego Joe zamyka się w pokoju ze szczelnie opuszczonymi

żaluzjami i z wyraźną niechęcią ogląda moje kompromitujące zdjęcia. To te same fo-

tografie, które oglądałam na komputerze, przedstawiają Vince'a i mnie. Patrząc na nie

z obrzydzeniem, zdaję sobie sprawę, że Josie musiała dać tę kartę pamięci Richiemu,

aby zdobyć go dla siebie.

- Proszę - błagam Aleksa, kiedy stajemy za plecami Joego. - Proszę, nie patrz.

On nic nie mówi, tylko kiwa głową i odwraca się plecami.

393

Serce mi pęka na myśl, że Richie widział mnie na tych zdjęciach. Od jak dawna je

ma? Dostał je kilka tygodni przed moją śmiercią? Miesiące? jak mógł patrzeć mi w oczy, wiedzając. co zrobiłam? Jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, to taka, że jest Richiem. Zna mnie od zawsze. Tak jak ja nie potrafię przestać go kochać, dlatego że romansował z Josie za moimi plecami, tak zapewne i on nie mógł zmienić swoich uczuć do mnie.

Dni przechodzą w tygodnie, po aresztowaniu Richiego nic ciekawego się nie dzieje. Wrzesień dobiega końca, zaczyna się październik, liście zmieniają kolory, robi się coraz chłodniej, a życie moich przyjaciół i rodziny toczy się dalej. Richie nadal biega każdego ranka. Dobiega do domu Aleksa i patrzy długo na budynek, choć wciąż nic z tego nie rozumie.

Odwiedza mój grób. Niewiele mówi, ale czasami siada na ziemi obok mojego nagrobka - który w końcu został ustawiony dobre sześć tygodni po mojej śmierci ~1 'uli go, jakby to mnie trzymał w ramionach. Myśli, 26 jestem w ziemi, pod nim, podczas gdy ja stoję tuż "tok niego.

Odwiedza mnie wielu gości, mój ojciec przychodzi od czasu do czasu, kiedy nie siedzi na łodzi. Obok jest grób mojej matki. Jej nagrobek jest duży, bogato zdobiony na brzegach, z napisem:

ANALISA ANN VALCHAR

UKOCHANA MATKA I ŻONA

1968-2011

Mój ojciec przestał kłaść kwiaty na jej grobie lata temu. Wydawało się, że po ślubie z Nicole chciał podążać dalej, a jedyne pamiątki, jakie zostawił sobie po poprzednim życiu, to dom i łódź.

Na moim grobie leży mnóstwo sentymentalnych podarunków. Sama płyta jest

ogromna, większa niż mojej mamy, obramowana ozdobnym splotem bluszczu; moje imię wyryto delikatną kursywą. Wszędzie leżą naręcza kwiatów, nawet w tyle tygodni po pogrzebie. Byłabym niemal zawstydzona, gdyby tak bardzo nie podobał mi się ten wystrój. Wygląda na to, że nawet po śmierci nie straciłam na popularności.

Spędzamy z Alekssem dużo czasu na cmentarzu - doskonale pasujemy do tego miejsca - więc widzimy wielu żałobników. Jego rodzice przychodzą na grób syna raz w tygodniu, po niedzielnej mszy, mnie stale ktoś odwiedza: dzieciaki ze szkoły, które ledwo znałam, przynoszą kwiaty, niektórzy też głupie pamiątki jak misie czy balony. W dniu pierwszego treningu biegów na przełaj moi koledzy z drużyny (którzy nie lubili mnie za życia, ale teraz chętnie okazują swój smutek) zostawiają kokardę „splicingowanych sznurówek. Co kilka tygodni przychodzi pan Rilev i odmawia modlitwę. Mera i Topher zawsze przychodzą razem i Mera za każdym razem szlocha jak bóbr.

Tylko raz, w połowie października, przyszła Karen Riley razem z Hope. Wydaje mi się to okropne - kto przyprawdza dziecko na cmentarz? Ale mała biega między nagrobkami, podczas gdy jej matka stoi przy moim grobie i bez słowa wpatruje się w ziemię. Nie przyniosła kwiatów. Nie zostaje długo. Jak zwykle, nie ma makijażu, włosy związała w luźny kucyk. Jest ubrana w bladoniebieskie dzinsy, kilka centymetrów za krótkie, spod których widać białe skarpetki, wystające z adidasów. Klęka na chwilę przy moim nagrobku, dotyka go, przebiega palcami po napisie, zupełnie jakby chciała się upewnić, że to na pewno ja leżę pod spodem.

Nagle, wciąż klęcząc, przyciska dłoń płasko do ziemi.

- Powinnam była lepiej cię traktować - szepcze. Zerka na córkę, która goni motyla wokół jakiegoś świeżo wykopanego grobu. Hope jest wysoka i szczupła, tak jak jej ojciec. Już ma jedwabiste blond włosy i idealnie niebieskie oczy. Kiedyś będzie piękn-

nością. Karen Riley na pewno też już to wie.

Kobieta cicho płacze.

- Byłaś tylko małą dziewczynką - mówi. - Przepraszam, że cię nienawidziłam.

Po jej odejściu Alex i ja długo milczymy. Kiedyś to była moja ulubiona pora roku.

Idealna pogoda do biegania, wystarczająco chłodno, powietrze świeże i rześkie.

Uwielbiałam odgłos, jaki wydawały moje stopy na opadłych liściach. Jednak teraz jest mi coraz zimniej. Przynajmniej nadal mogę leżeć na trawie i wpatrywać się w gwiazdy. Nadal mogę pełnić straż przy swoim grobie.

Cały czas gdzieś w głębi duszy mam nadzieję, że ujrzę moją matkę: jako zjawę, ducha, cokolwiek. Ale jej nie ma. Byłyśmy takie podobne za życia, a jednak po śmierci trafiłyśmy w zupełnie różne miejsca. Fakt, że nawet teraz nie ma jej przy mnie, żeby mnie pocieszyć, sprawia, że czuję się niewiarygodnie samotna. Im więcej czasu mija, tym bardziej jestem przekonana, że być może już nigdy jej nie zobaczę. Tak bardzo się boję, że utknęłam tu, na Ziemi, na zawsze, że przez całą wieczność będziemy z

395

Aleksem nawiedzać Noank, podczas gdy wszyscy inni będą żyli dalej, aż w końcu w ogóle zapomną o naszym istnieniu.

Pewnego wyjątkowo zimnego wieczoru w połowie października - spędziliśmy cały dzień na cmentarzu, oglądając pogrzeb starej kobiety, która zmarła naturalną śmiercią (jej rodzina prawie nie płakała, wszyscy mówili, że nadszedł jej czas) - o zmierzchu przychodzi na mój grób Caroline.

Jest w stroju cheerleaderki, pewnie po południu był mecz i przyszła tutaj prosto ze szkoły. Wygląda absurdalnie i nie na miejscu na ponurym tle cmentarza: włosy ma związane w dwie wysokie kitki, na policzkach namalowane litery LN (Liceum No-

ank). U jej pasa wiszą pompony. Odkłada je na ziemię, ale wciąż\*spogMa na nie czujnie, jakbym mogła wyciągnąć rękę spod ziemi i je schwycić.

Caroline podobnie jak wielu ludzi, którzy mnie odwiedzali na cmentarzu, klęka przy moim nagrobku i przesuwa palcami po literach wyrytych w kamieniu.

Alex obserwuje ją.

- Wygląda na to, że ona naprawdę za tobą tęskni. Mówiłaś, że była jedną z twoich najbliższych przyjaciółek?

- Tak. była. - Patrzę na Caroline i szczerze żałuję, że nie mogę jej przytulić. Wi-  
dać, że nadal jest załamana moją śmiercią. - Chcesz w to wierzyć czy nie, ona jest do-  
brym człowiekiem.

Oczekuję jakiejś sarkastycznej uwagi, ale Alex nic nie mówi.

Caroline wstaje, wygładza niewidzialne zagniecenia na idealnie wyprasowanej  
spódnicy i otula się szczelniej sportową kurtką.

- Cześć, Liz - mówi. Czubkiem buta kopie grudkę ziemi. - Przepraszam, że wcze-  
śniej cię nie odwiedziłam. Naprawdę nie lubię cmentarzy. - Rozgląda się dookoła. -  
Kiedy byłam mała, mój tata mówił mi i moim siostrze, że za każdym razem, kiedy  
przechodzimy obok cmentarza. musimy wstrzymać oddech, bo inaczej wchłonimy  
ducha zmarłych, który nas opęta. Wiem, że to głupie, ale zawsze mnie przerażało. -  
Milknij. - Wiem, myślisz, że to idiotyzm. Ale, moim zdaniem, i tak nie chciałybyś  
nie opętać, nawet jeśli gdzieś tu jesteś. - Spogląda na swoje nogi. - Nigdy byś nie  
utkwiała na wieczność w ciele o takich kostkach. Chciałam ci tylko powiedzieć kilka  
rzeczy - ciągnie. - Których nigdy bym ci nie powiedziała, gdybyś żyła. Ponieważ, Liz,  
musiałaś zdawać sobie z tego sprawę... trudno było się z tobą przyjaźnić. Wiem. stara-  
łaś się być miła. Nie chciałaś być zła. Ale czasami zastanawiałam się, dlaczego w ogó-



le się z tobą zadaję. Pamiętasz imprezy, które urządziłam w zeszłym roku? Moi rodzice pojechali na cały miesiąc do Egiptu i przekonaliście mnie z Josie, że w każdy weekend powinnam urządzić imprezę. Obiecałaś, że po każdej pomożesz mi sprzątać, ale zrobiłaś to tylko raz, po pierwszej. Potem po prostu rano wstawiałaś i wychodziłaś. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale pamiętasz ostatni weekend, kiedy upiłaś się i zwymiotowałaś w jadalni? Obrzygałaś cały orientalny dywan. Nawet nie zaproponowałaś, że posprzątasz po sobie, tylko wyszłaś. Bardzo się martwiłam, czy dotrzesz bezpiecznie do domu, ale ty obiecałaś, że wyślesz mi SMS-a, czego oczywiście nie zrobiłaś. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić aż do następnego wieczoru. Strasznie się o ciebie bałam. Ale o tym pewnie wiesz. Czego ci nigdy nie powiedziałam... dywan, na który zwymiotowałaś, był antykiem. Moi rodzice kupili go na aukcji w Pekinie. Był wart dziesiątki tysięcy dolarów, a ty go zniszczyłaś. Przez cały wieczór piłaś wódkę z sokiem żurawinowym, a potem przerzuciłaś się na piwo i wtedy się pochorowałaś. W każdym razie plama była jaskrawoczerwona. Nie dałam rady jej wywabić. Kiedy wrócili rodzice i zobaczyli, co się stało, wzięłam całą winę na siebie.

Wypuszcza powietrze, jej oddech zamienia się w parę.

- Nie powiedziałam im, co się naprawdę stało, bo wiedziałam, że powiadomiliby twoich rodziców. Że kazaliby im zapłacić za szkody, a ja tak bardzo się bałam - zaczyna płakać - bałam się, że nie będziesz chciała się już ze mną przyjaźnić, że ty i Josie odwrócicie się ode mnie. jeśli wpakuję was w kłopoty. Zamiast tego dostałam szlaban na miesiąc. A teraz mój tata stracił pracę i rodzice zaczynają wyprzedawać antyki, żeby spłacić hipotekę. Niedawno mama powiedziała mi, że gdyby mogli sprzedać ten dywan, zapłaciliby hipotekę za trzy miesiące. Możesz w to uwierzyć? Bardzo współczuję Caroline. I czuję się okropnie z powodu tego, jak się zachowa-

łam i że ona nie miała odwagi, żeby powiedzieć mi o swoich rodzicach i dywanie.

- Powinna była to zrobić. Nadal bym się z nią przyjaźniła - mówię do Aleksa. -

Czyżby o tym nie wiedziała? Moi rodzice zapłaciliby za ten dywan.

- Jesteś pewna? - Patrzy na mnie z powątpiewaniem. - A co z Josie? Caroline mówiła, że bała się, że ty i Josie się od niej odwrócicie.

- Nie wiem, co miała na myśli. Josie jest dobrym człowiekiem. Po prostu lubi popularność, to wszystko.

- Bez wątpienia - zgadza się Alex, ale nie rozwija tematu.

397

- W każdym razie - ciągnie Caroline, wycierając oczy - to i tak teraz nie ma żadnego znaczenia. Ty odeszłaś, moi rodzice i tak prawdopodobnie stracą dom, a Josie powiedziała wszystkim w szkole, że mój tata stracił pracę. Nawet nie mam z kim pójść na bal. Josie idzie z Richiem. ty umarłaś kilka miesięcy temu, parę tygodni temu on został zatrzymany, a twoi rodzice pozwalają jej z nim iść jak gdyby nigdy nic. -

Wzrusza ramionami. - To okropne, wszystko jest okropne bez ciebie. - Przerywa. - Ale kiedy tu byłaś, też było straszne. Wiem, to brzmi niedorzecznie ale przez kilka miesięcy przed twoją śmiercią miałam wrażenie, że stanie się coś złego.

Bierze swoje pompony i potrząsa nimi, żeby otrzepać je z liści.

- Nie wiem dlaczego, ale kiedy tamtego ranka usłyszałam krzyk Mery, wiedziałam, że to tobie przydarzyło się coś strasznego. Po prostu wiedziałam.

Pochyla głowę, odmawia krótką cichą modlitwę i robi pomponem znak krzyża.

- Przed śmiercią rozpadałaś się na kawałki, Liz. Wszyscy to widzieli. Mam nadzieję, że teraz jest ci lepiej. Bo tutaj jest naprawdę okropnie.

Caroline cofa się o kilka kroków, jakby miała odejść, ale nagle staje. Patrzy w

ciemne niebo i bierze głęboki, długi oddech, rozgląda się, sprawdzając, czy na pewno jest sama, po czym, zamiast pójść w stronę bramy, przecina trawnik i idzie na wzgórzu, w kierunku muru cmentarnego, tam gdzie biegnie najbliższej gęstego lasu.

- Dokąd ona idzie? - pytam.

Alex jest spięty, krzyżuje ramiona na piersi.

- Pewnie do domu.

- Nie, idzie w przeciwnym kierunku. - Ruszam za nią, ale Alex ani drgnie. - Hej - poganiam go - chodź.

Oplata się ciasniej ramionami. Kręci głową.

- Nie chcę.

Zatrzymuję się i patrzę na niego.

- Alex, chodź! Co się stało?

Wbija wzrok w ziemię.

- Nic.

Caroline doszła już prawie na szczyt wzgórza. Skręca w lewo, w wąską żwirową alejkę i kieruje się w stronę małej grupy grobów, tuż przy ścianie lasu. W tej chwili wszystko staje się jasne: idzie na grób Aleksa.

Ale dlaczego? Nie знаła go. Przyszła na jego pogrzeb, tak jak ja i mnóstwo innych osób, które go nie znały. Nie robiła wrażenia szczególnie smutnej. Nie byli przyjaciółmi, obracali się w różnych kręgach. Nie mogę sobie wyobrazić, skąd mogliby się znać.

A jednak tu jest, klęczy przy grobie w ponad rok od jego śmierci. Staję obok niej i patrzę, jednocześnie zdezorientowana i zafascynowana, jak Caroline kładzie obie dłonie na nagrobku i pochyla się tak nisko, że dotyka kamienia głową.

Pozostaje w tej pozie długo, prawie zupełnie nieruchoma. Obserwuję ją, gdy podchodzi do mnie Alex. Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi.

Kiedy Caroline w końcu unosi głowę, widzę, że ma zaczerwienione oczy. Litery namalowane na jej policzkach rozmyły się od łez. Znowu się rozgląda, upewniając się, że nikogo nie ma.

- Cześć, Alex - szepcze tak cicho, że ledwo ją słyszę. Stojący obok mnie Alex uśmiecha się do niej. Wydaje się spokojniejszy niż kilka minut temu.

- Cześć, Caroline - odpowiada.

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

- Alex, o co tu chodzi? - pytam agresywnie. - Powiedz mi. Caroline wstaje. Ociera oczy i policzki wierzchem dłoni, zamieniając litery w czerwono-białe plamy. Alex przykłada palec do ust.

- Cii. - Nadal się do niej uśmiecha.

- Tak mi przykro - mówi Caroline głośno. Zaciska mocno powieki, wygląda, jakby znowu miała zacząć płakać. - Tak bardzo mi przykro, Alex.

- Dlaczego jest jej przykro? - pytam. - Skąd wy się znacie?

Alex zerka na mnie.

399

- To nic takiego.

- To jednak coś, Alex, daj spokój. To nie fair. Proszę, powiedz mi.

Jednak on mnie ignoruje i dalej obserwuje Caroline. Ona pochyla głowę, zamyka oczy i znowu zaczyna mówić głosem słodkim i miękkim, słowa brzmią dziwnie przejmująco na cichym, pustym cmentarzu.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami

i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej...

Milknie. - Teraz i w godzinę śmierci naszej - powtarza.

- Teraz i w godzinę śmierci naszej. Teraz i w godzinę śmierci naszej... Amen.

Otwiera oczy.

- Odpoczywaj teraz - mówi, patrząc na grób Aleksa.

- Spoczywaj w pokoju.

Pochyla się i podnosi pompony, po czym schodzi ze wzgórza do cmentarnej bramy. Patrzymy oboje, jak jej sylwetka maleje na tle wieczornego nieba, kiedy idzie nieśpiesznie między grobami. Czują się nieswojo przy moim grobie, ale nie u Aleksa. A teraz, nawet z daleka, zdaje się wyciszona.

- Okej - mówię, kiedy Caroline znika nam z oczu ,o co tu chodzi? Dlaczego jest jej przykro?

Alex przekrzywia głowę.

Myślę, że z powodu tego, co mnie spotkało.

Jednak takie wyjaśnienie mnie nie satysfakcjonuje, wcale nie tłumaczy, dlaczego Caroline przyszła na jego grób i odmawiała modlitwę w taki dziwny sposób.

- Alex - powtarzam surowo - o czym mi nie mówisz?

On wzdycha i przesuwa ręką po włosach.

- Trudno to wytłumaczyć. Ale mogę ci pokazać, jeśli chcesz.

- Pokazać? Masz na myśli...?

- Tak. - Kiwa głową. - Możesz sama zobaczyć.

- Myślałam, że nie chcesz pokazywać mi niczego ze swojego życia.

Nadal uśmiecha się z rozmarzeniem.

- Tym razem zrobię wyjątek.

Zanim przyjmę jego propozycję, coś innego przychodzi mi do głowy.

- Ona już wcześniej przychodziła na twój grób, prawda?

-Tak.

Nie mogę w to uwierzyć. Caroline. Tutaj. Odwiedza Aleksa. Modli się i mówi, że jest jej przykro, ale dlaczego? Jestem zdumiona, lecz jednocześnie cieszę się, że Alex ma chociaż jednego gościa poza rodzicami. Zasluguje przynajmniej na tyle.

- Jak często przychodzi?

- Niezbyt często. Co kilka tygodni. - Jestem pewna, że gdyby żył, z pewnością by się zarumienił. - Byłem zupełnie zaskoczony jej pierwszą wizytą. To niesamowite że ona w ogóle pamięta. - Patrzy na mnie wyczekująco - Chcesz wiedzieć? Pokażę ci, ale na tym koniec. Nic więcej.

- Dobrze. - Biorę go za przegub. - Idziemy.

Kiedy otwieram oczy, stoimy na środku dużego pomieszczenia. pełnego długich drewnianych stołów. Chyba jesteśmy w jakiejś piwnicy, w sali nie ma okien, a za podwójnymi drzwiami widzę schody prowadzące na górę.

- Gdzie jesteśmy? - pytam.

- Nie wiesz? - Alex jest wyraźnie rozbawiony.

Obok podwójnych drzwi wisi portret Jezusa Chrystusa

naturalnych rozmiarów. Postać ma szeroko rozłożone ramiona i spogląda na grupkę dzieci u swoich stóp. Na tej samej ścianie wisi tablica, na której ktoś wypisał starannym pismem kilka wersetów z Biblii.

- Chyba jakiś kościół - mówię. - Czy to szkołka niedzielna?

- To lekcje PK - poucza mnie Alex, a ja patrzę na niego z kompletnym brakiem

zrozumienia.

- Lekcje religii przed Pierwszą Komunią Świętą - wyjaśnia.

- Lekcje religii - powtarzam. - Co to takiego?

- Chodzą na nie katolickie dzieci. Musisz przez rok chodzić na zajęcia, a potem przystępujesz do Pierwszej Komunii. Wiesz co to jest, prawda?

Przytakuję.

- No pewnie. Wino i opłatek, prawda?

Przez chwilę Alex wygląda, jakby miał zamiar tłumaczyć mi całą istotę komunii - najwyraźniej chodzi w niej o coś więcej, niż myślałam - ale powstrzymuje się i z krzywym uśmiechem potrząsa głową.

- Jestem w pierwszej klasie - mówi, wskazując głową na salę, na której siedzi ośmioro dzieci. Pokazuje jedno z nich. - To ja.

Natychmiast go zauważam i przyciskam dłoń do ust.

- Alex - mówię - jesteś uroczy.

I to prawda, Alex jest wyjątkowo słodkim dzieckiem. Ma pełne różowe policzki, włosy proste i odrobinę za długie, grzywka wchodzi mu do oczu. Jest ubrany w koszulkę ze Spidermanem i dżinsowe ogrodniczki.

- Rety - mówię, dając mu kuksańca. - Ależ z ciebie ilodziak.

- Przestań - broni się zakłopotany, ale też się uśmiecha.

- Jak tu cicho - zauważam. W sali pełnej dzieci spodziewałabym się choć trochę hałasu, ale one siedzą nieruchomo, z zamkniętymi ustami i spuszczonego wzrokiem, jakby na coś czekały. Patrząc na nie, słyszę za plecami cichy dźwięk, więc odwracam się w tamtą stronę. Z tyłu pomieszczenia są lekko uchylone drzwi i to zza nich dobie-

ga ten odgłos.

Razem z Alekssem podchodzimy do drzwi i zaglądamy do środka. Pokój jest mały, niewiele większy od szafy. Stoi w nim tylko kilka półek z kasetami wideo, stary telewizor, twarzacz i metalowe składane krzesło, na którym siedzi zakonnica w średnim wieku. Ze znudzoną min słucha, jak stojąca przed nią dziewczynka w swetra w szkocką kratę recytuje „Zdrowaś Mario”.

- Musieliśmy nauczyć się modlitwy na pamięć - wyjaśnia Alex. - A potem siostra Barbara, to właśnie ona, wzywała nas pojedynczo do tego pokoju i kazała nam recytować

Och, rozumiem. - Patrzę, jak dziewczynka wychodzi a zaraz za nią pojawia się pulchny chłopiec z kręconymi czarnymi włosami.

- Co to ma wspólnego z Caroline? - Wróciliśmy do dzieci, które w ciszy czekają na swoją kolej, ale małego Aleksa nigdzie nie widać.

- Na korytarzu. - Alex wskazuje na podwójne drzwi prowadzące na schody.

Przed stopniami jest ciemny, wąski korytarz z trzema parami drzwi: jedne prowadzą do toalety dla chłopców, drugie dla dziewcząt, a trzecie są nieoznakowane.

Kiedy tam stoimy, z łazienki wychodzi mały Alex, wycierając ręce o ogrodniczki.

Spogląda w dół i zauważa, że rozwiązała mu się sznurówka, więc pochyła się, żeby ją zawiązać.

Wtedy coś słyszę.

- Słuchaj - mówię.

Mały Alex też to słyszy i zamiera w połowie ruchu. Podnosi wzrok na nieoznakowane drzwi. Słysząc znowu ten cichutki, brzęczący dźwięk.

Patrzę na Aleksa obok mnie. Uśmiecha się. Doskonałe wie, co się zaraz wydarzy.



Młody Alex podchodzi na tyle blisko, że może dotknąć drzwi. Ostrożnie naciska klamkę i otwiera.

To szafa na ubrania. A w środku stoi na palcach i próbuje powiesić kurtkę uczennica pierwszej klasy Caroline Michaels.

Mały Alex wpatruje się w nią.

- Myślałem, że cię dzisiaj nie ma - mówi.

Caroline nie odpowiada. Cofa się tak gwałtownie, że omal nie wpada na wieszak z sukniami chóru. Już w wieku sześciu czy siedmiu lat jest piękna. Mała i szczupła, chude ramiona i nogi wystają z różowej bluzeczki z kołnierzykiem i jasnoniebieskiej dżinsowej spódnicy. Długie włosy ma splecione w dwa warkocze, na końcach sta-

403

rannie zakręcone i ozdobione blad różowymi kokardami. Zaskoczona patrzy na Aleksa.

Wciąż jeszcze nic nie powiedziała. U jej stóp leżą dowody, że siedzi tu już od dłuższego czasu; to otwarty plecak i jego zawartość ułożona w półkole: termos z Barbie, książeczka do kolorowania, butelka lakieru do paznokci z brokatem, na wpół wypełniony arkusz zadań z matematyki.

- Chowasz się tu? - chce wiedzieć Alex. - Dlaczego?

Caroline wygląda na przerażoną.

- Ja, ja, ja... - Jej dolna warga drży. - Nie naskarż na mnie.

Alex zerka za siebie i zamyka drzwi.

- Nie martw się. Nie naskarżę.

Caroline pochyla głowę.

- Nie mogę iść na lekcję. - Zaczyna gryźć pomalowany paznokieć. - Nie nauczy-

łam się modlitwy.

Alex wygląda, jakby nie wiedział, co zrobić. Rozgląda się bezradnie dookoła, szukając podpowiedzi.

- Chowała się tutaj przez cały czas? - pytam go.

Potakuje.

- Przychodziliśmy tu każdego piątku po szkole. To tylko pół przecznicy. Musiała iść daleko w tyle za wszystkimi, a potem chowała się w szafie, żeby jej rodzice nie dowiedzieli się, że wagarowała.

Oboje siedzą na podłodze, prawie stykają się gł0. wami.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna - szepcze Alex.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna - powtarza Caroline, ale wciąż wygląda na spanikowaną. - Znam prawie całą, Alex. Ale nie mogę nauczyć się końcówki. Zawsze zapominam. A teraz jest już za późno.

Nie, nie jest - zaprzecza Alex. - Ja ci pomogę. Powtórz to jeszcze raz.

Caroline kiwa głową.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna - zaczyna. - Błogo... błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża... módl się... módl się... - Zaciska mocno powieki. - Nie wiem, co dalej.

- Módl się za nami grzesznymi - podpowiada Alex.

- Módl się za nami grzesznymi - powtarza jak echo Caroline. - Teraz i w godzinę śmierci naszej - kończy Alex. - Teraz i w godzinę śmierci naszej. - Teraz i w godzinę śmierci naszej - powtarza. - Teraz i w godzinę śmierci naszej. - Teraz i w godzinę śmierci naszej - mówi jeszcze raz.

Caroline otwiera oczy i patrzy na niego.

- Teraz i w godzinę śmierci naszej.

Alex uśmiecha się.

- Amen.

Patrzemy, jak siedzą razem w szafie jeszcze przez kilka minut, Caroline powtarza modlitwę. W końcu wstają i wracają do klasy.

Alex i ja zostajemy w szafie sami.

- Caroline pamięta ten dzień - mówi - po tych wszystkich latach. Możesz w to uwierzyć? Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, nawet jako dzieci. Nie pamiętam, żebyśmy potem jeszcze kiedykolwiek ze sobą rozmawiali. To było tylko kilka chwil w naszym życiu, ale miały dla nas znaczenie. Dla obojga - dodaje po namyśle.

- Nigdy mi nie powiedziała, nawet na twoim pogrzebie.

Wzrusza ramionami.

- A o czym tu było mówić? - Rozgląda się przez chwilę, po czym spogląda na mnie. - Więc teraz już wiesz.

Uśmiecham się.

- Dziękuję, że mi pokazałeś.

Nad nami brzęczy fluorescencyjna lampa. Bez słowa bierzemy się za ręce i pozwalamy przeszłości odejść.

Z powrotem na cmentarzu oboje dochodzimy do wniosku, że jesteśmy gotowi na

405

zmianę scenerii. Kiedy idziemy, nie mogę przestać myśleć o Caroline przy grobie Aleksa i o tym, jak słodkie było ich spotkanie. Chciałabym o tym porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej o jego Przeszłości, ale nie chcę być natrętna. Już i tak pokazał mi więcej, niż się spodziewałam.

Alex też się nad czymś zastanawia, milczy przez długą chwilę. potem ni z tego. ni

z owego mówi:

- Hej, Liz! Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, u mnie w domu, twierdziłaś, że nie czułaś, że przydarzy ci coś złego.

- Bo nie czułam - zapewniam go.

- Ale jak to możliwe? Nawet Caroline wiedziała. Jak to możliwe, że ty niczego nie przeczuwałaś?

- Nie powiedziałam tego, Alex, nie dosłownie. Ale mówiłam prawdę, nie pamiętam, żebym czuła, że spotka mnie coś złego.

- Zastanów się - zachęca. - Spróbuj.

- Jak mam to zrobić? Jak mam spróbować?

- Wiesz jak. Zamknij oczy. Co widzisz?

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Mara siedemnaście lat i jestem w pierwszej klasie liceum. Poznaje po ściądze z „Makbeta”, która leży na moim stoliku nocnym. Książka wydaje się nietknięta. Wyglądam tak, jakbym nie spała całą noc: mam ziemistą cerę, oczy przekrwione i rozbiegane. Wyglądam okropnie. Leżę w łóżku przykryta kołdrą aż po brodę i czekam, aż wstanie słońce. Kiedy w końcu stawiam stopy na podłodze. siedzę przez długą chwilę, przyciskając jedną rękę do brzucha, a drugą do czoła.

Zwykle wstałabym wcześniej i poszła biegać, ale nie dzisiaj. Dziś biorę prysznic, ubieram się. Mam nowe dzinsy, w talii wciąż dyndają metki. To obcisłe spodnie, które są teraz takie modne, z wzorem z kryształków na tylnych kieszeniach, biodrówki ukazujące mój płaski brzuch. Do nich wkładam krótką zwiewną bluzkę bez pleców, którą Nicole kupiła mi w drogim manhattańskim sklepie wysyłkowym, i skórzane buty na

niskich obcasach, z takim samym wzorem z kryształów, jak na kieszeniach dzinsów.

Wyglądam fantastycznie. I jestem pewna, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Pamiętam, jak stałam przed dużym lustrem i przyglądałam się sobie. Czasami nachodziła mnie myśl, że nie dostałam tego ciała na zawsze. Ale teraz je mam: muskularne, smukłe piękne. Używam moich rozmiarów jako kodu do szaf w szkole: 86-59-80.

Fryzura i makijaż zajmują mi codziennie czterdzieści pięć minut, i mimo że dziś

407

czuję się okropnie, i tak odtwarzam rytuał krok po kroku: czterostopniowy zabieg kosmetyczny zalecony mi przez dermatologa, chociaż nigdy nie miałam kłopotów z trądzikiem, a moje pory są właściwie niewidoczne: mleczko, tonik, krem nawilżający i krem pod oczy. Pamiętam, że moja mama całymi godzinami lamentowała przed lustrem na temat ciemnych kręgów pod oczami. Nie ja. Od bardzo młodego wieku jestem gorliwą wyznawczynią pielęgnacji zapobiegawczej.

Potem podkład, krem brązujący, róż i mgiełka sypkiego pudru, żeby wszystko dobrze się utrzymało. Kolory, których używam, to najnowszy krzyk mody: trzy razy w roku Nicole zabiera Josie i mnie do Nowego Jorku, do wizażystki, która przyjmuje wyłącznie po wcześniejszym umówieniu wizyty telefonicznie. Dla nas tylko to, co najlepsze. Mój ojciec przewraca oczami i współczuje nam z powodu nudy tej codziennej rutyny, ale w końcu wzrusza ramionami i mówi:

- Dziewczyny zawsze będą dziewczynami.

Teraz cień na powieki, trzy odcienie: neutralna baza na całą powiekę, ciemniejszy cień blisko rzęs i jaśniejszy pod łukiem brwiowym. Połączyć odcienie pędzelkiem, kredka do oczu. Sztuczne rzęsy, które przyklejają się tak dobrze, że kiedy je zrywasz, czujesz ból przypominający użądlenie pszczoły. Jedna warstwa tuszu do rzęs, odcze-

kaj kilka sekund, wyczesać, druga warstwa. Staranne obrysowanie ust kredką, matowa szminka i błyszczczyk.

W końcu wkładam półkaratowe diamentowe kolczyki, które należały do mojej matki - ze wszystkich jej kolczyków te wiszące, srebrno-diaamentowe, lubię najbardziej ;prawie nigdzie się bez nich nie ruszam. Mój ojciec dał je matce na pierwszą rocznicę ślubu. Nim minie rok, zostanę w nich pochowana.

Moje włosy to zupełnie osobna historia. Inaczej niż Josie, która dostała od natury słabe, nieatrakcyjne kędziorki, ja mam niesamowicie gęste blond włosy, które wystarczy tylko dobrze wysuszyć i rozczesać, żeby ułożyły się dokładnie tak, jak powinny. Według mnie włosy zawsze były moim największym atutem. Na pewno nie były nim moje stopy.

Moich rodziców nie ma w domu, więc na śniadanie schodzimy tylko ja i Josie.

Musi być sobota lub niedziela, bo nie wyglądamy, jakbyśmy śpieszyły się do szkoły.

Josie pije sok pomarańczowy, je muffinkę posmarowaną masłem orzechowym i przegląda magazyn „People”.

- To śmieciowe żarcie. Idzie ci prosto w tyłek. - Muszę mieć na myśli masło orzechowe. Oczywiście, że mam na myśli masło orzechowe.

- Zamknij się. Zawiera białko.

- To sam tłuszcz. Pochłaniasz to jedzenie, jakby miało zero kalorii.

Przerywa żucie. Od tej pory wciąż jest w pizamie.

- A ty po co się tak wystroiłaś? Nie idziesz biegać?

Opieram się plecami o blat kuchenny i patrzę na nią krzyżując ramiona.

- Idę do Richiego. Muszę naprawić samochód.

Cisza. Josie patrzy surowo na resztki swojej muffinki, po czym odpycha talerz.

Bębni akrylowymi tipsami o stół.

- Jak Richie może ci pomóc przy naprawie samochodu?

- Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Zna mechanika, który zajmuje się blacharką.

- Liz, jesteś pewna, że to był dobry pomysł, żeby wciągać w to Richiego? Musimy być ostrożne.

- Jestem ostrożna.

Wpatruję się w paznokcie, szukając odprysków na lakierze.

- Nie byłabym tego taka pewna. Jeśli to spieprzysz...

- Nie spieprzę tego! Nikt się nawet nie dowie, do jakiego warsztatu pojechaliśmy.

To znaczy nikt oprócz ciebie. Przyprawdżę samochód, zanim Nicole i tata w ogóle się zorientują, że zniknął.

Josie unosi wyregulowaną brew.

- Naprawdę? Jesteś pewna, że zdążysz w dwa dni?

Dwa dni do powrotu rodziców. Musieli wyjechać gdzieś poza miasto.

- Tak - potwierdzam. - Zdążę.

- A co się stało z twoim samochodem, Liz?

409

Trzepoczę powiekami.

Wiesz, co się stało. W zeszłym tygodniu pojechałyśmy do sklepu i uderzyłam w parkomat. Richie Już widział w szkole. To tylko małe wgniecenie.

- Ale tata cię zabije, jeśli się dowie, że zniszczyłaś mustanga.

Kiwam powoli głową.

- To prawda. Będzie wściekły.

- Dlatego musisz naprawić go jak najszybciej i tak, żeby nikt o niczym nie wiedział.

- Właśnie.

Patrzy na kuchenny zegar.

- O której się umówiliście?

- Warsztat otwierają o dziewiątej. Ten koleś jest klientem Richiego.

- Klientem. To znaczy...

- Tak. klientem. - Chcę powiedzieć, że Richie sprzedaje mu narkotyki. Może trawkę. Prawdopodobnie nie dopytywałam się o szczegóły, ponieważ wcale nie chcę ich znać. Wiem tylko, że facet robi nam przysługę: szybko wyklepie samochód, weźmie towar zamiast pieniędzy i zachowa wszystko w tajemnicy.

Richie na pewno rozumie, po co te środki ostrożności. Dostałam mustanga na siedemnaste urodziny. Nie miałam jeszcze nawet prawa jazdy, tylko pozwolenie, ale samochód czekał na mnie na podjeździe w poranek moich urodzin przewiązany wielką czerwoną wstążką. Mam go dopiero od kilku tygodni. Zgodnie z prawem Connecticut nie wolno mi wozić pasażerów, ale ja i moi Przyjaciele robimy to nagninnie. Tata mi ufa, oczekuje, że 28 będę zachowywała się odpowiedzialnie. Wpadłby w furę? gdyby się dowiedział, że już zniszczyłam auto.

- Poczekaj chwilę - mówi Josie, wstając. Podchodzi do szafki w kącie kuchni, przez kilka sekund przegląda jej zawartość, po czym wyjmuje ogromną muffinkę z jagodami w plastikowym opakowaniu.

- Masz - mówi, podając mi ciastko.

Krzywię się z obrzydzeniem.

- Fuj. Ja miałabym to zjeść?



Mufinki, myślę, obserwując nas obie. mają złą sławę ze względu na wysoką zawartość tłuszczu i kalorii Najlepiej ich unikać.

Josie przewraca oczami i wciska mi ciastko do ręki.

- Oczywiście, że nie. To dla Richiego.

- Och. - Wpatruję się w mufinkę. - Dobrze. Dzięki.

W drodze do drzwi oglądam się przez ramię i widzę, że Josie jest nadal w kuchni.

Siedzi rozwalona na krześle i wyjada łyżką masło orzechowe prosto ze słoika.

- Chłopcy nie podrywają dziewczyn z wielkimi tyłkami! - wołam. Pamiętam, że ciągle jej to powtarzałam.

- Wypchaj się, Barbie! - odkrzykuje.

Muszę wiedzieć, że rodziców Richiego nie ma w domu, chociaż jest weekend, ponieważ nawet nie pukam do drzwi. On jeszcze śpi. Patrzą na niego przez chwilę, kiedy leży tak spokojnie, z potarganymi włosami, twarzą lśniącą od potu, dłońmi złożonymi razem jak do modlitwy między policzkiem a poduszką. Tak bardzo go kocham, że nawet jako duchowi czasami sprawia mi to ból. Patrząc na siebie przyglądającą się Richie- mu, pragnę się wsunąć obok niego pod kołdrę, otoczyć ramionami jego śpiące ciało i pozostać tak przez setki lat, dopóki wszystko, co nas otacza, nie zamieni się w odległe wspomnienie.

Moje żyjące ja zsuwa buty i na palcach podchodzi do łóżka. Odgarniam Richiemu włosy z czoła, a on, czując mój dotyk, trzepocze powiekami.

- Cześć, piękna - Ziewa. - Już rano?

- Uhm. Musimy iść.

Wstaje, podnosi z podłogi pogniecione džinsy i je wkłada, Podkoszulek, bluza, szybkie przeczesanie włosów palcami i jest gotowy.

- Co to? - pyta, wskazując głową na muffinkę, którą wciąż trzymam w ręku.

- Och, prawda. - Rzucam mu ciastko, które Richie łapie jedną ręką. - Dla ciebie.

Śniadanie.

Uśmiecha się do mnie szeroko.

411

- Jesteś taka troskliwa. Tak o mnie dbasz. - Kładzie muffinkę na nocnym stoliku. -

Na razie nie jestem głodny, zjem ją później. Idziemy?

Marszczę nos.

- Nie umyjesz nawet zębów?

Wzrusza ramionami.

- Masz gumę?

- Jesteśmy fatalnie dobrani, wiesz o tym? - Ale przeszukuję torebkę i podaję mu

listek miętowej gumy.

- W takim razie powinnaś mnie rzucić - mówi, żując. - I zacząć chodzić z zawod-

nikiem polo. - Wypuszcza balon. - Świetnie byś się z takim gościem bawiła. Mogli-

byście chodzić razem na zakupy, robić sobie maseczki, Oanikiur...

- Mam wystarczająco dużo przyjaciółek. Poza tym braki w higienie osobistej nad-

rabiasz urodą. - Całuję go w czubek błyszczącego osa. - Kocham cię.

Richie wzdycha.

- Wiem. Nie można mi się oprzeć. To przekleństwo i błogosławieństwo.

Nagle zatrzymuję się w drodze do drzwi.

- Poczekaj chwilę. Dezodorant?

- Pomyślałem, że pozwolę ci w pełni rozkoszować się urokiem moich naturalnych

feromonów.

Marszczę brwi.

- Richie. Proszę. Dla mnie?

Śmieje się.

- Poczekaj, aż zobaczysz faceta, który ma naprawić twój samochód. Wtedy będziesz mogła wygłosić mi prelekcję o higienie osobistej.

Jadę do warsztatu za samochodem Richiego. Na obrzeżach Groton, w części miasta, w której w normalnych okolicznościach przenigdy moja noga by nie postąpiła, jest warsztat zwany „Fender Bender”. Na początku wydaje się pusty, to tylko tandetny budynek z kilkoma parami garażowych drzwi. W środku na trzech z czterech ścian wiszą narzędzia, jaskrawe fluorescencyjne światło pali się pod sufitem. Z radia w kącie dobiega głośny sygnał wiadomości. Całe pomieszczenie śmierdzi dymem, w popielniczce obok radioodbiornika leży zapalony papieros. Do słupa na środku przywiązany jest gruby śliniący się pies, który zdecydowanie wymaga kąpieli. Nie ma tu żadnych ludzi, o samochodach nie wspominając.

Moje obcasy stukają na cementowej podłodze, wywołując głuche echo.

- Richie - odzywam się wyraźnie zdenerwowana - Gdzieś ty mnie, u diabła, przyprowadził? Tu jest jak w piekle.

- To rodzinny interes, ale dzięki, kotku. Doceniam twój komplement.

Odwracam się do wysokiego grubawego mężczyzny w ogrodniczkach i roboczych butach. Ma brudne ręce o czarnych paznokciach. Podsunięte na czubek ciemnych, bardzo tłustych włosów okulary ochronne, za prawym uchem zatknięty papieros. Drugiego, zapalonego, facet trzyma w ustach i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, dla kogo jest ten trzeci, który żarzy się w popielniczce. Na spodniach mężczyzny wyszyto imię: VINCE.

Stojąc obok Richiego, żywa, nie potrafię ukryć obrzydzenia. I nie mam o to do

siebie pretensji - Vince to nie człowiek, to osobnik. Przysuwam się do Richiego, obejmuję go mocno w pasie i szczypię w bok. Krzywi się, musiałam go mocno uszczypnąć, żeby wiedział, że nie jestem zadowolona.

Staję na palcach i przyciskam usta do ucha Richiego.

- Chcę stąd wyjść - szepczę. Nie obchodzi mnie, że Vince widzi dokładnie, co robię, i zapewne także mnie słyszy.

- Liz, chcesz mieć naprawiony samochód czy nie? - odszeptuje Richie. - Uspokój się. Wyluzuj.

- O co chodzi, złotko? - Mówiąc to, Vince nadal trzyma papierosa w ustach i wydycha dym przez nos. - Nie bywasz w tej dzielnicy?

Pies nagle wstaje i zaczyna głośno szczekać. Biegnie do nas, ale powstrzymuje go łańcuch. Staje na tylnych łapach, gęsta ślina kapie z czarnych dziąseł. Patrzę na tę scenę i zbiera mi się na wymioty, że ma przy mnie Aleksa. Jego obecność dodałaby mi albo przynajmniej odwróciła moją uwagę.

- To tylko Rocky - mówi Vince, szczerząc zęby w uśmiechu na widok mojego wy-

413

rażnego obrzydzenia

- Dobry pies. co. Rocky? - A Richiego pyta: - To naprawdę jest twoja dziewczyna?

Richie wbija ręce w kieszenie.

- Tak, to naprawdę jest moja dziewczyna. - Uśmiecha się przepraszająco. Patrzę na swoją minę i zdaję sobie sprawę z tego, o czym wtedy myślałam: zawsze wiedziałam, że robiąc interesy, Richie zadaje się z niewłaściwymi ludźmi, ale nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś takiego. Prawdopodobnie zaraz po powrocie do domu pobiegnę pod

prysznic, żeby zmyć z siebie smród tego miejsca.

- No dobrze, obejrzymy ten samochód. Trzeba go szybko naprawić, tak?

- Właściwie to na wczoraj - uściślam. - Dostałam ten wóz na urodziny i uderzyłam w parkomat. Zrobiłam tylko małe wgniecenie na zderzaku, więc nie powinno być trudno go wyklepać.

- Ha. - Vince patrzy na mnie zmrużonymi oczami.

- O co chodzi? Nie chcesz, żeby tatuś zobaczył zniszczony samochód? Boisz się, że zabierze ci platynową kartę na weekend?

Patrzę na niego nieprzyjaźnie.

- Chodzę do liceum. Potrzebuję środka transportu.

Vince powoli oblizuje usta, po czym uśmiecha się lubieżnie.

- A nie możesz po prostu polecieć na miotle?

Zostawiamy mój samochód u Vince'a, który obiecał naprawę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wsiadamy z Richiem do jego auta. On siedzi przez chwilę w ciszy, z zamkniętymi oczami. Słucha „Scarborough Fair” Simone'a i Garfunkla, jego ulubionego zespołu. Ta płyta pochodzi ze składanki, którą zrobiłam dla niego kilka miesięcy temu. Takie małe szczegóły, które pojawiają się znikąd w mojej głowie, wywołują we mnie bezbrzeżny smutek. Gdybym tylko wiedziała, jak mało czasu zostało nam razem, wszystko byłoby inaczej, jestem tego pewna. Mocniej ścisnęłabym go za rękę. Uważniej słuchałabym słów piosenki, próbując wychwycić ich sens. Po tym nagraniu będzie piosenka „Nobody Does it Better” w wykonaniu Radiohead. Każde słowo jest napisane o nas, teraz to rozumiem. Ale wtedy byłam zbyt zaabsorbowana - i to czym? Samochodem? Moje zmartwienia wydają się tak absurdalnie nieistotne.

- O co chodzi? - pytam, szukając w torebce buteleczki z mydłem w żelu do rąk. -

Czemu milczysz?

- Liz. - Richie wpatruje się w parking przed warszatem, gdzie Vince leniwie krąży wokół mojego samochodu i studiuje uważnie drobne wgniecenie. - Nie musiałaś okazywać takiej pogardy. Zachowałaś się jak rozkapryszona suka.

- Nie nazywaj mnie suką. Nie powiedziałaś mi, że jedziemy do takiej nory. - Chcę podać mu mydło. Kiedy odmawia, sama wyciskam trochę lepkiej substancji na jego dłoń. - Teraz potrzyj ręce - rozkazuję. - Richie, nie mogę uwierzyć, że naprawdę robisz interesy z tym facetem. To śmieć.

- To dlaczego po prostu nie powiedziałaś tacie o samochodzie? Wściekłyby się, no i co z tego? Co w najgorszym razie mogłoby cię spotkać? Dostałabyś szlaban na kilka tygodni. Po prostu uderzyłaś w parkomat. To nic wielkiego.

Zauważam, że moje dłonie lekko drżą.

- Nie chcę mówić o tym ojcu. Wiesz, że wydał na ten samochód mnóstwo pieniędzy. Upierałby się, żebyśmy zgłosili szkodę. Tak będzie dużo mniej zawracania głowy, uwierz mi.

Richie wzrusza ramionami.

- Jak chcesz. Ja tylko mówię, że mogłaś być dla niego miłsza. On ci oddaje wielką przysługę, a ty traktujesz go jak brudnego robaka.

- Bo jest brudny!

- To ludzka istota, Liz.

Krzyżuję ramiona na piersi.

- Zawieź mnie do domu.

Wracamy do Noank w milczeniu, ale kiedy wjeżdżamy na naszą ulicę, Richie

skręca na podjazd, gasi silnik i dotyka mojego policzka.

Miałaś rację - mówi. - Jesteśmy fatalnie niedobrani.

Marszczę brwi, ale w moich oczach tańczą wesołe ogniki.

- I co w tej sytuacji zamierzasz zrobić? Zerwiesz ze mną? Ja zacznę się umawiać

415

z graczem polo, a ty - nie wiem. Z kim byś się umówił?

Uśmiecha się.

- Z nikim. Gdybym nie mógł mieć ciebie, nie chciałbym żadnej innej dziewczyny.

Biorę go za rękę.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Całuje mnie w czoło. - Pamiętasz? psujemy do siebie.

- Tak. - Przytulam policzek do jego policzka. - Pasujemy - szepczę z ustami tuż przy jego uchu.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu, ciesząc się dotykiem skóry o skórę, aż w końcu odsuwam się i pytam:

- Jesteś pewien? Mimo że okazuję pogardę, mimo że jestem rozkapryszoną suką?

Richie nie odpowiada. Zamiast tego pyta:

- Jakim cudem uderzyłaś w parkomat? Zwykle jesteś całkiem niezłym kierowcą.

- Nie zauważyłam go. Zagadałam się z Josie. - Kciukiem i palcem wskazującym wyjmuję gumę z ust i wbijam w nią wzrok. - Zupełnie jakby pojawił się znikąd.

Powrót ze wspomnień zawsze mnie trochę męczy, ale tym razem czuję się bardziej wyczerpana niż zwykle. Szybko opowiadam Aleksowi, co widziałam.

- Powinnam była po prostu zabrać cię ze sobą. Nie musiałabym ci teraz wszystkiego tłumaczyć.

Wzrusza ramionami.

- W porządku. To twoje wspomnienie.

- Następnym razem wezmę cię ze sobą - deklaruje. Czuję się podekscytowana tym, co zobaczyłam. Coraz więcej kawałków układanki trafia na swoje miejsce, a każda nowa informacja, którą zdobywam, wydaje się bardzo znacząca. Nareszcie wiem, jak poznałam Vince'a. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, jakim cudem zaszantażował mnie tak, że wylądowałam w jego łóżku.

- Musiałaś odzyskać samochód na czas - podpowiada Alex. - No bo nie miałaś żadnych kłopotów, prawda?

- Żadnych nie pamiętam.

- A może spróbujesz...

- Nie zamierzam próbować sobie przypominać nic więcej. Nie teraz. Jestem wykończona. - Milknę. - Myślisz, że to wspomnienie było bardziej męczące, bo ma większe znaczenie niż inne? - Ta myśl mnie ożywia. - Jestem coraz bliżej, Alex. Wszystkiego się dowiem.

Kiwa głową.

Tak. Myślę, że jesteś coraz bliżej.

- I co potem? - Mrugam. - Co się stanie, kiedy już będę wiedziała wszystko?

Alex zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Może pójdziemy gdzie indziej.

- Hm. Okej. - Oboje wiemy, że nie chcę zadać najbardziej oczywistego pytania: dokąd mielibyśmy pójść?

- Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz od razu jeszcze czegoś sobie przypomnieć - mówi Alex, zmieniając temat. - Nie jesteś ciekawa? Nie chcesz wiedzieć, jak przesłaś



od nienawiści do Vince'a do... no cóż, do zdjęć?

Idziemy przez miasto, powoli, żeby zminimalizować potworny ból moich stóp, bez żadnego konkretnego kierunku.

- Oczywiście, że chcę. Po prostu muszę chwilę odpocząć, to wszystko. - Nagle coś przychodzi mi do głowy- Wiem, że nie chcesz mi pokazywać swoich wspomnień. ale czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy dowiedziałeś się czegoś ważnego? -

Akurat kiedy mówię te słowa, podnoszę wzrok na zdjęcie Aleksa wijące na słupie telefonicznym. Przez ponad rok było nimi oklejone całe miasto. To zdjęcie z drugiej klasy, powiększone i wydrukowane w kolorze. Pod spodem widnieje napis:

„ZABITY PRZEZ SAMOCHÓD, KIEROWCA ZBIEGŁ. 10 000 DOLARÓW NAGRODY ZA INFORMACJE, KTÓRE DOPROWADZĄ DO ARESZTOWANIA SPRAWCY WYPADKU”.

Na tym plakacie ktoś - na pewno jakiś tępak z naszej szkoły - dorysował Aleksowi długopisem skrzydła i nie wiadomo dlaczego zamalował mu oczy. To okrutne, ale jeszcze gorszy wydaje się fakt, że nikt nie wymienił tego plakatu na nowy.

417

- Wiesz, co powinni zrobić twoi rodzice? - Naprawdę chcę mu pomóc. - Wynająć billboard. Może przy autostradzie. Ktoś musiał coś widzieć tamtej nocy, nie sądzisz?

- Minął ponad rok, Liz. Już nikogo nie złapią. Nawet jeśli ktoś coś wie, w tym mieście dziesięć tysięcy to nie jest dużo pieniędzy.

W tak razie powinni zaproponować więcej.

- Oni nie mają więcej. W ich domu nie znajdziesz antyków, które mogliby wyprzedawać. - Mówi coraz szybciej, jest wyraźnie zdenerwowany. - Caroline zachowywała się jak zepsuty bachor. Jej tatuś stracił posiadłość na Wall Street. I co z tego? Są

gorsze rzeczy.

Zaciskam wargi.

- Alex, nie wiesz, jakie ona ma życie.

- Nie wiesz, jakie ja miałem życie.

- I dobrze. Bardzo się z tego cieszę. Za żadne skarby nie zamieniłabym się z tobą miejscami. - Nie wiem dlaczego reaguję w ten sposób, agresywny ton Aleksa sprawia, że zaczynam się bronić.

Jesteśmy niedaleko naszego domu i przystani.

- To cię może zaskoczyć, Liz, ale ja również nie zamieniłbym się z tobą miejscami. Co prawda, miło by było być bogatym i mieć tylu przyjaciół... ale nie chciałbym. Może i miałaś wszystko, co można kupić za pieniądze, ale byłaś bardzo nieszczęśliwa. I wszystkie te pieniądze nie kupiły ci ani jednej sekundy życia dłużej, prawda?

Posyłam mu wściekłe spojrzenie. To zadziwiające, jak szybko potrafię przejść od lubienia go do pragnienia, żeby znaleźć się gdziekolwiek, byle jak najdalej od niego. Wiem, jest zły, bo zaproponowałam, żeby jego rodzice wyznaczili wyższą nagrodę, myślałam, że to nie będzie dla nich problem, podczas gdy zapewne już kwota dziesięciu tysięcy jest granicą ich możliwości. Wykazałam się brakiem wrażliwości, wiem, ale i tak, moim zdaniem, on przesadza. Po prostu się pomyliłam.

Alex waha się przez chwilę.

- Słuchaj... przepraszam. Tak dobrze się dogadywaliśmy.

- Ja też przepraszam. - Wiem, że miał rację co do moich przyjaciół, przynajmniej co do niektórych. - Ale nie powinieneś być mówić tego o Caroline. Ona jest dobrym człowiekiem. Sam to wiesz.

- W porządku. Masz rację. - Widzę, że stara się mówić lekim tonem. - Hej, zo-

bacz, kto to.

Mój ojciec siedzi samotnie na pokładzie „Elizabeth”. Jest środek popołudnia. W naszym mieście mieszka mnóstwo ludzi tak bogatych, że nie muszą pracować, i wielu z nich jest na dworze, relaksują się na łodziach, ze wszystkimi siłami udając, że nie widzą mojego ojca wpatzonego w wodę. z otwartą puszką piwa w dłoni i cygarem w ustach. Jednak mój tata powinien być w pracy, za mojego życia zawsze tam był. Pewnie wykorzystał już prawie cały swój urlop, ale w sumie w najbliższym czasie nie wybiera się na długą wycieczkę do Disney Worldu.

Nicole wychodzi z naszego domu tylnymi drzwiami. Jest ubrana w białą, powiewną spódnicę do kostek, żółtą bluzkę bez pleców odsłaniającą też brzuch - tylko ociupinkę zwiotczały - i cienką marynarkę. Długie włosy związała w niedbały kucyk, który sięga pleców. Przy każdym kroku pobrzękuje turkusowa biżuteria na jej przegubach, kostkach i szyi. Kiedy idzie nieśpiesznie w stronę przystani, jest uosobieniem spokoju. Mój Boże. myślę, co też sąsiedzi muszą mówić o mojej rodzinie.

Wchodzi na łódź, siada obok mojego ojca i opiera mu głowę na ramieniu. Przez długi czas siedzą razem bez słowa, łódź kołysze się delikatnie na falach, a mój tata nadal wpatruje się w wodę, jakby w ogóle nie zauważył przyścia Nicole.

- Marshall - zaczyna - to nie jest życie. Nie możesz 'u siedzieć tak dzień po dniu. - Głaszcze jego zarośnięty policzek wierzchem dłoni. - Kiedy ostatni raz się goliłeś? Kiedy brałeś prysznic? Co rano budzę się sama.

Tęsknię za tobą. - Waha się. - Bez względu na to, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy, nie przywrócisz jej życia. Kochałeś ją i wiem, że masz złamane serce, wszyscy mamy. Ale jesteśmy rodziną i powinniśmy przejść przez to razem. Ja potrzebuję męża, a Josie ojca.

On na nią nie patrzy. Kiedy się odzywa, jego głos jest niewiele głośniejszy od

szeptu:

- Mogliśmy temu zapobiec. Wszyscy tak mówią. Gdybym znalazł dla Liz jakąś pomoc, zanim tak bardzo osłabła, albo gdybyśmy nie pozwolili jej urządzić imprezy na łodzi...

- Próbowałeś, Marshall. Odmówiła. Była taka uparta. Co miałeś zrobić? Pozostało

419  
tylko zamknięcie Liz w szpitalu wbrew jej woli.

- Właśnie to powinienem był zrobić, Nicole. Powinienem był umieścić Liz w szpitalu. Ale tego nie zrobiłem. Zawiodłem ją. Nie poświęcałem jej wystarczająco dużo czasu. Gdybym nie siedział ciągle w pracy, zauważyłbym, że dzieje się coś naprawdę złego. Gdybym zmusił ją do wizyty u terapeuty, może gdybym sam ją tam zawiózł...

- Gdyby, gdyby, gdyby... Marshall, nie ma już żadnego gdyby. Tylko to, co jest.

Myślisz, że nie wiem, co ludzie o nas mówią? Myślisz, że nie żałuję każdego dnia, że nie zrobiliśmy więcej, żeby pomóc Liz? Ale nie mogliśmy przewidzieć przyszłości.

Spędzała czas z przyjaciółmi. Chciała urządzić przyjęcie urodzinowe na łodzi. To dobre dzieciaki. Znamy je od urodzenia. Jak mogliśmy choćby przypuszczać, że coś takiego może się stać?

- Nie powinniśmy byli pozwolić Josie na pójście na bal. To wygląda fatalnie. Na li-  
tość boską, on jest ... był chłopakiem Liz. - Wypija duży

łyk piwa. - wiesz, jestem zaskoczony, że Wilsonowie pozwalają mu choćby zbli-  
żyć się do Josie. Boże, oni nas nienawidzą.

- On i Josie wspierają się nawzajem. Oboje stracili najbliższą przyjaciółkę. - Deli-  
katnie wyjmuję mu piwo z dłoni i odstawia na bok. - Ty i ja dobrze wiemy, jak (odzia-

ła. Kiedy straciłeś Lisę...

- Kiedy straciłem Lisę. a potem ożeniłem się z tobą, każdy w tym mieście uznał, że mieliśmy romans przed jej śmiercią. A Josie mówi, że spotykali się z Richiem, jeszcze kiedy Liz żyła. Nie widzisz, jakie to wszystko chore? Potrafisz sobie wyobrazić, co ludzie gadają?

Boli mnie świadomość, jak bardzo mój ojciec ma rację. Wszyscy o tym mówią.

Wszyscy mówią o naszej rodzinie od lat.

Nicole tylko wzrusza ramionami.

- To małe miasteczko. Ludzie zawsze będą plotkować. Chcesz się przeprowadzić?

Zabrać Josie ze szkoły w środku ostatniej klasy i wyprowadzić się dokądś, gdzie nikt nie będzie o nas nic wiedział? Nie możemy jej tego zrobić. Już i tak dosyć przeszła.

Tata sięga za Nicole i bierze swoje piwo. Osuwa się na fotelu.

- Myślałaś kiedykolwiek, że rzeczywiście ktoś coś zrobił Liz tamtej nocy? Ta cała sprawa z Richiem... a teraz z nim i z Josie?

- Znamy Richiego niemal od urodzenia. On nie skrzywdził Liz - stwierdza Nicole stanowczo. - Jeśli zaczniesz w to wierzyć, to jesteś taki sam jak wszyscy w tym mieście.

- Może mają rację.

- Nie mają racji. - Nicole waha się. W zamyśleniu gładzi największy turkus w naszymykniku. - Marshall, wiem że nie chcesz tego słuchać, ale chodziłam do kościoła spirytualistycznego częściej, niż myślisz. Są tam ludzie, którzy łączą się z drugą stroną.

Rozmawiałam z nimi na temat Liz.

- Masz rację. Nie chcę tego słuchać.

- A mógłbyś to zrobić? Dla mnie? - Nicole uśmiecha się. - Ona znalazła spokój,

Marshall. Teraz jest w lepszym miejscu. Chcę, żebyś zamiast siedzieć tutaj dzień po dniu, przypominając sobie córkę w wodzie, spróbował, tylko spróbował, wyobrazić ją sobie w jakimś spokojnym miejscu, gdzie nie ma ciemności ani smutku. Gdzie już nie biega całymi godzinami, nie robi wszystkiego, co w jej mocy, żeby nie przytyć. Wyobraź sobie, że jest ze swoją matką, że są razem i być może nawet w tej chwili patrzą na nas z góry. Jestem pewna, że chciałyby, abyś był szczęśliwy. Naprawdę w to wierzę.

Parskam.

- To niemożliwe, żeby ona naprawdę kupiła to gówno - mówię do Aleksa.

On się śmieje.

- A skąd miałyby wiedzieć, jak jest naprawdę?

- Wiem, ale to wszystko jest takie... fałszywe. Moja mama i ja razem w niebie. Nicole nie mogłaby bardziej minąć się z prawdą.

Alex przytakuje.

- Nie masz nadziei, że kiedyś będzie miała rację?

Nie odpowiadam. Oczywiście, myślałam o tym, ale na razie to wydaje się tak nieprawdopodobne, że nie zamierzam nawet o tym marzyć.

Oczy mojego ojca są szkliste i wilgotne. Wrzuca cygaro do wody.

Ledwo skończyła osiemnaście lat. Była tylko dzieckiem. Naszym zadaniem było

421

ją chronić i zawiedliśmy, ja zawiodłem. Tak samo jak zawiodłem Lisę. Przysięgałem, że będę przy niej w zdrowiu i w chorobie, a kiedy zachorowała, pozwoliłem jej umrzeć.

- Jak mogłeś Lisie pomóc? Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Woziliś ją po leka-

rzach, próbowałaś ją zmusić, żeby ją. Kochałaś ją. Zostałaś z nią.

On posyła Nicole surowe spojrzenie.

- Ty i ja spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu, kiedy ona umierała.

Nicole zaciska wargi. Czekam niecierpliwie, czy powie coś, co potwierdzi, że mieli z tatą romans przed śmiercią mojej mamy. Ale ona mówi tylko:

- Marshall, ja też kochałam Lisę. - Wstaje. - Wszechświat rządzi się własnymi prawami. Nie wiedziałeś, że pojawię się w twoim życiu po tylu latach. Zostaliśmy przyjaciółmi. To, co stało się potem, było naturalne. Nie wiesz, że gdybym mogła cofnąć czas i wszystko zmienić, wolałabym, żeby Lisa żyła, zdrowa, nawet gdyby to oznaczało, że my nigdy nie moglibyśmy być razem?

Mój ojciec nie odpowiada. Wyciera oczy dłonią. Wypija ostatni łyk piwa, przechyla puszkę tak długo, aż nie zostaje w niej ani kropla.

- Pierdolić wszechświat - mówi, wstając. Idzie do środka, pewnie po kolejne piwo.

- I nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej o tym kościele, zrozumiałaś? Ani jednego cholernego słowa.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Bal na rozpoczęcie szkoły odbywa się w pierwszy weekend października. Zgodnie z etykietą, nie zważając na okoliczności łagodzące, moi przyjaciele zrzucili się na limuzynę, jadą nią Mera i Topher, oczywiście. Czerwona suknia Mery jest idealnie w tym samym odcieniu, co koszula Tophera, a kolczyki identyczne z jego spinkami do mankietów. Caroline znalazła sobie towarzysza w postaci obleśnego, ale w miarę popularnego Chada Shubucka - tego samego, który wślawił się pierdnięciem podczas minuty ciszy dla upamiętnienia Aleksa. Są jeszcze Richie i Josie. Limuzyna przyjeżdża po nich na końcu. W moim ogrodzie nie ma przyjęcia jak w poprzednich latach,

żadni rodzice nie robią zdjęcia rozchichotanym nastolatkom, matki nie dokonują ostatnich poprawek przy butonierkach i ramiączkach sukien. Zamiast tego Josie i Richie wychodzą każde ze swojego domu i biegną do otwartych drzwi limuzyny, przy których czeka kierowca.

Richie wsiada, a jego rodzice obserwują go zza drzwi. Odkąd aresztowano ich syna, spędzają dużo więcej czasu w domu, co na pewno wyjdzie całej rodzinie na dobre.

- Państwo Wilson coś mówią - zauważa Alex, kiedy czekamy, aż wszyscy usadowią się w limuzynie. - posłuchamy?

Mrugam powiekami i natychmiast znajduję się obok matki Richiego.

- Przysięgam na grób Lisy Valchar, niech spoczywa w pokoju, po dzisiejszym

423

wieczorze nigdy więcej nie chcę widzieć mojego syna w pobliżu Josie - mówi mama Richiego do męża.

- On ją lubi - odpowiada jego tata. - Doktor Andrews powiedział, że to ważne, aby utrzymywał przyjaźnie.

Doktor Andrews to psychoterapeuta Richiego. Ten sam, który regularnie kupuje od niego trawę. Ciekawe, czy teraz, kiedy Richie jest pod dozorem kuratorskim i zapewne nie handluje narkotykami - dobry doktor podniesie stawkę za godzinę.

- Nie obchodzi mnie, czy on ją lubi. - Pani Wilson wzdyga się. - Może będziemy mieli szczęście i Valcharowie wkrótce się wyprowadzą. Nie wiem jak, u diabła, mogą mieszkać w tym domu po wszystkim, co się stało. To miejsce musi się aż roić od złych duchów. Nie mogę uwierzyć, że ci ludzie mają czelność choćby pokazywać się w mieście.

- W porządku. Rozumiem. Wystarczy. - Tata Richiego milknie na chwilę. - Co



chcesz na kolację? Sushi?

Z tyłu limuzyny moi przyjaciele podają sobie butelkę brzoskwiniowej wódki, którą Chad wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Hej, Richie - mówi Chad, pociągając solidny łyk jbutelki. i cały się wzdryga, kiedy alkohol pali go w przędli - masz przy sobie jakąś trawkę?

- Jestem pod nadzorem. - Richie kręci głową. - Skończyłem z tym. - Uśmiecha się gorzko. - Jestem czysty jak łza.

- Daj spokój. - Chad marszczy brwi. - Nic nie masz? Nawet jointa?

Richie jest zawsze miły, niełatwo go zdenerwować, i zwykle ma wysoką tolerancję na imbecyli z naszej szkoły. ale wiem, że nie cierpi Chada.

- Nic znaczy nic - mówi wyraźnie, jakby Chad był idiotą - którym w gruncie rzeczy jest. - Nie mam nawet aspiryny. - Jednak kiedy dociera do niego butelka wódki, pije po króciutkiej chwili wahania.

Moje przyjaciółki wyglądają cudownie. Josie jest ubrana w różową suknię bez ramiączek, a na głowie ma misterny kok, którego upięcie zajęło fryzjerkom trzy godziny. Ona i Richie siedzą obok siebie, ale nie trzymają się za ręce ani w żaden inny sposób nie okazują łączącego ich uczucia. Jestem pewna, że mój chłopak czuje się zażenowany, że idzie na bal z moją przyszywaną siostrą, ale - jak wszyscy powtarzają - najwidoczniej znajduje u niej wsparcie.

Mera, jak zawsze, wygląda zniewalająco, prezentując swoje miseczki D w całej okazałości w wydekoltowanej sukni bez pleców. Opiera głowę na ramieniu Tophera, odruchowo splatają palce. Pamiętam, jakie to uczucie być z kimś w ten sposób, być z Richiem. To było takie łatwe, dawało takie poczucie bezpieczeństwa, mieć partnera na dobre i na złe.

Caroline jest ubrana w czarno-srebrną koktajlo wą sukienkę z jednym ramiączkiem, która wygląda na drogą.

- Gdzie ją kupiłaś? - pyta Josie, mnąc materiał palcami - To jedwab. - W jej oczach widać zachwyt. - Ładna

- W butik - odpowiada Caroline wymijająco.

Josie unosi idealnie wyregulowaną brew.

- Jak się ma twój tata? Znalazł już nową pracę? Ta sukienka na pewno nie była tania.

- Mój tata ma się świetnie. - Caroline odpycha rękę Josie. - A sukienka kosztowała czterysta dolarów.

Alex, rozwalony jak król na ostatnim siedzeniu limuzyny, wygląda absolutnie nie na miejscu w brudnej koszulce z logo Mystic Market i dżinsach.

- Czterysta dolarów - mówi. - Ciekawe, skąd miała tyle pieniędzy?

Patrzę na sukienkę, na niewyraźną minę Caroline i jej bardzo chwiejną pewność siebie. Może i zamierzała przeznaczyć pieniądze, które mi ukradła, na pomoc rodzinie, ale nie byłabym zaskoczona, gdyby je zatrzymała i kupiła nową sukienkę. Co innego miałyby zrobić? Przecież nie mogła kupić sukni w centrum handlowym. Moje przyjaciółki nie kupują eleganckich sukien w sieciówkach.

Zawsze uwielbiałam szkolne potańcówki. Lubiłam w nich wszystko: ciągnące się tygodniami poszukiwania idealnej sukni, przygotowania, które trwały cały dzień, od fryzury po makijaż, pozowanie z Richiem do zdjęć na kiczowatym tle, podczas gdy fotograf powtarzał nam, jak piękną stanowimy parę - to wszystko było jak magia.

Dziś wieczorem salę gimnastyczną zalała powódź brokatu, balonów i krepiny. Pod sufitem obraca się powoli ogromna kula dyskotekowa, rzucając cienie na gęsty tłum

uczniów. Z boku stoi długi stół z ciastkami, małymi kanapkami i ponczem. Nigdzie

425

nie widać śladu śmierci czy smutku. Panuje radosna atmosfera. To normalne w liceum, dokładnie tak powinno być. Ł Zanim moi przyjaciele wysiedli z limuzyny, zdążyli wypić całą butelkę wódki, więc wszyscy są mocno chmieleni.

- Chcę tańczyć. - Mera ciągnie Tophera za rękaw. - Chodź.

- Hej, Richie - zagaja Chad. Obejmuje ramieniem Caroline, która wydaje się czuć nieswojo, mimo że tak ślicznie wygląda. - Nie lubię tańczyć. A ty?

- Co? - Richie wydaje się prawie nie zauważać, że Josie stoi obok niego i trzyma go za rękę, tylko uważnie obserwuje tłum w poszukiwaniu... czego? Nie mam pojęcia.

- Powiedziałem, że nie lubię tańczyć. Moim zdaniem, taniec jest dobry dla pedałów. - Trąca łokciem Caroline.

- Ten facet podobno jest dilerem, a nie ma nawet trawki. Wierzysz w to?

Caroline patrzy na zatłoczony parkiet. Kiedy byłyśmy małe, chodziłyśmy na wszystkie możliwe zajęcia taneczne: balet, step, taniec jazzowy, gimnastykę. Jest cheerleaderką, "a litość boską, oczywiście, że chce tańczyć.

- Mój ulubiony wujek jest homoseksualistą – mówi - i też nie lubi tańczyć. - Spogląda na Chada. - Nie lubię tego słowa. Pedał. Nie używaj go, dobrze?

Chad patrzy na nią tępo.

- O czym ty gadasz? Naprawdę chcesz, żebym z tobą zatańczył? Żebym tam wyszedł i podrygiwał? - Wzrusza ramionami. - W porządku. Jeśli to konieczne, żebyś wreszcie się wyluzowała.

Richie i Josie zostają sami, stoją blisko trybun, Richie wciąż rozgląda się dookoła.

- Co się dzieje? - Josie daje mu kuksańca. Wygląda, jakby chciała się wokół niego

owinąć, żeby wszyscy wiedzieli, że teraz jest z nią.

Richie wie, czego ona chce. Spuszcza wzrok na ich splecione palce, znowu rozgląda się po pomieszczeniu i pyta:

- Myślisz, że ludzie o nas mówią?

- Co masz na myśli? Dlatego że przyszliśmy razem?

- Tak.

- Może. - Przysuwa się do niego jeszcze bliżej, aż ich biodra prawie się stykają.

Staje na palcach i szepcze mu do ucha: - Niech sobie mówią, Richie. Dobrze nam razem. Przy tobie czuję się szczęśliwa. - Odsuwa się odrobinę i patrzy na niego ze zmarszczonym czołem.

- A czy ty czujesz się szczęśliwy przy mnie?

- Tak. - Jednak w jego głosie nie ma przekonania. Wzdycha ciężko i wbija wzrok w sufit. - Nie powinienem był pić. Mogę mieć poważne kłopoty.

- Wyluzuj. - Josie wybucha śmiechem. - Od kiedy to się martwisz, że wpadniesz w kłopoty? Tylko trzymaj się mnie. Nikt się nie zorientuje. Chodźmy zatańczyć. Kręci głową.

- Nie ma mowy. Nie lubię tańczyć. I nie umiem.

- Och, daj spokój. Musisz się rozluźnić. Trochę się ubawić dla odmiany. - Josie milknie na chwilę. - Liz chciałaby, żebyś się dobrze bawił. Chciałaby, żebyś był szczęśliwy. Richie.

Zaczyna mnie naprawdę wkurzać to, że każdy mówi o tym, czego ja bym chciała.

Skąd oni wiedzą? Josie się myli. Chcę, żeby Richie był szczęśliwy, ale nie z nią. W tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, nie mogę znieść widoku ich razem.

Ale właściwie dlaczego nie mieliby być szczęśliwi? Josie jest moją siostrą. Ko-

cham ją. Dlaczego tak bardzo mi przeszkadza, że im na sobie zależy?

- Nawet z Liz nigdy nie tańczyłem. - Milknie na chwilę. -No, czasami. Tylko wolne kawałki.

- To prawda? - Odkąd tu weszliśmy, Alex trzyma się z tyłu. Wydaje się wręcz sparaliżowany w takim tłumie, choć przecież nikt go nie widzi.

Uśmiecham się.

- Tak, to prawda. Nigdy nie chciał tańczyć szybkich kawałków. W życiu by się do tego nie przyznał, że ja zawsze wiedziałam, że czuł się zbyt skrępowany. - Zamykam oczy. - Ale wolne tak. Był fantastycznym "nancerzem. - Niemal czuję jego dłonie na swojej talii, l<sup>1</sup>miętam, jakie to uczucie opierać brodę na jego rajeniu. Byliśmy razem na tyłu potańcówkach, licząc naszego pierwszego balu na rozpoczęcie siódmej klasy: bale na początek roku, karnawałowe, powitany wiosny, bale Sadie Hawkins\*8 i na koniec roku. Zawsze Richie i ja.

Teraz jest tutaj z moją przyszywaną siostrą, która ciągnie go na parkiet.

427

- Chodź! Uwielbiam tę piosenkę!

- Idź i zatańcz z Caroline. Wygląda, jakby potrzebowała przyjaciółki. - To prawda.

Chad jest niczym ośmiornica, obłapia Caroline na środku parkietu, dłonie trzyma dużo poniżej jej talii i przyciska się do niej biodrami. Caroline wygląda na zawstydzoną i lekko pijaną; usiłuje jednocześnie chwycić równowagę i powstrzymać Chada przed wepchnięciem jej języka do gardła.

8 \* Bale Sadie Hawkins - mniej oficjalne imprezy, sponsorowane przez szkołę, na które uczennice zapraszają

uczniów (w odróżnieniu od innych, na które to chłopcy zapraszają dziewczęta)

- No dobrze. - Josie wydyma wargi. - Ale wrócę po ciebie.

Richie podchodzi sam do stołu z przekąskami, nakłada sobie pełen talerz ciastek, nalewa duży kubek ponczu i siada na trybunach.

Alex i ja przysiadamy kilka metrów dalej i przez chwilę, niewiele mówiąc, obserwujemy tłum.

Wiem, że... och, że nie mogłeś być na balu w zeszłym roku - mówię w końcu - ale co z innymi potańcówkami? Z kim chodziłeś? Miałeś kiedyś dziewczynę? - Gdy tylko słowa zawisają w powietrzu, przypominam sobie obraz Aleksa z Mystic Market okłamującego dziewczynę. Nadał nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Nie chcę więcej poruszać tego tematu, ale zastanawiam się, czy on myśli o tym samym.

Jeżeli tak, to tego nie okazuje, tylko kręci głową.

Nigdy nie byłem na żadnym balu. To jest mój pierwszy - Uśmiecha się nieśmiało. - I jak na ironię, przyszedłem z dziewczyną zupełnie spoza mojej ligi.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy, choćby na jednym balu? Ani w podstawówce?

Nigdy. - Patrzy na tłum. - Nawet gdybym chciał, rodzice by mi nie pozwolili.

Wiesz religia i tak dalej.

Ale jesteś katolikiem. Katolikom wolno tańczyć.

- Liz. chyba nie do końca rozumiesz. Moi rodzice są superreligijni. Nie wolno mi było chodzić na zabawy ani umawiać się z dziewczętami... nic w tym stylu. Kiedyś mama znalazła w moim pokoju „Playboya”. Wiesz, co zrobiła?

- Och, proszę, powiedz mi.

On nie chce - albo nie może - na mnie spojrzeć.

- Wydarła kilka stron. Tych najgorszych. No wiesz, w „Playboyu” są zdjęcia kobiet, które...

- Alex, widziałam „Playboya”.

- W takim razie wiesz, o co chodzi. W każdym razie wyrwała kilka zdjęć i powiesiła je na lodówce. Byłaś w moim domu. Wiesz, że nie mamy jadalni, stół stoi w kuchni. I tamtego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację, Musiałem siedzieć przy nim z rodzicami i patrzeć razem z nimi na te zdjęcia. Mama powiedziała: „Jeśli nie ma w nich nic złego, to nie powinieneś się wstydzić, że wiszą na widoku”.

Otwieram usta ze zdumienia.

- To okropne. „Playboy” jest dosyć okropny, ale Boże, Alex. To prawie terror domowy.

On kiwa głową.

- Wiem. A chcesz wiedzieć, co było najgorsze?

- Och, to może być jeszcze gorzej? Cudownie.

- Tego „Playboya” znalazłem w garderobie ojca. On nigdy się nie przyznał, że piśmo należy do niego. Zachowywał się, jakby był do głębi wstrząśnięty.

Nie wiem, co powiedzieć. Trudno mi sobie wyobrazić coś bardziej upokarzającego. Patrzę na moich kolegów z klasy - na samotnego Richiego, który popija poncz, wpatrując się w swoje lśniące buty, na Caroline i Josie, które wymachują rękami w powietrzu i kręcą biodrami z beztroską właściwą ładnym, popularnym dziewczynom, na Tophera i Merę, tańczących policzek przy policzku, mimo że leci szybki kawałek. Czy którekolwiek z nich w ogóle o mnie myśli? Richie, jestem pewna. Wygląda, jakby wolał być wszędzie, tylko nie tutaj. Ale czy gdybym żyła, byłibyśmy jeszcze razem, biorąc pod uwagę to, co zrobiłam z Vince'em?

- Wszyscy mają swoje tajemnice - mówię.

- Tak. - Alex mruży oczy w półmroku. - Chyba tak.

Muzyka się zmienia, DJ puszcza wolną piosenkę.

Prawie nie myśląc, łapię Aleksa za rękę.

429

- Chodź - ponaglę - wstawaj.

On wzdryga się, czując mój dotyk.

- Co? Dlaczego?

- Bo tak. - Uśmiecham się. - To bal na rozpoczęcie roku. Przyszliśmy razem. I ja chcę z tobą zatańczyć.

Kręci głową.

- Liz, nie. Nie umiem. Ja nigdy...

- Umiesz i zatańczysz, Aleksie Berg, Elizabeth Valchar ma ochotę z tobą zatańczyć, więc wstawaj i pokaż jej, jak umiesz się bawić.

Nie puszczaając jego ręki, zaciągam go na parkiet. - Połóż ręce na mojej talii - instruuję, naprowadzając jego dłonie. - O tak.

- Liz...

- Żadnych protestów. - Obejmuję ramionami jego szyję. - To łatwe - szepczę. - Po prostu... kołysz się.

Otoczają nas moi przyjaciele. Josie zawlokła Richiego na parkiet, tańczą zaledwie kilka metrów od nas.

- Widzisz? - mówię z ustami tuż przy jego uchu. - To nic trudnego.

Na początku Alex jest bardzo spięty, ale po kilku chwilach trochę się rozluźnia.

Ogarnia mnie spokój, czuję się na swoim miejscu, choć mam pełną świadomość, że za życia przenigdy nawet bym nie pomyślała o wyjściu na parkiet z kimś takim jak on.

Alex nadeptuje mi na stopę.

- Przepraszam. Słabo mi to wychodzi.



- Bardzo dobrze ci idzie. Uwierz mi, byłoby dużo gorzej, gdybym miała buty z odkrytymi palcami. - Staram się nie krzywić, żeby nie wiedział, jak bardzo zabolęła mnie stopa.

Nad nami obraca się dyskotekowa kula, rzucane cienie na całą salę. Opieram głowę na ramieniu Aleksa i zamykam oczy, ale jeszcze zauważam, & Mera i Topher przytulają się w kącie, prawie się n5e poruszając. Topher całuje Merę w czoło, a ona odpowiada promiennym uśmiechem. Jestem szczęśliwa ich szczęściem.

Moja matka modliłaby się za moją duszę, gdyby mnie teraz zobaczyła - mruczy Alex.

Uśmiecham się.

- A jak się czuje twoja dusza?

- Całkiem dobrze. - Przytula mnie trochę mocniej - Właściwie to doskonale.

Utwór jest zbyt krótki. Kończy się i natychmiast rozlegają się werble. Nasza dyrektorka, doktor Harville, wchodzi na scenę, a uczniowie zaczynają wiwatować.

- Co się dzieje? - pyta Alex.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

- To bal na rozpoczęcie roku szkolnego. Czas na koronację królowej.

Liceum Noank nie ma króla jesieni, tylko królową wybieraną co roku spośród dziewcząt z najstarszych klas. Na początku października odbywa się głosowanie, w którym uczniowie ostatnich klas decydują, kto stanie w szranki. Każdego roku wybierają dziesięć dziewcząt. Na balu na początek roku każda dziewczyna z konkursu wybiera na chybił trafił różę w pudełku. Tylko jeden kwiat jest czerwony, reszta biała. Która wylosuje czerwoną różę, dostaje koronę. Cały ten pomysł z różami ma odróżnić ten konkurs od zwykłego konkursu na popularność, ale jeśli dobrze się zastanowić, to

chodzi dokładnie o to samo - po prostu każdy typuje swoją dziesiątkę. Wiem, że w poprzednich latach chłopcy układali własne listy rankingowe na najlepszą twarz, pup? i tak dalej. Co można na to poradzić? To liceum.

Doktor Harville, ubrana w czarną koktajlową sukienkę i szpilki - w czym wygląda bardzo niedyrektorsko - bierze mikrofon od DJ-a.

- Dobry wieczór, panie i panowie - świergocze, uśmiechając się promiennie do tłumu. - Chyba wszyscy wiemy, na co nadszedł czas. Zapraszam uczestniczki na estradę.

Nie jestem zdziwiona, że wybrano wszystkie moje najbliższe przyjaciółki - Caroline, Merę i Josie. Oprócz tego na scenie stają Grace Harvey, Kelly Zisman, Alexis fatalsky, Anna i Mary Stevens (które są bliźniaczkami), Julia Wells i... nikt więcej.

- Jest ich tylko dziewięć - mówi Alex. - Gdzie numer dziesięć?

**35 431**

- Jak wszyscy wiemy, nasza społeczność straciła w tym roku kogoś bardzo wyjątkowego - mówi doktor Harville poważnym tonem. - Jako wasza dyrektorka byłam bardzo poruszona, kiedy okazało się, że na tak wielu kartach do głosowania wypisaliście nazwisko Elizabeth Valchar. Mie miałam wątpliwości, że musimy uwzględnić ją w tegorocznym konkursie, mimo że nie może być dzisiaj z nami.

Wszyscy uczniowie milczą. Dziewczęta na estradzie trzymają się za ręce z pochylonymi głowami, już wyglądają na przegrane. Nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, co się zaraz wydarzy. Nagle zdaję sobie sprawę, że na scenie nie ma żadnych róż - w tym roku nie ładzie losowania.

Po długim namyśle, kiedy stało się jasne, co oznacza strata Elizabeth Valchar dla was wszystkich, grono pedagogiczne i ja postanowiliśmy pośmiertnie ukoronować ją

jako tegoroczną królową jesieni.

Wszyscy wiwatują. Pozostałe pretendenci do korony klaszczą uprzejmie, ale mogą zagwarantować, że potem będą psioczyć, jak niesprawiedliwy był to wybór. Nawet Josie nie wygląda na zachwyconą rozwojem wypadków widzę jej wymuszony uśmiech, przyklejony do twarzy, i lodowate spojrzenie. Nie mam do niej pretensji. Bez względu na to, jaka mogłam być wyjątkowa, każda dziewczyna na scenie chciała zostać królową, zwłaszcza Josie.

Ale żadna nią nie została. Ja jestem królową. I jestem tu.

- Chodź. - Znowu biorę Aleksa za rękę, ale tym razem on się nie odsuwa.

- Po co. - Lawiruje za mną przez tłum. - Żartujesz?

- Nie, nie żartuję. - Wciągamy go na estradę. Stajemy razem obok doktor Harville i spoglądamy na morze uczniów. - Jestem królową - mówię, wciąż trzymając go za rękę i rozkoszując się niesłabnącym aplauzem. - I koronuję cię na króla.

Po ceremonii została jeszcze ponad godzina tańców. Caroline wreszcie udało się zgubić Chada w tłumie. On szuka jej przez kilka minut, po czym nakłada sobie talerz ciastek i siada na trybunie, żeby gapić się na wszystkie dziewczyny w obcisłych sukienkach.

Caroline znajduje Richiego na korytarzu przed salą gimnastyczną. Siedzi sam na podłodze obok automatu ze słodyczami, głowę ma opuszczoną, opiera się o ścianę.

- Hej, ty - mówi Caroline, trącając go w stopę. - Rozchmurz się. To bal, a nie pogrzeb.

- Żadna różnica - odpowiada, podnosząc na nią wzrok. - Ale byłem pewien, że tak się stanie. Kiedy się dowiedziałem, że Liz została zgłoszona do konkursu, czułem, że wymyślę coś w tym stylu. - Uśmiecha się lekko. - Jeśli błąka się gdzieś tutaj, to na

pewno jest w siódmym niebie. Cała Liz, zostać królową jesieni nawet po śmierci, co?

-

- No. - Caroline zdejmuje buty, ukazując spuchnięte, czerwone stopy. - Te pantofle mnie wykańczają. - Siada na podłodze obok Richiego. - Nie masz pojęcia, jak dziewczyny cierpią, żeby ładnie wyglądać, Richie. Powinnam była zostać w domu. Chad to dupek.

- Od razu mogłem ci to powiedzieć.

- Wiem. - Uśmiecha się do mojego chłopaka. - Jak sobie radzisz? To nic przyjemnego zostać aresztowanym.

Richie się nie odzywa nawet wtedy, kiedy Caroline opiera mu głowę na ramieniu. To tak niewinny, słodki gest, że nie czuję ani odrobiny zazdrości.

- Nie mogę uwierzyć, że miałeś broń, Richie. Naprawdę zamierzałeś kogoś zabić? Tego faceta, z którym podobno spotykała się Liz?

- Vince'a - mruczy.

- Właśnie. - Porusza palcami u stóp, wpatrując się uważnie w różowy lakier z brokatem na paznokciach. - Vince'a.

Richie wbija wzrok w sufit.

- Nie użyłbym tego pistoletu. Chciałem, ale nie mogłem. Powiem ci szczerze, Caroline, lubiłem go mieć.

Po prostu trzymać go w ręku, wyobrażać sobie, co mo z nim zrobić. Czudem się tak... nie wiem. jakbym w końcu uzyskał nad czymś kontrolę. Ostatnio wszystko strasznie się pogmatwało.

- Wiem. To prawda - potwierdza Caroline. - Miałeś te pigułki, kiedy cię aresztowali?

- Te, które dałaś mi na sprzedaż? Tak, miałem. Teraz są materiałem dowodowym.

- Milknie na chwilę.

- Przykro mi.

- W porządku. Chociaż przydałyby mi się pieniądze.

- Caroline żuje nerwowo gumę, wydmuchując balony, które pękają głośno w pustym korytarzu.

- Ile ci potrzeba? - Richie sięga do butonierki, odpina czerwoną różę, po czym odrywa płatek po płatku i upuszcza je na podłogę.

- A co? - Caroline uśmiecha się niepewnie. - Chcesz mi pożyczyć pieniądze?

- Pożyczyłbym, gdybym miał.

- Ukradłam te pigułki z łazienki Liz, Richie. - Przerywa. - To nie wszystko. Ukradłam jej też pieniądze.

Mój chłopak upuszcza różę. Kwiat upada na podłogę między jego nogami.

- Co zrobiłaś?

- Ukradłam Liz pieniądze. Znalazłam je w jej łazience, razem z tabletkami. - Caroline zamyka oczy i dalej ciągnie swoją spowiedź. - Pięćset dolarów. Nie wiesz, po co jej było tyle gotówki?

Richie drapie się w głowę. Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu, kiedy widzę, że prawie nic nie zrobił z włosami, ma na głowie taką plątaninę loków

jak zawsze, może tylko przejechał po nich grzebieniem-

- Nie mam pojęcia - odpowiada. Znowu spuszcza głowę. - Ale Liz miała wiele tajemnic. Przede mną. Przed wszystkimi.

- To prawda. - Caroline kiwa głową. - Ostatnio bardzo się zmieniła. - Przygryza

wargę. Widać, że intensywnie się nad czymś zastanawia. - Słuchaj, Richie, pamiętasz

tę imprezę u mnie w zeszłym roku, kiedy wyjechali moi rodzice?

On wolno potakuje.

- Może. Którą? Było ich tyle, że po pewnym czasie wszystkie zlewają się ze sobą.

- Racja - przyznaje Caroline. - Wiem. Ale na tamtej... och, nieważne. - Potrząsa głową. - To już nie ma żadnego znaczenia. Zapomnij, że o tym w ogóle wspomniałam, dobrze?

- Dobrze - zgadza się Richie, kompletnie niezainteresowany. - Oczywiście.

Caroline wstaje. Wygląda sukienkę i patrzy niepewnie na buty leżące na podłodze.

- Richie, Liz nie była złym człowiekiem. Wszyscy wiedzą o niej i o tamtym facecie, ale ja myślę, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie. A ty?

Podnosi wzrok na Caroline. Kręci głową.

- Nie wiem. Analizowałem to tysiące razy.

- Naprawdę zacząłeś spotykać się z Josie przed śmiercią Liz?

Richie wzrusza ramionami.

W pewnym sensie. Nie tak naprawdę. To Josie powiedziała mi o Vinsie. Uważała, że mam prawo wiedzieć. Troszczyła się o mnie. Byłem wściekły na Liz, a Josie po prostu znalazła się obok... no i teraz chyba jesteśmy razem. Wiesz, ona mi przypomina Liz. Były siostrami Czasami, jeśli bardzo się postaram, mogę się poczuć jakbym był z Liz.

Caroline robi małego balona, kawałki różowej gumy zostają na jej błyszczących wargach.

- To chyba ma sens.

On się uśmiecha.

- I doprowadza do szalu moich rodziców. Moja mama nienawidzi Nicole. Mówi, że rozbiła rodzinę, co pewnie jest po części prawdą. Ale to stare dzieje. Nie ma w tym winy Josie. - Znowu zerka na Carołine. - To nie takie okropne, prawda? Że się spotykam z Josie? Mnie się wydaje to w porządku. Josie jest miła. To prawie naturalne. Caroline pochyla się i bierze buty. Nie odpowiada na pytanie Richiego.

- To tylko plotki, że były siostrami. Nikt nie wie tego na pewno. I wiesz, że Liz nigdy w to nie wierzyła.

- Moi rodzice w to wierzą. A Josie jest bardzo podobna do pana Valchara.

Caroline odchodzi.

Zobaczymy się w środku, dobrze? Bal już się prawie skończył. Jestem pewna, że Josie cię szuka. - Milknie na chwilę. - No i Richie, rodzice nie są wszechwiedzący.

On wypuszcza powietrze z płuc.

- Święta prawda - mruczy.

Patrzę, jak moja przyjaciółka podchodzi do podwójnych drzwi sali gimnastycznej.

Nadal są z Richiem sami

na korytarzu. Ulż przed drzwiami Caroline przystaje i ogląda się przez ramię na mojego chłopaka, który zbiera z podłogi zwiędnięte płatki róży. I - Hej - rzuca Caroline. - Mogę cię o coś spytać?

- Jasne. - Richie nie wygląda, jakby miał zamiar wstać i wrócić na bal. Zamyka i otwiera dłoń z płatkami, obserwując, jak kurczą się od ciepła jego ręki.

- Czy w głosowaniu na królową podałeś imię Liz? On opiera głowę o ścianę.

Znowu zamyka oczy. Przez

chwilę myślę, że zacznie płakać.

Ale nie płacze, tylko mocniej zaciska powieki. Podnosi wzrok do sufitu. Uśmiecha

się. Wiem, że myśli o mnie.

- Tak - odpowiada. - Podąłem. | Caroline trzyma dłoń na klamce. Uchyła drzwi na kilka centymetrów. Hałas z sali wylewa się na korytarz, gwar głosów, piosenka Black Eyed Peas, z powodu złej akustyki wszystkie dźwięki są bardzo głośne i trochę zamazane.

- Ja też - przyznaje się Caroline.

Richie otwiera oczy i patrzy na nią. Oboje uśmiechają się szeroko do siebie.

- Ona była wyjątkowa - mówi w końcu mój chłopak. -Prawda?

Caroline nadal się uśmiecha, ale nic nie mówi. Klęka, wkłada buty. Staje w otwartych drzwiach, prostuje się, wygładza sukienkę, przyklepuje fryzurę, żeby sprawdzić, czy każdy włos jest na swoim miejscu, Po czym wchodzi do środka, zostawiając Richiego samego w korytarzu.

Dopiero wtedy, kiedy nikogo już nie ma, on pozwala sobie na Izy. Płacze bezgłośnie, nie wydając ani najłżejszego dźwięku.

Po skończonym balu moi przyjaciele idą do limuzyny Kierowca, gdy tylko ich zauważa, szybko chowa butelkę z alkoholem - kiepsko ukrytą w papierowej torebce - do kieszeni marynarki.

- Nooo proszę. - Chad uśmiecha się złośliwie. - Nie nudziliśmy się, czekając?

Kierowca opiera się o limuzynę i krzyżuje ramiona na piersi.

- A co miałem robić? - parska. - Czytać cholerną książkę?

- Jesteśmy gotowi - mówi Caroline. Znowu zdjęła buty, Chad je niesie. - Czy da pan radę zawieźć nas na imprezę?

- Chcecie jechać na imprezę? - Kierowca patrzy na zegarek. - Już jest jedenasta.

Zapłaciliście tylko do północy.



- To dopłacimy - mówi Topher. - Nie ma problemu.

- Poczekajcie. - Josie łapie Richiego z ramię. - Ja nie wsiądę do tej limuzyny, jeżeli on pił.

Richie wygląda na znudzonego i zmęczonego, już dawno minął mu lepszy nastrój wywołany wódką.

- Do domu Chada jest nie więcej niż trzy kilometry - mówi. Jak rozumiem, tam właśnie ma się odbyć impreza. - Nic się nam nie stanie.

Josie kręci głową.

- Nie. Nie wsiądę. Wolę iść. niż jechać z nim samochodem.

- Josie, dramatyzujesz. - Topher zapala papierosa prążony faktem, że po parkingu kręcą się nauczyciele.

- Będzie jechał wolno. Nic się nie stanie.

- Droga zabierze nam całe wieki - wtrąca Richie. - Ftoza tym jesteś na obcasach.

Daj spokój, Josie, wsiadaj do samochodu.

- Nie! - Cofa się o krok od całej grupy i rozgląda po parkingu pełnym odjeżdżających uczniów, większość zapewne na następne imprezy. - Ktoś mnie podwiezie. Nieważne. Z nim nie pojedę. Richie, proszę, zostań ze mną.

Caroline spogląda na nią z niedowierzaniem.

To nie byłaby twoja pierwsza przejażdżka z pijanym wrowcą, Josie.

Hole, hola - przerywa jej kierowca. - Coś sobie wyjaśnijmy. Nie jestem pijany. Jestem na rauszu. Łyknąłem kilka kropli, żeby nie umrzeć tu z nudów. To nie jest najbardziej ekscytujące zlecenie świata, dzieciaki. - Nie mówi zbyt wyraźnie, przez co

Josie wydaje się jeszcze bardziej zdecydowana nawet nie zbliżyć się do limuzyny.

Patrzy na Richiego i mówi stanowczym głosem:

- Zostajesz? Tam widzę Shannon i Jamesa. - Wskazuje palcem na drugą stronę

parkingu. - Na pewno podrzucą nas do Chada.

I Richie patrzy to na limuzynę, to na Josie. Tak jak wszyscy wydaje się zdziwiony jej stanowczym protestem.

W końcu wzrusza ramionami.

- W porządku. Zapytajmy Shannon.

Alex i ja patrzymy, jak moi przyjaciele wsiadają do li muzyny i odjeżdżają. Josie i Richie jadą samochodem Shannon. Stoimy razem w chłodnym, wieczornym powietrzu, parking powoli pustoszeje, wreszcie zostajemy sami. W sali gimnastycznej palą się światła, podwójne drzwi na dwór stoją otworem i widzę, że woźny zabiera się do sprzątnięcia.

Patrzę na Aleksa.

- Co chcesz teraz robić? Moglibyśmy pójść na imprezę i patrzeć, jak wszyscy zalewają się w trupa.

On się nie uśmiecha.

- Mam inny pomysł.

- Jaki? - Temperatura musiała spać chyba z sześć stopni, prawie zamrzam.

- Chciałbym cię zabrać w jedno miejsce.

- Dobrze. - Uśmiecham się. - Chodźmy.

Ale on tylko stoi i dalej się we mnie wpatruje tak intensywnie i długo, że zaczynam czuć się niepewnie i uśmiech znika mi z twarzy.

- Alex, o co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Chcę ci tylko powiedzieć, że naprawdę dobrze się z tobą bawiłem.

- Dzięki. - Znowu się uśmiecham, tym razem mniej pewnie. - Jesteś dobrym tance-

rzem.

Potrząsa głową.

- Nie mówiłem tylko o dzisiejszym wieczorze. Miałem na myśli cały ten czas. -

Przełyka ślinę. - I chciałem ci powiedzieć coś jeszcze. O tym wspomnieniu, które wi-  
dzieliśmy razem, o mnie w pracy.

Nie mogę uwierzyć, że poruszył ten temat.

- Tak?

- Dużo o tym myślałem - mówi - i doszedłem do wniosku, że popełniłem błąd.

Nie powinienem był okłamywać Chelsea. Powinienem był się z nią umówić, ale ja po-  
 prostu... nie mogłem. Bałem się. - Wygląda na zawstydzonego. Spuszcza głowę. - Za-  
 chowuję się jak kretyn. Przepraszam.

- Nie zachowujesz się jak kretyn. Myślę, że masz

i rację co do Chelsea. Praw-

dopodobnie dobrze byście się razem bawili. - Milknę. - W każdym razie cieszę się, że  
my się dobrze bawiliśmy. Zaslługujesz na to. - Patrzę na bezchmurne niebo, na jasne i  
grube gwiazdy. Jest prawie pełnia. - Dokąd idziemy?

- Dowiesz się na miejscu. - Kładzie rękę na moim ramieniu. - Gotowa?

Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, nie mam pojęcia, gdzie jestem. To jakieś  
miejsce w lesie.

- Alex? - Nie czuję już jego dłoni, nigdzie go nie widzę. - Gdzie jesteście? - Robi  
mi się niedobrze.

Jego głos dobiega z bardzo daleka.

- Chcę, żebyś znalazła wspomnienie - podpowiada. - Pierwsze, które do ciebie  
przyjdzie. Tylko zamknij oczy.

- Gdzie jesteście?

- Tutaj umarłem. - Widzę miejsce zimne i odosobnione, na wilgotnej ziemi leżą martwe liście i patyki. Gałęzie drzew zwisają nisko. Żołądek ściska mi się z nerwów, boję się tego, co mogę zobaczyć.

- Zamknij oczy - dobiega mnie odległy głos Aleksa. - Będę tutaj, Liz. Poczekam na ciebie. Idź.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

### **PIERWSZY**

Odnajduję się we wspomnieniu sama, Aleksa nigdzie nie widać. Natychmiast zauważam, że wyglądam inaczej. Jestem młodsza, ale to nie wszystko, ważę co najmniej siedem kilogramów więcej niż w tygodniach przed śmiercią. Moje długie włosy są lśniące i pełne życia, policzki zaróżowione.

I jestem pijana. Stoję w holu w domu Caroline, przyciskam dłoń do czoła i patrzę w sufit, na ogromny lśniący żyrandol z kryształu. Mrużę oczy, usiłując skupić wzrok pomimo otaczającego mnie chaosu. Dom jest pełen ludzi, wszędzie tańczą i objijają się o siebie nastolatki, każdy trzyma w ręku wielki, czerwony, plastikowy kubek z wypisanym na czarno swoim imieniem.

- O mój Boże - szepczę, chwiejąc się. Kubek w mojej dłoni jest tak przekrzywiony, że zaraz wyleję zawartość na podłogę. Nikt mnie nie słyszy, nikt nie zauważa, w jak złym jestem stanie. Piosenka zespołu Sublime „40 Ounces to Reedom” ryczy z głośników w salonie, muzyka wypełnia cały dom. Szybki rock stanowi ogromny kontrast z dostojnym wystrojem domu Caroline. Tapeta w holu ma wzory w ciemnozielone liście bluszczu. Podłogi są z ciemnego drewna przykrytego orientalnymi dywanami. W pobliżu drzwi wejściowych - prawdziwa fontanna, kamienny anioł obserwuje

rozwój imprezy, wodne oczko rozlewa się wokół jego delikatnych bosych stóp.

-- Tutaj jesteś! Liz, wszędzie cię szukałam... o nie. Co się stało? - To Josie. Moja przyszywana siostra jest mocno wstawiona, sama też trzyma kubek w dłoni i patrzy na mnie szeroko otwartymi, szklistymi oczami osoby znajdującej się pod wpływem alkoholu. I - Nie wiem. Niedobrze mi - mówię, robiąc krok w lewo, w stronę jadalni. Musimy krzyczeć, żeby się I usłyszeć.

Liz, czy pokój obraca się wokół ciebie? Skup się na jakimś szczególe. Nie zamykaj oczu.

Próbuje mi pomóc, ale ja macham z irytacją ręką i wchodzę do jadalni.

- Cały dom się kręci! - wołam.

- Co? - odkrzykuje.

- Powiedziałam, że cały dom... nieważne.

- Dokąd idziesz? - Josie drepcze tuż za mną, z ręką na mojej talii. - Będiesz wymiotować?

Kiwam głową. W jadalni jest dużo ciszej i na mojej twarzy maluje się wyraz ulgi.

- Idź do łazienki. - Wskazuje ręką. - Na końcu korytarza.

- Wiem, gdzie jest łazienka - denerwuję się, opierając ręce na kolanach. Kubek się przechyła i spienione piwo płynie na orientalny dywan. - 'tylko dlaczego tak daleko?

Gdzie jest Richie? Josie. zawołaj...

Mam na nogach buty na dziesięciocentymetrowych obcasach, w których nie mogę prosto iść. Robię kolejny chwiejny krok i nagle gwałtownie wymiotuję na dywan

- Cholera! Liz puszcza pawia! - to Chad Shubuck Oczywiście.

Stoję pochylona, opierając się kolanami o łokcie i wyglądam, jakbym robiła

wszystko co w mojej mocy, żeby się nie przewrócić.

Chad klepie mnie po plecach.

- Dawaj, złotko. Wyrzuć to z siebie. Ja zawsze po rzyganiu czuję się lepiej.

- Richie - szepczę, wycierając usta, oczy mam załzawione i przekrwione. - Proszę, znajdź Richiego.

- O mój Boże. Liz, co się, u diabła, z tobą dzieje? - Caroline podbiega do mnie i patrzy na wymiociny na dywanie. - Moi rodzice mnie zamordują - szepcze przerażona.

- Naprawdę mnie zabiją. Na litość boską, nie mogłaś pójść do łazienki?

Odzyskuję równowagę, podchodzę do krzesła i siadam.

- Bardzo mi przykro - mówię, ocierając usta. ale nie brzmi to szczerze. Jestem bardziej przejęta faktem, że narobiłam sobie wstydu przed wszystkimi moimi przyjaciółmi. - O mój Boże. To takie upokarzające.

Do pokoju wbiega Richie.

- Liz, co się stało? - Patrzy na dywan. - Och. Rozumiem.

- Pobrudziłam sobie ubranie? - Drżącymi rękami dotykam białej sukienki z podwyższonym stanem ozdobionej różowymi wstawkami i różowych legginsów.

- A nie mówiłem? - pyta Chad, wciskając się między chiego a Josie. - Lepiej się czujesz, prawda?

Uśmiecham się do niego.

- Tak. Czuję się dobrze. - Szczerzę się do moich przyjaciół. - I nie ubrudziłam sobie ubrania.

Josie uśmiecha się promiennie.

- Brawo, Liz! Klasyczne wymioty chlustające!

Odwzajemniam jej promienny uśmiech i przybijamy piątkę.

Richie podaje mi szklankę wody, którą chyba wyczarował z kapelusza. On już taki

jest, zawsze się mną opiekuje.

- Lepiej się czujesz? - Jest zmartwiony, ale też pijany. Także ma przekrwione oczy, do tego śmierdzi papierosami i trawą.

Kiwam głową, marszcząc nos od jego zapachu.

- Tak. Która godzina?

- Pora wracać do domu. - Josie przygryza wargę, patrząc na zegar stojący po drugiej stronie pokoju. - Już prawie dziesiąta. Musimy jechać do domu, Liz. - A Richie-mu tłumaczy: - Nasi rodzice wyjeżdżają jutro rano na konferencję i chcą się jeszcze z nami zobaczyć przed wyjazdem.

Mój chłopak patrzy na nią zmrużonymi oczami.

- Ona nie powinna prowadzić, Josie. Obie powinnyście zostać na noc.

Wstaję. Dopijam wodę, potrząsam głową i mówię wyraźnie:

- Nic mi nie jest. - Biorę głęboki wdech. - Chyba pozbyłam się całego alkoholu.

Czuję się dobrze.

Richie krzyżuje ramiona i marszczy czoło.

- Nie, Liz. Nie możesz prowadzić. Alkomat od razu wykazałby, że jesteś pijana.

Nie powinnaś w takim stanie jechać do domu.

- Richie, to niecałe pięć kilometrów. - Uśmiecham się z taką pewnością siebie, na jaką mnie stać. - Co mam zrobić? Zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że jestem zbyt pijana, żeby prowadzić, i nie możemy wrócić do domu? Pojedziemy. Wszystko będzie w porządku.

Przenosi spojrzenie na Josie.

- Umiesz prowadzić jej samochód?

Josie kręci głową.

- Mustang ma normalną skrzynię biegów. Jeszcze się nie nauczyłam jej obsługi-  
wać. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie, nie wiedziałem. W takim razie pojedźcie moim wozem. - Zatraskany pocie-  
ra czoło. - Jezu, nie powinienem był pozwolić ci tyle pić. Powinienem był mieć na  
ciebie oko. To zły pomysł.

Josie uśmiecha się cierpko.

- Richie, nie zachowuj się jak mama kwoka. Liz, nic ci nie jest?

Potakuję.

- No.

- Ale co z dywanem? - pyta błagalnie Caroline. wygląda na zrozpaczoną. - Obieca-  
łaś, że rano pomożesz mi posprzątać! Nie mówiłaś, że musisz wracać do domu.

- Bardzo mi przykro. Słuchaj, po prostu powiedz rodzicom, że zrobił to pies.

Josie podaje mi kluczyki. Z Richiem tuż za plecami kierujemy się do drzwi. Już  
mam wyjść na zewnątrz, kiedy słyszę, jak Caroline mruczy pod nosem:

- My nie mamy pierdolonego psa, Elizabeth.

Kiedy wyjeżdżamy długim podjazdem Caroline, zaczyna padać deszcz, cięższe z  
każdą sekundą krople uderzają o przednią szybę. Jednak nie włączam wycieraczek.

Kiedy patrzę na siebie, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, lekko pochyloną, żeby  
lepiej widzieć drogę (dlaczego nie włączam wycieraczek?), jestem przekonana, że nie  
powinnam była siadać za kółkiem. Gdy tylko wyjeżdżamy na główną drogę, staje się  
jasne, że trudno mi się utrzymać po prawej stronie. Mam pozwolenie na kierowanie  
zaledwie od miesiąca, a mustanga od dwóch tygodni. Ogólnie nie jestem zbyt dobrym  
kierowcą, a już na pewno niezbyt dobrze sobie radzę z ręczną skrzynią biegów. Dwa  
razy niemal gaśnie mi silnik. Na szczęście nic nie jedzie, Noank jest pogrążone we



śnie. Po dziewiątej wieczorem niewiele się tu dzieje.

- Włącz wycieraczki - instruuje Josie.

- Och... gdzie one są? Nie mogę ich znaleźć.

- Po prawej stronie. Skup się.

W końcu znajduję wycieraczki.

- Kurczę, tak lepiej - mówię z chichotem.

Josie włącza radio.

- Świetnie. Dobrze się czujesz?

Kiwam głową.

- Tak, czuję się dobrze.

Ale widzę, że kłamię. Nie czuję się dobrze, wciąż jestem pijana.

W radiu grają „Losing My Religion” zespołu R.E.M i zaczynamy z Josie śpiewać.

Na drodze jest ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę. Za-  
glądam żywej sobie przez ramię i widzę z przerażeniem że pędzę ponad osiemdziesiąt  
pięć na godzinę. Deszcz się wzmaga, zamienia się w ulewę.

- Zwolnij, Liz - szepczę do żyjącej siebie. Wiem, że to tylko wspomnienie, ale  
ogarnia mnie coraz większa panika. Jedziemy za szybko i nic nie mogę na to poradzić.

To pojawia się znikąd. Nie mogę skupić wzroku i najpierw myślę, że potrąciłam  
małe zwierzę lub kamień, lecz prawie natychmiast zdaję sobie sprawę, że to było coś  
innego. Coś większego. Coś miga w moim polu widzenia, słyszę głucho łup - i  
wszystko znika.

- Cholera - mówię, hamując i oglądając się za siebie. Nigdzie nie widać żadnego  
samochodu. - Cholera. Co to było? Chyba w coś uderzyłam.

Josie przycisza muzykę, ale nie wyłącza radia.

- Co powiedziałaś?

Deszcz dudni wokół nas.

- Powiedziałałam, że chyba w coś uderzyłam. - Przerrywam. - Pewnie w jelenia. Może powinniśmy wysiąść i sprawdzić?

Josie patrzy przez okno.

- Leje.

- Wiem.

I siedzimy tak, patrząc na siebie. Oglądając nas, czuję się głęboko zawiedziona, a po chwili uczucie to przechodzi

w obrzydzenie. Nie chcemy wysiąść z samochodu, bo boimy się zmoknąć. W końcu mówię:

- Josie... naprawdę powinniśmy sprawdzić. Zerka na tylne siedzenie.

- Masz parasolkę?

Kręcę głową.

- Nie. I tak potem weźmiemy prysznic. Chodź. Zaciska wargi, marszczy nos.

- Dlaczego ty nie pójdziesz?

- Nie. Nie wysiądę sama. Josie, proszę. Wyłącza radio. Rozgląda się, patrzy na drogę.

Naprawdę myślisz, że to był jeleni?

- To było coś dużego. Chodź. Musimy sprawdzić.

Moja przyszywana siostra wzdycha przeciągle. Niespiesznie sięga do schowka na rękawiczki i wyjmuję gumkę do włosów. Ściąga mocno włosy w kucyk, żeby jak najmniej je zmoczyć, po czym przewraca oczami i mówi:

- No dobrze, w takim razie chodźmy. Wsiadamy z samochodu. Jesteśmy jakieś

dwa kilometry od Mystic Market, już zamkniętego. Wokół nas jest tylko las, dwupasmowa kręta droga i deszcz.

Zgaś silnik - poleca Josie. Leje jak z cebra i obie natychmiast jesteśmy kompletnie przemoczone.

Wyłącz światła.

Sięgam do samochodu i robię, co każe. po czym znajduję w schowku latarkę.

Wskazuję ręką na las.

Nie mogę tam iść w tych butach. Kosztowały trzysta dolarów. - Marszczę brwi. -

Błoto je zrujnuje.

- Zdejmij je - radzi Josie.

Wydymam wargi.

- Ale wtedy ubłocę sobie stopy.

Patrzy sfrustrowana w ciemne niebo, deszcz spływa jej po policzkach.

- Co robimy, Liz? To ty chciałaś wysiąść. Chcesz iść sprawdzić czy nie? Zdecyduj się. Zimno mi.

Oświetlam latarką ścianę lasu. Światło jest słabe, widzę tylko pnie drzew.

- Jeżeli potrafiłam jelenia, to pewnie już i tak nic nie mogę zrobić, prawda?

- Poczekaj - mówi Josie, patrząc na mój samochód. - O rany. Zobacz.

Bez wątpienia w coś uderzyłam. Z prawej strony zderzaka widać wgniecenie.

- Nie ma krwi - mówi Josie. - To chyba dobrze? - Spogląda na mnie w ciemności.

- Chociaż może deszcz ją zmył.

- Chyba będę znowu wymiotować - zapowiadam.

- Nie będziesz. - Teraz jest zaciekawiona. Chce wiedzieć, co się stało. - Chodź,

Liz. Musimy sprawdzić, co to było.

Z wyraźną niechęcią zdejmuję buty i stawiam je na podłodze pod siedzeniem kierowcy, po czym ruszamy z Josie w stronę lasu. Nie usłyszymy nawet dziesięciu kroków, kiedy stajemy jak wryte. Jako duch także zamieram.

- O mój Boże - mówię. - Josie. Gdzie masz komórkę?

W wąskim snopie światła latarki widać tylne koło roweru, obracające się w deszczu. Wszystkie trzy podbiegamy do niego. Pewnie kamienie i patyki ranią mnie w boscie stopy, ale nie zwracam na to uwagi. Pomimo deszczu słyszę mój oddech, nierówny i spanikowany. Wyglądam, jakbym zupełnie wytrzeźwiała.

Rower jest cały pogięty, leży na ziemi z kierownicą wbitą w drzewo. Jednak nigdzie nie widać rowerzysty.

Zupełnie bez uprzedzenia deszcz przechodzi w lekką mżawkę.

- Bądź cicho - rozkazuje Josie. - Słuchaj, I Dźwięk, który słyszę, już nigdy mnie nie opuścił, chociaż dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, co się stało, jeszcze zanim go zobaczę. Ktoś z bulgotem łapie powietrze, walczy na śmierć i życie o każdy oddech. Jego twarz jest tak zakrwawiona, że na początku go nie rozpoznaję. Pomiedzy włosami widzę czaszkę, widzę jego mózg.

- Josie, on oddycha.

Ledwo oddycha. Ma otwarte oczy. Patrzy na mnie, błagając o pomoc, o życie, o coś, czego nie mogę mu dać.

- Weź telefon, Josie - szepczę łamiącym się głosem. - Dzwoń pod sto dwanaście.

On z wysiłkiem chwyta kolejny oddech. Josie czeka. Nie rusza się.

- Josie, co ty robisz? Idź po telefon!

- Liz, jesteśmy pijane - mówi bezbarwnym głosem.

- I co z tego? - Mój głos drży. - Zadzwoń do kogoś! On umrze!

Patrzę na niego. To niemal interesujące patrzeć, jak ktoś odchodzi. Nasze spojrzenia się spotykają i w tej samej chwili wiem, że on mnie poznaje.

- Znamy go - mówię, nie mogąc oderwać wzroku od jego twarzy. - Josie, poznaję go. To chłopak z naszej szkoły.

- Jak ma na imię? - pyta szeptem.

Jako duch czuję obezwładniającą frustrację.

- Zróbcie coś! - wrzeszczę na siebie, na Josie. - on umrze! Pomóżcie mu!

Ale my nic nie robimy.

Nie wiem, jak ma na imię - odpowiadam.

On bierze jeszcze jeden oddech. Ostatni. A potem - nic. Leży zupełnie nieruchomo. Krople wody spływają mu po policzkach niczym niezliczone ciche łzy.

- Jezu Chryste, mamy kłopoty - mówię, robiąc wielki krok w tył. O mało się nie przewracam.

- Nie. Nie mamy. - Josie patrzy na mnie. Wyciąga rękę, wyłącza latarkę i natychmiast spowija nas ciemność. - Wracajmy do samochodu - rozkazuje. - Jedźmy do domu.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz?

- Liz. - Jej głos jest spokojny i cichy. - Dopiero co zrobiłaś prawo jazdy. Nie wolno ci wozić pasażerów. Obie jesteśmy pijane. Jeżeli ktokolwiek się dowie o tym, co tu się stało, będziemy miały zrujnowane życie. Rozumiesz?

Kręcę głową.

- Josie, nie możemy tak po prostu pojechać do domu. Nie możemy zostawić go tu

zupełnie samego. Poza tym to był wypadek. On pojawił się znikąd. Ludzie rozumieją, że...

- Nie. Nie rozumieją. - Bierze mnie za rękę. - Nie żartuję, Liz. Nie mamy wyboru. Musimy jechać, teraz, zanim ktoś tu się pojawi.

Moje martwe serce szlocha z rozpaczony nad Alekssem leżącym tam, na ziemi. Jak mogłyśmy tak po prostu go zostawić? To, co zrobiłam, zniszczy mnie od środka. Przez w ciągu kilku miesięcy.

Josie ciągnie mnie za rękę.

- Chodźmy. Wracajmy do domu.

I wracamy. Parkujemy mój samochód w garażu blisko ściany, żeby tata nie zauważył wgniecenia. Później będę się martwić, jak to naprawić. Zgadza się, że na razie najważniejsze jest, abyśmy zachowywały się normalnie.

Tamtej nocy, nie mogąc spać, siedzę na łóżku i wertuję album ze zdjęciami uczniów z mojej szkoły w poszukiwaniu twarzy, której będę mogła przypisać imię. Przeglądam stronę po stronie i w końcu go znajduję, patrzy na mnie z nieśmiałym uśmiechem, chłopiec, o którego istnieniu ledwo wiedziałam: Alexander Berg.

- Alex Berg - szepczę w pustym pokoju.

Stoimy razem w tym samym miejscu, w którym ponad rok temu nasze spojrzenia się spotkały i Alex wydal swoje ostatnie tchnienie. Oczywiście już nie jest zakrwawiony i połamany. Nie jest mokry od deszczu. Teraz jest spokojny, prawie się uśmiecha, kiedy staje się jasne, co sobie przypomniałam.

- Zabiłam cię - mówię.

Kiwa głową.

- Wiem.

- Cały czas wiedziałeś? Przez cały ten czas, który spędziliśmy razem?

Waha się tylko przez sekundę.

- Tak.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? Kiedy byliśmy razem u ciebie w domu, pytałam cię, co ci zrobiłam. Mogłeś mi wtedy powiedzieć. Mogłeś mi powiedzieć tysiące razy.

Siedzi po turecku na ziemi.

- To nie działa w ten sposób. Gdybyś wiedziała, zachowywałabyś się wobec mnie inaczej.

- I co z tego?

- Myślę, że to pewien proces. Musi toczyć się w określony sposób. Przypominałaś sobie szczegół po szczególe, nie byłaś gotowa od razu stawić czoło całej prawdzie. Najpierw musiałaś pewne rzeczy zrozumieć. I ja ci w tym pomogłem, Liz. Może nie potrafiłabyś zrobić tego beze mnie. Może istnieje jakiś powód, dla którego jesteśmy razem.

- Jaki powód?

Patrzy na mnie spokojnie.

- Żebym ci wybaczył. Widzisz, Liz, myślałem, że już ci wybaczyłem, ale myliłem się. Miałem rok, żeby o tym myśleć. Powtarzałem tę noc w głowie tysiące razy. Myślałem, że się z tym uporałem. Ale kiedy umarłaś i znowu mogłem z tobą porozmawiać, cała złość powróciła. Zdałem sobie sprawę, że nie udało mi się tobie wybaczyć, chociaż próbowałem. Nadal cię nienawidziłem. Nie tylko za to... że potrafiłaś mnie tamtej nocy, ale i za to, jak traktowałaś mnie za życia... jakbym w ogóle nie istniał.

Wzrusza ramionami. - I nagle byliśmy razem i zrozumiałem, że ty nic nie pamiętasz. Więc dostosowałem się do sytuacji.

Powoli zacznę mówić.

- I dlatego na początku nie chciałeś, żebym cię dotykała, prawda? Dlatego nie chciałeś mnie wpuścić w swoje wspomnienia. Bałeś się, że zobaczę coś, co mi o wszystkim przypomni, zanim nadejdzie właściwa pora.

- Tak.

- Kiedy się dowiedziałeś? - naciskam. - Jak długo po śmierci zdałeś sobie sprawę, że to ja cię zabiłam?

- Zawsze wiedziałem - przyznaje. - Tak jak ty, nie pamiętałem wielu faktów ze swojego życia, ale od samego początku miałem jasny obraz tamtej nocy. Pamiętam, jak patrzyłem w deszczu na ciebie i Josie. Pamiętam, jak spojrzałem ci w oczy. Twoja twarz była ostatnim widokiem, jaki zobaczyłem przed śmiercią.

- A potem - pytam - obserwowałeś mnie? Kiedy jeszcze żyłam?

Kiwa głową.

- Tak. Cały czas cię obserwowałem. Jakbym dostał obsesji. Musiałem wiedzieć, że czułaś coś z powodu tego, co mi zrobiłaś. Widziałem, jak codziennie biegasz, jakbyś próbowała uciec przed tym, co się stało, jakbyś myślała, że jeśli pobiegiesz wystarczająco daleko, zostawisz to za sobą. Widziałem cię rankami w domu pana Riley'a. Byłem tam, Liz. Wszystko widziałem. Wiem, jak ogromne miałaś poczucie winy. - Przęłyka ślinę. - To cię zabijało. - Uśmiecha się słabo. - A potem umarłaś. I Liz, myślę, że chodzi o coś więcej, nie tylko o to, żebym ja wybaczył tobie. Myślę, że chodzi też o to, abyś baczyła sama sobie. - Waha się. - Czy wybaczyłaś sobie to, co mi zrobiłaś?

- Nie wiem. - Natychmiast zdaję sobie sprawę że to nieprawda. Nie. Wcale sobie nie wybaczyłam. - Alex, zrozum, jak kiedykolwiek mogłabym sobie wybaczyć? Pro-



wadziłam samochód pijana. Jechałam zbyt szybko. A kiedy to się stało, mogłam ci pomóc. Mogłam zadzwonić pod sto dwanaście. Mogłam pójść na policję...

- Ale tego nie zrobiłaś. Stało się tak, jak się stało. - Patrzy na mnie ze smutkiem. -

Tak bardzo starałaś się zapomnieć, nawet po śmierci próbowałaś wmówić sobie, że było inaczej. Usiłowałaś mnie wmówić, że było inaczej. Pamiętasz? Na swoim pogrzebie powiedziałaś mi, że zmieniłaś trasę biegu po tym, jak znaleziono moje ciało. Ale to nieprawda, Liz. Zmieniłaś ją, zanim mnie znaleźli.

Na sekundę zamykam oczy. Ma rację. Oczywiście, że zmieniłam ją wcześniej, jak mogłabym przebiegać obok niego, wiedząc, że cały czas leży w lesie? Ze świadomością, że leży tam przede mną? Prawda była tak potworna, że nie potrafiłam stać jej czoła. Tak bardzo chciałam wierzyć w kłamstwo, że przez chwilę mi się udawało. Prawie.

Spoglądam na Aleksa, który nadal patrzy na mnie ze spokojem.

- A teraz jesteśmy tutaj - kontynuuje. - I ty wciąż nie pamiętasz, co wydarzyło się tej nocy, kiedy umarłaś.

- Obserwowałeś mnie przez cały rok - mówię powoli.

Uśmiecha się, ponieważ wie, co sobie właśnie uświadomiłam.

- Widziałeś, co działo się po twojej śmierci? Widziałeś mnie, jak biegałam, chodziłam do pana Riley'a, spotykałam się z Vince'em.

-Tak.

- Co jeszcze widziałeś, Alex? Widziałeś, co wydarzyło się tamtej nocy na łodzi?

Coś się zmienia. On staje się coraz mniej wyraźny, prawie przezroczysty.

- Co się z tobą dzieje? Alex?

- Przez długi czas martwiłem się o swoich rodziców - ciągnie, ignorując moje py-

tanie. - Zwłaszcza o mamę. Wiesz, bez przerwy siedziała przy moim grobie. W całym domu zapalała za mnie świece. Ale jest coraz lepiej. Moi rodzice już nie chodzą tak często na cmentarz. Dowiedzą się, co się ze mną stało tamtej nocy. W końcu poznają całą prawdę i będą żyli dalej beze mnie. Czuję się z tym dobrze. Już nic nigdy nie będzie takie samo, Liz - wiesz o tym równie dobrze jak ja - ale będzie dobrze. Czy teraz nie czujesz się lepiej? Nie cieszysz się, że wszyscy w końcu poznają prawdę?

- Kiedy ją poznają? Alex, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się stało? Kiedy wszyscy poznają prawdę?

On już prawie zniknął.

- Wkrótce - mówi. - Musisz być cierpliwa. Pamiętaj, to jak układanka. Teraz nie brakuje ci żadnego elementu, już niedługo wszystko zrozumiesz. Poradzisz sobie beze mnie, Liz.

- Dokąd idziesz? - Ogarnia mnie panika. - Alex, nie możesz odejść. Powiedz mi, co widziałeś w noc mojej śmierci!

- To nie ja muszę rozwiązać tę zagadkę. Liz. - Znowu się uśmiecha. - Naprawdę świetnie się z tobą bawiłem Nie jesteś złym człowiekiem, jak myślałem. Wybaczam ci, naprawdę. Wszystko.

- Co widziałeś? Czy ktoś mnie zabił? Alex, proszę, poczekaj...

- Tutaj jest tak ciepło, Liz. - Znika coraz szybciej. - Chyba w końcu znalazłem spokój. Spodoba ci się tutaj, kiedy przyjdzie twoja kolej. - Posyła mi ostatni słodki uśmiech. - Doskonale się bawiłem z królową jesieni. Ale każdy bal kiedyś się kończy.

- Alex...

- Do zobaczenia.

I tak po prostu znika.

Siedzę sama w lesie, jest zimno i mokro. Płaczę. Tęsknię za Alekssem. Czuję niewypowiedziany żal. Gdybym tylko tamtego wieczoru nie prowadziła samochodu.

Gdybym pozwoliła, żeby ktoś mnie odwiózł. Ale miałam siedemnaście lat, byłam pełna życia i nie przypuszczałam, że może mi się przydarzyć coś strasznego - nie mnie, bogatej i popularnej Elizabeth Valchar. Jak moje życie mogło się przeciąć w tak znaczącym punkcie z życiem tak mało znaczącego Aleksa Berga? Skąd miałam moc, aby w jednej sekundzie odebrać mu życie?

Co robić dalej? Czekam w nadziei, że Alex wróci, ale w głębi serca wiem, że odszedł na zawsze, na pewno do lepszego miejsca.

Po raz pierwszy od swojej śmierci jestem zupełnie sama. Wstaję i idę do domu.

Kładę się na łóżku i wpatruję w sufit, czekając na nadejście poranka z nadzieją, że może dzień przyniesie coś innego niż tylko nieskończony upływ czasu.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Nie mam nic innego do roboty oprócz obserwacji. W sobotni poranek na początku października, kilka dni po zniknięciu Aleksa, patrzę, jak Josie idzie do domu Richiego i puka do drzwi.

Otwiera pani Wilson, ale stoi za drzwiami z siatki i nie wykonuje żadnego gestu świadczącego, że te również zamierza otworzyć. Nie uśmiecha się do Josie.

- Dzień dobry, pani Wilson. Czy Richie jest w domu?

Pani Wilson ogląda się przez ramię na schody.

- Nie, Josie, nie ma go.

Josie marszczy brwi.

- Ale wszystkie wasze samochody stoją na podjeździe. I powiedział mi, że będzie w domu.

- Josie... - Pani Wilson wygląda, jakby z trudem panowała nad nerwami. - Jak się czuje tata Liz?

Josie patrzy na nią przez długą chwilę, po czym mówi obronnym tonem:

- Mój tata czuje się dobrze. Nic mu nie będzie. - Przełyka ślinę, nie odwracając

264

wzroku. - Wszyscy z tego wyjdziemy, pani Wilson. Richie też.

Pani Wilson zaczyna zamykać ciężkie drzwi.

- Lepiej już idź do domu, Josie.

- Ale kiedy...

Kobieta zamyka jej drzwi przed nosem i moja przyszywana siostra stoi osłupiała na ganku.

Wspomnienie wsysa mnie, jakbym była z wody. Otacza mnie zupełnie niespodziewanie i nic nie mogę na to poradzić.

Mam pięć, może sześć lat. Josie, Richie i ja bawimy się na podłodze w salonie moich rodziców. Josie i ja bawimy się lalkami Barbie, ale Richie próbuje namówić nas na bitwę plastikowych żołnierzyków.

- Możemy ze sobą walczyć! - nalega, ustawiając swoją armię w rzędzie. - Liz, ty i Josie możecie być w jednej drużynie, a ja będę nieprzyjacielem. Wy będziecie tymi dobrymi. Albo możemy razem włamać się do Fort Knox i ukraść całe złoto. Mój tata mówi, że rząd trzyma tam wszystkie skarby. - W końcu widzi, że nie zwracamy na niego żadnej uwagi, i porzuca pomysł zabawy żołnierzykami. - Mam w domu „Głodne hipopotamy”. Mogę je przynieść - proponuje. - Chcecie zagrać? Możemy też zagrać w karty. Liz, chcesz zagrać?

- Ona się bawi Barbie - mówi Josie, nawet nie podnosząc na niego wzroku. - Nie

przeszkadzaj nam.

Ale moje młodsze ja spogląda nieśmiało to na Josie, to na Richiego. Kiedy nasz wzrok się spotyka, rumienię się.

- Możemy pobawić się w salon piękności - proponuję. - Richie, powinieneś obciąć włosy. Josie i ja możemy być twoimi fryzjerkami.

On cały się rozjaśnia.

- Dobrze. Gdzie mam usiąść?

Nasi rodzice jedzą kolację w jadalni, która jest obok salonu. Piją wino i zagryzają krakersami z serem brie. Mój tata króluje u szczytu stołu. Po jego prawej stronie siedzi moja mama, po lewej Nicole. Państwo Wilson siedzą naprzeciwko siebie, a tata Josie, pan Caruso, po drugiej stronie stołu.

265

Dorośli są hałaśliwi i pewnie lekko wstawieni. Już dawno powinniśmy być w łóżkach, ale pozwalają siedzieć nam dłużej, kiedy się spotykają, co zdarza się dosyć często. Jediną milczącą osobą przy stole jest tata Josie. On nigdy dużo nie mówi.

Mama Richiego wstaje.

- Może otworzymy jeszcze jedną butelkę wina? - pyta i patrzy na moją mamę. -

Lisa? Idę do kuchni. Idziesz ze mną? - I przyklada dwa palce do ust, jakby paliła papierosa.

- Już idę. Za chwilę - mówi moja mama. Opiera łokcie na stole i, pochylając się do przodu, słucha z zainteresowaniem mojego ojca, który opowiada jakąś historyjką z pracy. Nie tknęła swoich krakersów z serem. Jest tak chuda, że trudno na nią patrzeć.

W drodze do kuchni mama Richiego przystaje w salonie i uśmiecha się do nas.

- Dobrze się bawicie, dzieciaki?

- Tak. - Richie siedzi na krześle zupełnie nieruchomo, z ręcznikiem na ramionach imitującym fryzjerską pelerynę, a Josie i ja udajemy, że nasze palce to nożyczki.

Jesteśmy tak zajęte „obcinaniem” włosów, że rzucamy jej tylko przelotne spojrzenia.

- To dobrze - mruczy i wzdycha. - Och, znowu być młodym i beztroskim. Nawet nie wiecie, jak wam dobrze.

Idzie do kuchni. Otwiera butelkę wina i nalewa sobie pełny kieliszek, po czym uchyla boczne drzwi na patio, zapala papierosa i opiera się o framugę, wyraźnie rozkoszując chwilą samotności.

Jednak trwa to zaledwie przez moment. Stoi, patrzy na rozmawiających w salonie i nagle cała sztywnieje. Pochyla się tylko odrobinę. Mruży oczy. Podążam spojrzeniem za jej wzrokiem i jestem wdzięczna, że to, co dzieje się pod stołem, pozostaje poza zasięgiem wzroku mojego młodszego ja.

Pani Wilson wpatruje się w jeden punkt: w stopy mojego ojca. Moja matka jest tak chuda, że może siedzieć na krześle po turecku, więc jej stopy nawet nie dotykają podłogi. Ale matka Josie przysunęła swoje do nóg mojego ojca. Pod stołem pieści palcami jego łydkę.

Tam, w salonie. Każdy może zajrzeć pod stół i zobaczyć, co się dzieje: moja matka, tata Josie, wszyscy. I jestem pewna, że mama Richiego zauważyła. Wypija duży łyk wina i dalej pali papierosa, ale już się nie uśmiecha i wcale nie wygląda na zrelaksowaną.

Mój ojciec kontynuuje swoją historyjkę, jakby nic się nie działo. Tylko raz, przez sekundę, zerka na mamę Josie i posyła jej krótki porozumiewawczy uśmiech. Tylko przez sekundę, ale to wystarczy. Robi mi się niedobrze, bo wreszcie rozumiem, że

wszystkie plotki były prawdziwe.

Kiedy mama wstaje, żeby pójść do kuchni, mama Josie odsuwa stopy od nóg mojego taty i chowa je pod krzesłem. Podaje mojej mamie pusty kieliszek.

- Lisa? Mogłabyś mi dolać?

Oczywiście. - Mama zabiera kieliszek Nicole do kuchni razem ze swoim.

- No dobrze - mówi do mamy Richiego - daj mi jednego. - Szybko zapala papierosa i głęboko się zaciąga. - Oooh. To jest to. - Starannie wydmuchuje dym przez uchylone drzwi, macha ręką w powietrzu. — Nie rozumiem, dlaczego Marshall jest taki zasadniczy w kwestii papierosów. On pali te swoje drogocenne cygara i ja nic nie mówię.

- Skoro mówimy o Marshallu - mówi mama Richiego, upijając kolejny łyk wina - jak wam się układa?

- Och, no wiesz. Chyba w porządku. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. Nicole znowu wróciła do swoich starych sztuczek, to wszystko.

Moja mama zamyka oczy. Zaciąga się papierosem.

- Naprawdę?

- Przykro mi, Lisa. Jednak to bezczelność, żeby tak głaskać go stopą niemal pod twoim nosem...

- Głaszcze go stopą? - pyta szeptem moja mama.

Mama Richiego potakuje.

267

- Powinnaś coś zrobić. Pokaż pazury. To twój mąż.

Moja mama wbija wzrok w podłogę.

- Co za suka.

- Dlaczego ją zaprosiłaś? Dlaczego ciągle spędzacie tyle czasu razem? Ona ma własnego męża. Chodzili ze sobą z Marshalllem przez trzy lata w liceum, zerwali, on ożenił się z tobą. Koniec historii. Jeżeli tak bardzo go chciała, to powinna była go złapać, kiedy miała szansę.

- Och... Sama nie wiem. Wydaje mi się, że ona nie potrafi się powstrzymać. Upija się i chyba uważa, że flirtowanie nikomu nie zaszkodzi. - Moja mama zerka przez ramię do salonu. - Marshall nigdy by nas nie skrzywdził. Jest dobrym człowiekiem.

- Skoro tak twierdzisz.... - Mama Richiego pstryknięciem wyrzuca niedopałek do ogrodu. - Ale mówię ci, Lisa... - Rysy jej twarzy miękną. - Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Jesteś taka chuda. Widać, że zjada cię stres. Nie potrzeba ci na dodatek baby flirtującej z twoim mężem.

Moja mama uśmiecha się słabo.

- No właśnie, to tylko flirt. On jest mój. I w zeszłym tygodniu byłam u lekarza.

Przytyłam prawie kilogram!

Mama Richiego nie do końca wie, jak zareagować na te słowa.

- To dobrze dla ciebie?

Uśmiech mojej mamy znika.

- Tak. - Bierze butelkę wina i kieruje się z powrotem do jadalni. - Chodź. Będziemy udawały, że jesteśmy miłe.

Odkąd odszedł Alex, spędzam dużo czasu w domu. Mój tata rzadko tu bywa - zwykle siedzi na łodzi - a Nicole pracuje jako wolontariuszka w kościele spirytualistycznym, cokolwiek tam robi. Czyta aury. Uczestniczy w seansach. Ma na oku cudzych mężów na wypadek, gdyby ich żony zamierzały umrzeć.



Jak już mówiłam, kwestia ojca Josie nigdy nie była poruszana w naszym domu, choć teraz zdaję sobie sprawę, że zawsze czaiła się gdzieś pod powierzchnią. Kiedy straciłam matkę, byłam bardzo mała, kochałam Josie, a Nicole zawsze była dla mnie miła. Dorastałam wśród plotek na temat jej romansu z moim tatą, ale myślałam, że wiem lepiej. Uważałam to za niemożliwe. Nigdy nie wierzyłam, że ojciec byłby zdolny do zdradzenia mamy.

Jednak najwidoczniej był.

Patrząc, jak Nicole głaszcze stopą mojego ojca pod stołem podczas prośzonej kolacji, pod samym nosem mojej matki, czuję mdłości. Zwłaszcza że, teraz wiem, jaką krzywdę może wyrządzić stres osobie z zaburzeniami odżywiania. Przecież kiedy zaczęły mnie zżerać wyrzuty sumienia po śmierci Aleksa, przestałam jeść i zaczęłam obsesyjnie biegać. Wszyscy uznali, że po prostu wdałam się w swoją biedną matkę. Nikt nie dodał dwóch do dwóch. Gdyby ktoś to zrobił, wszystko mogłoby wyglądać teraz inaczej. Cóż, nie wszystko - Alex nadal by nie żył. I to wciąż byłaby moja wina. Po jego zniknięciu jeszcze bardziej desperacko pragnę, żeby moja tułaczka po tym mieście dobiegła końca. Cały czas spodziewam się, że Alex się pojawi i wygłosi jakąś złośliwą uwagę pod adresem mnie lub moich przyjaciół, ale po kilku dniach, które spędzam w samotności na obserwacji i zagłębianiu się we wspomnienia z dzieciństwa, dociera do mnie, że on nie wróci. Mam nadzieję, że tam, dokąd poszedł, jest pięknie. I że panują tam spokój i miłość.

Jest słoneczne popołudnie. Josie i Nicole są w kuchni, robią frittate\*9. Z prawdziwych jajek, nie z samych białek. Nawet jako duch się wzdragam. Zawartość tłuszczu: siedem gramów, siedemdziesiąt kalorii jajko. Chyba nie zjadłam całego, odkąd skończyłam dziesięć lat. Niektóre rzeczy, których uczymy się od rodziców, zostają w

nas na zawsze. Moją matkę - prawdziwą matkę - przerażał tłuszcz. I mnie też. Jeszcze zanim zabiłam Aleksa. Teraz widzę, że w tym tkwił problem. Dziewięciolatki nie powinny liczyć gramów tłuszczu. Dziewięciolatki powinny jeść jajka i lubić masło orzechowe.

Nicole uśmiecha się ukradkiem do Josie.

Jak miło. Nie relaksowałyśmy się tak od... od wieków. - Puszczą do córki oko. -

Chcesz mimozę\*10?

Mamo! - Josie się rumieni. - Tata będzie wściekły.

Taty tu nie ma, prawda? - Nicole otwiera lodówkę i wyjmuję karton soku pomarańczowego.

269

Otwiera butelkę szampana, kiedy - jakby na sygnał - do domu wchodzi mój ojciec.

Cholera - mruczy Nicole, ale chichocze. Szampan wylewa się z butelki, tworząc kałuże na podłodze. Nicole miesza szybko dwie mimozy (z dużej ilości szampana i odrobiny soku) i odwraca się do frittaty, popija swojego drinka, udając, że nie widzi, kiedy ojciec wchodzi do kuchni.

9 \* Frittata - coś pomiędzy jajecznicą a omletem.

\*Mimoza - napój z szampana i soku pomarańczowego.

Ma na sobie flanelową koszulę i szare spodnie od dresu. Jego broda jest tak gęsta i długa, że mogłaby się w niej zagnieździć rodzina wiewiórek. Od mojej śmierci nie nosi szkielek kontaktowych, tylko okulary. Staże w drzwiach kuchni i patrzy, jak moja siedemnastoletnia przyszywana siostra popija mimozę i przegląda magazyn.

Nicole stoi odwrócona do ojca plecami. Kołysze się lekko w przód i w tył przy kuchence, a jej długa biała spódnica faluje przy kostkach. Bose stopy ma gładkie i opa-

lone, na palcach trzy pierścionki, paznokcie pomalowane na jaskrawoniebieski kolor.

To absurdalny odcień u dorosłej kobiety.

- Co przyrzadzamy? - Mój ojciec usiłuje zachowywać się normalnie, ale nie wychodzi mu to zbyt dobrze. Wygląda, jakby nie brał prysznicą od kilku dni, może nawet tygodni, jakby w ogóle nie powinien przebywać w tym samym domu, co Nicole i Josie, o tym samym pomieszczeniu nie wspominając.

- Frittate. - Nicole uśmiecha się do niego przez ramię. - Powinieneś trochę zjeść, kochanie. Bardzo schudłeś.

- Josie - warczy mój ojciec. - Co ty pijesz?

- To tylko mimoza. - Josie wypija łyk. - Prawie bez alkoholu.

- Nie obchodzi mnie to. Wylej.

- Marshall... - Nicole zaczyna protestować, ale zanim zdąży skończyć zdanie, mój tata zabiera Josie kieliszek i wrzuca go do zlewu.

Nie wylewa mimozy i nie odstawia kieliszka delikatnie na bok, tylko po prostu wrzuca go do zlewozmywaka. Szampanka rozbija się na kawałki. W kuchni zalega ciężka szara cisza.

W końcu Nicole mówi:

- Nie wiem, po co to zrobiłeś. To tylko jeden drink. Przecież jej nie upijam.

- Gdybyś zapomniała - mówi mój tata konwersacyjnym, ale ociekającym ironią tonem - nie dalej jak kilka miesięcy temu pozwoliliśmy kilkorgu nastolatków na parę drinków, żeby uczcili urodziny Elizabeth. To nie skończyło się zbyt dobrze.

Nicole wbija wzrok w podłogę, Josie udaje, że przegląda magazyn. Frittata zaczyna się przypalać.

- Marshall. - Głos Nicole jest niewiele głośniejszy od szeptu. - Kiedyś życie musi

wrócić do normy. Rozmawialiśmy o tym. Musisz pracować. Musimy być rodziną. Nie możesz ciągle siedzieć na łodzi i wpatrywać się w wodę...

- Sprzedaję dom - oznajmił mój ojciec.

Palec Nicole zsuwa się i ostry kawałek szkła wbija się głęboko w ciało. Natychmiast czerwona krew zaczyna kapać do zlewu.

- Mamo. nic ci się nie stało? - Josie podbiega do Nicole, żeby jej pomóc. Posyła mojemu ojcu wściekłe spojrzenie.

- Sprzedajesz dom? - odparowuje Nicole; krwawiący palec owinęła kawałkiem papierowego ręcznika. - Kiedy zamierzałeś to ze mną omówić? Co z Josie? Co z jej szkołą? To ostatnia klasa.

- Josie może skończyć szkołę. Potem pójdzie do college'u.

Nicole, której kieliszek wciąż jest niemal pełny, wypija zawartość jednym haustem.

Po czym wrzuca kieliszek do zlewu. Wrzuca. Szampanka tłucze się tak samo jak kieliszek Josie.

- Gdzie będziemy mieszkać, Marshall? Co będziemy robić?

Mój tata zdejmuje okulary. Teraz widać, że ma głębokie czarne sińce pod niewiarogodnie zmęczonymi oczami, ciężkie powieki. Ani śladu po bystrym, jasnym spojrzeniu.

271

Pociera powieki.

- Nie wiem. Nie wiem, co stanie się z tobą i ze mną, Nicole. Po prostu nie mogę już mieszkać w tym domu.

- Doskonale. - Nicole zaczyna płakać. - Josie, idź do swojego pokoju.

- Ale, mammo...

- Idź!

Josie wybiega z kuchni i wbiega na schody, ale zatrzymuje się na półpiętrze i siada cicho na górnym stopniu, podsłuchuje.

- Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żebyś był szczęśliwy. Ja także jestem zdruzgotana śmiercią Liz. Wiesz o tym. Marshall, ona była dla mnie jak córka. Kochałam ją. Zrobiłabym wszystko, żeby do nas wróciła.

- Nie chodzi o to. - Tata potrząsa głową. Podchodzi do Nicole, bierze jej zranioną rękę i uciska w miejscu, w którym na papierowym ręczniku wykwitł jaskrawo-czerwony kwiat krwi. - Ostatnio czuję się tak, jakby to wszystko było błędem.

Nicole spazmatycznie łapie oddech.

- O czym ty mówisz?

- O wszystkim. O tobie. O mnie. O rodzinie, którą próbowaliśmy stworzyć. To przypomina... jakąś antyczną tragedię. Teraz ponosimy karę.

- Zakochaliśmy się w sobie. Nie zrobiliśmy nic złego.

- Wiesz, co mówi całe miasto? Co wszyscy mówią od lat? Wilsonowie prawie nie chcą na nas patrzeć. Gdyby tak często nie wyjeżdżali, nie dopuściliby Richiego nawet w pobliżu Liz ani Josie.

- Kocham cię. - Nicole patrzy na mojego ojca z desperacją. - Jesteś miłością mojego życia.

- Wiem. - Milknie. - Wiem, że ty tak myślisz.

Ona opiera głowę na jego ramieniu. Cicho szlocha.

- Przepraszam - mówi tata. - Już dłużej tak nie mogę. To mnie zabija, Nicole. Rozumiesz? Nie widzisz tego? To mnie zabija.

Odkąd Alex odszedł, wspomnienia nawiedzają mnie coraz częściej, bez ostrzeżenia, jakby w jakiś sposób nabierały siły. W jednej chwili stoję w kuchni rodziców i patrzę, jak rozpada się małżeństwo mojego taty i Nicole, a w następnej jestem w tej samej kuchni, mam siedemnaście lat, jestem jak najbardziej żywa i dłubię widelcem w misce brązowego ryżu, podczas gdy reszta mojej rodziny opycha się chińszczyzną na wynos.

Odpycham miskę i wstaję.

- Chyba pójde pobiegać.

Mój tata i Nicole patrzą na mnie zaskoczeni. Josie nie przerywa jedzenia. To musi być niedługo po śmierci Aleksa, kiedy dopiero co zaczęłam bieg po równi pochyłej ku zagładzie. Widać wyraźnie, że jestem chora z poczucia winy.

- Dochodzi siódma. Już ciemno - mówi mój tata.

- Włożę odblaskową kamizelkę. Wiesz, że czasami biegam w nocy.

- Wiem, Liz, ale biegałaś już dzisiaj przed szkołą. I po lekcjach, z drużyną. Dlaczego znowu musisz biegać? - Ojciec omiata spojrzeniem moje ciało. - Chyba nie próbujesz schudnąć? Bo nie musisz. Jesteś chuda jak szczapa.

Josie przestaje żuć. Przełyka cały kęs. Nadal nie podnosi wzroku.

- Nie o to chodzi. Po prostu jestem zestresowana. Zaraz wrócę. Do zobaczenia za chwilę, okej? - I znikam, pędzę na górę, żeby przebrać się w strój do biegania. Patrząc na siebie idącą korytarzem, słyszę Nicole, która mówi:

- Pewnie umówiła się z Richiem, Marshall. Nie martw się.

Głos mojego taty jest pełen troski:

- Jeżeli chciała zobaczyć się z Richiem, to mogła do niego pójść. Nie musiałyby tego przed nami ukrywać. Chyba powinna spotkać się z psychologiem.

Wiedząc to, co teraz wiem - a mianowicie, dlaczego tak dużo biegałam - jestem prawie zła na ojca, na Nicole. Dlaczego nie posłali mnie do psychologa? Dlaczego nikt nie próbował mi pomóc?

Cóż - to nie do końca prawda. Na swój sposób tata próbował to zrobić. Tyle że ja

273

odmówiłam przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Chciałam cierpieć. Chciałam zostać ukarana za to, co zrobiłam Aleksowi. Teraz to rozumiem.

Mam na sobie odblaskową kamizelkę, którą powinnam nosić, jeśli biegam o zmierzchu lub w nocy - nawet w ciągu dnia, jeśli biegnę wzdłuż drogi - ale gdy tylko wychodzę z domu, zdejmuję ją i zostawiam obok ganku. Teraz domyślam się, jaki był tok mojego rozumowania. Co z tego, że ktoś mnie potrąci? Można by się w tym dopatrywać jakiejś sprawiedliwości, prawda?

Najpierw biegnę przez miasto, wzdłuż pięknych, starych domów. Potem wybiegam na plażę, pokonuję całą drogę na cypel, zawracam, przede mną jeszcze maleńki mostek i skręcam w prawo na ośmiokilometrowy szlak do Mystic. Jak zawsze czuję ból, że nie mogę biec obok żywej siebie, mogę tylko patrzeć, zmagając się ze strasznym bólem stóp. Jeżeli pokonam całą drogę do Mystic i z powrotem, nie wrócę do domu przed dziewiątą. Przebiegnę dziś ponad siedemnaście kilometrów, czyli o wiele za dużo. Ale najwyraźniej zupełnie mnie to nie obchodzi.

Jestem w jednej trzeciej drogi do Mystic, kiedy słyszę za sobą samochód, który zwalnia, aż w końcu staje. Kierowca opuszcza szybę po stronie pasażera.

- Liz - mówi cicho. - Liz Valchar. Pakuj swój tyłek do samochodu.

To pan Riley.

Ale ja się nie zatrzymuję. Wyraźnie nie chcę. Cały urok biegania polega na tym,

że oczyszcza ci umysł. Nie chcę o niczym myśleć - o wszystkich plakatach, które będą mijać w Mystic, ze zdjęciem Aleksa Berga i obietnicą nagrody za każdą informację prowadzącą do aresztowania kierowcy, który go zabił. Ani o tym, że nawet Richie - który jest mi najbliższy na świecie nie wie, co się stało, i nigdy nie może się dowiedzieć. Nie chcę myśleć, czy to, co zrobiłam, czyni ze mnie morderczynią. Nie chcę myśleć, koniec, kropka.

Dlatego tylko kręcę głową i biegnę dalej. Pan Riley jedzie powoli obok mnie.

- Gdzie są twoje odblaski? Próbujesz się zabić? Rano też biegałaś? Co ty robisz, Liz?

- Proszę zostawić mnie w spokoju. - Nie przestając biec, zerkam na niego przez ramię. On nada) jedzie obok.

- A w ogóle to co pan tu robi?

- Próbuję uspić Hope. I jeżeli nie wsiądziesz, będę musiał na ciebie krzyknąć i ją obudzę. - Uśmiecha się. - Chcesz to mieć na sumieniu?

Jego żart sprawia, że robi mi się trochę niedobrze. Ale znam go od lat. Jest uparty, pewnie zresztą dlatego został takim doskonałym trenerem. I skoro nie mam na sobie żadnych odblasków, na pewno nie pozwoli mi biec samej w ciemności. Rozumiem to wszystko, dlatego wsiadam.

Przez chwilę Hope wierci się w foteliku, ale zanim zdąży otworzyć oczy, żeby sprawdzić, co to za hałasy, znowu zapada w sen.

- A więc... po prostu jeździ pan po okolicy z dzieckiem? - pytam

Lekko się uśmiecha.

- Zrozumiałabyś, gdybyś miała dzieci. Niemowlę w samochodzie zasypia jak kamień w ciągu dziesięciu sekund. Hope nie sypia zbyt dobrze. Karen powoli już odcho-



dzi od zmysłów z bezsenności. Hope nie śpi przez większość nocy i dnia. Robię, co mogę, żeby pomóc.

A tu natrafiam na ciebie. O czym ty myślałaś? Ledwo cię zauważyłem. Jesteś za mądra, żeby tak biegać po nocy.

Mimo że w samochodzie nie jest zbyt ciepło, strasznie się pocę. Kiedy moje ciało się wychładza, zaczynam się trząść. To jasne, że nie chcę prowadzić z nim teraz tej rozmowy.

- Nie widział mnie pan? - pytam.

- Ledwo. Widziałem kogoś. Najpierw pomyślałem: „Co to za baran biega po nocy bez żadnych odblasków?”.

- Więc skąd pan wiedział, że to ja?

On wyciąga rękę i ciągnie mnie za długi koński ogon. Uśmiecha się.

- Musisz pytać? Twoje włosy.

- Och. - Przyciągam kolana do piersi. - Czy może zawieźć mnie pan do domu?

- Po co? Żebyś mogła obrócić się na pięcie i wrócić na drogę?

Waham się. Przez chwilę wyglądam, jakbym chciała go okłamać, tylko po to żeby zostawił mnie w spokoju. Jednak widzę po mojej zamysłonej, poważnej minie, że część mnie chce, aby on wiedział, że coś jest nie tak. Jakaś mała część mnie musi po-

275

wiedzieć komuś coś, dać choćby małej znak, że mój świat rozpada się na kawałki.

- Tak - mówię do pana Riley'a. - Jeśli zawiezie mnie pan do domu, odwrócę się i znowu zacznę biec.

- Dlaczego? - Zmrużonymi oczami mierzy mnie od stóp do głów. - Czy ty próbujesz schudnąć? Bo jeśli tak...

- Nie głodzę się - przerywam mu. - Jem. - Milknę na chwilę. - Ważne, żeby mieć kontrolę, nic więcej.

- Jest kontrola i jest głód. Istnieją różne rodzaje kar, jakie wobec siebie stosujemy, Liz. Jedni katują się brakiem jedzenia, inni ćwiczeniami. - Znowu na mnie patrzy. - A niektórzy i jednym, i drugim.

Poprawiam się na fotelu. Odwracam głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Nie odchudzam się. Proszę się o mnie nie martwić.

- Martwię się o ciebie. - Skręca w lewo, w stronę wzgórz Mystic, chcąc zawrócić.

- Zabieram cię do domu. A jeśli znowu wyjdiesz biegać, zapukam do drzwi i powiem o wszystkim twoim rodzicom.

- Czy może mnie pan podrzucić do Richiego? - pytam cicho. - On mieszka tylko dwa domy dalej. Poczuję się lepiej, jeśli będę mogła choć chwilę z nim porozmawiać.

- Wiem, że nic nie powiem Richiemu, ale chcę go tylko zobaczyć, usłyszeć, poczuć wokół siebie jego ramiona. Richie zawsze był dla mnie pociechą. Nawet teraz, po śmierci.

Spotkanie się z Richiem Wilsonem nie wychodzi ci na dobre, Liz. Wszyscy to widzą. - Pan Riley kręci głową.

- Powinienem porozmawiać z twoimi rodzicami o nim. Czy oni wiedzą, czym on się zajmuje... w wolnym czasie?

Udaję chodzącą niewinność.

- Co pan ma na myśli? Że jest najlepszym uczniem w klasie? Że chce zostać pisarzem? Że jego ulubionym poetą jest John Keats, a ulubioną książką „Buszujący w zbożu”? Tak. Wiedzą, jaki Richie jest wspaniały.

- W porządku. Rozumiem. Liz Valchar, popularna dziewczyna, nie ma czasu na

rozmowy od serca ze swoim trenerem. Chcesz łamać wszelkie zasady? Biegać bez odblasków, umawiać się z handlarzem narkotykami. świetnie. Nie zawsze wszystko będzie uchodziło ci na sucho. - Patrzy na mnie, skręcając w główną ulicę Mystic, prowadzącą do Noank. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Ma tyle racji, że gdybym mogła go teraz dotknąć, to- bym go uderzyła. Zamiast tego moje żywe ja musi szybko mrugać, jeszcze i jeszcze raz, żeby powstrzymać łzy.

Resztę drogi pokonujemy w prawie zupełnym milczeniu. Kiedy skręcamy w High Street, pan Riley mówi:

- Liz, jesteś pewna, że nie chcesz ze mną o niczym porozmawiać?

To było zanim zaczęłam biegać do jego domu. Zanim on uznał, że cokolwiek złego się dzieje, przerasta go, jest zbyt wielkie, żeby wpuścić to do swojego życia.

Biorę głęboki oddech, wycieram oczy.

- To tu, po prawej - mówię. - Dwa domy przed moim.

Pan Riley parkuje przed domem Richiego. Jedyne światło pali się w sypialni mojego chłopaka, który siedzi w oknie, z jedną nogą przerzuconą na zewnątrz i pali papierosa.

- Co za poza! To dopiero chłopaka sobie znalazłaś. - Przerywa. - Jesteśmy na miejscu. W takim razie chyba do zobaczenia jutro.

- Chyba tak.

- Jesteś pewna, że nie chcesz...

- Chcę. Ale jeszcze nie teraz. Dobrze?

Kiwa głową.

- Dobrze.

Otwieram drzwi, ale zanim zdążę postawić stopę na chodniku, pan Riley kładzie

mi dłoń na ramieniu.

- Liz, mój Boże.

- Co? - Kiedy otworzyłam drzwi, w samochodzie zapaliło się światło i pan Riley patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. - O co chodzi? Dlaczego pan mi się tak przygląda?

On bierze między palce kosmyk moich włosów.

277

- Niech mnie diabli - szepcze, podnosząc go, żeby mi pokazać. - Ty siwiejesz.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Co kilka dni Joe Wright składa wizytę w mieszkaniu Vince'a Aiello na pozór, żeby upewnić się, że nie nachodzi go Richie. To jeden z warunków nadzoru Richiego, musi trzymać się od Vince'a w odległości nie mniejszej niż półtora kilometra, ale Vince nie wygląda na osobę, która miałaby ochotę wzywać gliny z powodu złamania zakazu zbliżania się.

Nigdy ani przez chwilę nie wierzyłam, że z własnej woli spotykałam się z Vince'em. Teraz, kiedy wiem, że to ja zabiłam Aleksa, potrafię sobie wyobrazić przebieg wydarzeń. W jakiś sposób Vince domyślił się, że tamtej nocy spowodowałam wypadek, i dlatego mnie szantażował. Ponieważ wiem to, co wiem, wyjaśnienie wydaje się

294

oczywiste, ale Joe tego wszystkiego nie wie - bo i skąd? I mimo że potrafię poskładać wszystkie elementy razem, wciąż nie mam żadnych wspomnień, które mogłyby potwierdzić moje podejrzenia.

Nawet jeżeli wspomnienia nadejdą - o ile w ogóle - to co z nimi pocznę? Niewiele mogę udowodnić z za grobu. Nie mam komu o tym powiedzieć. Zabrakło nawet Alek-

sa.

W pewien deszczowy wtorkowy wieczór w połowie października Joe jedzie do mieszkania Vince'a. Widziałam, jak wychodził z posterunku, i poczułam, że powinnam pójść za nim. Miałam rację, pojechał prosto do Covington Arms.

Minął tydzień od dnia, w którym mój ojciec ogłosił, że sprzedaje dom, i od tamtej pory w mojej rodzinie panuje ponura atmosfera, delikatnie to ujmując. Tata prawie przez cały czas mieszka na łodzi. Nadal nie pracuje. Josie chodzi do szkoły, a Nicole pakuje pudła, ale dokąd zamierza je zabrać? Nie wiem, czy się rozwiodą, czy przeprowadzą się gdzieś wszyscy razem. Nic nie wiem. Czuję się zagubiona. Jestem zagubiona.

Vince ogląda Nature Channel, z uwagą śledzi program o słońiach. Jest sam, tylko pies, Rocky, leży u jego stóp i śpi z łbem na wyciągniętych łapach. Najwidoczniej facet naprawdę kocha zwierzęta. Dochodzę do wniosku, że odróżnienie dobra od zła jest czasami niezwykle trudne. Oto Vince, o którym wiem, że jest zły, ogląda słońie taplające się w kałużach i uśmiecha się lekko z podziwem. Nie robi nic złego, nie przegląda „Playboya” ani nie pali trawki. Charakter człowieka rzadko bywa czarno-biały. Występuje w nim wiele odcieni szarości.

Kiedy Joe puka do drzwi, Vince wyraźnie zirytowany zerka w kierunku, z którego dochodzi stukanie. Choć nie robi nic złego, nienawidzę tego miejsca, wołałabym być wszędzie, tylko nie tu. Ale nie mam wyboru. Muszę usłyszeć, co powiedzą, muszę sobie przypomnieć. Nawet jeśli to nic nie zmieni, pragnę wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. To jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy, żeby wreszcie mogła się stąd wydostać, z tego życia, i odejść tam, gdzie jest Alex, a może i moja matka. Otwierając drzwi, Vince kaszle tak, że prawie wypluwa płuca, świeżo zapalony

papieros zwisa mu z ust.

- Och, to pan. - Nawet nie ukrywa sarkazmu. - Co za miła niespodzianka.

- Pomyślałem, że pewnie już się za mną stęskniłeś. - Joe opiera się o framugę. Na-

295

uczyłam się, że gliny są jak wampiry, nie mogą wejść do środka, dopóki ich nie zaprosisz. Pewnie jeżeli mają wystarczająco dobry pretekst, mogą się wepchnąć bez zaproszenia, ale na razie Vince był spokojny jak anioł.

Vince zerka na telewizor.

- Jestem trochę zajęty. - Znowu kaszle. - Wrzuciłem dzisiaj na luz. Chyba łapie mnie grypa.

- Cóż, słyszałem, że odpalanie jednego papierosa od drugiego bardzo temu sprzyja

- mówi Joe.

- Cha, cha. Proszę posłuchać, Richiego Wilsona tu nie ma. Nie nachodził mnie.

Nie musi pan ciągle do mnie przyjeżdżać. Sam potrafię się sobą zająć.

- Nie wątpię w to. - Joe zagląda przez ramię Vince'a do obrzydliwego mieszkania.

Jego wzrok zatrzymuje się na słoniach, które właśnie galopują po jałowej ziemi. -

Mogę wejść?

Vince mruży oczy.

- Po co?

- Mam kilka pytań.

- Na jaki temat?

- Na temat Liz Valchar. - Joe krzyżuje ramiona. - Była dla ciebie kimś wyjątko-

wym, prawda? Nie chcesz zrobić wszystkiego, co w twojej mocy, żeby pomóc w jej

sprawie? - Zauważam, że nie używa słowa „zamknąć”, „rozwiązać” ani „morderstwo”.

Vince wyciera rękawem ciekący nos.

- Oczywiście, że chcę. Jasne. Proszę wejść.

Siadają na kanapie. Joe sadowi się wygodnie i czeka, aż Vince skupi na nim pełną uwagę.

Jednak zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, odzywa się Vince.

- Miałem wrażenie, że jej sprawa została, no wie pan, zamknięta. Wpadła do wody, prawda? Tak mi pan powiedział.

296

- Sądzymy, że tak właśnie się stało. Ale moja praca polega na tym, żeby wszystko dokładnie sprawdzić.

- Cóż, ja mam alibi, jeśli to chce pan usłyszeć. To znaczy kochałem ją i nigdy bym jej nie zabił. Brał pan pod uwagę Richiego Wilsona? Może on ją popchnął?

Joe patrzy na niego uważnie.

- Kochałeś ją?

- No... tak.

- Myślałem, że to Richie ją kochał. Twierdzi, że była miłością jego życia. Czy nie dlatego chciał cię zabić? Bo miałeś z nią romans?

- Człowieku, skąd mogę wiedzieć? Koleś jest całkiem pokręcony. Pyta pan nie właściwego faceta. Jego dziewczyna robiła skoki w bok z innym, z kimś takim jak ja, więc nic dziwnego, że gość zwariował. - Vince zawzięcie kiwa głową. - Tak, to ma sens. Naprawdę dostrzegłem w tym sens, kiedy pan o tym wspomniał. Facet jest pieprzonym dostawcą narkotyków. To świrus.

On jest twoim dostawcą narkotyków - mówi Joe.

Vince waha się.

- Cóż... tak. - Wygina usta w leniwym uśmiechu. - Teraz już nie jest.

To, co mówi Vince, to bzdury. Wyraźnie widać, że kłamie, i nie mogę uwierzyć, że Joe od razu go nie aresztuje albo przynajmniej nie zostawi wezwania na posterunek. Może i się ze mną zadawał, ale na pewno mnie nie kochał. To jasne.

Jednak Joe otwiera tylko swój wysłużony kołnotatnik i przegląda zapiski.

- Powiedziałeś, że zacząłeś spotykać się z Liz mniej więcej rok temu?

Uhm... tak.

- I spotykałeś się z nią aż do jej śmierci?

- Tak. Człowieku, już ci to wszystko mówiłem.

- W porządku. Po prostu... cóż, zastanawiam się, co robiliście razem, żeby się zerwać.

W oczach Vince'a miga prowokujący błysk.

297

- Jestem pewien, że potrafi pan to sobie wyobrazić.

- Rozumiem. Uprawialiście seks?

- No pewnie.

Nie uprawialiśmy. Tego jestem absolutnie pewna.

- I ona... lubiła to.

- Najwidoczniej. - Vince znowu obleśnie się uśmiecha.

- Jak myślisz, Vince, dlaczego? Nie chcę być nieuprzejmy, ale taki facet jak ty z taką dziewczyną jak Elizabeth Valchar... Wiesz, to nie bardzo do siebie pasuje.

Vince wzrusza ramionami.

- To się nazywa słabość do niższych sfer. Słyszał pan piosenkę Billy'ego Joela „Uptown Girl”? - i zaczyna nucić, pstrykając do taktu palcami.



Jest pewien problem, Vince. Czy ty i Liz kiedykolwiek poszliście do kina? Do restauracji? Czy umawialiście się na prawdziwe randki?

Vince kręci głową.

- Nie lubiła wychodzić z domu. Jeśli pan rozumie, o czym mówię.

- Aha. Czyli nikt nigdy nie widział was razem.

- Tak chciała. Mówiłem panu, byłem jej małą grzeszną tajemnicą.

Joe wzdycha. Dopiero teraz zauważam, że trzyma pod pachą szarą kopertę. Wyjmuję ją, kładzie na stoliku do kawy.

- Myślę, że mnie okłamujesz, Vince. A wiesz dlaczego?

Vince marszczy brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ spędziłem dużo czasu na rozmowach z Richiem. Opowiadał mi o Liz.

Rozmawiałem z jej rodziną i przyjaciółmi. Poznałeś kogoś z jej przyjaciół?

Vince kręci głową.

- Mówiłem panu, że to nie był związek tego rodzaju.

298

- Rozumiem. Liz miała swoje tajemnice. - Joe prawie się uśmiecha. - Wiesz, co jest charakterystycznego w tajemnicach? Nie pozostają tajemnicami zbyt długo. Nie-

ważne, jak bardzo się starasz, zawsze ktoś się czegoś domyśli. - Bierze głęboki, spokojny oddech. - Liz miała przyjaciółkę, Caroline. Wczoraj długo z nią rozmawiałem.

- Tak? - Vince patrzy prosto przed siebie. - To musiała być bardzo ciekawa rozmowa.

- Masz rację. Ta przyjaciółka, Caroline, od dawna martwiła się o Liz. Caroline wiedziała, że coś jest nie tak, ale nie wiedziała, co dokładnie. - Kiwa głową. - Miała

jednak pewną teorię.

Obaj przez chwilę milczą, Joe czeka na jakąkolwiek reakcję Vince'a. Ale on tylko siedzi nieporuszony faktem, że prawda zaczyna wychodzić na jaw.

- W każdym razie - kontynuuje Joe - od miesiący próbowałem dowiedzieć się o Liz wszystkiego, co tylko możliwe, i po prostu nie kupuję tej bujdy, że ona chciałaby mieć cokolwiek wspólnego z takim facetem jak ty. Myślę, że spotykała się z tobą wbrew swojej woli. Przypuszczam, że posiadałeś pewne informacje na jej temat, a ona zrobiłaby wszystko, żebyś zachował je w tajemnicy. - Przerywa. - Czy mówi ci coś nazwisko Alex Berg?

Vince ogryza paznokieć.

-- Nie.

- Naprawdę? To dziwne. Ponieważ kiedy przesłuchiwałem Richiego na posterunku, coś mi powiedział. Mówił, że biega po Noank, myśląc o Liz. I że prawie za każdym razem ląduje w tym samym miejscu. Pod domem Aleksa Berga.

- I co z tego? - pyta Vince lekko obronnym tonem. - Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Na początku nie sądziłem, żeby to miało coś wspólnego z tobą, ale ta sprawa nie dawała mi spokoju. Czułem, że te wszystkie elementy muszą do siebie pasować - ty, Liz, Alex, Richie, Caroline - tylko nie wiedziałem jak. - Joe wskazuje ruchem głowy stolik. - Chcę, żebyś zajrzał do tej koperty.

Klaszczę w dłonie.

- Tak! - krzyczę, stając na palcach, chociaż moje stopy przeszywa ból. - Tak! Uda-

Vince otwiera kopertę drżącymi rękami. Spodziewam się, że zobaczę te same zdjęcia, na których widok już tyle razy czułam mdłości.

Jednak patrzę na coś innego.

Z fotografii spogląda na nas Alex. Taki, jakim zapamiętałam go tamtej nocy: mokry, połamany, martwy. Patrzenie na niego teraz wcale nie jest łatwiejsze.

Vince w milczeniu przegląda zdjęcia. Za fotografią Aleksa jest pięć różnych zdjęć roweru: pogiętego, leżącego daleko od ciała.

- Co to jest? - pyta Vince. Jego głos drży minimalnie, ale to wystarczy.

- Oglądaj dalej - zachęca Joe lekkim, niemal konwersacyjnym tonem. - Przyjrzyj się dobrze następnemu.

To zbliżenie roweru Aleksa. Natychmiast wiem, o czym mówi Joe. Z tyłu jednego z pedałów widnieje tak maleńka, że prawie niewidoczna czerwona plamka.

- Widzisz to? - pyta Joe.

Vince kiwa głową.

- Krew. I co z tego?

- To nie krew. To farba.

Vince upuszcza zdjęcia na kolana.

- Już panu mówiłem, nie mam pojęcia, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

- Według ciebie - ciebie, Vince - naprawiałeś samochód Elizabeth tydzień po tym, jak ten chłopiec, Alex Berg, został zabity w wypadku drogowym. Sam mi powiedziałeś, że tak się poznaliście. Pamiętasz? Nie chciała zgłaszać tego do ubezpieczenia, chciała, żeby samochód został jak najszybciej wyklepany. I bez rozgłosu. Mam rację?

Vince tylko kiwa głową.

- Myślę, że zauważyłeś coś, kiedy naprawiałeś jej samochód. Sądzę, że domyśliłeś

się - tak samo jak ja - że to ona zabiła tego chłopca. Tej nocy, gdy zginął, padało. Liz pewnie obejrzała swój samochód w poszukiwaniu krwi i jakichkolwiek śladów świadczących, że spowodowała wypadek. Ale nie zajrzała pod przedni zderzak, prawda?

Vince mocno przygryza wargę. Nic nie mówi.

300

- Myślę, że znalazłeś pod jej zderzakiem farbę z roweru Aleksa. Wiedziałeś, że ponosiła winę za śmierć chłopca. Myślę, że zacząłeś ją szantażować. Co zrobiłeś? Zagroziłeś, że pójdziesz na policję, jeśli się z tobą nie prześpi?

Vince pociąga nosem. Wygląda jak zwierzę w klatce.

- Ta mała suka - mówi - traktowała mnie gorzej niż błoto na obcasie jej cholernego pantofelka.

- Powiedz mi, co się stało - nalega Joe. - No, dalej. Oczyszczyć sumienie.

Vince oblizuje wargi. Uśmiecha się.

- Przykro mi to mówić, ale nie mam pieprzonego sumienia.

- Nie wątpię. - Joe wstaje i sięga po kajdanki. - Wstawaj. Jesteś aresztowany.

Rozpoznaję wspomnienie od razu, gdy tylko się przede mną pojawia: stoję w pokoju Richiego i proszę go, żeby pojechał ze mną odebrać samochód.

Ale Richie nie chce mnie zawieźć do warsztatu Vince'a.

- Mam pracę domową - mówi przeproszająco, podczas gdy ja stoję na środku jego sypialni i wydymam wargi.

- Jaką pracę? Richie, to nie zajmie więcej niż godzinę. No chodź. - W ręku trzymam kluczyki od jego samochodu. [estem wystrojona, gotowa do wyjścia. Ale nie mogę sama pojechać jego autem, nie będę miała jak nim wrócić.

- Piszę wypracowanie z literatury. O „Makbecie”. Chcesz przeczytać to, co już na-

писаłem? Miało być tylko dziesięć stron, ale wyszedł mi konspekt na dwanaście. To

będzie naprawdę dobre, Liz.

Marszczę czoło. Wyglądam, jakbym miała się zaraz rozpłakać. Najwidoczniej Richie nie rozumie powagi sytuacji.

- Richie. Kogo obchodzi „Makbet”?

- Mnie. Przeczytałaś chociaż tę sztukę?

Naprawdę tupię nogą ze złości.

301

- Wiesz, że wolę ściągę, Richie. To tylko głupia sztuka.

- Liz, przykro mi. Jutro musimy oddać wypracowanie. Ty swojego pewnie jeszcze nawet nie zaczęłaś, co?

W tej chwili rozumiem - o czym Richie nie wiedział wtedy i czego nie wie teraz - że miałam dużo, dużo poważniejsze zmartwienia. Muszę odzyskać samochód, zanim moi rodzice w ogóle zauważą, że zniknął. Poza tym na pewno uda mi się wyprosić przedłużenie terminu na wypracowanie.

Richie przeczesuje dłonią potargane włosy.

- Nie możemy odebrać samochodu jutro? Podwiozę cię tam zaraz po szkole, obiecuję.

- Musimy to zrobić dzisiaj! - Prawie skrzeczę, tak desperacko chcę odzyskać auto.

- Richie, wiem, myślisz, że zachowuję się idiotycznie i przesadzam, ale potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

- Liz, nie myślę, że zachowujesz się idiotycznie i przesadzasz, tylko to widzę. Proszę. - Wkłada rękę do kieszeni i wyciąga pełną garść banknotów i monet. - Tyle ci wystarczy. Pojedź autobusem. To nie zajmie ci więcej niż dziesięć minut.

Ze zdumienia otwieram usta.

Mam jechać autobusem? - powtarzam z niedowierzaniem. - A jak ja, do cholery, według ciebie wyglądam? Jak bezdomna? A jeżeli ktoś będzie mnie zaczepiał? A jeśli będzie zamach? Nie widziałeś tego filmu, w którym kobieta wsiada do autobusu, a w środku jest bomba?

- Masz na myśli „Speed”? - Parska. - Liz, w autobusie nie będzie żadnej bomby. -

Podchodzi do mnie, dotyka moich włosów, całuje mnie w usta. - Dobrze ci to robi.

Poszerzysz swoje horyzonty. Jedź autobusem, kochanie, a kiedy wrócisz, opowiesz mi, jakie to było okropne przeżycie.

Nie mam wyboru, prawda? Biorę pieniądze z jego wyciągniętej dłoni.

- Och, uwierz mi, opowiem ci ze wszystkimi szczegółami. - Wychodząc, dodaję przez ramię: - Jeśli wrócę żywa!

No i jestem sama w niedzielne popołudnie w opuszczonym warsztacie. Próbowałam namówić Josie, żeby pojechała ze mną, ale powiedziała, że jej noga nigdy w życiu nie postanie w autobusie. Zaskakujące, ale w sumie nie było tak źle. Prawie wszyscy wyglądali normalnie. W miarę normalnie, to znaczy jak na autobus.

302

Mój samochód stoi przed warsztatem. Wygląda jak nowy. Kiedy go oglądam, podchodzi do mnie Vince z buldogiem, Rockym, przy nodze. Zauważam, że pies nie jest na żadnym łańcuchu ani smyczy.

- Chcę tylko moje kluczyki - mówię. - Muszę wracać do domu.

Vince kiwa głową. Rocky wpatruje się we mnie, ślina zwisa mu z pyska. Próbuję się uśmiechnąć do psa, ale on zaczyna głośno szczekać.

- A więc... moje kluczyki. Gdzie one są?

Vince opiera się o samochód, przyciska brudne ogrodniczki do lśniącej czerwonej farby. Wiem, że nie miałam wyboru, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że przyjechałam tu sama. Nie mogę uwierzyć, że Richie pozwolił mi przyjechać samej. Autobusem. Znając siebie, jestem pewna, że usłyszysz, co na ten temat myślę, bez względu na to, czy musi skończyć wypracowanie, czy nie.

- To może cię zaskoczyć - zagaja Vince, dłubiąc małym palcem w ucho - ale jestem wielkim fanem lokalnych wiadomości.

Krzyżuję ramiona na piersi.

- I co z tego? Gazety też czytasz? Na pewno wyjdzie ci to na dobre. Daj mi moje kluczyki.

- A właśnie tak, czytam gazety. Zaskoczona, co? Myślałaś, że jestem analfabetą.

Połykam gumę, którą żułam. Mimo że jestem w pełnym makijażu i mam idealnie ułożone włosy, moja twarz przybiera odcień popiołu, oczy są przekrwione. Nie byłabym zaskoczona, gdybym poprzedniej nocy w ogóle nie zmrużyła oka. Zapewne wertowałam stare szkolne albumy w poszukiwaniu fotografii Aleksa. Wyobrażam sobie siebie, jak wpatruję się w te zdjęcia, próbując zastąpić nimi obraz, który mam wyryty w pamięci: zakrwawiona twarz, oczy pełne rozpacz, drżące usta, walczące o ten ostatni, najcięższy oddech.

- Nie myślałam, że jesteś analfabetą. - Dlaczego w ogóle z nim rozmawiam? Powinna wyrwać mu kluczyki z brudnej dłoni - są tutaj, na wyciągnięcie ręki - i wynosić się stąd.

- W każdym razie zauważyłem coś cholernie ciekawego. Wiesz, że w zeszłym tygodniu jeden chłopak został zabity, kiedy wracał na rowerze z pracy? Dopiero kilka dni temu znaleźli jego ciało. Słyszałaś o tym?

Kładę rękę na brzuchu. Pewnie mi niedobrze. Patrząc na swoje spotkanie z Vincem, dziwię się, że jeszcze nie zwymiotowałam. Założę się, że rano nic nie jadłam. Kontrola. W tym wszystkim chodzi o kontrolę. A raczej - z czego teraz zdaję sobie sprawę - o złudzenie posiadania kontroli. I prawdopodobnie nie pozwolę sobie na lunch po powrocie do domu, może pójdę pobiegać. Oczywiście po tym, jak już naga-dam Richiemu.

- Słyszałam o tym. - Staram się z całych sił, żeby mój ton brzmiał lekko. - Kierowca uciekł z miejsca wypadku. Coś okropnego. Ale co to ma do rzeczy?

- Cóż, całkiem sporo, Liz. A może Elizabeth? Czy mogę nazywać cię Elizabeth?

- Nie.

- W porządku, Elizabeth. Pozwól, że przejdę do sedna sprawy. - Jego wargi wyginają się w pełen satysfakcji uśmiech. - Wjechałaś w tego chłopaka, prawda? Wiedziałem, że kłamiesz z tym parkometrem, twoja historyjka nie trzymała się kupy. - Patrzy na mnie drwiąco. - Jaki kretyn uderza w parkomat? I to jeszcze prawą stroną zderzaka? - Vince kręci głową. - Nie. To bez sensu.

Cała się trzęsę. Guma, wymioty, cokolwiek jest w moim żołądku, podchodzi mi do gardła.

- Mylisz się. Ja w niego nie wjechałam.

- Cóż, zrobiła to osoba, która prowadziła twój samochód. Jestem tego cholernie pewien. Widzisz, Elizabeth, pomimo że to było zlecenie na lewo, zrobiłem, jak zawsze zdjęcia mojej pracy. To mi weszło w nawyk przez te wszystkie lata. I kiedy robiłem zdjęcia, zauważyłem to. - Z tylnej kieszeni wyjmuję fotografię, którą mi podaje. To zdjęcie spodniej strony mojego zderzaka. W miejscu, którego nie zauważyłam pod-



czas oglądania samochodu, widnieje mała plamka błękitnej farby otoczona kilkoma zadrapaniami. - Niebieska - mówi Vince, jakby trzeba było jeszcze coś tłumaczyć.

- Jak rower tego chłopaka. Mam rację?

Patrzmy na siebie. Cała się trzęsę, moja dolna warga drży. To by się nie wydarzyło, gdyby Richie tu był.

Prawda? On by mnie ochronił. Ale go tu nie ma, a ja jestem sama z Vince'em i jego paskudnym psem i on może zrobić ze mną wszystko, co zechce. Wszystko. To gorsze niż bomba w autobusie. To koszmar. Jednak część mnie wie, że na to zasłużyłam.

304

Zabiłam człowieka. Takie rzeczy nie uchodzą ludziom na sucho. Nawet takim ludziom jak ja.

- Czego chcesz? - pytam.

Vince znowu się uśmiecha.

- Mnóstwa rzeczy. Zacznijmy od pięciuset dolców. Możesz je przynieść do mojego mieszkania pod koniec tygodnia. - Mierzy wzrokiem moją sylwetkę. - Nie, nie pod koniec tygodnia. Przynieś je jutro. Może przy okazji trochę się zabawimy, co ty na to?

- Pięćset dolarów - mówię. - To wszystko. Nic więcej.

Vince unosi jedną brew.

- Obawiam się, że ty już nie dyktujesz warunków, Elizabeth. Pięćset dolarów. Ty i to twoje gorące ciało, w moim mieszkaniu, sama. Jutro. Inaczej pójdę do glin i pokażę im zdjęcie. Chyba tego nie chcesz, co?

Kręcę głową. Płaczę.

Vince podaje mi kluczyki.

- Mieszkam w Covington Arms. Mieszkanie numer dziewięć. Do zobaczenia jutro,

ty piękna suko.

W drodze powrotnej do Noank dwa razy zjeżdżam na pobocze przy akompaniamencie ryku klaksonów i ciepłych słów pozostałych kierowców. Płaczę tak strasznie i tak się trzęsę, że muszę przystanąć jeszcze raz, zanim wjadę na swoją ulicę, żeby się pozbierać. Jaki miałam wybór? Albo zrobić to, czego chce Vince - co, jak wiem, w końcu zrobiłam - albo przyznać się, że jestem odpowiedzialna za śmierć Aleksa.

Wiem, że nie będę miała kłopotów ze zdobyciem pieniędzy, ale jestem przerażona na myśl o tym, co on może zrobić fizycznie. Przynajmniej wiem, że nie będę uprawiała z nim seksu. Na litość boską, jestem dziewicą. Zachowuję cnotę dla Richiego. Nie przepię się z Vince'em Aiello. Nie przespałam się z Vince'em Aiello.

Udaje mi się pozbierać na tyle, że kiedy wjeżdżam na podjazd przed domem i widzę Richiego, który pali w oknie papierosa, macham i zmuszam się do słabego uśmiechu.

- Udało ci się! - woła. - I żyjesz. - Uśmiecha się szeroko. - Rozumiem, że w autobusie nie było tak źle?

Kiwam głową.

305

- Przyjdiesz do mnie? Już prawie skończyłem i chciałbym, żebyś przeczytała. -

Rzuca niedopałek na trawnik. - Może dowiesz się czegoś o „Makbecie”. To naprawdę świetna historia. Na pewno ci się spodoba.

Patrzę na niego, osłaniając oczy przed słońcem.

- Idę pobiegać! - odkrzykuję.

- Znowu? - Marszczy brwi. - Nie biegałaś dziś rano?

- Zaczął się sezon biegów na przełaj. - Wzruszam ramionami. To bardzo liche wy-

tłumaczenie.

- Och. No dobrze. Wpadniesz później? - Patrzy na mustanga. - A tak przy okazji, samochód wygląda świetnie.

- Tak, to prawda. Pewnie, że wpadnę. Wieczorem. Dobrze?

- Dobrze. - Wstaje, podchodzi do okna i po namyśle dodaje: - Hej, przepraszam, że z tobą nie pojechałem. Ale dałaś sobie radę, prawda? Vince nie gryzie.

Zamykam oczy. Wyglądam, jakby znowu miała zacząć płakać.

- Miałaś rację - mówię. - Było w porządku.

- Dobrze. Kocham cię, Liz.

- Ja ciebie też kocham.

W domu Josie drzemie na kanapie w salonie. Na stoliku do kawy stoi puszka dietetycznego napoju i na pół opróżniona miska popcornu. Ogląda jakiś głupi reality show, jednocześnie próbując czytać „Makbeta”, jednak widzę, że przeczytała nie więcej niż kilka stron. Wcale jej się nie dziwię, Richie jest jedyną znaną mi osobą, która uwielbia Szekspira. Pamiętam, że mnie on przed śmiercią zawsze usypiał. Najwidoczniej tak samo działa na Josie.

- Hej. - Mocno nią potrząsam. - Musimy porozmawiać. Natychmiast.

- Co? - Siada, nie całkiem jeszcze przytomna. - Odebrałaś samochód? Naprawiony?

- Chodź do mojego pokoju.

- Rodzice jeszcze nie wrócili. Możemy rozmawiać tutaj.

306

- Nie - zaprzeczam z uporem. - Mój pokój. W tej chwili.

Opowiadam jej wszystko, a ona siedzi po turecku na łóżku. Oczy ma szeroko

otwarte.

- Chryste - szepcze. - Co my zrobimy, Liz?

- Nie wiem. A jaki mamy wybór? Zapłacę mu.

- I zamierzasz zrobić to... no wiesz, to czego on jeszcze zażąda?

Nic nie mówię.

- A co z Richiem? - drażny. - Jeżeli zrobisz cokolwiek z Vince'em, to tak, jakbyś go zdradzała.

Wzdrygam się na słowo „zdrada”.

- To nie będzie tak. Nie mam wyboru. Josie... ty też byłaś w tym samochodzie. -

Zamykam oczy. - To nie wydaje się sprawiedliwe.

Bierze głęboki oddech i kiwa głową.

- Chyba nie jest. Ale Liz... to ty prowadziłaś.

Aż otwieram usta ze zdumienia.

- To nie fair, Josie. To ty nie zadzwoniłaś po pomoc.

Josie kręci głową.

- To by nic nie zmieniło. On i tak by umarł.

- Może. - Milknę. - Ale nie mogę przestać o tym myśleć. Uczyniłabym wszystko, żeby cofnąć czas.

- Ale nie możesz. Stało się, a teraz musisz to zrobić, bo inaczej obie wylądujemy po szyję w gównie. Po prostu idź tam jutro, daj mu pieniądze i na tym koniec. Dobrze?

A potem będziemy mogły o wszystkim zapomnieć.

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ale co z Alekssem? Co z jego rodziną? Oni nie zapomną. Josie, zrujnowaliśmy im życie. Zabiłyśmy go.

Przygryza wargę. Długo milczy. W końcu mówi:

- Liz, nie my go zabiłyśmy. Ty to zrobiłaś. Ja tylko wsiadłam z tobą do samochodu.

- Tak strasznie cię przepraszam. - Znowu zaczynam płakać. - Tak mi przykro, że cię w to wszystko wpakowałam, tak mi przykro z powodu Aleksa... może powinnam po prostu pójść na policję? Może powinnam się zgłosić? Nie wiem, czy mogę to zrobić, Josie. Nie wiem, czy potrafię zrobić to, czego chce Vince. Nie wiem, czego on oczekuje, ale cokolwiek to jest...

Nie! Musisz zrobić to, czego on chce. Liz, po prostu to zrób. - Wyciąga rękę i głaszcze moje blond loki matą dłonią. Jeden z jej paznokci zaczepia o włosy i krzywię się, kiedy go wyszarpuje. - Musisz to zrobić, Liz. Nie możesz nikomu powiedzieć, co się stało. Nikomu. Ani policji, ani Richiemu, nikomu. Rozumiesz?

Kiwam głową.

- Wpakowałybyśmy się w potworne kłopoty. To by zrujnowało nasze życie, i po co? - Brakuje jej tchu. - Troszczę się o ciebie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Uśmiecha się blado. - Jesteśmy siostrami. Obiecuję, nic złego ci się nie przydarzy. Nie pozwolę na to. To wszystko niedługo się skończy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wiadomość o aresztowaniu Vince'a za szantaż, wyłudzenie i seksualne wykorzystywanie nieletnich - rozchodzi się niemal natychmiast. Słyszę o tym w domu Richiego w porannym programie informacyjnym.

Rodzina tego biednego chłopca - mówi pani Wilson. Ma na myśli Aleksa.

Pan Wilson wkłada płaszcz. W wiadomościach nie podają żadnych szczegółów tej nocy, kiedy zginął Alex nie mówią, na przykład, czy byłam sama. I - przynajmniej według słów prowadzącego poranny program - moja śmierć nadal jest uważana za wypadek. Potworny koniec potwornej tragedii, która ciągnęła się od ponad roku.

- A ja podejrzewałam, że Liz ma jakiś problemy z jedzeniem - mówi pani Wilson.

- Chyba tak myślałam po tej historii z jej matką...

- To miało sens. - Pan Wilson jest gotowy do wyjścia. - Znikała w oczach. - Po-  
ciąga żonę za łokieć. - Teraz już wiemy, prawda? Widzisz, co może z człowiekiem  
zrobić nieczyste sumienie? - pyta Richiego.

Richie nie odpowiada. Nie porusza się. Jak zahipnotyzowany wpatruje się w tele-  
wizor. Wiem, że w jego głowie wszystkie części układanki wskakują na swoje miej-  
sce. Tak jak przez całą noc układały się w mojej, od chwili kiedy patrzyłam, jak Joe  
Wright zabiera Vince'a Aiello do aresztu.

- Jedziemy z twoim ojcem do miasta. Tylko na kilka godzin - mówi pani Wilson.

Patrzy podejrzliwie na syna. - Richard? Wszystko w porządku?

309

On powoli kiwa głową.

- Powiedz coś - nalega jego matka.

Richie odchrząkuje.

- Nic mi nie jest. To znaczy... Po prostu jestem w szoku, to wszystko.

- Wiem. To okropne. - Wzdryga się. - Ale Valcharowie się wyprowadzają. To do-  
brze. Wrócimy z ojcem po południu, w kuchni masz pieniądze na zakupy. Poradzisz  
sobie?

Richie znowu potakuje.

Pani Wilson mówi łagodniejszym tonem:

- Proszę, zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Od razu przyjedziemy. Kochamy cię. - Mierzwi mu włosy.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jakie to uczucie zanurzyć palce w tej gęstwinie.

- I cokolwiek zamierzasz - kończy pani Wilson, idąc z mężem do drzwi - nie idź do domu Valcharów. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się spotykać z Josie. Rozumiesz?

Richie nie odpowiada.

- Richard. Chcę usłyszeć odpowiedź.

- Tak, mam. Rozumiem.

Odczekuje, aż samochód rodziców zniknie z podjazdu. Patrzy przez okno, jak wóz skręca w lewo w High Street, po czym wychodzi frontowymi drzwiami i idzie prosto do mojego dawnego domu.

Josie siedzi wśród pudeł. Telewizor jest wyłączony. To sobota, więc nie ma lekcji, ale mogę sobie wyobrazić, jak moi koledzy z klasy będą plotkować w poniedziałek rano. Ciekawe, czy odbiorą mi koronę królowej jesieni. Przypominam sobie Aleksa, nasz wspólny taniec i chwile na estradzie. Pomimo okoliczności uśmiecham się. Mogą zabrać mi koronę. I tak nigdy na nią nie zasługiwałam.

310

Richie wchodzi bez pukania. Josie jest w domu sama. Tata siedzi na łodzi, a Nicole nigdzie nie widać.

Staje w drzwiach salonu. Moja przyszywana siostra siedzi na podłodze oparta plecami o kanapę i przegląda stary album ze zdjęciami.

- Słuchałaś wiadomości? - pyta Richie.

- Żadnych wiadomości w tym domu. Jestem odcięta od świata. Nie mamy Internetu, a tata zabrał mi komórkę. Kabłówkę też odłączyli. Dlaczego pytasz?

- Aresztowali Vince'a Aiello za szantaż. I za kilka innych przestępstw. Wiedzą, że to Liz zabiła Aleksa Berga.

Josie robi się biała jak płótno.

- Co? - pyta. W jej głosie słychać nutę paniki.

- Tak. - Richie kiwa głową. - Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Pewnie właśnie w tej chwili gliny rozmawiają z naszymi przyjaciółmi, Josie, to było tej nocy, kiedy wracałyście we dwie z imprezy u Caroline, prawda? Pamiętam, kiedy to się stało. Kilka dni później Liz przyszła do mnie w sprawie samochodu. Gliny na to wpadną, Josie. Dowiedzą się, że byłaś z nią wtedy w aucie. Będiesz miała kłopoty.

Josie opuszcza głowę. Zaciska palce na okładkach albumu.

- Ale to nie ja prowadziłam - zaprzecza. - Nie zrobiłam nic złego.

- Wiedziałaś, co się stało, i nikomu o tym nie powiedziałaś. To przestępstwo.

- Byłam niepełnoletnia - protestuje. - Wciąż jestem niepełnoletnia. Co mi zrobią, zamkną mnie w więzieniu? Nie wiedziałam, jak to naprawić. Co miałam zrobić, Richie? Donieść na własną siostrę? Było już wystarczająco strasznie kiedy... - Przerywa.

Zamyka usta.

- Kiedy co? - Richie wchodzi do pokoju.

- Nic. - Josie potrząsa głową. - To było potworne i tyle. To wszystko jest potworne.

- Byłaś jej najlepszą przyjaciółką - mówi Richie. - Powiedziała ci, co robił Vince, prawda?



Josie nie nie mówi.

311

- To ty pokazałaś mi te zdjęcia. Pozwoliłaś mi wierzyć, że ona mnie zdradza. Wiedziałaś, że w końcu z nią zerwę. Wiedziałaś, że zapytam ją wprost. A gdybym to zrobił, co by powiedziała? Nie przyznałaby się. Zrobiłaś to celowo, tylko po to, żeby...  
żeby co, Josie? Żeby mnie jej ukraść? Kochałem ją. Nadal ją kocham.

W oczach Josie maluje się ból.

- Kochasz mnie - szepcze. - A ja kocham ciebie. Łączy nas miłość. Pokonaliśmy trudności, jak moja mama i tata. Powinniśmy być razem. Ona na ciebie nie zasługiwała.

- Nie zasługiwała na śmierć. Nie zasługiwała na to, co zrobił jej Vince. Ale jeśli myślisz, że nie zasługiwała na mnie, to wcale jej nie znałaś. - Richie kręci głową. -

Josie, nie łączy nas miłość. Zależy mi na tobie. Nie chcę, żebyś miała jeszcze więcej kłopotów, ale w tej sytuacji to nieuniknione. Nie byłbym zaskoczony, gdyby gliny już tu jechały. Będziesz musiała stawić czoło temu, co się stało.

Moja siostra ociera oczy.

- Masz rację. Chyba będę musiała.

- Tak strasznie żałuję... Boże, tak strasznie żałuję, że Liz się nie przyznała. Szkoda, że od razu tamtej nocy nie poszła na policję. Może by jeszcze żyła. Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Może.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Tak bardzo, że niewiele myśląc, chwytam się Richiego, żeby nie stracić równowagi.

Gdy tylko go dotykam, on cały sztywnieje. Po raz pierwszy od mojej śmierci je-

stem pewna, że czuje mój dotyk. Może nie wie, że to ja, ale coś czuje.

- Richie? - Josie pociąga nosem, wciąż płacze. - Co się stało? Dziwnie wyglądasz.

On tylko potrząsa głową. Puszczam go. Wciąż kręci mi się w głowie, ale łapię równowagę w tych cholernych butach, staję prosto, po czym siadam obok Josie na podłodze. Cały pokój wiruje, zupełnie jakbym miała zaraz zemdleć. Oddycham głęboko i próbuję się uspokoić.

- Co tam masz? - pyta Richie. Wciąż wygląda na wstrząśniętego.

- Nic takiego. Stary album ze zdjęciami. Z dawnych lat, zanim moja mama się

312

rozwiódła, kiedy byłam niemowlęciem.

- Zdjęcia z dzieciństwa, co? Mogę zobaczyć? - Widzę, że wcale nie ma na to ochoty. Chce uciec z mojego domu, uciec od Josie. Ale Richie jest uprzejmy, nie wyjdzie i nie zostawi jej samej, nie w ten sposób.

- Jasne. Siadaj.

Siedzimy we trójkę na podłodze, Josie w środku. Ogląda swoje zdjęcia jako noworodka w objęciach matki. Nicole i jej pierwszy mąż wyglądają na zachwyconych córeczką. W ich oczach nie widać ani cienia niezadowolenia, wyglądają na idealnie szczęśliwą rodzinę.

Już jako noworodek Josie miała wielkie oczy, którymi na zdjęciu wpatruje się w aparat. Na głowie ma grzywę rudych włosów.

Natychmiast sobie przypominam. Rozumiem. Oto jest: ostatni element układanki.

- To dziwne - mówi Richie.

- Co? - Josie kładzie rękę na jego nodze, jakby to był najbardziej naturalny gest na świecie.

Czuję się, jakby ktoś przekreślił kontakt i zapalił światło. Teraz wszystko staje się jasne. Wszystko ma sens. Oczywiście. Taka jest prawda. Zawsze tu była, czekała tylko, żebym sobie przypomniała.

„Uciekaj!” - chcę krzyknąć do Richiego, ale zamiast tego instynktownie łapię go za ramię. Nie sądzę, by to pomogło, ale muszę spróbować. Chcę, żeby wiedział. Żeby pojął. Żeby zrozumiał to, co ja już wiem.

- Uważaj na farbowanego rudzielca - mówi Richie. - Czy nie tak powiedział Liz ten facet medium w kościele spirytualistycznym?

- Och. Tak. Chyba tak. - Josie zabiera rękę z jego nogi. - Ale ja miałam rude włosy tylko do czwartego roku życia. Potem zmieniły się w... to. - Pociąga za kędziorki koloru brudnego blondu. - Farbuję je od lat.

- Ale kiedyś byłaś ruda - powtarza Richie, wpatrując się w nią.

Trzymam go tak mocno, jak tylko potrafię. Skupiam się. Koncentruję.

- Proszę - myślę - proszę, przypomnij sobie. Jesteśmy połączeni. Pokaż mi. Pokaż

313

jemu.

Jest po północy. Prawie wszyscy na „Elizabeth” śpią. Wszyscy oprócz Josie i mnie.

- Nasi przyjaciele to mięczaki - narzeka ona, pociągając solidny tyk z prawie pustej butelki piwa. - Coś takiego, nawet nie doczekali twoich prawdziwych urodzin! Ile jeszcze czasu zostało? Mniej niż dwie godziny.

Wstaję. Widać, że kręci mi się w głowie, chwieję się na nogach.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - mówię, wychodząc na pokład. - Chodź ze mną.

Schodzimy po stopniach łączących łódź z pomostem i stajemy na kołyszących się deskach. Noc jest cicha, wszyscy nasi przyjaciele śpią. Mam prawie osiemnaście lat i naprawdę bardzo poważne kłopoty.

- Musimy porozmawiać, Josie - mówię.

Ona patrzy na mnie podejrzliwie.

- O czym?

- Wiesz o czym. O Aleksie. O tym, co zrobiliśmy. Już dłużej tak nie mogę. Nie dam rady ani jeden dzień dłużej.

Na twarzy mojej siostry maluje się panika.

- Co takiego?

- Powiem panu Rileyowi co się stało, Josie. - Lekko bełkoczę. - Nie wiem, co zrobię później. Pewnie pójde na policję.

Kręci głową.

- Nie ma mowy. Liz, bądź poważna. Nic nikomu nie powiesz. Skończyłaś z Vince'em. To było tylko kilka zdjęć i trochę pieniędzy.

- On nigdy nie przestanie, Josie. Nieważne, ile mu dam, zawsze będzie chciał więcej. Za każdym razem, kiedy do mnie dzwoni, chce więcej pieniędzy, a teraz jeszcze na dodatek seksu. - Śmieję się głośno. - Możesz w to uwierzyć? On się spodziewa, że

314

będę uprawiała z nim seks. Nie zrobię tego. - Zdecydowanie kręcę głową. Pomost kołysze się łagodnie na wodzie. Przez chwilę wyglądam, jakbym miała stracić równowagę, jednak te buty wyglądają tak fantastycznie, że wykluczone, abym je zdjęła tylko po to, by stać pewnie na nogach. Doskonale dopełniają mój strój.

Widzę, że Josie robi, co w jej mocy, żeby zachować spokój.

- Liz, posłuchaj mnie. Jesteś pijana. Coś wymyślimy. Ale nie możesz nikomu powiedzieć. Rozmawialiśmy o tym. Obie wpadłybyśmy w bardzo poważne kłopoty. Minął ponad rok od wypadku. Po prostu... prześpij się z Vince'em. Co w tym może być aż tak strasznego?

- Nie wiem. Jestem dziewicą. Wiesz o tym.

- Cóż, kiedyś musisz przestać nią być.

- Chcę zachować to dla Richiego. Ona tylko parska. Nic nie odpowiada. Opieram ręce na kolanach.

- Strasznie mi się kręci w głowie. - Biorę głęboki oddech. - Chyba zemdleję, Josie.

- Włóż głowę między kolana - instruuje. - Oddychaj głęboko.

- Josie - mamrocze. - Muszę się napić soku. Możesz mi przynieść trochę soku?

Zemdleję.

- Tak. Poczekaj. - Wraca na łódź. Wchodzi do środka. Rozgląda się przez długą chwilę. Patrzy na moich śpiących przyjaciół: Tophera i Merę mocno objętych w jednym śpiworze. Richiego, który ulokował się na kanapie, Caroline, zwiniętą w kłębek na podłodze. Wszyscy śpią jak zabici. Nikt nie wie, że my jeszcze się nie położyliśmy, że jesteśmy same na pomoście. Nikt nic nie widzi.

Josie nie idzie do lodówki po sok. Wraca cicho na pomost i patrzy na mnie.

Jestem pijana. Jestem wyczerpana. Pewnie przebiegłam dzisiaj dobrych siedemnaście kilometrów - a może i więcej - i zapewne nie zjadłam nic poza kęsem tortu. W dodatku paliliśmy jointy. Teraz pamiętam to wszystko bardzo wyraźnie. Nie mogę uwierzyć, że w taki sposób traktowałam swoje ciało. Zupełnie jakbym chciała, żeby stało się coś strasznego. I zaraz się stanie.

Ja również wpatruję się w nią.

- Gdzie mój sok?

315

Cofam się o krok. Ona postępuje krok do przodu. Cofam się o jeszcze jeden, coraz mniej pewny, zaczynam tracić równowagę, a ona znów podchodzi bliżej.

- Liz, nie możesz nikomu powiedzieć. Wszystko zrujnujesz. Będziesz miała kłopoty. - Przełyka ślinę. - Mnie wpakujesz w kłopoty. To niesprawiedliwe.

- Muszę komuś powiedzieć. Powiem panu Rileyowi. On mi pomoże. On zrozumie. Josie, ja już nie mogę tak żyć. Czuję, że ta tajemnica mnie zabija.

Zataczam się w tył i desperacko usiłuję złapać równowagę. ale mój obcas zaczepia o brzeg pomostu. Wyciągam ręce do Josie, próbując się jej przytrzymać.

Ona patrzy na mnie przez bardzo długą chwilę - tak mi się wydaje, choć mija zaledwie kilka sekund. Nie robi nic.

Wpadam do wody. Na moment całe moje ciało znika pod powierzchnią, ale zaraz się wynurzam, młóczę rękami, wrzeszczę, żeby mi pomogła.

O tej porze roku woda jest lodowata, na pewno już mnie otrzeźwiła. Dalej macham rękami, próbując uchwycić się brzegu pomostu. Moja przyszywana siostra tylko patrzy, obserwuje, myśli. Podejmuje decyzję.

Nagle klęka. Wyciąga ramiona, jakby chciała mi pomóc, i na mojej twarzy maluje się ulga, kiedy - wdzięczna za pomoc - wyciągam ku niej dłoń.

Josie kładzie jedną rękę na moim ramieniu, a drugą na czubku głowy. Wpycha mnie pod wodę. Milczy, w jej oczach lśnią łzy, na twarzy ma wyraz żelaznej determinacji.

Bardzo długo trzyma mnie pod wodą. W końcu będę musiała zaczerpnąć powietrza. Nawet kiedy tylko patrzę, wszystko dokładnie pamiętam. Zupełnie jakbym prze-

żywała to jeszcze raz. Woda w moich płucach, nosie, wszędzie. Ach, jak potwornie pali, otwieram usta w niemym, podwodnym krzyku, cały świat obleka czerń.

*Dziś w nocy, przed dniem moich osiemnastych urodzin, umieram.*

Josie wstaje. Jest ubrana w koszulkę na ramiączkach i szorty, więc prawie wcale się nie zamoczyła. Ręce ma czerwone od lodowatej wody. Wchodzi na łódź, idzie do łazienki i wyciera się. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, bierze kilka głębokich oddechów, po czym wychodzi z łazienki, gasi światła na łodzi, kładzie się na łóżku i przykrywa kocem.

Leży tak przez chwilę i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w sufit. Potem, kilka minut po prawdziwym początku dnia moich osiemnastych urodzin, moja przy-

316

szywana siostra zasypia.

Kiedy otwieram oczy i patrzę na Richiego, od razu wiem: zrozumiał. Może nie widział wszystkiego tak wyraźnie jak ja, ale poczuł mnie. Już wie.

- Ty - szepcze, zrywając się na równe nogi i cofając powoli. - Ty zabiłaś Liz.

Josie przyciska palec wskazujący do ust. Nic nie mówi.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Richie nadal szepcze. - Dlaczego chciałaś ją skrzywdzić?

- Ona miała wszystko. - Głos Josie jest tak spokojny, że nawet ja się boję. - Była piękna. Miała ciebie. I miała naszego ojca. Wszyscy wiedzą, że jestem jego córką, wszyscy. Ale on nigdy się do tego nie przyznał. Nawet moja mama powiedziała mi, że to prawda. Ale to Liz skupiała na sobie całą uwagę. Była tą ładniejszą. W szkole była królową. Dla niej wszystko było takie łatwe. Dla mnie nigdy nie było łatwe. Liz miała wszystko, Richie. Miała wszystko nawet wtedy, kiedy na to nie zasługiwała. - Mówi coraz głośniej, z coraz większym przekonaniem.

- Prawie mnie nie zauważyłaś, zanim nie dowiedziałaś się, że ona cię zdradza.

Może to nie była prawdziwa zdrada, ale prawie. Richie, ja bym ci tego nie zrobiła! Nie rozumiesz? Życie toczy się według pewnego wzoru. Liz była jak jej matka. Ja jestem jak moja, a ty jak mój ojciec. Rozumiesz? Powinniśmy być razem.

Richie rozgląda się dookoła, jakby obmyślał strategię ucieczki. Ale nie ma dokąd uciec. Może tylko stać i słuchać.

- Liz miała wszystko - powtarza Josie - i zamierzała to wszystko zaprzepaścić przez jedną głupią, pijaną noc. - Jej głos zaczyna drżeć, tylko odrobinę. - I chciała pociągnąć mnie za sobą. Kocham mojego tatę, Richie. I kocham ciebie. Liz też kochałam. Była moją siostrą. Ale miała dobre życie. Nadeszła pora, żeby ktoś inny zajął jej miejsce. - Zamyka album, odkłada go na bok.

- Nadeszła moja kolej. Ona zamierzała wszystko powiedzieć, donieść na mnie. Nie ja prowadziłam tamtej nocy. Nie ja zabiłam Aleksa. Nie zasłużyłam na karę za to, co zrobiła ona.

- Nie chciałaś, żeby cię złapali. - Richie ma szeroko otwarte oczy. - O to w tym wszystkim chodzi, prawda? Przyznaj. Zamierzała powiedzieć prawdę, a ty nie mogłaś się na to zgodzić.

- Tak. - Josie wygląda, jakby trawiła ją gorączka. Potakuje. - Chyba masz rację,

317

Richie.

- Jesteś chora - mówi mój chłopak. Mój Richie. Miłość mojego życia.

Josie znowu kiwa głową.

- Może.

Richie pochyla się i oddycha głęboko, usiłując się pozbierać. Patrzy na podłogę i



nagle coś zauważyła.

Podążam za jego wzrokiem. Głośno wciągam powietrze,

Josie ma na kostce bransoletkę „najlepszych przyjaciółek”. Wciąż ją nosi. Mimo że mnie zabiła.

Błyskawicznie, z taką wściekłością na twarzy, jakiej nigdy u niego nie widziałam,

Richie doskakuje do Josie. Zanim ona zdąży się odsunąć, łapie bransoletkę i zrywa z jej kostki.

- Co ty robisz? - skrzeczy Josie, chowając nogę.

Richie trzyma bransoletkę w zaciśniętej pięści. W jego oczach widać wściekłość, ale i mnóstwo innych uczuć - ból, rozpacz - jednak ani odrobiny współczucia. Nie żałuje Josie.

- Oddaj to - sapie moja przyszywana siostra, wpatrując się w jego zaciśniętą pięść.

On kręci głową.

- Nie. Nigdy więcej jej nie włożysz. Nigdy. Słysząc ciche pukanie do drzwi.

- To pewnie policja. - Richiemu brakuje tchu. Nie rusza się.

Josie wygląda na spokojną, ale oddycha ciężko. Ma przymglone oczy, głos wyprany z emocji.

- Nie wpuścisz ich?

- Liz zrobiłaby dla ciebie wszystko.

- Liz zamierzała zrujnować mi życie.

- I dlatego ją zabiłaś.

Josie mruga.

- Wpuść ich, Richie. Jestem zmęczona czekaniem. - Wzdycha. - Życie bez Liz jest nudne. Gdybym wiedziała to wcześniej, może sprawy potoczyłyby się inaczej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Teraz pamiętam wszystko bardzo wyraźnie, całe życie przewija mi się przed oczami jak pokaz slajdów. W każdej chwili mogę w nie wejść. Już nie ma żadnych przerw. Żadnych białych plam. Poczucie bezradności, które prześladowało mnie od śmierci, frustracja z powodu tego, że nie mogę sobie przypomnieć, zniknęły.

Pamiętam, jak miałam dwanaście lat; pierwszego dnia siódmej klasy pan Riley dostrzegł moje patykowate ciało i zapytał:

- Czy myślałaś kiedykolwiek o biegach przełajowych?

- Ma pan na myśli bieganie na długie dystanse? - Już wtedy byłam zepsuta do szpiku kości. - Mój tata mówi, że nie biega, o ile ktoś go nie goni. - Milknę. - Ale moja mama biegała.

Na początku, jak ze wszystkim, co nowe, było ciężko. Zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej moje ciało nie odnalazło swojego rytmu. I nagle zrozumiałam, dlaczego ludzie zakochują się w bieganiu, tak jak ja się zakochałam: po raz pierwszy w życiu czułam, jakbym mogła wszystko. Moje nogi odnajdywały krok, ciało dogodne tempo, a ja dowiedziałam się, jak to jest, kiedy masz zupełnie pusty umysł. Gdy całymi godzinami nie myślisz o niczym. Kiedy biegałam, nie musiałam się martwić, jak wyglądam albo kto jest bardziej popularny. Nie martwiłam się plotkami, które nieustannie krążyły po mieście i szkole o romansie taty i Nicole jeszcze przed śmiercią

438

mojej matki. Nie zastanawiałam się, czy Josie rzeczywiście jest moją przyrodnią siostrą. Nie myślałam o matce, nieprzytomnej, umierającej w kałuży wody, krwi i szkła.

Po prostu parlałam do przodu, wdychając i wydychając powietrze, stawiając jedną stopę przed drugą. Nie potraficie sobie wyobrazić, co czułam, kiedy biegałam.

Jednak po zabiciu Aleksa najdłuższe godziny biegania nie mogły wymazać z mojej głowy widoku jego śmierci. Tak bardzo się starałam, biegałam dłużej i dalej niż kiedykolwiek przedtem, stosując jedyne lekarstwo na oczyszczenie umysłu, jakie znałam. Nie było ucieczki. Nawet zanim Alex znalazł mnie po śmierci, był wszędzie. Ten ostatni oddech. Te oczy wpatrzone we mnie. Nie mogłam zapomnieć, nieważne, ile kilometrów przebiegłam.

Biegałam, aż moje stopy pokrywały się pęcherzami i krwią. Aż nawet pan Riley powiedział mi, że biegam za dużo, że wpędzę się do grobu i powinnam odpuścić. Ale ja już wtedy wiedziałam, że to nie działa.

Dlaczego czekałam tak długo, zanim zdecydowałam się wyznać swoją tajemnicę?

Czego tak bardzo się bałam? Teraz wiem, że nic nie byłoby tak straszne, jak śmierć Aleksa na sumieniu. Nic - nawet moja własna śmierć.

Kiedyś byliśmy szczęśliwą rodziną. Przez ponad siedem lat tata, Nicole, Josie i ja żyliśmy tak normalnie, jak to było możliwe w zaistniałych okolicznościach. Świadomość, że ojciec i Nicole prawie na pewno mieli romans przed śmiercią mojej matki, wzbudza we mnie złość, ale nie kocham przez to ojca ani odrobinę mniej. Tylko tak strasznie mi żal mojej matki. Może - gdyby Nicole nigdy nie wróciła do Noank albo moi rodzice nigdy się tu nie sprowadzili - wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale *wtedy* nie poznałabym Richiego. I jeżeli jest coś, czego w życiu nie żałuję, ani przez chwilę, to Richie.

Jest piękny dzień pod koniec października. Za kilka dni będzie Święto Dziękczynienia. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego wciąż tu jestem. Spodziewałam się, że po tym, jak policja zabrała Josie, odejdę w zapomnienie, tam dokąd odszedł Alex.

Jednak nic się nie wydarzyło. Nadal tu jestem, choć minęło już kilka tygodni. Czekam

na coś, to pewne, ale nie mam pojęcia na co.

Tyle się zmieniło, a jednocześnie tak wiele pozostało bez zmian. Gdy moim przyjaciółom minął szok wywołany wieścią, że to Josie jest odpowiedzialna za moją śmierć, wrócili do swoich spraw. Ojciec Caroline znalazł pracę, która podobno jest nawet lepsza od poprzedniej. Ze wszystkich moich przyjaciół - nawet wliczając w to Richiego - to Caroline przychodzi najczęściej na mój grób. Na pewno czuje ulgę, że już wszyscy wiedzą, co przydarzyło się Aleksowi i mnie, więc ona nie musi sama gryźć się swoimi podejrzeniami. Kiedy przychodzi, nie mówi wiele.

A kiedy kończy wizytę u mnie, przecina cmentarz i idzie do Aleksa. Pomimo wszystkich niewłaściwych postępów - kradzieży pieniędzy i tabletek, fiksacji na punkcie popularności i statusu - pozostaje dobrą przyjaciółką.

Mera i Topher są tacy sami jak zawsze: Topher nadal pali, a potem obsesyjnie szczotkuje i czyści nitką zęby. Razem z Merą pozostają złotą parą szkoły. Kiedyś ich nierozłączność strasznie mnie wkurzała, ale teraz już mi nie przeszkadza. Cieszę się ich szczęściem. Zaslужują na to, żeby byli szczęśliwi.

Jest jeszcze Richie. Tego ranka wychodzi z domu i opiera się o barierkę ganku, żeby rozciągnąć mięśnie ud. Ostatnio naprawdę dużo biega. Rozumiem dlaczego. Patrzy w dół ulicy, na mój dawny dom. Ponieważ Josie nie ukończy liceum w Nonank, mój ojciec postanowił, że sprzeda go najszybciej, jak to możliwe. Otrzymał już kilka ofert, ale wszystkie odrzucił. Nie wiem dlaczego. On i Nicole prawie wcale ze sobą nie rozmawiają i pewnie prędzej czy później się rozwidą. Tylko raz, krótko po aresztowaniu Josie, mój tata zapytał Nicole, czy wiedziała, że Josie jest odpowiedzialna za moją śmierć. Twierdziła, że nie miała pojęcia. Chcę jej wierzyć. Naprawdę. Ale pewna nie jestem. Przez lata udawała przyjaciółkę mojej matki, jednocześnie roman-

sując z moim ojcem. Jaki człowiek tak robi? W głębi serca wiem, że mogła coś przeczuwać w sprawie Josie. Jeśli wiedziała, na pewno nic by nie powiedziała, chcąc chronić córkę.

Jednak najbardziej moje serce krwawi na myśl o ojcu. Stracił dwie żony i dwie córki. Jak można poradzić sobie z czymś takim? Nie mam pojęcia, co teraz robi. Na razie większość czasu spędza na łodzi, mimo że temperatura spadła poniżej zera w Connecticut, gdzie zima przychodzi wcześniej i zostaje dużo dłużej, niżby pragnęli mieszkańcy.

Richie zaczyna truchtać ulicą. Patrząc na niego, czuję znajome swędzenie w nogach. To pragnienie, by biegać. Czuję je od dnia śmierci. Jednak tym razem coś jest inaczej. Tym razem uczucie nie jest frustrujące, lecz obiecujące. Wydaje się, że to możliwe.

440

Zdejmuję buty. Robiłam to już mnóstwo razy, ale aż do tej chwili one zawsze wracały na swoje miejsce. Patrzyłam na stopy, a kowbojki znowu tam były, uwierały mnie w palce, powodując ból tak niezmienny i dojmujący, że nigdy się do niego nie przyzwyczaiłam.

Ale nie dzisiaj. Dziś nie wracają. Podekscytowana poruszam palcami u stóp, nie boję się biegać boso. Przygryzam wargę i uśmiecham się pełna nadziei. I zaczynam biec, podążam za Richiem w dół ulicy. On wciąż jest powolny, ja dużo szybsza. Wkrótce go doganiam i biegnę u jego boku. Kamyki, które wbijają się w moje bose stopy, w ogóle mi nie przeszkadzają.

Richie dobiega do końca ulicy i zatrzymuje się. Jeżeli skręci w prawo, pobiegnie do miasta, jeśli w lewo - na plażę, do portu, gdzie oboje będziemy patrzyli na mojego

ojca, siedzącego na pokładzie „Elizabeth” w swetrze i w płaszczu, popijającego z piersiówki, ze wzrokiem wbitym w wodę. Och, tatusiu.

Richie rozgląda się. Przez sekundę patrzy wprost w moje oczy. I chociaż mnie nie widzi, uśmiecham się do niego szeroko.

- Kocham cię, Richardzie Wilson - mówię. - Zawsze cię kochałam. I zawsze będę cię kochać.

Wtedy on podejmuje decyzję. Skręca w lewo i biegnie w stronę portu. Kiedy dobiega do „Elizabeth”, staje bez słowa przed moim ojcem. Cisza jest krępująca, mimo że znają się od lat. Na początku mój tata nawet go nie widzi, ale w końcu podnosi wzrok, odkłada piersiówkę i mówi:

- Richie. Cześć.

- Dzień dobry, panie Valchar. - Richie chwyta oddech. - Zobaczyłem, że pan tu siedzi i pomyślałem... właściwie nie wiem. Pomyślałem, że może przyda się panu towarzystwo.

Przez te wszystkie lata Richie był w moim domu tysiące razy, przeprowadził z moim tatą mnóstwo rozmów, jednak teraz sytuacja jest niezręczna. Patrzą obaj na siebie, ale odgradza ich morze niewypowiedzianego bólu.

- Lubię być sam - wyjaśnia mój tata. - Kiedy tu jestem... czasami czuję się bliżej

Liz. - Milknie. - Nie zawsze, 'tylko czasami. Ale to wystarcza.

- Panie Valchar, już od pewnego czasu chciałem z panem porozmawiać. Chciałem panu powiedzieć, że jest mi przykro. Gdybym nie zabrał Liz do tego warsztatu, nigdy nie poznałaby Vince'a Aiello. Wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. - Patrzy na port. - Czasami mi się zdaje, że to wszystko moja wina.

- Nie możesz myśleć w ten sposób - mówi mój tata. - To już skończone. Nie wie-

działał o wszystkim. Próbowaliśmy tylko pomóc.

Richie osłania oczy przed ostrym słońcem.

- Mimo wszystko przepraszam. Chcę, żeby pan wiedział, że codziennie o niej myślę. To, co wydarzyło się między mną a Josie, nic nie znaczyło. Wie pan, ona mnie wspierała. - Potrząsa głową. - Nie mogę w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Wiedziałem, że były przyrodnimi siostrami...

- Nie były - przerywa mu mój tata, nagle czujny.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Richie jest zdezorientowany. - Wszyscy myśleliśmy... to znaczy, nawet moi rodzice uważali, że jest pan ojcem Josie.

Mój ojciec bierze piersiówkę, wypija małeńki łyk.

- Kiedy byliście mali, nie było jeszcze testów DNA. Nicole zawsze mi mówiła, że nie jest do końca pewna, i kiedy się pobraliśmy, a ojciec Josie wyprowadził się tak daleko - on na pewno uważał mnie za jej ojca - no cóż... oboje uznaliśmy, że lepiej, jeśli nie będziemy wiedzieć. Pomyślałem, że Josie zasługuje na prawdziwego tatę. I próbowałem nim być. Sądziłem, że miałem na to spore szanse. Ale potem... kiedy już ją aresztowali, poprosiłem o zrobienie badania krwi. - Kręci głową. - Możesz w to uwierzyć? Po tych wszystkich latach dowiaduję się, że ona nie jest moja. - Krzywiąc twarz, przełyka następny łyk alkoholu. - Liz zawsze uwielbiała mieć siostrę. Ironia losu, co?

Richie nic nie mówi.

- Dlatego te wszystkie bzdury, w które wierzyła Josie, o przeznaczeniu, o tym, że nic nie dzieje się bez przyczyny... sprawiły, że myślała, iż zyskuje coś, krzywdząc Liz, odbiera po prostu to, co, jej zdaniem, było przeznaczone dla niej. A jak uganiała się za tobą, bo chciała być dokładnie taka, jak jej mama! Nie miałoby to żadnego sensu, na-

wet gdyby była moją córką! To brednie. Nie istnieje przeznaczenie. Nie ma braterstwa

dusz. - Ojciec rozgląda się dookoła. - Jest tylko śmierć.

Richie bierze głęboki oddech.

- Przykro mi, panie Valchar, ale nie mogę się z panem zgodzić. Liz była moją  
bratnią duszą. Była jedyną dziewczyną, jaką kiedykolwiek kochałem. Chciałem ko-

442

chać ją zawsze. Będę ją zawsze kochał.

Mój tata kiwa głową.

- Wiem, że będziesz. Ja też.

Znowu zapada cisza. Zamykam na chwilę oczy i myślę o Richiem. Mógł być mi-  
łością mojego życia, ale ma jeszcze mnóstwo czasu przed sobą.

- Jak się trzymasz? - pyta mój tata. - To znaczy, wiem, że ci ciężko, ale myślisz, że  
sobie poradzisz?

Richie wygląda, jakby chciał się rozpłakać.

- Dużo biegam - mówi, nie wprost odpowiadając na pytanie. - To mi pomaga  
oczyścić umysł. Czasami, kiedy biegam, miewam długie chwile, podczas których nie  
czuję bólu. Nie myślę o Liz. - Przerywa. - Tak, to pomaga. Przez długi czas nie sądzi-  
łem, że sobie poradzę. Nigdy. Ale teraz myślę... myślę, że to możliwe. Może kiedyś. -

Patrzy uważnie na mojego tatę. - A pan? Czy pan sobie poradzi?

Mój tata długo nie odpowiada. W końcu, nie patrząc na Richiego, mówi:

- Liz by tego chciała, prawda? Chciałaby, żebyśmy poszli dalej. Żebyśmy żyli  
własnym życiem i pamiętali wspólne szczęśliwe chwile. - Wypija kolejny łyk alko-  
holu. - Czasami trudno je sobie przypomnieć, ale było mnóstwo szczęśliwych chwil.

Prawda?



- Tak - potakuje Richie. - Bardzo dużo.

Od mojej śmierci ludzie często mówią o tym, czego bym chciała. Na ogół się mylą, ale mój tata i Richie mają rację. Chcę tylko, żeby żyli dalej. Żeby szli do przodu, rozumiejąc, że każda chwila jest cenna, a każdy dzień to błogosławieństwo. Żeby widzieli życie takim, jakie naprawdę jest: niekończącym się korowodem możliwości, nie tylko wielkiego bólu, ale i wielkich radości.

W końcu rozumiem, dlaczego nadal tu pozostaję. Żeby pozwolić im odejść.

- Poradzisz sobie. Richie - szepczę.

Mój tata opiera się wygodniej na krześle i uśmiecha smutno do Richiego.

- Życie toczy się dalej.

Wiem, że na razie jego słowa będą musiały wystarczyć. To niezupełnie odpowiedź na pytanie Richiego, ale wystarczy.

Milczą przez długą chwilę, po czym Richie pyta:

- A więc się wyprowadzacie?

- Na to wygląda. Zobaczymy, co się wydarzy. - Mój tata znów poprawia się na krześle. Wygląda, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę jak jest zimno, drży. - No cóż, biegnij dalej, skoro ci to pomaga. Nie będę cię zatrzymywał.

- Dobrze. Do zobaczenia w okolicy. Prawda? Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas?

- Tak. - Mój tata zdobywa się na uśmiech. - Idź. Biegnij.

Patrzę, jak Richie przebiega wzdłuż portu do ulicy, przyśpiesza, kiedy wbiega na asfalt. Nie czuję żadnej potrzeby, żeby biec za nim.

Mój tata chowa piersiówkę do kieszeni i wstaje, jakby miał zamiar wejść do kabiny.

- Tatusiu - mówię. - Kocham cię.

Nie zatrzymuje się, nie wzdryga ani nie daje żadnego znaku, że mnie usłyszał. Ale kiedy znika w łodzi, ogarnia mnie niesamowity spokój. Jakbym wreszcie zrobiła dla moich bliskich wszystko, co mogłam. Reszta zależy od nich.

Nieświadomie podeszłam do brzegu pomostu. Stoję prawie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wpadłam do wody w noc mojej śmierci.

Morze jest spokojne i przejrzyste. Patrzę w dół, spodziewając się ujrzeć swoje odbicie.

Ale go nie ma. Zamiast niego widzę twarz mojej matki. Jest młoda, szczęśliwa i uśmiecha się do mnie. Wygląda na zdrową.

Nie muszę wstrzymywać oddechu. Rozglądam się dookoła po raz ostatni. Poruszam palcami u stóp, jestem wdzięczna, że w końcu są wolne.

Skaczę do wody. Otacza mnie ciepło i jasność. W ogóle się nie boję.

# Document Outline

- [Warman Jessica Pomiędzy światami](#)
- [ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)